

**John Stack**

# **Władca Rzymu**

Przełożyła Marta Dziurosz

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu agentowi Billowi Hamiltonowi, który wyprawił mnie w drogę, oraz całemu zespołowi A. M. Heath, w szczególności Jennifer Custer, Kate Rizzo Munson i Vickie Dillon, za ich ciężką pracę.

Dziękuję wydawnictwu HarperCollins „Publishers”; mojej redaktor Susan Watt, za wsparcie, przenikliwość i wytrwałą redakcję, a także Elizabeth Dawson i zespołowi w Irlandii: Moirze Reilly i Tony emu Purdue.

Dziękuję Ann Luttrell i Benowi Cuddihyemu z Triskel Arts Centre za wsparcie, które okazali mi na miejscu, w Cork.

Dziękuję moim rodzicom, Gerardowi i Catherine, których entuzjazm zawsze przewyższa mój własny, a także teściom, Johnowi i Frances Moranom, oraz cioci Pam Moran, za wsparcie, które okazywali nie tylko mnie, ale i całej mojej rodzinie.

Dziękuję reszcie klanu: Colmowi, Pam, Karen, Paulowi, Fionie i Doreen.

Na końcu dziękuję Adrienne za całe jej wsparcie i miłość; cieszy się ze mną w dobre dni i współczuje mi w złe. Dziękuję też moim dzieciom – Zoe, Andrew i Amy – które zawsze pokazują palcami i krzyczą radośnie, kiedy widzą moje książki w księgarniach.

## TUNES, AFRYKA PÓŁNOCNA, 255 R. P.

### N. E.

Na trzask bykowca kolosalne zwierzę rzuciło się do przodu, wydając ryk gniewu i przerażenia, rozjuszony wonią ludzi, a jego rozpęd przeobraził się w niemożliwe do zatrzymania natarcie. Uniosło łeb i wlepiło przed siebie wzrok żółtych ślepi o opadających powiekach. Przed nim rozciągała się scena pełna gorączkowego ruchu, ciemna horda czyniąca przerażającą wrzawę; słysząc było uderzenia o dziesięć tysięcy tarcz, okrzyki bojowe tłumu ludzi. Słoń zawył raz jeszcze i machnął zakrzywionymi ciosami wysoko w powietrzu, gdy bicz uderzył o jego skórę.

Ziemia pod stworzeniem drżała. Pył drażnił mu gardło, budząc nieznośne pragnienie, a zastęp ludzi przed nim powoli nabrał wyraźniejszych zarysów: z masy wyłonili się pojedynczy ludzie. Gdy bok słonia przeszył ostry ból, zwierzę natychmiast odwróciło głowę w stronę rany. Krew była jaskrawa na tle szarej skóry. Instykt wzywał do ucieczki, ale lata brutalnej tresury wymogły na nim posłuszeństwo, a bicz pędził go do przodu.

Bestia gruchnęła o ścianę utworzoną z tarcz, z rozpędu wpadając daleko między rzymskie manipuły, a okrzyki bojowe ludzi zamieniły się we wrzaski bólu. Legioniści atakowali tarczami i mieczami, a z góry nadlatywały salwy włóczni, które wbijały się głęboko w

odsłonięte fragmenty ciała. Nieustający ból wpędził słonia w stan panicznego przerażenia. Zwierzę wywijało ciosami, tnąc nimi jak kosą po zwartych szeregach, przebijając ciała i zbroje. Podniosło trąbę – z jego przedziurawionych płuc ciekł strumień różowej krwi – a jego stopy opadały ciężko na ludzi leżących na ziemi, zgniatając kości. Powietrze rozdzierały okrzyki agonii ludzi i zwierząt.

Rzymski szyk załamał się i ugiął, po czym powoli powstrzymał rozpęd słonia; siła dwunastu tysięcy legionistów zmierzyła się z potęgą stu tych zwierząt. Pierwsze szeregi rozproszyły się, ale walczyły dalej – niemożliwa do uniknięcia potyczka natchnęła ludzi brawurową odwagą, z jaką bronili się przed zwierzętami, bezlitośnie zabijającymi i masakrującymi ich, dopóki nie padały na ziemię od niezliczonych ran. Rzymianie, którzy przetrwali ataki bestii, nacierali na kartagińską falangę nadciągającą za nimi, ale ponownie musieli zwolnić, gdy po ich szeregach poniosły się ostrzegawcze okrzyki.

Czterotysięczna kartagińska jazda pędziła po otwartym terenie, zostawiając za sobą rozgromione oddziały konne Rzymian. Wojownicy z lekkiej jazdy w pełnym galopie ciskali włóczniami w odsłoniętą prawą flankę rzymskich zastępów. Manipuły odwróciły się w stronę natarcia. W środku szyku wezbrała chaotyczna wrzawa najróżniejszych komend, kiedy jazda wroga objechała tyły rzymskiej formacji. Otoczone legiony stanęły w miejscu. Padł rozkaz do utrzymania szyku,

desperacka komenda, aby żołnierze nie ustępowali, zebrali wszystkie siły i wbrew przeciwnościom walczyli.

Kartagińscy jeźdźcy napierali, nieprzerwanie pędzili wierzchowce w stronę podniesionych tarcz, zadając przy tym ciosy włóczniami i mieczami. Manipuły się cofnęły, kopyta koni miażdżyły ciała ludzi leżących na ziemi, a w ścisku legionisści ledwie mogli się posługiwać mieczami. Żołnierze na tyłach nie byli w stanie im pomóc i bitwa przeobraziła się w rzeź. Stojący pośrodku szyku zdesperowani dowódcy wykrzykiwali beznadziejne rozkazy, a zaciskające się nieprzerwanie imadło linii bojowych uniemożliwiło im wyrwanie się z walki. Kartagińczycy nacierali nieustępliwie, bezlitośnie – nienawiść do rzymskiego najeźdźcy dodawała im sił i determinacji – a wojownicy przepychali się do przodu, aby powalczyć w pierwszym szeregu i splamić miecze krwią. Ich napór na rzymskie szeregi nie osłabł do chwili, kiedy ostatni żołnierz padł od ciosów fenickiego żelaza.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Palący, suchy wiatr przemknął ulicami Aspis i dalej, do portu, i oderwał z grzbietów łagodnych fal drobny pył wodny, jakby łapczywie czepiając się wody po pięćsetmilowej podróży po Saharze. Attyk wyszedł z budynku prosto w strumień powietrza i odwróciwszy twarz w stronę wiatru, wdychał go głęboko, wyczuwając w mroku ogrom tajemniczych terenów ciągnących się przed nim: wrogiego terytorium Kartagińczyków przylegającego do granic kontrolowanego przez Rzymian portu. Przy wylocie ulicy dostrzegł człowieka, którego szukał, i podszedł do niego. Centurion odwrócił się w jego stronę.

– Przeklęty wiatr – powiedział.

Attyk kiwnął głową.

– Sirocco – odpowiedział, przypominając sobie nauki swojego dziadka i to, jak każdej wiosny tenże wiatr spowijał męczącą wilgocią jego rodzinne miasto, Lokry, położone na południowym wybrzeżu Italii. – Widać coś?

– Nic – odpowiedział Septymus i obaj zamilkli.

Światło przedświtu zaczęło ukazywać krajobraz przed nimi. Zielone, żyzne tereny wzdłuż wybrzeża ciągnęły się tysiąc mil na wschód, do Egiptu, i na zachód aż do słupów Heraklesa. Przez czterdzieści pokoleń stanowiły dom Kartagińczyków, na całej długości chroniony przez potężną flotę, która kontrolowała trasy handlowe w

południowej części Morza Śródziemnego; było tak do czasu, kiedy rok wcześniej Rzymianie poskromili kartagińskie siły morskie w bitwie pod przylądkiem Eknomos, a potem najechali nietknięte przedtem wybrzeża Afryki Północnej. Teraz niecałe pięćdziesiąt mil na zachód, w okolicach Tunesu, piętnastotysięczna rzymska armia walczyła z Kartagińczykami, a ludzie w Aspis – wśród nich Attyk i Septymus – niecierpliwie czekali na wieści.

Attyk spojrzał na niebo na wschodzie, patrząc, jak karmazynowa linia horyzontu rozpuszcza się powoli wraz z nadejściem słońca, które w końcu wychynęło nad widnokrąg, a po szarobłękitnym niebie pomknęła włócznia białego światła. Grek wrócił pustą ulicą do portu. Zatrzymał się na skraju wody i objął spojrzeniem czterdzieści galer uwiązanych na linach kotwicznych blisko brzegu. Jako *praefectus classis*, prefekt floty, miał te jednostki do swojej dyspozycji, a jego własna galera – kwinkwerema *Orcus* – była zacumowana pośrodku formacji. Attyk przyjrzał się flocie okiem znawcy, patrzył, jak ludzie poruszają się wolno po pokładach, nie czekając na rozkazy, ponieważ kierowała nimi rutyna życia na morzu; słychać było tylko zagłuszające wszystko inne wycie wiatru.

Attyk zszedł na ląd godzinę wcześniej, ulegając nagłemu przymusowi ucieczki z ciasnego *Orcusa*, ciekaw, czy w ciągu nocy przybył jakiś posłaniec. Z poprzedniego okrętu, *Aquili*, nigdy tak nie rejterował, i był ciekaw, czy

nadejście czas, kiedy uzna *Orcusa* za coś więcej niż tylko jeden z wielu okrętów *classis Romana*, rzymskiej floty.

Znów odwrócił się w stronę człowieka stojącego u wylotu ulicy; wysoka sylwetka centuriona wyglądała imponująco nawet z odległości pięćdziesięciu kroków. Septymus stał nieruchomo i zdecydowanie pod wiatr, wciąż patrząc uważnie na południowy horyzont. Attyk ruszył z powrotem w jego kierunku. Po drodze zerkał w wąskie uliczki po obu stronach i migali mu legionieści, którzy samotnie albo w grupkach wychodzili powoli z domów, gdzie ich zakwaterowano, tuż przed sygnałem *vigilae*; nocni strażnicy kończyli wachtę, budząc obóz. Zauważył, że centurion napiął ramiona i się pochylił. Attyk przyspieszył, ale zanim zdążył się zrównać z Septymusem, ten wyciągnął miecz z pochwy; wiatr schwycił i porwał metaliczny dźwięk. Centurion odwrócił się i spojrzał za Attyka, na uliczkę ciągnącą się za nim.

– Do broni! – krzyknął. – Alarm!

– Co się dzieje? – zapytał Attyk.

Septymus wskazał przez ramię, na horyzont za sobą.

– Druzusie! – ryknął centurion, przesuwając wzrokiem po żołnierzach napływających ze wszystkich ulic. W mgnieniu oka dostrzegł, że *optio* przepycha się na czoło gromadzącej się siły, swoją zwykłą surową miną kryjąc zaskoczenie wywołane nagłym wezwaniem do broni. – Druzusie, idź do kwatery dowódców. Powiadom centurionów, że mają stworzyć szyk bojowy od tego punktu.



*Optio* zasalutował, waląc pięścią w napierśnik, i odwrócił się, aby wypełnić rozkaz. Ze względu na doświadczenie Septymusa i jego pozycję centuriona na *Orcusie* – okręcie prefekta – inni dowódcy bez oporów wypełniali jego rozkazy. Po chwili żołnierze stawali już w szyku.

Septymus stanął przy Attyku, który patrzył na południe.

– Jak sądzisz, ilu ich jest? – zapytał prefekt.

– Trudno orzec – odparł Septymus. – Co najmniej tysiąc.

Attyk kiwnął głową, zgadzając się z tą oceną. Odwrócił się i wyłowił legionistę z tłumu za sobą.

– Wracaj na *Orcusa* i każ się tu stawić mojemu zastępcy – rozkazał, a żołnierz odbiegł.

Septymus wyszedł na płaską połąć ubitej ziemi na tyłach miasta. Żołnierze wylali się falą za nim i zaczęli tworzyć zdyscyplinowane manipuły, a gdy szeregi formowały zarys linii boju, dookoła rozbrzmiewały rozkazy wykrzykiwane przez centurionów i *optiones*. Manewr powtórzono na całej długości miasta. Wiatr wiał w oczy i ludzie pochylali przykryte hełmami głowy. Na lądzie ustawiły się wszystkie oddziały żołnierzy floty, po sześćdziesięciu ludzi na każdą galerę – byli to wyłącznie legioniści – i wyrównali szeregi, aby stworzyć ścianę z ponad dwóch tysięcy tarcz.

– Coś jest nie w porządku – wymamrotał Septymus, wlepiając wzrok w nadciągające zastępy. – Nie są

ustawieni w szeregi.

– Widzę – odpowiedział Attyk. Obserwował chaotyczne natarcie, tak inne od zwartych szeregów legionistów. – Prefekcie – usłyszał. Odwrócił się i zobaczył u boku swojego zastępcę. – Baro, przygotuj oddział do bitwy i wyślij dwie galery do zewnętrznego portu.

– Tak jest, prefekcie – odpowiedział Baro i odbiegł.

– Termini – wyjaśnił Attyk, a Septymus kiwnął głową, przypominając sobie, jak Kartagińczycy przypuścili tam jednoczesny atak od lądu i morza.

Minuty się dłużyły, a nadciągający oddział skręcił w stronę Aspis, wciąż w chaotycznej formacji. Nieustający wiatr porywał wzbity stopami wojowników chmurę pyłu w stronę miasta.

– Dwa tysiące – mruknął Septymus, kiedy zmniejszająca się odległość pozwoliła mu zweryfikować wcześniejszą ocenę. Centurion bezustannie sprawdzał, czy na szlakach prowadzących ze wschodu i zachodu nie pojawiają się kolejne oddziały, ale nie dostrzegł niczego. Zerknął wzdłuż szeregu i zobaczył, że wielu ludzi wysunęło się nieco do przodu, a wyczekiwanie na bitwę walczy w nich z wyuczoną dyscypliną.

– Spokojnie, chłopcy! – ryknął i krzyk ten podjęli pozostali centurionowie, a legioniści wyrównali szyk, aż znów był zwarty.

Attyk zerknął przez ramię, poza szeregi i na widoczny po drugiej stronie ulicy fragment portu; przez

jego pole widzenia przepłynęła najpierw jedna galera, potem druga. Wiatr zagłuszał odgłos rozkazów wykrzykiwanych ledwie sto kroków od niego. Attyk ponownie zwrócił wzrok przed siebie: nadciągająca siła była oddalona o niecałe sześćset kroków od nich, a horyzont za nią był czysty. To zastanowiło kapitana, ale zignorował te wątpliwości. Legioniści stanowili aż nazbyt godnego przeciwnika dla niezorganizowanych wojowników, a Attyk niecierpliwił się, chcąc wrócić już na swoją galerę i objąć dowodzenie nad flotą. Odwrócił się do centuriona.

– Septymusie, wracam na *Orcusa*. Umieszczę dwóch sygnalistów na brzegu, żeby...

– To *velites!* – rozległ się krzyk, a ludzie zaczęli szeptać między sobą, wysilając oczy, żeby potwierdzić to doniesienie.

– Cisza w szeregach! – wrzasnął Septymus. Podniósł dłoń do lewej skroni, żeby osłonić oczy przed blaskiem słońca, i spróbował dojrzeć pojedynczych wojowników. – Nie wierzę... – wyszeptał po chwili. – To faktycznie lekka piechota. To nasi.

– To może być podstęp – powiedział Attyk. Wspomnienie Termina wciąż było świeże.

Septymus kiwnął głową.

– Przygotować *pila!* – krzyknął, a *hastati*, niscy rangą młodzi żołnierze, unieśli włócznie.

Zbliżający się ludzie coś krzyczeli. Wiatr omiatający rzymskie szeregi niósł ich głosy, a słowa się nakładały, aż

jedna komenda rozbrzmiała ponad pozostałymi:

– Stać! Nie rzucajcie!

Wielu *hastati* zaczęło opuszczać włócznie.

– Gotowi do ataku! – ryknął Septymus. Nie śmiał rezygnować z przewagi, którą mieli, dopóki się nie upewnił. Widok rzymskich strojów nie uspił w nim ostrożności.

Ludzie parli dalej, ale zbliżając się, zwolnili w obliczu nieugiętej ściany tarcz i gotowych do ciosu grotów włócznie widocznych nad szeregami. W końcu natarcie wytraciło rozpęd, a wojownicy ustawili się w niechlujnym szeregu o sto kroków od szyku Rzymian.

Attyk wyszedł przed formację.

– Kto tu dowodzi? – krzyknął w stronę przybyłych i jeden z żołnierzy zrobił krok do przodu, trzymając rękę z dala od rękojeści miecza. Jego strój był pokryty kurzem, a twarz poryta bruzdami zmęczenia, ale trzymał się prosto i szybko przeciął odległość dzielącą go od Attyka i Septymusa.

– Jestem Serwiusz Salinator, dowódca etruskiej piechoty – oznajmił.

– Attyk Miloniusz Perennis, prefekt floty, a to Septymus Letoniusz Kapito, centurion na *Orcusie*.

Mężczyzna zasalutował Attykowi i skinął głową Septymusowi.

– Należycie do armii prokonsula – powiedział Attyk, a Salinator skinął głową z napięciem na twarzy. – A zatem gdzie legiony? I dlaczego nie maszerujecie w formacji?

– Szósty i Dziewiąty legion już nie istnieją – powiedział Etrusk, a jego głos był przepełniony gniewem i szokiem. – Rozgromiono je koło Tunesu.

– Na bogów... – wyszeptał Septymus, myśląc o żołnierzach Dziewiątego, legionu, w którym służył przez tyle lat.

Attyk, czując zamęt w głowie, chwycił Salinatora za ramię.

– Chodź ze mną – powiedział i poprowadził go przez ścianę tarcz, zostawiając Septymusa samego.

Centurion otrząsnął się i odwrócił do swoich ludzi.

– Rozproszyć się! – krzyknął, a inni powtórzyli jego rozkaz, na co Etruskowie ponownie ruszyli przed siebie.

Septymus podążył szybko za Salinatorem, którego Attyk prowadził do górującej nad portem kwatery dowódców. Trzej mężczyźni przeszli ze strumienia ciepłej bryzy do chłodnego, ciemnego wnętrza pustego budynku i usadowili się dookoła stołu. Attyk nie spuszczał oka z Salinatora.

– Co się stało? – zapytał.

Etrusk przesunął wierzchem dłoni po ustach.

– Starliśmy się z wrogiem na równinie, na południe od Tunesu, dwa dni temu – odparł, wlepiając niewidzące spojrzenie w szorstki drewniany blat stołu. – Kartagińczycy zaatakowali pierwsi, prosto w środek naszego szyku, ze słoniami. Przed ich piechotą gnała co najmniej setka tych przeklętych bestii. – Salinator pokręcił głową. – Legioniści... po prostu nie ustąpili, co do

jednego. To było najbardziej... – Umilkł, a Septymus wyprostował plecy, myśląc o niewiarygodnej odwadze żołnierzy. – My byliśmy na lewej flance, zwróceni w stronę najemników wroga – ciągnął Etrusk, a na jego twarzy ukazała się pogarda, z jaką traktował wynajętych wojowników. – Jazda znajdowała się po prawej. Z łatwością się przebiliśmy, ale oddziały konne rozgromiono. Nieprzyjaciel miał nad nimi czterokrotną, może pięciokrotną przewagę. Nie mieli szans.

– A środek szyku? – spytał Attyk.

– Po tym, jak nasza jazda uciekła, kartagińska konnica zaatakowała prawą flankę i objechała ją od tyłu. Niektórzy *hastati* przebili się przez atak słoni, ale pochłonęła ich piechota wroga, a jazda odcięła drogę większej części legionów. Ponownie wdaliśmy się w walkę na prawej flance i prokonsulowi wraz z pięćsetką może ludzi udało się uciec, ale znów otoczono ich i odcięto od reszty naszych sił. Odparto nasz atak, więc wydałem rozkaz do odwrotu taktycznego.

– Uciekłeś i zostawiłeś legiony w pułapce? – zapytał Septymus, podnosząc się i zwijając dłonie w pięści.

– Nie byliśmy w stanie nic zrobić – odparł Salinator, stając twarzą w twarz z centurionem. – Gdybyśmy zostali na pozycji, wybiliby nas tak samo jak legionistów.

– Więc uciekliście – powiedział Septymus z pogardą – ratując własną skórę.

– Dosyć! – krzyknął Attyk i nachylił się między dwoma żołnierzami. – Czy widziałeś, że prokonsul

zginął? – zwrócił się do Salinatora.

Etrusk oderwał wzrok od Septymusa i spojrzął na Attyka z takim samym gniewem.

– Nie – odpowiedział po chwili. – Wydaje mi się, że zostałem pojmany, ale pewny nie jestem.

– Jakie to ma znaczenie? – skomentował Septymus przejęty troską o Dziewiąty legion.

– Czy ktoś was gonił? – dopytywał się Attyk.

– Nie sędzę – powiedział Salinator i spoglądając na Greka, wypowiedział na głos myśl, która nękała go podczas ucieczki z pola bitwy. – Ale skoro zniszczono legiony, nic nie stoi już na drodze z Tunesu tutaj.

Attyk kiwnął głową i odszedł od stołu. Salinator usiadł z powrotem i przeniósł wzrok na Septymusa, znów z gniewnym grymasem na twarzy.

Nagle rozległ się sygnał ostrzegawczy zagrany na trąbce, potem kolejny i jeszcze jeden, aż dźwięki te nałożyły się i stworzyły jeden nieprzerwany odgłos.

Salinator natychmiast poderwał się przerażony.

– Śledzili nas. Kartagińczycy atakują!

– Nie. – Attyk też wyglądał na przerażonego, ale z innego powodu. – To trąby floty. – Pobiegnął do drzwi, pchnął je i wypadł na zewnątrz, mrugając szybko w świetle słońca. Przesunął wzrokiem po widnokręgu. Wyczuł, że Septymus stanął obok niego, ale nie spuszczał oczu z budzącego grozę widoku, który wywołał alarm nadany przez galery z jego floty. Attyk instynktownie sięgnął do rękojeści miecza.

– Niech nas Posejdon chroni... – wyszeptał i ruszył biegiem w stronę brzegu, wołając do najbliższej galery, żeby spuściła na wodę swoją łódkę.

W oddali ciemne kadłuby kartagińskich galer wciąż rozmieszczały się w poprzek ujścia portu; było ich już ponad sto, a chłostane wiatrem fale rozbijały się o ich tarany, podczas gdy wiosła uderzały bezustannie o niespokojne morze.

Prokonsul Marek Acyliusz Regulus wyprostował plecy, słysząc zbliżające się kroki do drzwi. Wszedł do jednego ze strumieni światła przepływających przez zamknięte okiennice i poczuł, jak w tym piekielnym upale po plecach cieknie mu pot. Mrugnięciem usunął z oka kropelkę wilgoci. Regulus zbliżał się do pięćdziesiątki, ale miał ciało młodszego mężczyzny: prowadzenie trudnej kampanii przez ostatnie dwanaście miesięcy odebrało jego sylwetce miękkość, która pojawiła się w ciągu wielu wygodnych lat w rzymskim senacie.

Był spragniony – niewielka amfora słonawej wody, którą dostał poprzedniego wieczoru, od dawna już była pusta – i zwilżył wargi językiem świadom, że nie powinien wypowiedzieć pierwszych słów zachrypniętym głosem. Patrzył, jak drzwi drgnęły, a niemal całkowitą ciszę przerwał ostry, metaliczny dźwięk. Drzwi się otworzyły, pomieszczenie zalało jaskrawe światło słońca. Regulus zmrużył oczy i oparł się pokusie otarcia ich, patrząc prosto przed siebie na dwie postaci, które stanęły



przed nim. Byli to wysocy rangą żołnierze, a ich postawa zdradzała arogancję i pewność siebie właściwą dowódcom.

Młodszy z nich wszedł pierwszy. Był Kartagińczykiem: miał na sobie uniform w stylu, który Regulus zdążył znienawidzić w ciągu ostatnich miesięcy. Spojrzał prokonsulowi w oczy, wlepiając w niego wzrok tak, jakby był nim zafascynowany, a Regulus odwzajemnił spojrzenie, nagle przypomniawszy sobie, że ma na sobie brudną, zaplamioną potem tunikę. Wszedł drugi mężczyzna, wyższy od Kartagińczyka, o jaśniejszej karnacji; przesunął spojrzeniem po pokoju i popatrzył na Rzymianina z lekkim uśmiechem pogardy.

– Ty jesteś Regulus – powiedział Kartagińczyk. Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie, ale prokonsul i tak kiwnął głową w odpowiedzi. – Jestem Hamilkar Barkas – ciągnął przybysz. – A to jest Ksantypus.

Regulus milczał, wykorzystując moment ciszy, aby ponownie przyjrzeć się mężczyznom. Słyszał ich imiona wielokrotnie w ciągu rocznej kampanii, zarówno od sprzymierzeńców, jak i od pojmanych wrogów. Hamilkar Barkas był głównodowodzącym kartagińskich sił, a Ksantyposa, spartańskiego najemnika, zatrudniono do dowodzenia punicką armią, po druzgocącej porażce poniesionej rok wcześniej pod Adys. I b on zaledwie dwa dni wcześniej dał wrogowi zwycięstwo pod Tunesem.

– Co z moimi ludźmi? – odezwał się po raz pierwszy Regulus, mówiąc niskim i ostrym głosem, aby pytanie

zabrzmiało władczo.

– Siadaj – odparł Hamilkar, wskazując jedyne krzesło, stojące pod przeciwległą ścianą.

Regulus zerknął przez ramię, ale stał dalej. Wlepił wzrok w twarz Kartagińczyka, zachowując kamienną minę.

Siadaj – powtórzył groźnym tonem Hamilkar, podchodząc doń. – Albo każę moim ludziom wejść i przywiązać cię do krzesła.

Regulus zawahał się, ale w końcu podszedł powoli do ściany i usiadł płynnym ruchem, jakby robił to z własnej woli.

Hamilkar uśmiechnął się, choć jego oczy miały zimny wyraz.

– Jak na razie twoi ludzie są w lochach pod tą fortecą – odpowiedział, nie przerywając kontaktu wzrokowego z prokonsulem. – Nie postanowiłem jeszcze, jaki spotka ich los.

– To żołnierze pojmani w bitwie – powiedział Regulus, pochylając się do przodu. – Musisz ich oszczędzić.

– To Rzymianie – odparował Hamilkar. – Ich życie będzie zależało od kaprysu Kartaginy.

Regulus już miał się odciąć, ale ugryzł się w język, czując, że jeśli zrazi do siebie Kartagińczyka, będzie ryzykował życie pięciuset legionistów, których pojmano wraz z nim. Powtórzył tę liczbę w myślach. Pięciuset z dwunastotysięcznej armii. Wyszeptał modlitwę do Marsa,

boga wojny, z całej siły próbując ukryć przed wrogiem, jakim ciężarem jest dla niego ta straszliwa strata.

– Zostaliście pokonani, Rzymianinie – stwierdził Hamilkar, jakby czytał Regulusowi w myślach. – Twoja armia nie istnieje, a twoja inwazja została odparta.

– Czy po to tu przyszedłeś, Kartagińczyku? – zaripostował Regulus. – Żeby mi to powiedzieć? Żeby ze mnie kpić?

– Nie – odparł Hamilkar, znów podchodząc do przodu, aż stanął nad Regulusem. – Wasza lekka piechota wymknęła się nam pod Tunesem i uciekła do Aspis. Przyszedłem tutaj z żądaniem, żebyś wydał tym siłom rozkaz poddania się.

– Poddania się? – powtórzył drwiąco Regulus. – Flota w Aspis z pewnością już przeprowadziła ich ewakuację. Nie będzie żadnej kapitulacji.

– Mylisz się, Rzymianinie – odparł Hamilkar. Arogancja prokonsula zaczęła go irytować. – Port jest zablokowany, a twoja flota uwięziona. Jeśli nie rozkażesz tym ludziom się poddać, wybiję ich w pień.

Regulus oniemiał i ucichł, a jego myśli gnały: chciał obmyślić alternatywę.

– Masz czas na decyzję do jutra – rzucił Hamilkar na odchodnym.

Ksantypos podążył za nim, nie oglądając się za siebie.

Regulus wstał, gdy drzwi zamknęły się za nimi, a pokój ponownie pogrążył się w niemal całkowitej ciemności. Nabrał głęboko tchu, próbując uporządkować

myśli, ale zachłysnął się ciepłym powietrzem i zaniósł kaszlem. Odruchowo wyciągnął rękę po amforę i podniósł ją, po czym natychmiast przypomniał sobie, że jest pusta, i rozgniewany cisnął nią o ścianę. Gлина roztrzaskała się na kawałki.

Ponad rok wcześniej płynął triumfalnie na południe z przylądka Eknomos. Startł się z kartagińską armią pod Adys i rozgromił ją, bez walki zajął Tunes i złupił tereny dookoła Kartaginy. Wygrał wojnę, pobił wroga na każdym froncie i – świadom, że jego kadencja konsula zbliża się do końca i że w każdej chwili z Rzymu może przybyć następca, aby odebrać mu jego chwałę – śmiało wysłał do Kartaginy posłańców z warunkami: wróg miał opuścić Sycylię, rozwiązać swoją flotę i przyznać się do całkowitej porażki.

Regulus wciąż pamiętał, jaki gniew czuł, gdy Kartagińczycy nie przystali na nie. Od tamtej pory nieprzerwanie przygotowywał swoją armię na chwilę, kiedy wróg ośmieli się wyjść poza miasto. W końcu zrobił to – z nowym dowódcą na czele – i Regulus pomaszerował na równiny na południe od Tunesu, gotów zadać śmiertelny cios, który miał w końcu ostatecznie rozgromić Kartagińczyków.

Odebrano mu jednak to zwycięstwo i zastąpiła je haniebna porażka, a Regulus przeklinał Fortunę za to, że zniszczyła mu życie. Podszedł do okna i przez szczelinę w okiennicy spojrzął zmrużonymi oczami na rozciągający się przed nim Tunes. W oddali z równiny wznosił się

ciemny obłok dymu, jak ze stosu pogrzebowego na polu bitwy, i Regulus ponownie wyszeptał modlitwę za los dwunastu tysięcy ludzi.

– Powinniśmy zaatakować od razu – powiedział Ksantypus, idąc za Hamilkarem wzdłuż murów obronnych – zanim nieprzyjaciel umocni swoją pozycję.

– Nie, nie mogę ryzykować zniszczenia rzymskiej floty. Potrzebuję tych galer w nienaruszonym stanie. Poczekamy – odparł Hamilkar, spoglądając z wysokości fortecy na Tunes. Światło chylącego się ku zachodowi słońca odbijało się od wyższych budynków miasta. Zatrzymał wzrok na kłębie dymu na południu; jego macki, niesione nieustannym wiatrem, *ghibli*, sięgały w stronę miasta. Ogień płonął od świtu poprzedniego dnia, kiedy to Hamilkar na własne oczy widział, jak podpalono stosy pogrzebowe, na których spoczywali kartagińscy zamordowani. Ich ciała ceremonialnie poświęcono Motowi, bogu śmierci, a rzymskie ścierwa zrzucono na osobne ognisko, do którego Hamilkar dodał kolejne dziesięć ciał – należały do radnych Tunesu, którzy otworzyli bramy przed Rzymianami.

– Sądysz, że ten Rzymianin rozkaże swoim ludziom skapitulować? – zapytał Ksantypus, podążając wzrokiem za spojrzeniem Kartagińczyka.

– Regulus się ugnie – powiedział pewnym głosem Hamilkar. – Wie, że ich sytuacja jest beznadziejna.

– A zatem ci ludzie bez wątpienia też to wiedzą –

odparł Ksantypos. – Może już się poddali.

Hamilkar odwrócił się do Spartanina z uśmiechem na twarzy.

– Nie poddali się – oznajmił. – Nie zrobią tego też pod bronią.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien – odparł Hamilkar, kiwając głową. – Ponieważ wiem, jak zdeterminowany jest człowiek, który tam dowodzi.

W ciągu poprzedniego roku Hamilkar bardzo chciał poznać tożsamość samotnego kapitana, który pokrzyżował mu plany pod Eknomos. Dowiedziawszy się, że człowiek ten przeżył i dostał awans za swoje działania, Hamilkar wyrył sobie jego nazwisko w pamięci i szukał go w każdym szpiegowskim doniesieniu, które trafiało na jego biurko, śledząc jego działania na przestrzeni całej kampanii i czekając na okazję do zemsty za swoją porażkę u przylądka.

– Kim jest ten Rzymianin? – zapytał Ksantypos, dostrzegając wrogi wyraz na twarzy Kartagińczyka.

– To nie Rzymianin, to Grek, tak jak ty – odpowiedział Hamilkar powoli, czując, jak wzbiera w nim przekonanie. – A kiedy otrzymam rozkaz Regulusa, dostarczę go temu człowiekowi i osobiście przyjmę jego kapitulację.

Hamilkar spojrział na horyzont na wschodzie, który ciemniał szybko, podczas gdy słońce opadało na zachód. Wyobraził sobie port w Aspis i kryjących się w nim

nieprzyjaciół, po czym bezgłośnie wypowiedział nazwisko swojego osobistego wroga. Perennis.

Attyk przesunął dłonią po przednim relingu *Orcusa*, sięgając wzrokiem tysiąc kroków dalej, w stronę kartagińskiej blokady: dwustu kwinkwerem o ciemnych kadłubach, które powoli zaczynały się rysować w świetle świtu. Obejrzał się na galery pod swoją komendą, zwrócone dziobami w stronę ujścia portu. Odpływ napinał ich tylne liny kotwiczne, jakby same okręty domagały się, żeby poszczuć nimi wroga po czterech dniach bezczynnego obserwowania kartagińskich galer.

– W końcu świt – powiedział Septymus, wchodząc na pokład dziobowy. Jego oczy były poczerwieniałe ze zmęczenia, a twarz ciemna od zarostu.

Attyk kiwnął głową, a napięcie w jego brzuchu nieco ustąpiło; też czuł ulgę na widok wstającego słońca. Tak samo jak cała jego załoga, spędził ostatnie cztery noce na pokładzie, gotów na atak, który jeszcze nie nastąpił, w milczeniu przyglądając się, jak kartagińskie światła pozycyjne przesuwają się powoli po horyzoncie pod rozgwieżdżonym, bezksiężycowym niebem. Wróg ewidentnie nie ruszał się z miejsca.

– Piąty dzień – skomentował z goryczą Attyk.

– I wciąż ani śladu natarcia – dokończył myśl przyjaciela Septymus. Po chwili dodał: – Wciąż jesteś pewien, że zaatakują nocą?

– Ja bym tak zrobił – odparł Attyk. – Granice portu

chronią nasze flanki i zmniejszają ich przewagę liczebną. Mogliby zaatakować za dnia, ale to zwycięstwo sporo by ich kosztowało. Atak z zaskoczenia przypuszczony nocą byłby dla nich najlepszym wyjściem.

Septymus kiwnął głową, myśląc też o straszliwym zamieszaniu towarzyszącym nocnemu atakowi, chaosie, który sprzyjałby napastnikom. Zerknął na wstające słońce, a potem na nieprzyjaciół: ich formacja wyglądała tak samo jak poprzedniego wieczoru, kiedy patrzył na nią po raz ostatni. Mocniej ścisnął rękojeść miecza i bezgłośnie wypowiedział wyzwanie pod adresem Kartagińczyków, zachęcając ich, aby wykonali swój ruch.

Birema sunęła szybko przez chmurę większych galer, a jej sternik ustępował drogi potężnym kwinkweremom, zręcznie wykorzystując zwrotność mniejszego okrętu. Hamilkar stał obok niego przy sterze, przyglądając się jego pracy i podziwiając tę demonstrację sprawności, rzemiosła, którego – jak podejrzewał Hamilkar – sternik nabył dzięki naukom ojca albo dziadka, zgodnie z tradycją wszystkich kartagińskich rodów marynarzy.

Hamilkar rozejrzał się po sporej grupie otaczających go galer. Zwrócił uwagę na ich smukłe linie i uporządkowaną formację, a także sprawność ich załóg, która rzucała się w oczy nawet po pięciu dniach monotonnej służby. Birema podążała przed siebie gładko, a kiedy Hamilkar zerknął w prawo, między poruszającymi się jednostkami mignął mu wewnętrzny port w Aspis.



Nieruchomych rzymskich okrętów nie dało się rozróżnić z odległości tysiąca kroków. Jego uwagę przyciągnęło głośnie pozdrowienie i ponownie zwrócił wzrok w stronę dziobu. Dobrze było zobaczyć przed sobą znajomą galerę.

Birema podpłynęła zwinnie i zajęła pozycję wzdłuż *Alissar*, a gdy trąciła jej kadłub, Hamilkar wskoczył na drabinkę sznurową i wspiał się na główny pokład.

– Dobrze cię widzieć, komandorze – powiedział kapitan Himilko, wyciągając rękę, którą Hamilkar uścisnął.

– Raportuj, kapitanie – powiedział szorstko.

– Zgodnie z twoimi przewidywaniami, komandorze, nie wygląda na to, żeby Rzymianie mieli się poddać – zaczął Himilko.

Hamilkar wyszczerzył ponuro zęby i kiwnął głową, po czym ponownie zerknął w stronę wewnętrznego portu. Tym razem nic nie zasłaniało mu widoku, który sprowokował go do tego, by sięgnąć za tunikę i wyciągnąć niewielki mosiężny walec. Przesunął po nim lekko palcami.

– Zwrot, kapitanie – rozkazał. – Wpłyniemy do portu.

– Atakujemy? – zapytał Himilko.

– Nie, nadaj sygnał do floty, aby czekała na stanowiskach. Płyniemy sami.

Himilko zasalutował i po chwili *Alissar* wyłamała się z formacji i zwróciła dziób w stronę wewnętrznego portu. Hamilkar spojrział na walcowaty pojemnik w swojej dłoni i ścisnął go mocniej. W ciągu kilku chwil będzie mógł w

końcu spojrzeć w twarz swojemu wrogowi.

– Zbliża się kartagińska galera! – zawołał Korin ze szczytu masztu, a Attyk spojrział w stronę zewnętrznego portu.

Wiosła samotnej galery opadały i podnosiły się powoli, a formacja jednostek wroga widoczna za nią się nie zmieniała.

– Wysłannik? – zasugerował Septymus, a Attyk kiwnął głową.

– Ale dlaczego teraz? – zapytał i odwrócił się do swojego zastępcy. – Baro, ruszamy. Sygnał do pozostałych galer: niech będą gotowe, ale zostaną na stanowiskach.

Baro przytaknął, a *Orcus* nabrał prędkości sterownej, po czym sternik, Gajusz, przyspieszył do prędkości standardowej. Septymus rozkazał dziesięcioosobowemu oddziałowi legionistów, aby im towarzyszyli, i wraz z Attykiem przeszedł na pokład dziobowy. W milczeniu przyglądali się nadpływającej galerze.

Dwie jednostki zbliżyły się do siebie czujnie, jakby manewrując w poszukiwaniu dobrej pozycji, obaj sternicy sprawdzali nawzajem swoje umiejętności. Kartagiński statek zwolnił pierwszy i jego wiosła zanurzyły się zgrabnie w wodę, dzięki czemu kwinkwerema wyhamowała na odcinku równym połowie swojej długości, po czym po dwa wiosła na dziobie i rufie ponownie zaczęły pracować, żeby utrzymać galerę w

miejscu mimo łagodnego prądu. Attyk odwrócił się i skinął głową w stronę drugiego końca galery. Gajusz potwierdził ten gest i wykonał identyczny manewr z taką samą łatwością, i podczas gdy statki pokonywały ostatni odcinek dzielącej ich odległości – już w ciszy, ponieważ uderzenia w bęben umilkły – Attyk patrzył na grupę uzbrojonych mężczyzn stojącą na dziobie okrętu wroga.

Dwaj Kartagińczycy ruszyli do przodu, a Attyk i Septymus odpowiedzieli tym samym, podchodząc do relingu na sterburcie, gdy galery zderzyły się z ciężkim, głuchym odgłosem. Drewniane kadłuby zaczęły trzeć o siebie; oba poruszały się niezależnie na falach, a wiosła utrzymywały je w miejscu. Attyk skoncentrował się na wyższym z dwóch Kartagińczyków i dostrzegł, z jakim uniżeniem odnoszą się do niego pozostali. Mógł być jego rówieśnikiem, ale zachowywał się jak ktoś starszy, a na jego twarzy wyraźnie rysowała się pewność siebie. Stał ze zgarbionymi ramionami, jakby gotów do ataku. Attyk już miał się do niego zwrócić, ale Kartagińczyk odezwał się pierwszy.

– Ty jesteś Perennis? – zapytał.

To zaskoczyło Attyka.

– Stawiasz mnie w niekorzystnej sytuacji, Kartagińczyku – powiedział i czekał, aż dowódca się przedstawi.

Kartagińczyk się uśmiechnął, jakby rozbawił go jakiś znany tylko jemu żart.

– Jestem Hamilkar Barkas – powiedział, a Attyk

znów oniemiał. – Słyszałeś o mnie.

– Słyszałem o tobie, Barkas – potwierdził zimnym tonem Attyk. – Dowodziłeś kwinkweremą, która uciekła spod Tyndaris.

Pamięć szybko podsunęła mu wspomnienie o tym i poczuł, że Septymus przestępuje niespokojnie z nogi na nogę. Świadomość tego, z kim rozmawiają, obudziła w centurionie gniew; przypomniał sobie desperacką bitwę pod Tyndaris, w której stracił tylu ludzi.

– A ty, Perennis, dowodziłeś triremą, która zaatakowała ten statek pod Eknomos – odparował Hamilkar, wypowiadając te słowa na głos, aby podsyć ogień swojej furii.

Na chwilę zapadła cisza.

– Co masz do powiedzenia, Barkas? – zapytał Attyk nieco napiętym głosem, chcąc uciąć wszelkie błahe rozmowy i nakreślić między nimi linię boju.

– Przybyłem tutaj, aby przedstawić wam warunki kapitulacji – powiedział Hamilkar, z trudem powściągając gniew wywołany aroganckim tonem Greka.

– Nie będzie kapitulacji, Barkas. Nie pod Aspis.

– Rzymska inwazja na mój kraj jest zakończona, Perennis. Twoje żalosne siły nie wytrwają same.

– Wytrwają, dopóki ja będę nimi dowodził – odparł buntowniczo Attyk.

– Ależ to nie ty tutaj dowodzisz, Perennis. – Hamilkar uśmiechnął się i przerzucił mosiężny walec ponad odstępem dzielącym galery.

Attyk schwycił pojemnik, otworzył go i wyciągnął znajdujący się w środku zwój. Złamał pieczęć i szybko przeczytał zapisany na nim tekst, natychmiast rozpoznając charakter pisma z wcześniejszych doniesień. Jego usta wykrzywił grymas wściekłości.

– Co to? – zapytał Septymus, dostrzegając wzburzenie przyjaciela. Attyk podał mu zwój bez komentarza, a Septymus obrzucił go wzrokiem. – Rozkaz do poddania się? – skomentował z niedowierzaniem.

Attyk kiwnął głową.

– Od samego prokonsula – syknął, wiedząc już, dlaczego Kartagińczycy nie zaatakowali w ciągu ostatnich dni. Wziął zwój od Septymusa i przeczytał go ponownie, chcąc znaleźć w rozkazie prokonsula jakiś podtekst, jakiś znak, że napisał komendę pod przymusem, a tak naprawdę chce, żeby flota stawiała czoło Kartagińczykom. Nic takiego nie znalazł. Rozkaz był jednoznaczny.

– Regulus wie o blokadzie – powiedział Hamilkar, aby tłumacząc decyzję prokonsula, zachęcić Greka do natychmiastowej kapitulacji. – Biorąc pod uwagę rozkład sił, zdał sobie sprawę, że możecie się poddać, zachowując honor.

Attyk podniósł oczy i zagapił się na Hamilkara z pełnym pogardy wyrazem twarzy.

– Zachowując honor? – powtórzył sarkastycznie. – Nie ma nic honorowego w przykuciu do wiosła na galerze.

– A jednak – powiedział zniecierpliwiony Hamilkar –

oto są twoje rozkazy, napisane przez twojego dowódcę. Po prostu musisz się poddać.

Attyk zerknął na blokadę, a potem na Septymusa; buntownicza mina centuriona odzwierciedlała jego własne przekonanie o tym, co jest słuszne. Kiwnął lekko głową, a Septymus odwzajemnił ten gest, w pełni zgadzając się z przyjacielem.

Attyk ostrożnie wsunął zwój z powrotem do pojemnika i ponownie zwrócił się w stronę Hamilkara.

– Nie będzie kapitulacji – powtórzył i zanim Hamilkar zdążył zaprotestować, upuścił walec za burtę. Mosiężny pokrowiec uderzył o kadłub z głuchym dźwiękiem i wpadł do wody.

Kartagińczyk podążył za nim wzrokiem, a gest Greka obudził w jego umyśle kakofonię sprzecznych głosów. Uniósł wzrok, a gdy toczący się w nim spór nabrał intensywności, miał wrażenie, że nie widzi nic poza greckim kapitanem. Duma wzywała go, aby natychmiast zaatakował, upokorzył tego bezczelnego Greka i dał swoim ludziom zwycięstwo, którego tak rozpaczliwie potrzebowali po porażce pod Eknomos. Rozsądek nawoływał jednak do powściągliwości; Hamilkar wiedział, że potrzebuje czterdziestu rzymskich galer do wzmocnienia swojej floty, a zdobycie ich siłą kosztowałoby go tyle własnych jednostek, ile mogłyby zyskać. Odetchnął głęboko i zmusił swoją dumę do pójścia na ustępstwo. Postanowił dać Grekowi ostatnią szansę i przedłożyć potrzeby Kartaginy ponad własne

poczucie honoru. Nachylił się nad relingiem *Alissar*.

– Posłuchaj mnie, Perennis – powiedział, a powściągana wrogość nasyciła jego głos jadem. – Dam ci dwadzieścia cztery godziny na przemyślenie twojej decyzji.

Attyk już miał zaripostować, ale Hamilkar uniósł rękę, żeby go powstrzymać. Nie ufał już swojemu temperamentowi i wiedział, że po następnych słowach Greka może stracić panowanie nad sobą.

– Zgódź się, Perennis, a ty i twoje załogi przeżyjecie – powiedział. – Sprzeciw mi się, a przysięgam na moich bogów, wszyscy zginiecie.

Hamilkar wydał rozkazy, aby *Alissar* się wycofała. Jej wiosła zaczęły znów pracować, a okręt zwinnie zawrócił.

Attyk patrzył, jak wroga jednostka się oddala. Ultimatum Kartagińczyka osłabiło jego zdecydowanie. Jeśli Barkas był dowódcą, Rzymianie mieli jeszcze mniejsze szanse. Attyk próbował pohamować to uczucie niepewności, wiedząc, że tylko Fortuna kontroluje jego los i że woli zginąć w walce z wrogiem, niż żyć jako niewolnik. Odwrócił się, chcąc wydać Baronowi rozkaz, aby *Orcus* ruszył w drogę, ale wiatr nagle osłabł, co pozwoliło mu po raz pierwszy usłyszeć dźwięk bębnow dobiegający od strony kartagińskiej blokady. Ten miarowy rytm dwustu instrumentów, podobny do rumoru nadciągającej burzy, był niczym zwiastun sztormu, który miał się rozpętać nad Aspis.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Marek Emiliusz Paulus zdecydowanym krokiem przemierzał główny pokład *Concordii* w stronę relingu, ignorując saluty żołnierzy. Ogarnął spojrzeniem flotę, trzysta pięćdziesiąt galer *classis Romana* rozmieszczonych w formacji za jego okrętem flagowym, a widok ten chwycił go za serce; poczuł przyływ dumy na myśl o władzy, jaką dysponował.

Jako starszy konsul Paulus pospieszył na Sycylię sześć miesięcy wcześniej i zamieszkał w ufortyfikowanym mieście Agrigentum na południowym wybrzeżu. Stamtąd usiłował przejąć kontrolę nad wojną toczącą się na Sycylii, odnieść zwycięstwo, które stanowiłoby konkurencję dla triumfu jego poprzednika u przylądka Eknomos. Wróg wycofał jednak flotę na południe, do Kartaginy, a Paulusowi brakowało oddziałów legionistów, które były potrzebne, jeśli chciał się zmierzyć z Kartagińczykami na lądzie. Zawiódł żołnierzy na potyczki do Panormos i Lilybeum, dwóch najważniejszych kontrolowanych przez Punijczyków portów na Sycylii, w nadziei, że uda mu się przejąć inicjatywę w walce, lecz drobne zwycięstwa tylko pogłębiły jego frustrację.

Wszystkie oczy w Rzymie zwrócone były w stronę konfliktu w Afryce. To tam można było zyskać chwałę, lecz Regulus uporczywie unikał wszelkich prób



sprowadzenia go z powrotem do Rzymu; jego zwycięstwa pod Eknomos i Adys przysporzyły mu sporego poparcia w senacie, utrzymał więc pozycję dowódcy korpusu ekspedycyjnego. Jednak wraz z klęską pod Tunesem utracił to dowodzenie i Paulus nie potrafił powstrzymać narastającego uczucia wyczekiwania. Kiedy wraz ze statkiem zaopatrzeniowym, który uciekł z portu w Tunesie, przybyły wieści o porażce Regulusa, Paulus natychmiast zebrał flotę, aby popłynąć na zachód; bardzo chciał w pełni zrobić użytek z odzyskanego zwierzchnictwa.

Paulus powoli przeszedł na pokład rufowy, po drodze ukradkiem przyglądając się załodze, której gorączkowa aktywność kontrastowała z jego własnym niespiesznym krokiem. Jeszcze nigdy nie był na galerze płynącej na Sycylię, ale w ciągu poprzednich miesięcy zdobył wiedzę konieczną przy zarządzaniu flotą, a dwie zwycięskie potyczki z wrogiem potwierdziły jego wiarę w to, że ma wrodzoną umiejętność dowodzenia.

Dotarłszy na rufę, odwrócił się, aby objąć spojrzeniem całą *Concordię*. Grotzgiel wyrzusał się spod olinowania, a dalej rysował się nieruchomy *corvus*, rampa do abordażu. Wdychając ciepły boczny wiatr, Paulus rozejrzał się po pokładzie. Stojący przy sterze młodszy konsul, Serwiusz Fulwiusz Petinus Nobilior, kiwnął mu głową. Paulus odwzajemnił gest i spojrzawszy na horyzont, już koncentrował się na planie ataku, który przypuści po dotarciu do Aspis. Śmiałość była kluczem do

zwycięstwa i Paulus uśmiechnął się, wyobrażając sobie, jaki strach zapanuje na szlakach morskich, gdy rozniesie się wieść o jego przybyciu.

Widnokrąg przed *Concordią* pociemniał, w zasięgu wzroku pojawiła się powoli linia brzegowa, a po okrętach poniósł się okrzyk zwiastujący ląd na horyzoncie. Paulus przeszedł szybko na pokład dziobowy, aby nic nie zasłaniało mu pejzażu morskiego i brzegu. Mignęło mu coś kolorowego i skupił wzrok na krótkim ruchu. Od bocznego wiatru zaczęły mu łzawić oczy, więc potarł je zirytowanym gestem. Wtedy zobaczył je znów: mgnienia jaskrawych kolorów, wyraźnie widoczne na tle ciemnej linii lądu, i nagle pojął, na co patrzy. Barwne bandery łopotały gwałtownie na wietrze i z każdym ruchem wiosła, który przybliżał do nich *Concordię*, było ich coraz więcej. Chwilę później okrzyk obserwatora potwierdził to, co zobaczył konsul:

– Galery wroga na kursie!

– Liczba i kurs – ryknął Hamilkar, przebiegając *Alissar* wzdłuż.

– Co najmniej trzysta! – odkrzyknął obserwator. – Płyną na zachód, prosto na nas.

Hamilkar zatrzymał się na pokładzie rufowym i spojrzął na wschód, na nadciągające galery. Gdyby nie ich bandery, można by je wziąć za kartagińskie jednostki: ich projekt stanowił kopię galer stworzonych przez najlepszych budowniczych statków w Kartaginie.

Hamilkar zaklął na ten widok. Obejrzał się przez ramię na wewnętrzny port Aspis i czterdzieści rzymskich galer, które wciąż wyzywająco stawiały mu czoło.

Do ostatecznego terminu, który narzucił przeciwnikowi, pozostało jeszcze tylko kilka godzin, i Hamilkar wyrzucał Tanit jej kapryśną naturę. W ciągu poprzedniej nocy wielokrotnie miał ochotę cofnąć swoją propozycję i zarządzić pełen atak. Wiedział, że z taktycznego punktu widzenia byłby to błąd, ale jego poczucie honoru domagało się jakiegoś zadośćuczynienia za porażkę, którą on i jego ludzie ponieśli pod Eknomos. Tamtego dnia dowodził z *Alissar* – kwinkwerema była w awangardzie głównego natarcia, na honorowej pozycji, którą Hamilkar zajął z dumą, lecz która została na zawsze splamiona upokorzeniem, kiedy wydał komendę, aby okręt ten poprowadził odwrót spod Eknomos.

Wiele galer biorących udział w blokadzie walczyło tamtego dnia i rok później szok związany z klęską wciąż ciążył na morale załóg. Był to kolejny powód, dla którego Hamilkara kusilo, aby zaatakować Aspis. Potyczka w wewnętrznym porcie odbyłaby się na warunkach Rzymian, a zyski Hamilkara równałyby się jego stratom, ale choćby ze względu na przewagę liczebną miał zapewnione zwycięstwo. Hamilkar zdawał sobie sprawę, że jego ludzie potrzebują zwycięstwa nad znenawidzoną rzymską flotą, którą wielu uważało za niemożliwą do pokonania.

W nocy szarpały nim wątpliwości; być może poczuł

ten sam brak pewności siebie, który szalał wśród jego ludzi. Teraz Fortuna zwróciła się przeciwko niemu, karząc go za wahanie. Hamilkar spojrział na wschód i zbliżające się rzymskie galery, czując, że wzbiera w nim spokojna determinacja.

Nieuchronność potyczki oczyściła jego umysł z dalszych spekulacji o tym, co mogło się wydarzyć. Wróg miał przewagę liczebną i znajdował się na obu jego flankach. Nie mógł mieć nadziei na utrzymanie pozycji przy ujściu portu – porażka byłaby pewna. Nie mógł też rozkazać swojej flocie się rozproszyć, ponieważ wiedział, że ucieczka przed zadaniem ciosu oznaczałaby koniec jego dowodzenia.

Musiał przejąć inicjatywę w walce z Rzymianami, ale najpierw konieczne było zwiększenie swoich szans na zwycięstwo. Zamknął oczy i wyobraził sobie otaczającą go linię brzegową, przeszukując pokłady swojej wiedzy na temat wybrzeży dookoła jego ukochanej Kartaginy. Uniósł powieki i sprawdził, jak wysoko znajduje się linia przyływu na najbliższym odcinku wybrzeża. Zerknął na północ i zacisnął usta, zapomniawszy już o wcześniejszym wahaniu. Odwrócił się do sternika.

– Zwrot – rozkazał. – Prędkość bojowa. Sygnał do floty, niech utworzą szyk za *Alissar*. Płyniemy w stronę Przylądka Hermajskiego.

Sternik kiwnął głową i wysłał gońca, aby nadał sygnał flocie, a sam zapał się o rumpel. Kwinkwerema natychmiast zareagowała na ruch steru i wyłamała się z

formacji blokady. Gdy jednostka skręcała, Hamilkar nachylił się, aby nie stracić równowagi, ściskając ręką reling na burcie, podczas gdy rytm bębna przyspieszył i *Alissar* na odcinku równym jednej swojej długości osiągnęła prędkość ośmiu węzłów. Wszystkie otaczające ją galery, którymi dowodził, podążyły jej śladem.

– Okręty w blokadzie skręcają!

– Załoga, przygotować się! – krzyknął Attyk w odpowiedzi na sygnał od obserwatora, biegnąc szybko na pokład dziobowy, aby samemu zobaczyć zmianę kursu galer blokujących port. Już był gotów wydać rozkaz do zajęcia stanowisk bojowych – spodziewał się, że Kartagińczycy zwrócą się w ich stronę – ale dzioby galer wroga skręciły na północ, a blokada szybko się rozpadła.

– Ze wschodu nadciągają galery!

Attyk usłyszał okrzyk i spróbował dojrzeć coś za kartagińskimi okrętami, ale ich kadłuby zasłaniały mu horyzont na wschodzie. Spojrzał na Korina siedzącego na maszcie; młodzieniec wlepił wzrok w dal.

– Zidentyfikuj je, Korinie! – krzyknął Attyk, zły, że nie ma dość dobrego punktu obserwacyjnego. Czy to kolejny oddział kartagińskiej floty? Może galery z blokady ruszyły, aby się przegrupować i zaatakować? Liczyła się każda chwila i Attyk musiał walczyć z przemożną chęcią wdrapania się na maszt i zobaczenia wszystkiego na własne oczy. Skoncentrował wzrok na twarzy Korina i zobaczył na niej odpowiedź na mgnienie

oka przed tym, nim obserwator odkrzyknął:

– Rzymskie, prefekcie!

Attyk rozejrzał się za swoim zastępcą i dostrzegł go na głównym pokładzie.

– Baro! – zawołał – ruszamy. Prędkość bojowa.

Baro kiwnął głową i zaczął wykrzykiwać rozkazy pod adresem załogi. Już gorączkowe tempo jej pracy jeszcze wzrosło w reakcji na ostry ton głosu zastępcy kapitana. Attyk przeszedł szybko na pokład rufowy, gdy *Orcus* drgnął pod nim. Wiosła wbiły się w spokojne wody wewnętrznego portu, a galera zaczęła przyspieszać wraz z każdym uderzeniem w bęben.

Nagle Attyk pomyślał o Lucjuszu, swoim byłym zastępcy, o tym, jak starszy mężczyzna towarzyszyłby mu na pokładzie dziobowym, obserwując każdy jego ruch. On i Baro nie nawiązali jeszcze takiego kontaktu: obecny zastępca był surowszy niż Lucjusz, lecz na swój sposób kompetentny, i Attyk wiedział, że może ufać temu doświadczonemu marynarzowi.

– Ponad trzysta galer! – krzyknął podekscytowany Korin. – Płyną na zachód, bezpośrednim kursem do Aspis.

Usłyszawszy raport, Attyk sprawdził szyk własnego oddziału – pozostałe galery ruszały w drogę. Kiedy dotarł na pokład rufowy, kiwnął głową Gajuszowi, ale sternik nie odwzajemnił gestu, jak zawsze skupiony na swoim zadaniu. Manipulował lekko rumplem, dokonując minimalnych korekt kursu studziesięcotonowej galery. Tygodnie bezczynności, podczas których oddział czekał w

Aspis, niemal doprowadziły Gajusza do obłędu: to, że kadłub tkwił nieruchomo pod jego stopami, przeczyło wszystkim jego instynktom. Attyk wiedział, że choć sternik zachowuje kamienny wyraz twarzy, przepelnia go wyczekiwanie.

– Jak to oceniasz? – zapytał kapitan, a sternik spojrzał na niego po raz pierwszy.

– Wygląda na to, że Kartagińczycy uciekają – powiedział Gajusz po chwili milczenia, ze zdumioną miną.

– Ale... – zachęcił Attyk, widząc jego wahanie. Sam też dostrzegł pewną anomalię w manewrze Kartagińczyków, chciał jednak poznać opinię sternika, który doskonale znał możliwości galery, potrafił też zająć optymalną pozycję w bitwie, jego opinia więc była nieoceniona.

– Wciąż są w formacji – odparł po chwili Gajusz. – Gdyby naprawdę chcieli uciec, rozproszyliby się, aby utrudnić nam pościg.

Attyk kiwnął głową, patrząc na tyły kartagińskiej formacji, odległej od nich o tysiąc kroków. Ostatnie z galer zniknęły za północnym cyplem chroniącym port w Aspis. Attyk wiedział, że zanim *Onus* zdąży znaleźć się w tym miejscu, odległość dzieląca go od tyłów wroga będzie jeszcze większa – musiał nabrać prędkości od zera, co od początku dawało Kartagińczykom przewagę.

– Może mają zamiar walczyć – powiedział Attyk, wątpiąc we własne słowa.

– Mamy zbyt dużą przewagę – orzekł Gajusz i zerknął w stronę zbliżającej się rzymskiej floty.

Attyk zaczął obmyślać plan. Stanął przy relingu na burcie, by mieć lepszy widok na rozciągające się przed nim morze.

– Gajuszu, co jest na północ stąd? – zapytał.

– Linia brzegowa biegnie na północ na odcinku trzydziestu mil, aż do przylądka, a potem skręca na południowy zachód i prowadzi przez sto dwadzieścia mil do zatoki Kartaginy.

Nie dotrą do Kartaginy, pomyślał Attyk, ale kiedy patrzył na rzymską flotę, czekając, aż zmieni ona kurs i przechwyci kartagińską formację, w jego myślach pozostał cień wątpliwości. Barkas poniósł już wcześniej porażki, ale nigdy z powodu jego własnego błędu, a Kartagińczycy wciąż lepiej znali się na żeglarstwie niż większość rzymskich załóg. Wróg nadal pozostawał w formacji, dopiero więc miał ujawnić prawdziwe plany.

– Uciekają! – krzyknął z radością Nobilior.

Paulus odwrócił się do młodszego konsula i zmarszczył brwi – uważał to nadmierne okazywanie emocji za niewłaściwe – choć i on czuł satysfakcję na widok wroga umykającego przed jego flotą.

– Sternik, zmień kurs na zbieżny – rozkazał Paulus, a *Concordia* skręciła o dwa rumby na sterburkę.

Szyk okrętów płynących za nią natychmiast zareagował tym samym.



Płynąca równolegle do wybrzeża flota wroga wciąż znajdowała się jakieś pięć mil od Rzymian, a jej okręty były zbite w ciasną gromadę, jakby uciekały na wyścigi. Paulus podążył wzrokiem za ich kursem i natychmiast dostrzegł, że linia brzegowa cofa się na półmocy i przybiera kształt cypla.

– Sternik – powiedział – przyspieszamy. Chcę dotrzeć do tego cypla, zanim wróg zdąży go opłynąć.

Sternik kiwnął głową i okrzykiem wydał rozkaz do nabrania prędkości bojowej, a Paulus z satysfakcją poczuł, jak *Concordia* nabiera tempa. Zerknął na główny pokład i uporządkowane szeregi legionistów, wyczuwając ich wyczekiwanie i pozwalając mu podsycić jego własną niecierpliwość. Wykrzywił usta pogardliwie na myśl o tym, jak daremne są próby ucieczki wroga przed jego gniewem.

– Rzymianie skręcają, aby rozpocząć pościg! – zawołał obserwator. Hamilkar zerknął za rufę od sterburty, żeby na własne oczy przekonać się o zmianie kursu floty wroga, po czym znów się odwrócił i spojrzał ponad relingiem na rufie. Rzymskie galery z *Aspis* dopiero co wypływały poza ujście portu i znajdowały się teraz ponad dwie mile za ostatnim okrętem jego formacji; Hamilkar przyglądał się, jak utworzyły za pierwszą galerą zwarty szyk i na dobre rozpoczęły pościg.

Barkas odwrócił się w stronę morza przed sobą i linii brzegowej po lewej, w myślach wymieniając nazwy kolejnych punktów orientacyjnych, podczas gdy *Alissar*

mknęła na północ. Jego znakomita znajomość linii brzegowej utwierdziła go w postanowieniu, że nie pozwoli Rzymianom zająć żadnej części świętej ziemi jego ludu. Po prawej rzymska flota powoli się zbliżała, płynąc na ukos w stronę Kartagińczyków i ujawniając swój prosty plan przecięcia jego kursu, gdy będzie chciał okrążyć Przylądek Hermajski. Hamilkar podziękował Tanit za decyzję Rzymian, zapominając o wcześniejszej dwulicowości bogini.

Przeciwnik miał przewagę liczebną, ale Hamilkar wiedział, że może przeszkodzić Rzymianom w schwytaniu go w pułapkę, jeśli uda mu się wyrównać szanse dwóch stron, lub, jeszcze lepiej, obrócić sytuację na swoją korzyść. Zwycięstwo, a w najgorszym razie honorowy odwrót – wciąż były w zasięgu ręki. W każdym razie Hamilkar musiał utrzymać swoją flotę w zwartej grupie, a Przylądek Hermajski miał mu to umożliwić.

Attyk wciąż stał przy bocznym relingu na rufie, kiedy *Orcus* obrał kurs na północ i galery z rzymskiego oddziału wpłynęły w kilwater kartagińskiej formacji, robiąc użytek ze szlaku przebytego przez wroga, aby uniknąć wszelkich ukrytych płycizn przy brzegu. Dołączył tam do niego Septymus, podczas gdy legionieci ustawili się za Druzusem na głównym pokładzie; bliskość wroga dyktowała każdą czynność na kwinkweremie.

– Główna część floty pierwsza dogoni wroga – powiedział Attyk, myśląc głośno, oceniwszy kąty i

prędkość ataku.

– Szkoda – odparł Septymus, ściskając rękojeść miecza. Gniew spowodowany utratą Dziewiątego legionu narastał w nim wraz z każdym pociągnięciem wiosła, a fakt, że flotą wroga dowodził Hamilkar Barkas, jeszcze go potęgował.

Attyk spojrział na przyjaciela i kiwnął głową – rozumiał jego furję, w nim też narastała żądza walki. Septymus służył kiedyś w Dziewiątym, ale w ciągu ostatnich lat Attyk wykształcił własną więź z legionistami; rozumiał i akceptował nierozzerwalną relację między dwiema siłami. Aż nazbyt często narażał swój statek i załogę na niebezpieczeństwa, żeby chronić żołnierzy Rzymu.

*Orcus* pędził dalej, tnąc spokojną wodę taranem – łagodne fale rozdzielały się o nadwodną część jego dziobnicy i mknęły wzdłuż kadłuba, a w jego kilwater natychmiast wpływały kolejne statki. Wśród załogi galery zapadło milczenie i dominującym dźwiękiem stały się uderzenia w bęben. Wiatr szarpał zwiniętym żaglem, a trzeszczenie olinowania i rytmiczne pluski wiosła zastąpiły wykrzykiwane rozkazy. Pościg nie wymagał od załogi niczego poza cierpliwością, gdy wszyscy czekali na zbliżającą się bitwę.

Attyk potarł reling palcami, bezustannie rozglądając się po galerze, wielokrotnie sprawdzając jej trym, dopełniając odruchowej rutyny człowieka, który spędził całe życie na morzu. Septymus stał przy nim nieruchomo

z dłonią na rękojeści miecza i przyglądał się odległym o dwie mile galerom wroga z niewyczerpaną cierpliwością zawodowego żołnierza.

– Zaatakujesz galerę Barkasa? – zapytał centurion, zerkając na Attyka.

– Nie martw się, Septymusie – odpowiedział Grek, nie odrywając wzroku od dwóch zbliżających się flot. – Dopadniemy go.

Centurion kiwnął głową i spojrzał na swoich ludzi stojących na głównym pokładzie. Kiedy zwiążą wroga walką, nie będzie miał żadnej kontroli nad kursem *Orcusa* i musiał liczyć na to, że Attyk zaangażuje jego i legionistów w potyczkę, w ogniu bitwy bowiem to prefekt decydował, które galery staną się celem ataku. Jako żołnierz Septymus był całkowicie przyzwyczajony do tej zależności, ale jako dowódca zdążył nabrać ogromnego szacunku dla umiejętności Attyka. Kiedy floty się zetną, walka szybko przemieni się w bezładną naparzanekę i centurion prowadzący swoich ludzi po rampie abordażowej na pokład okrętu wroga musiał mieć pewność, że czeka na niego bezpieczna droga odwrotu. Przez lata spędzone na walce u boku Attyka Septymus ani razu nie obejrzał się przez ramię.

– Barkasowi nie najlepiej idzie próba ucieczki – zwrócił uwagę, patrząc na cypel za kartagińskimi galerami.

– Nie jestem pewien, czy on usiłuje uciec. – Attyk wypowiedział na głos wątpliwość, której nie potrafił

powstrzymać.

– Kartagińczycy nie są tchórzami – odparł sceptycznym tonem Septymus – ale nie są też głupi. Mamy zbyt wielką przewagę.

– Dlaczego więc nie przyspieszyli ani nie zrobili użytku z wiatru w plecy i nie podnieśli żagli? – zapytał Attyk. – Tylko okręty udające się na bitwę płynęłyby z zebranymi grotżaglami.

Septymus pokręcił głową. Nie miał na to odpowiedzi.

– W każdym razie – odparł, dopiero teraz wkładając hełm – wygląda na to, że czeka nas bitwa.

Attyk kiwnął głową i klepnął przyjaciela w ramię, wiedząc, że centurion nie może się doczekać, aby zmierzyć się z wrogiem. Septymus zszedł z pokładu rufowego i zajął pozycję na czele swoich ludzi na głównym pokładzie. Druzus zsalutował żwawo, po czym wszedł między szeregi; *optio*, tak jak wszyscy ludzie Septymusa, był gotów do walki.

– Nabeul – mruknął pod nosem Hamilkar, *gdy Alissar* minęła maleńką wioskę rybacką. – Połowa drogi już za nami.

Spojrzał na rzymską flotę, teraz znajdującą się dwie mile za nim, od sterburty; ponieważ wciąż podążała kursem zbieżnym z jego własnym, obie floty zmierzały w stronę znajdującego się przed nimi cypla. Poruszamy się zbyt szybko, pomyślał Hamilkar, szacując, że jego okręty dotrą do lądu przed Rzymianami, i natychmiast rozkazał

sternikowi zwolnić do prędkości standardowej. Galery za *Alissar* zbiły się w nieco ciaśniejszą gromadę, kiedy tempo spadło, po czym załogi ponownie rozmieściły statki w idealnej formacji.

Hamilkar przekazał rozkazy dowódcy oddziału płynącemu na tyłach floty, wybierając prostą komendę, żeby uniknąć nieporozumień albo błędów w sygnale. Bitwę, która ich czekała, z pewnością będą musieli toczyć na dwóch frontach i na obu Rzymianie będą mieli przewagę liczebną. Tylko szybkie rozegranie starcia mogło przynieść im zwycięstwo, długa walka bez wątplenia zakończyłaby się porażką.

Hamilkar obrzucił spojrzeniem pokład *Alissar* i ustawionych w luźnych szeregach ludzi, z których wielu dobyło już mieczy w przygotowaniu na bitwę. Dostrzegł wśród nich ślady zdenerwowania – niektórzy ruszali się niespokojnie, inni wlepiali spojrzenie w deski pokładu – i poczuł, że na nowo wzbiera w nim gniew. Przed Eknomos ci sami ludzie staliby prosto przed walką, nieprzerwanie patrząc na wroga, popędzając go w myślach i nie mogąc doczekać się potyczki. Teraz trapiły ich wątpliwości i Hamilkar zdał sobie sprawę, że jego załogantów może z łatwością ogarnąć panika, jeśli walka przestanie toczyć się po ich myśli.

Ponownie spojrzął na morze: linia brzegowa wypełniała całe jego pole widzenia po lewej stronie, rzymska flota rysowała się po prawej, a cypel znajdował się dokładnie przed nim. Jedyłą nadzieją dla Hamilkara

było skłonienie większej rzymskiej floty do wyplątania się ze starcia i ucieczki. Skoncentrował się na wodach tuż za cypel, patrząc na sprzymierzeńca, który mógł umożliwić mu zwycięstwo.

Mamy ich, pomyślał Paulus, triumfalnie waląc pięścią o reling. Jego galery dotrą do cypla przed Kartagińczykami. Zerknął na jednostki płynące na flankach *Concordii* – wcześniejsza formacja straciła zwartość, ponieważ okręty rywalizowały o to, który pierwszy wda się w potyczkę, choć nikt nie śmiał prześcignąć okrętu flagowego. Starszy konsul poczuł nowy przyływ dumy na widok tej demonstracji pewności siebie i wykrzyknął rozkaz do przyspieszenia, gnając swoją flotę do jeszcze większej szybkości. Przebiegła go fala ekscytacji na myśl o bitwie.

Sternik dokonał niewielkich korekt kursu *Concordii*, nakierowując kwinkweremę tuż za cypel, co dawało flocie miejsce na skręcenie w stronę miejsca potyczki i czołowe natarcie na Kartagińczyków. To pozwalało Rzymianom na zrobienie użytku ze śmiercionośnych kruków; legioniści na wszystkich galerach już zajmowali pozycje za rampami do abordażu. Wielu z nich szeptało modlitwy do Marsa, boga wojny, aby dodał im sił w potyczce. Paulus wraz z młodszym konsulem u boku stał niewzruszenie na pokładzie rufowym, aby zademonstrować swoje opanowanie oraz niezłomną odwagę w obliczu bitwy. Cypel znajdował się za ledwie

milę od nich i przeciwnik był już w pułapce.

Coś jest nie w porządku, pomyślał Attyk, a intuicja podpowiedziała mu, że coś się zmieniło, zanim udało mu się to potwierdzić. Zwrócił wzrok w stronę odstępu dzielącego *Orcusa* od kartagińskiej formacji.

– Gajuszu! – zawołał, odwracając się do sternika.

– Widzę – odparł sternik, też wlepiając wzrok w morze przed nimi. – Doganiamy ich.

Attyk zorientował się, że Kartagińczycy zwalniają, i instynkt nakazał mu najwyższą czujność. Zaczął się rozglądać gorączkowo dookoła, usiłując pojąć przyczynę tego, co się działo. Podeszedł do steru, zwracając uwagę na miarowe uderzenia bębna dobiegające spod pokładu w niezmiennym tempie, które narzucało prędkość bojową.

– Baro, potwierdź naszą prędkość – rozkazał Attyk, a zastępca potwierdził przyjęcie komendy, wołając, żeby przygotowano znacznik na pokładzie dziobowym. Pobiegnął na rufę i dał sygnał, aby opuszczono znacznik do wody, po czym zaczął odliczać, aż minął on jego pozycję. Potem Baro milczał jeszcze przez chwilę, dokonując obliczeń.

– Nieco ponad osiem węzłów, prefekcie – powiedział. Prędkość bojowa.

– Może coś w wodzie przed nami, jakaś przeszkoda?  
– zasugerował Gajusz.

Attyk pokręcił głową. Woda była spokojna, a jedynym zakłóceniem jej powierzchni były kilwatery kartagińskich galer.



– Barkas chce, żeby nasze galery pierwsze dotarły do cypla – Attyk wypowiedział na głos jedyny wniosek, który był w stanie wyciągnąć.

– I nasze galery właśnie to zrobią – odparł Gajusz, czując taki sam niepokój jak jego dowódca.

– Baro – odezwał się Attyk – musimy spróbować nadać sygnał...

– Kartagińska formacja skręca! – krzyknął ze szczytu masztu Korin i wszyscy natychmiast spojrzeli przed siebie. – Straż tylna skręca, aby zaatakować.

Dwadzieścia pięć galer zawróciło zwawo z tyłów sił wroga i zaczęło oddalać się od brzegu, mknąc na otwarte wody. Okręty wykonały zwrot w straszliwym tempie i zaczęły nabierać szybkości, w mgnieniu oka przeobrażając się z umykających ofiar w zażartych myśliwych. Mijały cenne sekundy, kiedy Attyk przyglądał się, jak tylna straż wroga tworzy formację.

– Jakie rozkazy, prefekcie? – zapytał Baro z napięciem w głosie, czekając na komendę, aby oddział uformował szyk bojowy, który stawiłby czoło zagrożeniu.

Attyk zignorował to żądanie. Spojrzał na główną część kartagińskiej formacji, płynącej cały czas w tym samym kierunku; statki wroga zasłaniały teraz awangardę rzymskiej floty, która przecięła ich kurs.

– Czy mam rozkazać utworzyć szyk, prefekcie? – dopytywał się Baro, zerkając na Gajusza. Zobaczył, że sternik już zaparł się nogami w przygotowaniu na rozkaz i ściska rumpel pobielającymi palcami.

Attyk rzucił okiem na nadciągające z ukosa statki wroga, gotowe rozplatać sztyk jego galer. Na ich pokładach dziobowych tłoczyli się kartagińscy wojownicy, których okrzyki bojowe z każdą chwilą rozbrzmiewały coraz głośniej. Doświadczenie nakazywało Attykowi wydać oddziałowi komendę zaangażowania się w walkę, ale konieczne słowa nie chciały mu przejść przez gardło, powstrzymywane jakimś głębszym instynktem. Przeniósł wzrok na cypel, gdzie dwie główne floty miały się zetrzeć, miejsce, gdzie odniosą zwycięstwo lub porażkę, które Hamilkar Barkas wybrał na to, aby stoczyć bój.

Paulus zatoczył się do przodu, kiedy *Concordia* wyhamowała gwałtownie. Pokład zaczął nagle rozbrzmiewać gorączkowymi rozkazami i okrzykami niepokoju: galera wytraciła rozpęd, a ruch jej dwustu czterdziestu wioseł stracił rytm. Zaledwie chwilę wcześniej awangarda floty dotarła do cypla – Kartagińczyków dzieliło od jego czubka jeszcze jakieś dwieście kroków. Morze przed *Concordią* rozciągało się daleko na zachód, a linia brzegowa tworzyła ostry czubek półwyspu. Starszy konsul wyciągnął rękę i chwycił reling na burcie, w osłupieniu przyglądając się, jak zwarta formacja pobliskich galer się rozpada.

– Co się dzieje? – ryknął, okręcając się na pięcie i szukając wzrokiem kapitana. Dostrzegł go przy rumplu, wykrzykującego rozkazy pod adresem swojej załogi.

Mężczyzna spojrział na konsula.

– Prąd pływu! – odkrzyknął z frustracją. – Opływa przylądek, ma co najmniej cztery węzły.

*Concordia* wpłynęła już na wody nieosłonięte krzywizną cypla. Kiedy kwinkwerema zaczęła poruszać się stabilniej, kapitan nakierował jej dziób prosto na bieg prądu; jej prędkość zmniejszyła się z powodu siły odpływu, lecz przynajmniej znów miał ją pod kontrolą. Paulus zerknął na siły wroga: kartagińskie galery szybko zbliżały się do jego lewej flanki.

– Kapitanie, zwrot. Rozkaż flocie skrócić w stronę wroga! – krzyknął.

– Nie możemy – odparł kapitan i zanim Paulus zdążył się odciąć, rozległ się ogłuszający trzask: dwie rzymskie galery zderzyły się. Wcześniej jedna z nich odwróciła się burtą do biegu prądu, aby stawić czoło nieprzyjacielowi, a siła odpływu zepchnęła ją z pozycji i cisnęła o sąsiadkę.

– Nie możemy utworzyć szyku w tym prądzie – odkrzyknął kapitan, też zerkając w stronę nadciągających galer Punijczyków. *Concordia* była zwrócona burtą w stronę ich taranów, a silny prąd napierał na ster, unieruchamiając go.

Paulus stał oniemiały, skoncentrowany na zbliżających się galerach wroga. Powietrze dookoła rozbrzmiewało rozkazami niosącymi się ze statków otaczających *Concordię*, a w każdym głosie słychać było cień paniki. Załogi próbowały uniknąć zderzenia, odwracając się w stronę wroga, ale galery wikłały się

tylko w coraz większe tarapaty, a wszelka kontrola nad nimi przepadła.

– Prędkość do taranowania! – ryknął Hamilkar, gdy sternik *Alissar* nakierował ją na ostateczny kurs.

Dziób kwinkweremy wycelowany był teraz nieco na ukos od śródkręcia rzymskiej galery. Załoga statku nieprzyjaciela wahała się między zderzeniem z inną jednostką z ich floty i kartagińskim taranem, co przypieczętowało jej los. *Alissar* przyspieszyła do czternastu węzłów, a dwumetrowy, tępo zakończony taran z brązu mknął pod powierzchnią wody, ponieważ rozpęd jednostki popychał jej kadłub w dół.

Sternik dokonał ostatecznej korekty trymu statku, a Hamilkar przyglądał się tej demonstracji umiejętności żeglarskich niemal z podziwem. Żeglarz zrobił użytek z nagłego naporu prądu na kadłub *Alissar*, który pojawił się, gdy wypłynęła z za cypla, aby naprostować kurs galery i poprawić kąt ataku; sprawił, że żywioły działały na jego korzyść, podczas gdy Rzymianie w ogóle nie potrafili sobie poradzić w takich samych warunkach.

Pięćdziesiąt kroków w mgnieniu oka zmieniło się w dziesięć i Hamilkar przygotował się na zderzenie, siłą woli popędzając *Alissar* i nasycając jej szarżę siłą własnej wrogości. *Alissar* uderzyła o rzymską galerę nieco poniżej linii wody, taran roztrzaskał zahartowaną dębinę jednym ciosem, a nieustępliwy rozpęd kwinkweremy wbił jego czubek głęboko w pokład dla niewolników, miażdżąc

kości i drewno. Krzyki umierających ludzi mieszały się ze skrzypieniem drewna, a woda morska zaczęła wlewać się strumieniem do kadłuba rzymskiego statku, topiąc skazane na zagładę istnienia przykute do wiosel.

Hamilkar ryczał triumfalnie wraz ze swoją załogą. Instykt bojowy podpowiadał mu, aby wysłał ludzi ponad relingiem na pokład rzymskiej galery, żeby wymordowali jej załogę, ale powściągnął tę pokusę, wiedząc, że musi zachować inicjatywę, jeśli ma wygrać z rzymską awangardą.

– Cała wstecz – rozkazał i wioślarze *Alissar* zabrali się do roboty.

Taran wycofał się niechętnie, hamowany rozłupanym kadłubem rzymskiej jednostki. Podczas krótkiej chwili kontaktu *Alissar* dryfowała z prądem, ale sternik ponownie wykorzystał jego siłę do obrócenia kadłuba, czerpiąc z umiejętności udoskonalonych przez całe pokolenia. Galera odwróciła się zwawo od rzymskiego szyku, aby wycofać się za cypel, po czym skręciła ponownie, aby wrócić do potyczki. Wioślarze *Alissar* znów nadali jej prędkość ofensywną, a Hamilkar zaczął szukać kolejnej ofiary, przesuwając wzrokiem po natarciu.

Rzymska awangarda była pogrążona w chaosie, nie mogąc utworzyć szyku z powodu nieprzyjaznego prądu, a jednostki Hamilkara taranowały ją właściwie bezkarnie. Rzymianom udało się użyć ramp abordażowych tylko na kilku nieuważnych galerach, ale ich odosobniony opór był bezskuteczny wobec impetu kartagińskiego natarcia.

Hamilkar szybko ocenił sytuację, zerkając na cztery strony świata. Widoczna za awangardą większa część floty wroga jeszcze nie zaangażowała się w potyczkę – sporo statków znajdowało się wciąż za cyplem – lecz uformowana była w zwarty szereg obronny, którego kartagińskie galery nie byłyby w stanie pokonać. Jak na razie przybycie głównej części rzymskiej floty było opóźnione, ponieważ przez zamieszanie szalejące w awangardzie nie miała ona miejsca na natarcie. Hamilkar wiedział, że chwila wytchnienia będzie krótka, i ponownie skoncentrował się na czekającej go bitwie.

– Dwa rumby na sterburtę – rozkazał i *Alissar* poruszyła się zwinnie pod jego stopami, gdy sternik skorygował kurs, ponownie równoważąc wpływ prądu i nakierowując taran na cel.

Czując, że jego serce bije w zgodzie z dobiegającym spod pokładu rytmem bębna, Hamilkar znów się zaparł, omiatając wzrokiem bitewny chaos, w którym ponad sto rzymskich galer walczyło o przetrwanie. Spojrzał na okręt wroga tuż przed sobą: na głównym pokładzie tłoczyli się legionieści, zasłaniając się tarczami i wykrzykując coś wyzywająco i buntowniczo. Hamilkar zacisnął dłonie w pięści, przyglądając się, jak odstęp między statkami spada do pięćdziesięciu kroków, po czym dał rozkaz do rozwinięcia prędkości do taranowania. Nadszedł czas zachwiać ich odwagą.

Po wodzie wyraźnie niosły się odgłosy bitwy,

zderzenia galer, okrzyki agonii i triumfujące wiwaty. Rozkazy nawołujące do rzezi wydawane ludziom walczącym o zwycięstwo konkurowały z komendami stawienia oporu, gdy inni walczyli o przetrwanie. Odgłosy te opływały załogę *Orcusa* oraz Attyka, który w milczeniu przyglądał się, jak rzymska awangarda się rozpada, a zarazem dotarło do niego, że od flanki nadciąga niebezpieczeństwo. Jeszcze tylko jego oddział nie zaangażował się w walkę i tylna straż Kartagińczyków była gotowa odebrać mu tę wolność, co stanowiłoby dopełnienie strategii, która dałaby im pełną kontrolę nad sytuacją.

Attyk odwrócił się do swojej załogi.

- Prędkość ofensywna – rozkazał, patrząc na Gajusza.
- Utrzymaj kurs.

Sternik pokiwał ponuro głową i zerknął najpierw na kartagińską galerę nadciągającą od sterburty, a potem na cypel leżący przed nimi.

– Ależ straż tylna, prefekcie – zaprotestował Baro. Okręty nieprzyjaciela znajdowały się teraz niecałe sto kroków od nich. – Musimy dołączyć do ich natarcia.

– Nie – odparł gniewnie Attyk. – Walczymy na własnych warunkach. Zostajemy na kursie i płyniemy za główną częścią kartagińskiej floty. Sygnał do prawej flanki. Przekaż im, że mają odwracać się tylko w stronę tych galer, które wybiorą je na cel bezpośredniego ataku.

Baro kiwnął głową i wydał rozkazy, ale trudno było mu pogodzić tę decyzję z własnym instynktem: wiedział,

że strat, jakie poniesie oddział, można byłoby uniknąć, gdyby cała flota zaatakowała tylną straż Kartagińczyków. Już chciał ponownie zaprotestować, ale ugryzł się w język. Grek z pewnością nie ustąpi.

Na galerze nie było wielu tajemnic i Baro zdawał sobie sprawę, jak prefekt współpracował z Lucjuszem – prosił starszego mężczyznę o radę, ale zawsze sam podejmował decyzje. Mimo awansu Baro nie był w stanie przyjąć roli, którą pełnił jego poprzednik. Wcześniej wraz z resztą załogi przyjmował rozkazy od Lucjusza, a zwyczajowa hierarchia władzy na galerze chroniła go przed kontaktami z Grekiem. Teraz kontaktował się z prefektem osobiście. Nie potrafił znieść tego, że jest bezpośrednim podwładnym człowieka, który nie był Rzymianinem, I przyglądając się, jak oddział kartagińskich galer zbliża się do ich flanki, poczuł, jak w jego trzewiach budzi się wąż nienawiści.

Na chóralny wrzask bojowy Attyk zerknął przez ramię; patrzył z obawą, jak kartagińska straż tylna rozwija prędkość do taranowania. *Orcus* i wiele galer na czele były już poza jej zasięgiem – to, że niespodziewanie zostały na swoim kursie i przyspieszyły do prędkości ofensywnej, pozbawiło Kartagińczyków czasu i miejsca na reakcję – ale dla większości oddziału Attyka nie mogło być ratunku.

Pierwszy zagrożony był *Auster*: jego pozycja na zewnętrznej stronie prawej flanki ściągnęła na niego tarany dwóch galer. Okręt zwrócił się w stronę ataku i



jego dziób gruchnął z ukosa w pierwszą kartagińską galerę, podczas gdy druga skręciła ostro, aby uderzyć go w kadłub od rufy, łamiąc jego wiosła. Taran rozorał belki pasa poszycia, ale nie udało mu się ich przebić. Punicka załoga wyrzuciła w powietrze chmurę haków, aby utrzymać rzymską galerę w miejscu. *Auster* opuścił kruka na pokład pierwszego statku i rampą popłynęli legionieści, ale jednocześnie Kartagińczycy z drugiej jednostki dostali się na pokład rufowy. Zmiotli z pokładu dowódców, po czym przypuścili szarżę na tylną straż legionistów, i choć załoga *Austera* walczyła dalej, jego los już był przesądzony.

Osiem innych galer było zmuszonych podążać kursem *Austera*, a dwie zareagowały zbyt wolno; kartagińskie tarany bez trudu przebiły ich kadłuby pod linią wody, a potem natychmiast się wycofały, zostawiając wszystkich na łaskę bezlitosnego morza. Attyk poczuł w gardle żółć, a gniew i wstyd niemal go obezwładniły. W oczach swojego zastępcy widział to samo rozdarcie, chęć porzucenia kursu i udania się na pomoc towarzyszom. Odwrócił się plecami do oddziału i skoncentrował się na wodach przed sobą, a jego gniew jeszcze się wyostrzył.

Główna część kartagińskiej floty, wykonująca manewry po zawietrznej stronie cypla, znajdowała się dokładnie przed nimi, a dalej – w kleszczach prądu morskiego – rysowały się pogrążone w chaosie pozostałości rzymskiej awangardy. Jej flanką wciąż była

wystawiona na śmiertelne natarcia nieprzyjaciela.

– Na mój rozkaz prędkość do taranowania – powiedział Attyk cichym, twardym głosem.

Gajusz nie odpowiedział; morze i wróg wymuszali ich atak z tego punktu. Attyk zerknął przez ramię na pozostałe galery swojego oddziału, szybko tworzące formację za płynącym na czele *Orcusem*, który przeobrażał się w ostrze topora gotowego do uderzenia w tyły wroga.

– Musimy się wycofać! – Nobilior przekrzyczał wrzawę bitewną, rozglądając się na wszystkie strony. Jego twarz była zaplamiona krwią, miecz trzymał luźno u boku.

Paulus spojrział na główny pokład *Concordii*. Był usiany martwymi Rzymianami i Kartagińczykami, a ich krew wsiąkała w belki. Ledwie kilka kroków dalej kartagińska galera, która zaatakowała okręt flagowy, płonęła już żywym ogniem, a spod jej pokładu słychać było straszliwe krzyki uwięzionych wioślarzy.

Paulus zamknął oczy, usiłując się skoncentrować. Wszystko działo się zbyt szybko: wróg otoczył chmurą jego rozbitą formację, jego własna galera ledwie uniknęła śmiertelnego ciosu taranem, a zaledwie po chwili oddechu nieprzyjaciel wdarł się na pokład ponad relingiem i walka na pokładzie *Concordii* przerodziła się w brutalną jatkę, którą Rzymianie wygrali ogromnym kosztem.

Chaotyczny szyk bojowy otaczający Paulusa stanowił płataninę roztrzaskanych i tonących galer. W wodzie

pełno było rozbitków trzymających się kurczowo szczątków okrętów, a wciąż toczący bój ludzie ignorowali ich krzyki. Z każdej strony dobiegał szczęk żelaza, gdy ludzie walczyli o pokłady pod swoimi stopami; Kartagińczycy dostawali się na statki od burt, a Rzymianie atakowali za pomocą kruków, ale ich nieliczne zwycięstwa gubiły się w pędzie bitwy.

– Nie możemy utrzymać pozycji – powiedział Nobilior, chwytając starszego konsula za ramię, gdyż niecierpliwie wyczekiwał jego reakcji. – Musimy się natychmiast wycofać.

Słowa te dotarły do Paulusa, a każde z nich było ciosem dla jego honoru. Poza szykiem bojowym większa część floty była nietknięta: potężna siła nie była w stanie rozmieścić statków z powodu prądu, a los, jaki spotkał awangardę, spowolnił jej natarcie. Tymczasem wszędzie dookoła kartagiński atak trwał z niepohamowanym impetem, a Rzymianie nie byli w stanie odzyskać sił po początkowym zamęcie w szykach. Paulus zdał sobie sprawę, że młodszy konsul ma rację. Dopóki Kartagińczycy mieli inicjatywę, awangarda nie była w stanie utrzymać pozycji.

*Alissar* minęła rzymską galerę z prędkością czternastu węzłów, po czym nadwodna część jej dziobnicy uderzyła o wyciągnięte wiosła okrętu wroga i złamała je, a pęknięte kikuty drzewc zaczęły się dziko huścić w dulkach, zabijając i kalecząc wiosłarzy. Hamilkar natychmiast

rozkazał sternikowi się oddalić i wiosła po lewej burcie *Alissar* ponownie się wysunęły, aby kwinkwerema mogła wyminąć unieruchomioną rzymską galerę. Hamilkar obejrzał się przez ramię na zniszczenie, które poczyniła jego galera.

Rzymski okręt skręcił niespodziewanie, desperacko usiłując uniknąć tarana *Alissar*, ale wprawna załoga kartagińskiej galery zareagowała natychmiast i zmieniła kurs natarcia tak, aby zaatakować lewą burtę statku wroga. Hamilkar uśmiechnął się zimno, kiedy sternik zawrócił, nie czekając na rozkaz, i nakierował *Alissar* tak, aby móc wykonać kolejny manewr taranujący.

Hamilkar czuł, że rzymska awangarda jest niestabilna. Załoga okaleczonej galery, którą *Alissar* miała na celu, nie wykazywała nawet cienia waleczności, której Hamilkar był wcześniej świadkiem. Rzymianie zdali sobie sprawę, że nie będą mieli szansy stawiać oporu, a – za szykiem bojowym – nietknięte na razie galery wroga nie ustawiały się już w formacji ofensywnej, kapryśnymi manewrami dając świadectwo swojego wahania.

Hamilkar spojrzął na Himilkona i w jego postawie oraz wyrazie twarzy zobaczył wyczekiwanie, które sam czuł. Kiwnął kapitanowi głową, przekazując mu honor wydania rozkazu, który oznaczał dla wroga wyrok śmierci, a Himilko odwzajemnił gest z wdzięcznością i odwrócił się do sternika:

– Prędkość do taranowania.

Załoga na pokładzie rufowym przywitała komendę

wiwatami, a *Alissar* popędziła przed siebie, jakby uwolniona z kotwicy. Hamilkar popatrzył na uszkodzoną galerę wroga, odległą o ledwie pięćdziesiąt kroków, i przesunął wzrokiem po twarzach wszystkich Rzymian po kolei.

Nagły ostrzegawczy okrzyk wyrwał go z tego transu, a sygnał obserwatora ze szczytu masztu szybko podjęły kartagińskie galery najbliższe *Alissar*. Hamilkar obrócił się twarzą do cypla na lewej flance i natychmiast dostrzegł zagrożenie. Jego usta najpierw rozchyliły się ze zdumienia, a potem wykrzywiły powoli w grymas gniewu.

Formacja grota płynąca za *Orcusem* rozciągnęła się, podpływając do szyku bojowego – statki wypłynęły z kilwaterów okrętów znajdujących się przed nimi, żeby dać sobie więcej miejsca. Attyk stał przy sterze, nieustannie wydając rozkazy sygnalistom, którzy przekazywali jego dyspozycje reszcie oddziału. Zdyscyplinowane załogi reagowały pospiesznie, podczas gdy Gajusz przygotowywał *Orcusa* do natarcia.

Attyk przyglądał się reakcji płynących najbliżej kartagińskich galer. Niezaangażowane w walkę natychmiast zwróciły się w stronę ataku, a te, które już się rozpędzały, aby staranować swoje ofiary, zostały na kursie. Obejrzał się na swoje flanki, świadom, że ma do dyspozycji ograniczoną liczbę galer. Zwarty szyk bojowy najlepiej pasował do rzymskiej taktyki: atak czołowy

dawał okrętom największą szansę na zrobienie użytku z kruków, natomiast otwarte morze sprzyjało Kartagińczykom – potrzebowali wolnej przestrzeni do taranowania. Ponieważ bitwa tocząca się przed nimi była całkowicie chaotyczna, Attyk wiedział, że jego szyk nie może zaatakować jednocześnie i że może mieć tylko nadzieję na to, iż jego oddział przypuści pierwsze natarcie z dość dużym impetem, aby przełamać kontrolę Kartagińczyków nad awangardą.

*Orcus* prześlizgnął się po falach w stronę szyku bojowego, a jego taran przebijał się przez grzbiety fal wraz z każdym ruchem dwustu siedemdziesięciu wiosł, które jednocześnie pokonywały łuk, po czym razem uderzały o wodę. Potem wiosłarze ciągnęli jak jeden mąż, a rytm bębna rozbrzmiewał w myślach wszystkich, kontrolując każdy ruch.

Attyk wybrał cel, Gajusz kiwnął głową, po czym wysłano sygnały do galer płynących najbliżej *Orcusa*. Dowódcy w szyku wykorzystali tę jedyną okazję, aby skoordynować swoje ataki, ponieważ wiedzieli, że po pierwszym natarciu zapanuje chaos. Gajusz przesunął nieco rumpel i dziób *Orcusa* skrzył o dwa rumby. Załoga kartagińskiej galery naprzeciwko dostrzegła zmianę kursu i szybko zareagowała na to wyzwanie, ale i tak była zmuszona do czołowego zderzenia się z Rzymianami.

Attyk posłał gońca do Septymusa i patrzył, jak załogant przekazuje centurionowi jego decyzję, a ten kiwa głową, ani na chwilę nie odwracając się od wroga. Nie

było już odwrotu i Attyk poczuł, że zrzuca z ramion ciężar dowodzenia oddziałem. W nadciągającej bitwie znów będzie kapitanem, odpowiedzialnym wyłącznie za *Orcusa*, a rezultat potyczki był już tylko w rękach bogów.

Septymus oddychał głęboko, a ciepłe, suche powietrze nie przynosiło żadnej ulgi w skwarze. Stał po prawej stronie uniesionego kruka, a całe jego pole widzenia wypełniała kartagińska galera przed *Orcusem*. Ludzie za nim stali w milczeniu; Septymus niemal czuł na plecach ich oddechy, pełne wrogości dyszenie, które świadczyło o żądzy walki.

Odstęp między jednostkami spadł do pięćdziesięciu kroków i Septymus zaparł się nogami, aby nie stracić równowagi na kołyszącym się pokładzie, gdy dwaj sternicy walczyli o jak najlepszy tor ataku. W kruka wbiła się strzała, potem następna – łucznicy wroga znaleźli się już w zasięgu – i Septymus obejrzał się przez ramię.

– Tarcze w górę – rozkazał cichym, ostrym głosem.

Jego ludzie stali tak blisko, że komendę słyszeć było nawet w tylnych szeregach. Legioniści podnieśli swoje *scuta* do podbródków na mgnienie oka przed tym, jak o pokład dziobowy uderzyła pierwsza salwa pocisków, których żelazne groty wbiły się głęboko w skórzane osłony tarcz. Septymus poczuł, jak strzały wałę o jego *scutum* – ze względu na swój wzrost i pozycję na czele oddziału stanowił oczywisty cel – zamrugał mocno, żeby oczyścić oczy z potu, po czym oszacował odległość

dzielącą galery, czekając na właściwy moment do kontrataku. Powoli narastało w nim pragnienie mordy. Jeden z legionistów krzyknął z bólu, co tylko podsycało furję Septymusa; znów odetchnął głęboko, nie spuszczać oka z nieprzyjaciela. Okrzyki bojowe Kartagińczyków słyhać było wyraźnie na pokładzie dziobowym *Orcusa*.

– Przygotować się! – wrzasnął.

*Hastati* odsunęli tarcze w bok, aby zmienić pozycję, i unieśli włócznie, których groty drżały nieco od powstrzymanej energii. Septymus przetrzymał ich, aż odstęp między statkami spadł do trzydziestu kroków.

– Atak!

*Hastati* ryknęli jednym głosem, ciskając włóczniami w stronę wroga. Ten śmiercionośny grad pomknął w górę i nad wodą, gdzie – jak się wydawało – znieruchomiał na mgnienie oka, po czym opadając, przyspieszył i walił o zatłoczony pokład dziobowy kartagińskiej galery. Natarcie poczyniło największe szkody wśród nieosłoniętych łuczników.

Septymus cofnął się, żeby stanąć nad krukiem. Powoli dobył miecza, którego klinga wysunęła się gładko z pochwy, a jego ludzie instynktownie podeszli do przodu. Od szarży dzieliło ich ledwie kilka chwil, a ich zdyscyplinowane milczenie stanowiło jedynie maskę.

– Spokojnie, chłopcy – warknął Septymus i zerknął przez ramię na swojego zastępcę. – Druzusie, Kartagińczycy są głównie na pokładzie dziobowym.



Formacja klina.

– Tak jest, centurionie – odparł *optio*, uderzając pięścią o napierśnik.

Septymus kiwnął głową, jak zawsze zwracając uwagę na nieprzeniknioną minę zastępcy.

Septymus nie widział już twarzy przeciwników, ale słyszał ich zajadłe okrzyki bojowe. Pochylił się do przodu, gotów do ataku, a bliskość wroga sprawiła, że myślał już tylko o życiu swoich ludzi i czekającej ich bitwie. Galery zderzyły się z ogłuszającym trzaskiem, wystawiając na próbę poczucie równowagi każdego legionisty, a Septymus szybko krzyknął, że potrzebne są haki. Załoga *Orcusa* przerzuciła liny na pokład okrętu wroga.

– Opuścić kruka! – krzyknął Septymus.

Jego ludzie ryknęli bojowo, w końcu dając upust swojej agresji. Jak jeden mąż rzucili się za dowódcą, wdzierając się na rampę, zanim jeszcze dotknęła pokładu.

*Corvus* opadł niczym młot Wulkana, zadając pokładowi dziobowemu wroga straszliwy cios i miażdżąc ludzi. Półmetrowe żelazne kolce wgryzły się w zahartowane belki, szczepiając galery ze sobą. Septymus naparł całym ciężarem ciała na tarczę i przebiegł po rampie, dopiero teraz dostrzegając twarze pojedynczych Punijczyków, wykrzywione wojowniczo, z ustami otwartymi w buntowniczym okrzyku.

Centurion poprowadził swoich ludzi na drugą stronę bez zatrzymywania się, z takim impetem, że klin z Septymusem na czele wbił się głęboko w szeregi wroga.

Kartagińczycy próbowali odeprzeć ten atak, ale nogi wyćwiczone w niezliczonych marszach powstrzymały ich i rzymski szyk zwarł się za zachodzącymi na siebie tarczami.

– Dać im żelaza! – ryknął Septymus, a jego ludzie przyjęli tę komendę wrzaskiem prosto z trzewi.

Rzymska formacja przesunęła się nieco do przodu, legionieści wypychali tarcze przed siebie i wysuwali miecze przez szpary w ścianie tarcz, zadając ciosy ludziom, których nie widzieli. Wyuczeni w ciągu wielu lat musztry zadawali śmiertelne ciosy w krocze i brzuch, a pokład pod ich stopami był przesiąknięty krwią.

– Flanki, naprzód!

Legionieści znów ryknęli i rzymski szyk zaczął się wyprostowywać, zajmując zakrwawiony pokład okrętu wroga kawałek po kawałku. Rzymianie nie okazywali żadnej litości, a Kartagińczycy o nią nie prosili.

Napór na ścianę tarcz zaczął rosnać, gdy w obronę Kartagińczyków wkradła się desperacja. Septymus odpowiedział tym samym; mięśnie jego prawego ramienia paliły ze zmęczenia, lewe ramię było odrętwiałe od niezliczonych ciosów, które przyjął na tarczę. Furia obrony wroga osiągnęła kulminację, gdy rzymski szyk zbliżył się do skraju pokładu dziobowego. Septymus zerknął w bok, z niepokojem dostrzegając, że ściana tarcz nie jest już prosta: nierówny rozkład naporu nadwreżył formację. Zawołał Druzusa, a *optio* wyszedł z przedniego szeregu i szybko wysłał ludzi z tyłów do najsłabszego

fragmentu szyku, aby go wyrównali.

Septymus parł dalej, niemal zaślepiony furją, a gdy ciął mieczem przed sobą, przez myśl przebiegły mu twarze ludzi z Dziewiątego legionu. Klinga napotkała opór, ale Septymus pchnął nią jeszcze mocniej, przekręcił i wycofał w przygotowaniu na kolejny cios.

Kartagińczycy się cofnęli: w obliczu nieustępliwego natarcia rzymskiego szyku w końcu opuściła ich odwaga. Septymus natychmiast krzykiem nakazał swoim ludziom się zatrzymać, wiedząc, że instynkt nakazuje im pobiec za uciekającym wrogiem. Kartagińczycy nie zostali pokonani i przegrupują się, prawie na pewno pod pokładem, i jeśli legioniści bezładnie podążą ich śladem, zostaną wymordowani. Septymus obejrzał się na pokład dziobowy za sobą, a żądza walki powoli zaczęła dopuszczać do głosu jego zmysły – nagle poczuł przemożny odór krwi oraz zawartości opróżnionych jelit i zaczął odruchowo liczyć zabitych.

Spojrzał dalej, na *Orcusa*, i na jego pokładzie rufowym dostrzegł Attyka, który nadawał mu ustalony sygnał do odwrotu. Septymus zaczął działać bez wahania i rozkazał swoim ludziom podpalić pokład galery nieprzyjaciela, podczas gdy inni mieli pomóc rannym wrócić po kuku. Septymus jako ostatni przeciął pokład, o który jego ludzie tak desperacko walczyli. Dym wznoszący się z podpalonych desek już zaczął maskować smród bitwy.

Centurion przeszedł po kuku i rozkazał, aby go

podniesiono, a gdy *Orcus* odpływał, stał nieruchomo, obserwując ogień, który dotarł już na dziób punickiej galery. Jej załoga ponownie pojawiła się na pokładzie i krzyki przerażenia odbijały się echem od spowijającego ją gęstego kłębu dymu, lecz Septymus ignorował je i w milczeniu przyglądał się, jak ogień dopełnia kremacji jego zabitych żołnierzy. Dopiero gdy *Orcus* zakończył zwrot w stronę otwartego morza, centurion odwrócił się i przeszedł na pokład rufowy, na powrót chowając miecz w pochwie.

Okręt przyspieszył do prędkości do taranowania i Attyk nakazał niewielką zmianę kursu, gdy następna kartagińska galera próbowała odwrócić się od czołowego ataku: nieprzyjaciel zaczął tracić pewność siebie, gdy jego tyły przestały sobie radzić w bitwie. Gajusz oparł się o rumpel, kadłub *Orcusa* mknął po wodzie, a cała potęga jednostki skoncentrowana była w tępym czubku jej tarana.

Załoga okrętu ryknęła, spontanicznie dając upust swojej żądzy walki i mściwie żądając zadośćuczynienia za kartagiński atak oraz utratę towarzyszy. Attyk pozwolił im krzyczeć, zdając sobie sprawę, że ludzie potrzebują możliwości zemszczenia się. *Corvus* był bronią legionistów, urządzeniem, które oddalało marynarzy od potyczki, ale taran należał do nich, i to za jego sprawą załoga *Orcusa* miała siać śmierć wśród Kartagińczyków.

Hamilkar wrzasnął z frustracją, patrząc, jak obronna linia na tyłach jego formacji całkowicie się rozpada; wiele z jego galer odwracało się od potyczki i bezmyślnie

uciekało z prądem, na wschód, co prowadziło je prosto w stronę głównej części rzymskiej floty, która wyłapywała wszystkie niczym sieć. Zaczął wykrzykiwać rozkazy pod adresem sygnalistów, a oni przekazali je flocie, próbując zahamować odwrót, ale zareagowały na nie tylko galery płynące najbliżej *Alissar*, uspokojone nieco bliskością statku dowództwa.

Hamilkar rozkazał sternikowi skrócić na północny zachód, *aby Alissar* przecięła poprzednią linię boju. Podążała za nią ledwie garstka kartagińskich galer, więc grupa nie zwróciła na siebie uwagi w bitewnym zamęcie. Barkas przeszedł na bakburtę i przyglądał się unicestwieniu swojej floty, ściskając gniewnie reling; jego wcześniejszy plan umocnienia kruchego morale załóg zakończył się katastrofą.

Jego uwagę przyciągnęła samotna galera. Nagle wrócił biegiem na rufę i odepchnął sternika, aby samemu chwycić rumpel. Ponownie spojrzął na rzymską galere, odległą o ponad półtorej mili: wyraźnie było widać jej bandery, gdy powoli wysuwała taran z unieruchomionego okrętu. Ramię Hamilkara przebiegł impuls energii i męczyzna ścisnął rumpel mocniej, aż zaczęły mu drżeć mięśnie. Instynkt nakazywał mu skrócić, a w jego umyśle szalał konflikt.

Od momentu, gdy zaatakowano tyły jego floty, Hamilkar wiedział, kto dowodzi natarciem, kierunek ataku bowiem wykluczał inne możliwości. Wysłał tylną straż, aby dopadła oddział Greka, ale Perennis najwyraźniej nie

połknął przynęty i ją wyminął, co kosztowało Hamilkara zwycięstwo w tej potyczce. Zapomniał o tym spostrzeżeniu podczas gorączkowych chwil spędzonych na próbach przegrupowania floty, ale teraz – kiedy miał okręt Greka w zasięgu wzroku – przypomniał je sobie.

Zdał sobie sprawę, że wciąż ściska rumpel, i to tak mocno, że zdrętwiały mu palce. Od Greka dzieliło go półtorej mili, a morze między nimi roiło się od nacierających Rzymian. Z krzykiem gniewu oderwał dłoń od steru i sfrustrowany przeciął pokład, aby stanąć przy relingu na burcie.

Ponieważ Rzymianie mieli sporą przewagę liczebną, Hamilkar ani przez chwilę nie liczył na to, że ich pokona, a jednak gdyby Kartagińczykom udało się przechytrzyć ich awangardę, a potem wycofać się z zachowaniem szyku, byłoby to zwycięstwo samo w sobie. Grek mu je odebrał i teraz pozostawał mu jedynie haniebny odwrót.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Attyk siedział na rufie łódki, która manewrowała po zatłoczonym porcie w Aspis, a upał i łagodne fale pogłębiały jego zmęczenie. Przyglądał się, jak wioślarze lawirują między okrętami *classis Romana*. W ciągu dwóch dób, które upłynęły od bitwy u Przylądka Hermajskiego, prawie nie spał – obowiązki właściwe jego randze były zbyt liczne – i jego umysł wciąż jeszcze był niespokojny; trapił go nieznany los dwóch jego galer.

Attyk przypomniał sobie ich nazwy, dopisując je w myślach do listy dziewięciu jednostek z jego oddziału, o których było już wiadomo, że przepadły w bitwie. Biorąc pod uwagę ogromne rozmiary rzymskiej floty i to, że powiększono ją o ponad sto przechwyconych galer wroga, wciąż była nadzieja, że część załóg jakimś sposobem przeżyła. Jako żeglarz Attyk żywił tę nadzieję, ale jako dowódca pogodził się już z myślą, że stracił te galery wraz z całą obsadą.

Nieprzerwany hałas w końcu wyrwał go z zamyślenia. W powietrzu niosły się odgłosy przygotowań i napraw, młotów walących w drewno i żelazo, a wrzawę tę od czasu do czasu przecinały – niczym razy batem – rozkazy bosmana. Attyk wyprostował plecy i opuścił rękę za burtę łódki, nabrał w dłoń wody i ochlapał sobie twarz. Słony zapach wypełnił mu nozdrza i go odświeżył.

Przed nim leżał wewnętrzny port. Attyk rozejrzał się

po zacumowanych tam galerach. Niemal natychmiast dostrzegł okręt flagowy, nieco oddalony od pozostałych, i wskazał go wioślarzom. Kiedy zmienili kierunek, Attyk wstał i wyminął ich ostrożnie, aby stanąć na dziobie, a kołysząca się łagodnie łódka wpłynęła w cień potężnego kadłuba *Concordii*.

Attyk poprosił o pozwolenie na wejście na okręt, a potem wdrapał się po drabince na główny pokład. Czekał na niego załogant, który zaprowadził go do głównej kabiny, zapukał lekko w jej drzwi, a potem wpuścił Attyka do środka. Pomieszczenie było ciasne i wyposażone na spartański sposób właściwy okrętom wojennym, uzupełniony jedynie dwiema sofami stojącymi pośrodku i ogromną skrzynią pancerną pod gołą ścianą. Dwaj konsulowie półożeli na sofach. Attyk podszedł do przodu, stanął na baczność i przedstawił się.

– Ach, prefekt Perennis – powiedział Paulus z krzywym uśmiechem, bawiąc się pucharem z winem. Obrócił się do siedzącego obok młodszego konsula. – Oto człowiek, o którym ci mówiłem, Serwiuszu. Grecki kapitan, którego awansował Regulus.

Nobilior kiwnął powoli głową, przyglądając się uważnie Attykowi.

– Twój oddział dobrze się spisał w walce, prefekcie – ciągnął Paulus.

– Dziękuję, konsulu.

– Właściwie – mówił dalej Paulus, nagle ostrożniejszym tonem – powiedziałbym nawet, że choć



nasze zwycięstwo było pewne, pojawienie się twojego oddziału przyspieszyło triumf.

Attyk dosłyszał modulację tonu konsula, jego niewypowiedziane żądanie zgody, i natychmiast obudziła się w nim czujność.

– Tak jest, konsulu – odparł, a Paulus kiwnął głową zadowolony, że prefekt wie, gdzie jego miejsce. Starszy konsul stworzył już szkic meldunku opisującego bitwę na użytek senatu, szczególnie troszcząc się o to, aby pełne uznanie za zwycięstwo przypadło jemu, a także by pochlebnie wypowiedzieć się o młodszym konsulu. Prócz niego Paulus nie miał zamiaru dzielić się triumfem z żadnym podwładnym, a na pewno nie z nisko urodzonym Grekiem.

– Świetnie, Perennis – powiedział, znów przybierając przychylny wyraz twarzy. – Staw się na pokładzie rufowym i poczekaj tam na mnie z innymi prefektami.

Attyk zsalutował, odwrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju. Paulus odprowadził go wzrokiem, a potem powoli podniósł się z sofy i przeciął kabinę, wypijając resztkę wina. Odstawił puchar na stół i musnął palcem jego brzeg, jeszcze raz zerkając na drzwi do pomieszczenia. Perennis zgodził się bez wahania i Paulus nie potrafił pozbyć się cienia wątpliwości. Grek był albo bardzo naiwny, albo bardzo przebiegły.

Wróciwszy na pokład, Attyk spojrzał w stronę rufy. Pokład był przykryty płóciennym zadaszeniem, które chroniło przed słońcem dowódców otaczających stół z

mapami ustawiony przed rumplem. Dowódcy byli legionistami i Attyk domyślał się, że wszyscy są byłymi trybunami zaciągniętymi z armii na stanowiska prefektów rozrastającej się rzymskiej floty. Kiedy Attyk zbliżył się do stołu, jeden z nich podniósł wzrok.

– O co chodzi, marynarzu? – spytał opryskliwie.

– Prefekcie – odparł z uśmiechem Attyk i stanął między nimi, spoglądając na mapy, świadom, że wszyscy na niego patrzą.

– Kim ty, na Hades, jesteś? – zapytał inny dowódca.

Attyk spojrział na niego, dalej się uśmiechając.

– Jestem Attyk Miloniusz Perennis – odparł i po wyrazie twarzy Rzymianina wywnioskował, że ten rozpoznaje jego nazwisko.

– Grek – powiedział prefekt. Attyk przestał się uśmiechać; pogardliwy ton Rzymianina go rozwścieczył. Już miał odpowiedzieć, kiedy prefekt spojrział za Attyka i nagle stanął na baczność, a pozostali poszli w jego ślady.

– Spocząć – powiedział Paulus, a dowódcy odsunęli się, aby zrobić konsulom miejsce przy stole.

– Odnieśliśmy wielkie zwycięstwo – zaczął starszy konsul. Wielu prefektów zaczęło z aprobatą stukać pięściami o blat stołu, a Paulus uśmiechnął się wielkodusznie, po czym uniósł dłoń, prosząc o ciszę. – Jednak nie możemy spocząć na kurach – ciągnął, patrząc po kolei na każdego ze zgromadzonych. – Musimy uderzyć, póki wróg jest osłabiony. Bez żołnierzy nie jesteśmy w stanie toczyć kampanii tutaj, w Afryce, jednak

Sycylia wciąż jest do zdobycia i mam zamiar zająć ją wraz z tą flotą. – Paulus skierował uwagę wszystkich na mapę leżącą na stole i przesunął po niej palcem. – Najpierw wrócimy na Sycylię. Potem popłyniemy w górę południowo-zachodniego wybrzeża wyspy i dzięki potędze tej floty przekonamy Herakleję Minojską i Selinus do przejścia na naszą stronę. Następnie zablokujemy Lilybeum i zmusimy do kapitulacji tamtejszy kartagiński garnizon.

Dowódcy dali wyraz swojej aprobacie, a śmiałość planu wzbudziła ich zaufanie. Paulus przez chwilę słuchał, jak chwalą jego strategię, po czym ponownie ich uciszył.

– Wracajcie teraz na swoje okręty – powiedział, gdy dowódcy stanęli na baczność. – Jutro wypływamy.

Ludzie zasalutowali i zaczęli zbierać się do odejścia, kiedy jakiś głos ich powstrzymał.

– Nie możemy odpłynąć tak szybko – stwierdził Attyk.

Na tę niesubordynację wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę, a cała grupa zamilkła oniemiała.

Paulus nachylił się nad stołem i spojrzał prosto na Attyka.

– Nie pochwalasz mojego planu, Perennis? – zapytał tonem, w którym czaiła się ostra nuta.

– Twoja strategia jest dobra, konsulu – odparł pewnym głosem Attyk – ale nie możemy wypłynąć tak szybko. Musimy poczekać dwa tygodnie.

– Dwa tygodnie – powtórzył z pogardą Paulus. – Republiki nie zbudowano na ostrożności, Perennis, czego twój lud z pewnością jest świadom. Musimy uderzyć teraz, dopóki mamy inicjatywę.

Attyk przełknął zniewagę, wiedząc, jak ważne jest przekonanie Paulusa do swoich racji.

– Wzeszedł Orion, konsulu – zaczął. – Musimy poczekać na Syriusza.

– O czym ty mówisz? – zapytał z irytacją Paulus.

– O pogodzie, konsulu. Między pojawieniem się na niebie Oriona i Syriusza na tych wodach jest zbyt wielkie ryzyko napotkania sztormowej pogody.

Tym razem Paulus się roześmiał, z taką kpina, że na twarzach wielu rzymskich dowódców pojawiły się szydercze uśmiechy.

– Pogoda nie powstrzyma zamiarów Rzymu – powiedział szorstko. – Nie zmienię rozkazu. Wyruszamy jutro wraz z odpływem.

Dowódcy zaszalutowali ponownie i odeszli. Tylko Attyk się nie ruszył.

– Możesz odejść, Perennis – powiedział gniewnie Paulus. Upór Greka go irytował.

– Konsulu, wody przy południowo-zachodnim wybrzeżu są niebezpieczne i na północ od Agrigentum nie ma żadnego bezpiecznego portu – ciągnął Attyk, wiedząc, że traci ostatnią szansę. – Zapytaj któregokolwiek z doświadczonych żeglarzy z floty. Jeśli natkniemy się na złą pogodę...

– Dostyc – warknął Paulus, tracąc cierpliwość. Zbliżył twarz do oblicza Attyka. – Dzielnie walczyłeś pod Przylądkiem Hermajskim, Perennis – powiedział zimno – więc wybaczę ci nieposłuszeństwo. Ale tylko ten jeden raz. A teraz wynoś się z mojego statku.

Attyk cofnął się i zasalutował z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W jego duszy szalała frustracja.

Hamilkar spojrział na strzelisty zarys twierdzy Byrsa po drodze do ozdobionego kolumnami wejścia do siedziby rady. Zatrzymał się na chwilę i przesunął spojrzeniem po starożytnych murach, poczynając od ich podstawy, a kończąc na wysokich blankach, nieświadom wymijających go ludzi, z których wielu mamrotało przekleństwa z irytacją; rojne ulice nie przejawiały zbyt wiele cierpliwości dla tych, którym się nie spieszyło.

Wcześniej widok twierdzy zawsze poprawiał Hamilkarowi nastrój, ale tego dnia tak się nie stało i po chwili ruszył dalej, wślizgując się w strumień tłumu, który szybko zaniósł go do celu. Wszedł do chłodnego wnętrza budynku, a jego oczy szybko przyzwyczały się do mroku, więc przeciął marmurową podłogę. Odgłos jego kroków mieszał się z niewyraźnymi dźwiękami dobiegającymi z zewnętrznej sali. Zatrzymał się pod drzwiami do przedsionka i zastukał, a kiedy usłyszał ze środka stłumiony głos wzywający go do środka, wszedł. Zamknął za sobą drzwi i spojrział na dwóch mężczyzn znajdujących się w środku. Zdawał sobie sprawę, że musi zachować

neutralny wyraz twarzy, ukryć szacunek, który żywił dla jednego z nich, i nienawiść, którą czuł względem drugiego.

Hazdrubal uśmiechnął się i podszedł do niego z wyciągniętą ręką, a Hamilkar uścisnął ją mocno. Ten krótki kontakt dodał mu energii.

– Dobrze cię widzieć, ojcie – powiedział.

– I nawzajem, Hamilkarze – odparł Hazdrubal, choć na jego twarzy malowało się zatroskanie z powodu wyczerpania syna.

Hamilkar puścił dłoń ojca i odwrócił się do drugiego obecnego – Hannona, potężnego mężczyzny o szerokiej klatce piersiowej i sporym brzuchu. Hamilkar kiwnął mu lekko głową, co ten zignorował. Barkas odwrócił się z powrotem do ojca.

– Przybyłem, kiedy tylko dostałem twoją wiadomość.

– Czy spotkanie z radą Stu Czterech się udało?

– Na tyle, na ile można się było spodziewać – odparł Hamilkar. – W ostatecznym rozrachunku zwycięstwo pod Tunesem było znaczniejsze niż porażka pod Przyładkiem Hermajskim. Miasto jest jak na razie bezpieczne, a ja zachowałem dowództwo.

– Gratulacje, Hamilkarze – powiedział sardonicznie Hannon, podchodząc bliżej nieśpiesznym ruchem. – Widzę, że twoja umiejętność zwodzenia tych starców po raz kolejny cię uratowała.

– Świadczą o mnie wyłącznie moje osiągnięcia, Hannonie – odparł zjadliwie Hamilkar – a rada Stu

Czterech zna moją wartość.

Hannon uśmiechnął się, jakby przyznawał mu rację, choć Hamilkar czuł, że radny przejrzał jego pewny siebie ton.

Rada Stu Czterech była grupą sędziów, którzy nadzorowali wszystkie wojskowe sprawy imperium. Byli to emerytowani dowódcy, którzy swego czasu wybitnie zasłużyli się w walce dla Kartaginy. Dowodzenie Hamilkara zależało od tego, czy wyrażą swoją aprobatę, a głównym jej kryterium były zwycięstwa; choć Hamilkar triumfował pod Tunesem, musiał bronić swoich decyzji u Przylądka Hermajskiego, co stanowiło ostateczną próbę dla umiejętności oratorskich, których nauczył go ojciec.

– Rada Najwyższa ma posiedzenie w południe – powiedział Hazdrubal. Nie miał cierpliwości do konfliktu między Hannonem a swoim synem. – Musimy ustalić, jak najlepiej będzie postąpić.

Hannon zgodził się, mrużąc pod nosem, i odszedł z powrotem na drugi koniec pomieszczenia. Na przestrzeni ostatnich kilku lat w Radzie Najwyższej pojawiły się dwa odłamy. Jeden, prowadzony przez Hannona, przeciwstawiał się wojnie na Sycylii i uważał, że imperium powinno zdobywać kolejne tereny w Afryce, a drugi – pod wodzą Hazdrubala – popierał sycylijską kampanię. Zanim faksje te zawarły obecny sojusz, często paraliżowały nawzajem swoje działania, co prowadziło do impasu. Ponadto Hannon dowodził wraz z Hamilkarem podczas ich porażki pod przylądkiem Eknomos.

Wyłącznie to, że po bitwie postanowili się nawzajem wesprzeć, uratowało ich kariery. Hannon nienawidził swojego sojuszu z klanem Barkidów, ale jak na razie był on w jego najlepszym interesie i nierozzerwalnie związał jego los z obydwoma mężczyznami. Zanim więc odwrócił się z powrotem w stronę ojca i syna, schował swoją wrogość za fasadą solidarności.

– Gdzie znajduje się teraz rzymska flota?

– Nasi szpiedzy donoszą, że cała flota popłynęła dwa dni temu na wschód, w kierunku Sycylii – odparł Hamilkar.

– Czy znamy jej ostateczny cel?

– Nie – przyznał Hamilkar. – Choć biorąc pod uwagę porę roku, podejrzewam, że popłyną prosto do ich portu w Agrigentum i schronią się tam, czekając, aż wzejdzie Syriusz.

– Czyli jak długo? – zapytał Hazdrubal.

– Niecałe dwa tygodnie. Potem pogoda znów będzie im sprzyjać.

– A zatem musisz być na Sycylii, kiedy wyruszą – stwierdził Hazdrubal.

– Popłynę do Lilybeum – odparł Hamilkar. – Rzymianie uderzą albo tam, albo w Panormos.

– Czego ci trzeba? – zapytał jego ojciec.

– Floty stacjonującej w Gadirze. – Hamilkar nie wahał się ani chwili.

– Niemożliwe – skomentował drwiąco Hannon, podchodząc bliżej. – To jedyna flota, która nam została w



Iberii.

– A jednak potrzebuję tych galer, jeśli mam ochronić północno-zachodnie szlaki prowadzące na Sycylię i dalej toczyć tam wojnę – odciął się Hamilkar.

Hazdrubal w milczeniu spojrzał na Hannoną, wiedząc, że próby przekonywania jego rywala nie mają sensu. Rada Stu Czterech mianowała dowódców i zatwierdzała strategię, ale to Najwyższa Rada decydowała, w jakim kierunku potoczą się wszelkie konflikty, a to obejmowało też rozmieszczenie sił imperium. Hazdrubal chciał jedynie poznać kontrpropozycję Hannoną, cenę, jakiej zażąda za poparcie prośby jego syna.

– Czego chcesz za swoje wstawiennictwo? – zapytał.

– Zgodzę się, aby Hamilkar przejął dowodzenie nad flotą z Gadiru – odparł Hannon po chwili milczenia – pod warunkiem, że jego siły lądowe, które teraz znajdują się w Tunisie, trafią pod moją komendę.

– Wciąż chcesz kontynuować wojnę z królestwami numidyjskimi? – zapytał z niedowierzaniem Hazdrubal, a Hannon tylko kiwnął głową, nie zniżając się do wyjaśnienia swojego stanowiska.

Hamilkar już chciał się wtrącić, ale ojciec rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Jego syn nie miał głosu w negocjacjach na tym poziomie.

Hazdrubal rozmyślał nad propozycją rywala. W trakcie konfliktu z Rzymianami Hannon toczył również wojnę lądową z mieszkającymi na południu

Numidyjczykami. Kampanię tę zawieszono dopiero, kiedy Rzymianie najechali Afrykę: wszystkie środki skierowano wtedy do obrony Kartaginy. Teraz, kiedy rzymskie zagrożenie zostało wyeliminowane, Hazdrubal musiał przyznać, że nie zna argumentu, który mógłby powstrzymać Hannona przed wznowieniem jego kampanii.

– Zgoda – rzekł.

– Dobrze – odparł Hannon. – Obejmę dowodzenie nad tymi siłami przed końcem tygodnia.

– A co z Ksantyposem? – zapytał Hamilkar.

– Tym najemnikiem? – upewnił się z pogardą w głosie Hannon. – Ten Spartanin spełnił już swoje zadanie. Zapłać mu.

Hamilkar znów chciał powiedzieć coś jeszcze, ale jego ojciec uciął dalszą rozmowę.

– Tak się stanie – powiedział.

Hannon kiwnął krótko głową i już bez słowa opuścił pomieszczenie.

Hamilkar poczekał, aż kroki radnego ucichną, po czym odwrócił się do ojca.

– Potrzebuję tych ludzi na Sycylii – powiedział gniewnie. – Zgodziłeś się zbyt szybko i na zbyt wiele.

Hazdrubal zmrużył oczy.

– Zgadzam się, że armia z Tunesu to spora cena za prowincjonalną flotę – powiedział. – Ale jeśli mamy dalej toczyć walkę na Sycylii, musimy ułagodzić Hannona, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. W tym roku z

pewnością zostanie sufetem i jako przywódca Rady Najwyższej będzie miał spory wpływ na bezstronnych dotychczas radnych, być może dość wielki, żeby zdobyć stałą przewagę.

Hamilkar milczał; miał wrażenie, że z każdej strony otaczają go wrogowie. Wcześniej koncentrował myśli wyłącznie na pokonaniu potężnej floty Rzymian. Teraz zdał sobie jednak sprawę, że polityczne niebezpieczeństwo na jego fłance – które uważał za zneutralizowane – ponownie się pojawiło. Spojrzał na ojca, żałując wcześniejszych krytycznych słów. Wiedział, że Hazdrubal ma znacznie bardziej wyczulony instynkt polityczny niż on sam.

Hazdrubal dostrzegł na twarzy syna cień niepewności i położył dłoń na jego ramieniu.

– Myśl o Sycylii, Hamilkarze – powiedział. – Tam jest twój wróg. Hannona biorę na siebie.

– Ale co z moimi ludźmi? Będę potrzebował sił lądowych, jeśli mam pokonać Rzymian.

– Zwrócę się do rady z petycją, aby udostępniła ci najemników, kiedy będziesz ich potrzebował. Do chwili, gdy Hannon zostanie sufetem, mogę zebrać dość silne poparcie dla takiego wydatku.

Hamilkar kiwnął głową, a nowy przyływ zaufania względem ojca pozwolił mu się ponownie skoncentrować. Jakkolwiek wyglądały jego wewnętrzne konflikty z radą, prawdziwym wrogiem był Rzym, a polem bitwy – Sycylia. Kartagina wciąż sprawowała niekwestionowaną

kontrolę nad północnym zachodem wyspy, ale natarcie Rzymian było wyłącznie kwestią czasu.

Hamilkar uścisnął dłoń ojca na pożegnanie i opuścił przedsiónek, po czym szybko znalazł się na zatłoczonej ulicy. Zatrzymał się na moment i zerknął na twierdzę, której widok wzmocnił jego determinację, po czym ruszył w stronę położonego niżej portu.

Dziobnica *Orcusa* rozcięła grzbiet fali. Galera płynęła ostrym bajdewindem, wiatr pędził od sterburty, chwycił krople wody morskiej i miotał nimi w stronę odległego o dwie mile sycylijskiego wybrzeża. Główny maszt trzeszczał pod naporem grotzągla, który łopotał z odgłosem podobnym do gromu; na wykrzyczane przez zastępcę kapitana rozkazy załoga czym prędzej wybrała szoty, a Gajusz odpadł nieco od wiatru.

Attyk stał przy rumplu wraz ze sternikiem, wlepiając wzrok w horyzont na południu. Od dmuchającej mu prosto w twarz bryzy łzawiły mu oczy, a skórę miał pokrytą cieniutką warstewką morskiej wilgoci. Milczał, tak samo jak Gajusz i większość załogi – ich niepokój wywoływał napięcie, które tłamsiło wszelkie słowa. Na morzu dookoła *Orcusa* tłoczyły się galery *classis Romana*, płynące w luźnej formacji. Każdy ze statków pilnował swojej przestrzeni na falach, a załogi zmagaly się z przeciwnym wiatrem, używając subtelnej kombinacji wiosła i żagli.

Septymus wyłonił się spod pokładu i przeszedł na

pokład rufowy, co krok tracąc nieco równowagę niczym pijany człowiek na równej drodze i klnąc cicho wraz z każdym przechyłem pokładu. Skinął głową Gajuszowi, ale sternik sprawiał wrażenie, jakby go nie widział. Centurion obszedł go i stanął naprzeciwko Attyka; widząc pełne napięcia spojrzenie przyjaciela, obejrzał się przez ramię.

Niebo na południu było spowite chmurami w kolorze żelaza, sięgającymi od wyraźnej linii horyzontu po firmament. Ich formacje w kształcie kowadła wspinały się coraz wyżej, a poniżej niespokojna powierzchnia morza była usiana ciemnymi sińcami ich potężnych cieni. Widok ten zafascynował Septymusa. Centurion wlepił wzrok w chmurę, która wyglądała, jakby pożerała resztki niebieskiego nieba, nie dowierzając, że kiedy godzinę wcześniej schodził pod pokład, horyzont od południa był niemal bezchmurny. Odwrócił się do Attyka.

– To przed taką pogodą ostrzegałeś Paulusa, prawda?

Attyk kiwnął głową, nie czerpiąc przyjemności z tego, że jego prognoza się sprawdziła. Septymus ponownie zwrócił się w stronę burzy, a wiatr i unosząca się w powietrzu mgiełka morska przykleiły mu tunikę do piersi.

– Pływałeś już kiedyś w takiej pogodzie? – zapytał.

– Nie z tym czymś na pokładzie – odpowiedział Gajusz, ze zmarszczonymi brwiami wskazując kruka.

Attyk zignorował odpowiedź sternika, cały czas koncentrując się na pejzażu morskim.

– Kiedyś przepłynąłem *Aquilą* pod wiatr o prędkości

dwudziestu pięciu węzłów – powiedział Attyk – ale miałem sporo miejsca. Jeśli ten sztorm się do nas zbliży, będziemy mieli od flanki ląd.

– Jak daleko do Agrigentum? – zapytał Septymus.

Attyk zerknął na linię lądu, lecz nie rozpoznał żadnego punktu orientacyjnego. Godzinę wcześniej flota znajdowała się na wysokości nadzorowanego przez Kartagińczyków miasta Selinus, ale kiedy zaczęło się zbierać na burzę, wśród jednostek rozeszła się komenda, aby skręciły na południowy wschód i podążyły wzdłuż wybrzeża do odległego o czterdzieści mil Agrigentum.

– Za daleko – odpowiedział Attyk i ponownie spojrzął na południe. – Widzisz to miejsce, gdzie widnokrąg jest niewyraźny, a niebo i morze są tego samego koloru?

Septymus kiwnął głową. Gdzieniegdzie wyglądało to tak, jakby z nieba zwieszała się zasłona, ciemna ściana poprzedzielana padającymi z wysoka kolumnami światła. Poruszała się ona po horyzoncie, a pionowe pasma rozszerzały się i zwężały, prawie tak, jakby sztorm oddychał.

– To linia szkwału – powiedział Attyk – tam, gdzie zaczęła się już ulewa. Kiedy się z nami zrówna, sztorm będzie miał nas w garści.

Sztorm nadciągał niemal na oczach Septymusa; linia szkwału gnała przed siebie z każdym powiewem wiatru, a potężny rozmiar frontu utrudniał oszacowanie dzielącej go od nich odległości. Septymus poczuł, że żołądek wywraca

mu koziółki przy każdym przechyle pokładu, i mimo zimnych kropli wody na twarzy czuł, że jest mu gorąco i niedobrze. Pojawiło się jeszcze coś, coś, czego centurion nie czuł nigdzie poza polem bitwy: strach.

Mimo wycia wiatru usłyszał, że ktoś woła jego imię, i się odwrócił. Attyk patrzył na niego i wskazywał palcem główny pokład.

– Septymusie, twoi ludzie muszą opuścić pokład. Każ im zejść niżej. Szczelnie zamkniemy luki.

Septymus kiwnął głową i przeszedł zdecydowanym krokiem na główny pokład, ciesząc się, że ma coś do zrobienia. Rozkazał swoim ludziom zejść na niższy poziom i obarczył Druzusa zadaniem rozmieszczenia legionistów na pokładzie wioślarzy. Jego uwagę przyciągnęło jakieś walenie i obejrzał się, żeby zobaczyć, jak trzej załoganci przybijają klapę do przedniego luku na głównym pokładzie. Kiedy ostatni kołek wbito na miejsce, ludzie ruszyli szybko w kierunku Septymusa. Centurion spojrział przez otwarty luk na mroczny niższy pokład, a myśl o tym, że będzie uwięziony i bezsilny, była dla niego ohydna. Odwrócił się plecami i wrócił na pokład rufowy, a załogant zatrzasnął pokrywę luku.

Okręt nagle się zakołysał, a Attyk stracił równowagę. Gajusz błyskawicznie wyciągnął rękę, żeby go podtrzymać, ani na chwilę nie odrywając wzroku od dziobu *Orcusa*.

– Zmienia się kierunek wiatru – powiedział.

Attyk spojrział na grotzagiel. Po płótnie przebiegła

zmarszczka, potem kolejna i jeszcze jedna.

– Utrzymaś? – zapytał, ale zanim Gajusz zdążył odpowiedzieć, pokład przechylił się gwałtownie pod ich stopami, dziób wbił się głęboko pod grzbiet fali, a woda zalała przedni pokład.

Gajusz napał na rumpel i grotmaszt napiął się bardziej, ale nagły podmuch wiatru udaremnił wysiłki sternika i żagiel znów załopotał.

– Jesteśmy zbyt blisko linii szkwału – powiedział sfrustrowany. – Wiatr nie utrzyma stałego kierunku.

Attyk kiwnął głową, ale wahał się jeszcze chwilę. Jeśli każe opuścić żagiel, galera będzie polegała wyłącznie na napędzie wiosłowym, a szansa na dotarcie do Agrigentum przepadnie. Zerknąwszy na linię szkwału, oszacował, że jest o niecałe trzy mile od nich. Nawet z tej odległości wiatr szarpał grotzagle, a Attyk wiedział, że jeśli nagły, mocny podmuch uderzy w *Orcusa* od burty, okręt może się wywrócić.

Odszukał wzrokiem swojego zastępcę na głównym pokładzie.

– Uwiązać grotżagiel! – zawołał.

Baro chwycił żeglarzy stojących najbliżej i zaczął wykrzykiwać rozkazy, a załoganci zareagowali najszybciej jak mogli na huśtającym się pokładzie.

Gajusz odpadł o jeden rumb od wiatru, żeby zmniejszyć napór na żagiel, ale wiatr był coraz bardziej nieprzewidywalny i załoga z trudem zbierała płachtę płótna, gdy opuszczano ruchomą reję. Nagły podmuch



wyrwał im żagiel, a dwaj ludzie krzyknęli, gdy szorstka konopna lina wyslizgnęła im się z dłoni, masakrując im palce. Załoganci zdwoili wysiłki, ale znów stracili kontrolę nad żaglem, jedna z lin się urwała, a reja spadła na pokład z wysokości sześciu metrów. Ludzie rozpierzchli się, a wrzask paniki jednego z nich urwał się, gdy reja go przygniotła.

Baro ryczał przekleństwa, a ludzie rzucili się na urwany żagiel i reję.

Żagiel szybko uwiązano i przytroczono nowe olinowanie, na powrót wciągnięto reję na maszt. Baro podbiegł do rannego załoganta, którego krzyki bólu od czasu do czasu tłumił wiatr.

Uwiązanie grotzągla zajęło ledwie chwilę, ale w tym czasie linia szkwału zbliżyła się o dwie mile, a wiatr, który pędził front przed sobą, przyspieszył do dwudziestu węzłów. Attyk spojrział w stronę lądu leżącego dwie mile od lewej burty, od strony rufy. Jego zarys był niemal niewidoczny z powodu mgiełki morskiej przesycającej powietrze, ale Attyk dostrzegał wyraźną białą linię znaczącą miejsce, gdzie grzywacze uderzały o skaliste klify biegnące wzdłuż brzegu w obu kierunkach. Rozejrzał się po galerach dookoła *Orcusa*: wiele spośród tych, które płynęły najbliżej, należało do jego oddziału.

Odwrócił się do Septymusa i Gajusza.

– Jakie mamy możliwości? – zapytał.

– Trzy – odparł Gajusz. – Płyniemy z wiatrem i próbujemy natychmiast wylądować, zmieniamy kurs i

płyniemy równolegle do brzegu albo ustawiamy się pod wiatr i próbujemy przetrzymać.

Septymus milczał, wiedząc, że nie ma nic do dodania, a jego opinia się nie liczy. Dosłyszał większość słów Gajusza – resztę porwał wiatr – i teraz przenosił wzrok to na sternika, to na kapitana.

Attyk kiwnął głową; doszedł do tych samych wniosków. Odrzucił pierwsze rozwiązanie. Linia brzegowa była zdradliwa, nie mieliby się tam gdzie schronić. Drugi wybór był ryzykowny. Galera płynęłaby ostrym baksztagiem: wiatr dąłby od tyłu i pod kątem. Kiedy linia szkwału ich wyprzedzi, wiatr przyspieszy i stanie się bardziej nieprzewidywalny. Jeden błąd i galera zacznie płynąć z wiatrem, prosto w stronę lądu. Attyk zdał sobie sprawę, że z tych trzech możliwości mogą wybrać tylko jedną.

– Przygotować ster. Skręcamy pod wiatr – oznajmił, a Gajusz skinął głową. Attyk zawołał gońca, po czym wysłał go na pokład dziobowy, po jego zastępcę. Chciał, żeby Baro przygotował załogę na pokładzie. Ponownie objął wzrokiem jednostki otaczające *Orcusa*. Wszystkie toczyły teraz własną walkę z pogodą; na razie płynęły równolegle do okrętu Attyka, ale wkrótce każdy kapitan podejmie własną próbę uratowania swojego statku.

Attyk przyglądał się, gdy jedna z galer zaczęła skręcać pod wiatr. Rozpoznał ją: była to *Strenua* z jego oddziału. Uśmiechnął się na myśl o jej kapitanie, który doszedł do tego samego wniosku co on sam, tylko

szybciej. *Strenua* odwróciła się powoli, pędzone wiatrem fale waliły o jej dziób, przeciwstawiając się sile steru oraz dwustu siedemdziesięciu ludzi, ale galera niepowstrzymanie parła w swoim kierunku, aż jej taran był nakierowany prosto na fale i wiatr, a wiosła utrzymywały ją w miejscu.

Nagle *Strenua* przechyliła się i Attyk z przerażeniem zobaczył, że woda wdiera się na jej pokład dziobowy, a kolejne fale próbują pochłonąć ją w całości. Galera zaczęła tonąć niewiarygodnie szybko, gdy grzywacze schwyciły jej dziób w śmiertelny uścisk, który oznaczał zagładę dla wszystkich na pokładzie.

Attyk był oszołomiony tym, jak błyskawicznie *Strenua* przepadła. Kiedy odwrócił się do Gajusza, zobaczył, że sternik już wlepił wzrok w okręt.

– *Corvus* – powiedział. Attyk nie dosłyszał słowa, lecz odczytał je z ruchu warg sternika, po czym obaj odruchowo spojrzeli w stronę rampy na pokładzie dziobowym *Orcusa*.

– O co chodzi? – krzyknął Septymus, zdumiony przerażeniem, które malowało się na obliczach obu mężczyzn.

– O kruka – odparł Attyk. – Jesteśmy za bardzo obciążeni na dziobie.

Zanim Septymus zdążył odpowiedzieć, spadła na nich zasłona ciemności, a chwilę później – ulewny deszcz, który zaczął smagać deski pokładu. Wiatr pędził z prędkością ponad trzydziestu węzłów i wył straszliwie;

był to okrzyk bojowy Plutona, który przybył odebrać co jego. Linia szkwału zrównała się z *Orcusem*.

Okręt przechylił się gwałtownie i na pokład upadli wszyscy poza Gajuszem, który dalej stał wytrwale na miejscu, ani na chwilę nie puszczając rumpla. Fale załamały się nad sterburtą i przemknęły po pokładzie, zabierając ze sobą dwóch załogantów, i przez moment *Orcus* balansował na granicy przewrócenia się, ale jego wyporność naprostowała kadłub. Attyk podniósł się na nogi, choć mokry pokład mu tego nie ułatwiał, splunął w stronę sztormu i wykrzyczał wiązaną przekleństw pod adresem Posejdona.

– Musimy skrócić! – wrzasnął Gajusz. Twarz miał wykrzywioną z wysiłku, a rumpel drżał w jego rękach. – Fale pchają nas bokiem do sztormu.

– Jeśli teraz zwrócimy się pod wiatr, jesteśmy martwi! – odkrzyknął Attyk. – Utrzymaj pozycję. Pozbędę się tej przeklętej rampy. – Odwrócił się i chwycił za ramię Septymusa.

– Za mną! – zawołał i obaj z trudem pokonali rozhuśtany pokład, pochylając głowy pod gnany wiatrem strumieniami deszczu. Attyk krzyknął do swojego zastępcy i Baro pobiegł po siekiery, zbierając po drodze załogantów, i wszyscy skierowali się w stronę dziobu.

*Orcusem* ponownie zarzuciło i wszyscy znów runęli na pokład, ześlizgując się w stronę bakburty. Attyk gruchnął o reling, siła zderzenia odebrała mu dech i załapała

go słona woda. Z trudem łapał powietrze. Poczuł na sobie zaciskające się kurczowo palce i instynktownie wyciągnął rękę w ich stronę, ale wyślizgnęły mu się i okrzyk przerażenia urwał się, zagłuszony straszliwym hałasem sztormu. Attyk podniósł się z trudem i obejrzał przez ramię na pokład rufowy, po czym nadał Gajuszowi sygnał, aby skrzył dziobem o jeden rumb w kierunku wiatru, co ułatwiłoby im balansowanie między niebezpieczeństwem wywrócenia się do góry dnem i zatonięcia.

Attyk dotarł na pokład dziobowy z Septymusem, Baronem oraz trzema innymi załogantami, i natychmiast zaatakowali drzewce podtrzymujące kruka siekierami. Ich uderzenia padały nieregularnie: przechyły pokładu uniemożliwiały im odnalezienie rytmu, a stopy ślizgały się im po pokładzie. Wszyscy po kolei upadali, za każdym razem podnosząc się z wiązką przekleństw.

Zdawało się, że wiatr z każdą chwilą staje się coraz bardziej porywisty, a przechyły *Orcusa* coraz gwałtowniejsze; dziób galery wbijał się w każdą potężną falę. Któraś z nich wybuchła tuż przed relingiem na dziobie i zmiotła z pokładu jednego z załogantów. Marynarz wpadł do wody, krzycząc i wymachując rękami, a kiedy morze zaczęło znosić go coraz dalej od *Orcusa*, wyciągał w jego stronę dłonie. Attyk podniósł się znów na nogi, nie odrywając wzroku od załoganta, świadom ciężaru siekiery w ręce. Chwycił mokry trzonek tak mocno, że aż zaboląły go palce. Odwrócił się w stronę

kruka i ryknął z gniewem, wymierzając następne ciosy, a gdy pozostałe cztery ostrza opadły po kolei, od drzewca oderwała się drzazga dębiny.

Nad dziobem roztrzaskała się kolejna fala, niosąc ciało martwego marynarza. Zwłoki prześlizgnęły się po pokładzie, po czym uderzyły o reling na burcie, ale następna fala zmyła je do morza, które znów zachłannie pochłonęło marynarza. Od strony podstawy drzewca rozległ się głośny trzask i mężczyźni zdwoili wysiłki, uderzając w słaby punkt, a waga kruka działała teraz na ich korzyść – drzewce ustąpiło pod jego naporem. Pękło niespodziewanie i rampa abordażowa opadła na pokład, a galera przechyliła się błyskawicznie z powodu zmiany w rozkładzie ciężaru.

– Gaje! – krzyknął Attyk, a choć tego słowa prawie nie było słychać, wszyscy zrozumieli rozkaz i pospieszyli odciąć liny przywiązane do drzewca. Każda z nich ustępowała pod jednym ciosem siekiery, a przecięte końcówki odskakiwały jak strzelające bicze. Baro wrzasnął z bólu, kiedy jedna z lin uderzyła go w twarz i przewróciła na pokład, a załogant chwycił go, gdy fala morskiej wody omal zmyła go za burtę.

*Corvus* przez mgnienie oka tkwił uparcie na pokładzie, ale kiedy galera znów się przechyliła, runął w stronę bakburty, przebił reling i wpadł do morza. Uwolniony nagle od ciężaru przód *Orcusa* wystrzelił z wody, a Attyk krzyknął do otaczających go ludzi, aby się czegoś chwycili, gdy Gajusz zakończył zwrot pod wiatr,

aż dziób zaczął rozcinać nadciągające fale.

Attyk, Septymus oraz Baro wrócili na pokład rufowy; zastępca kapitana przykrywał policzek dłonią, a po rękę ciekła mu zmieszana z deszczem krew. Wiatr pchał ich w plecy, gdy walczyli z przechyłami pokładu, zmieniając tempo w zależności od tego, czy właśnie się unosił, czy opadał.

Kiedy dotarli na rufę, Gajusz przywołał Attyka.

– Nie możemy płynąć przed siebie! – krzyknął głosem pełnym bezsilnego gniewu.

Attyk rozejrzał się na wszystkie strony, usiłując ocenić prędkość galery.

*Orcus* był skierowany prosto w stronę wiatru i fal, których połączona siła pchała go z powrotem w stronę leżącego za nim lądu. Attyk podbiegł do relingu i uważnie przyjrzał się wiosłom, kiedy *Orcus* pokonywał kolejny grzbiet fali. Pióra przednich wiosła na moment wynurzyły się z wody i wiosłarze przeciągnęli je, co zakłóciło rytm ich ruchów, po czym galera przebyła szczyt grzywacza i zaczęła przyspieszać, opadając w dolinę fali. Dziób wbił się pod powierzchnię, a wraz z nim niższe otwory na wiosła; kiedy dziób wynurzył się ponad fale, Attyk zobaczył, że wylewa się z nich woda. Wiedział, że to tylko ułamek tego, co pozostało wewnątrz kadłuba. Pobiegnął z powrotem do steru.

– Baro! – krzyknął, nachylając się i ocierając krople deszczu z twarzy. Przedstawił zastępcy swój plan, a ten odszedł, potykając się, w stronę relingu. Attyk spojrzał w

stronę steru. – Gajuszu, znajdź punkt odniesienia na ładzie. Musimy obrać jedną pozycję i wytrzymać w niej sztorm.

Sternik kiwnął głową, a Attyk odwrócił się do Septymusa i gestem nakazał mu iść za sobą. Przeszli na główny pokład i kapitan wydał dwóm załogantom komendę zdjęcia pokrywy z tylnego luku. Zeskoczył na drabinę, gdy tylko pokrywę uniesiono, i zsunął się w dół, po czym na chwilę przystanął. Sztorm przekształcił pokład wioślarzy w miejsce rodem z piekieł, mroczne i wypełnione jękami oraz smrodem choroby morskiej, a fale waliły o kadłub, którego belki trzeszczały przy każdym uderzeniu. Pokład huśtał się obezwładniająco za każdym razem, gdy okręt opadał, a rytm bębna rozbrzmiewał w zamkniętej przestrzeni.

Druzus rozmieścił legionistów wzdłuż przejścia wiodącego przez środek pokładu na całej długości galery, a bladzi jak chusty ludzie kucali, żeby nimi mniej rzucało; wielu z nich było ubrudzonych wymiocinami. Attyk pobiegł na środek galery, prowadzony stłumionymi krzykami, i z wysiłkiem podniósł trap prowadzący do niższej ładowni, gdzie znajdowali się rezerwowi wioślarze. Spojrzał w dół i poczuł przerażenie niczym cios w brzuch. Ludzie stali w sięgającej piersi wodzie, a na ich zwróconych w górę twarzach malowała się skrajna panika. Zaczęli bić się o miejsce na drabinie prowadzącej na pokład wioślarzy.

Septymus, który stał za Attykiem, zawołał do



stojących najbliżej legionistów, a ci dobyli mieczy, aby nadzorować strumień wiosłarzy rezerwowych i zmniejszyć niebezpieczeństwo paniki. Attyk szybko wydał rozkaz do wciągnięcia na pokład wioseł z najniższego poziomu oraz z dziobu, a także zmienił rozmieszczenie wszystkich wiosłarzy, aby każde z wciąż pracujących wioseł obsługiwało dwóch ludzi, co dodawało im mocy i możliwości kontroli. Potem wspiął się na szczyt schodów prowadzących do otwartego luku i dał Baronowi sygnał, aby był gotowy. Ocenivszy prędkość nadciągającej fali, rozkazał dobozowi nadać rytm do prędkości standardowej. *Orcus* rzucił się w przód ze zdwojoną energią i wkrótce zaczął płynąć przed siebie, pokonując zbocze fali. Gdy zbliżył się do jej grzbietu, Attyk nadał Baronowi sygnał do wypuszczenia dryfkotwy, otwartej beczki na wodę przywiązanej do rufy.

*Orcus* dotarł do grzbietu fali i Attyk wydał rozkaz „cała stop”, a wiosłarze zamarli w bezruchu. Dryfkotwa spowolniła okręt, gdy opadał po przeciwnym zboczach fali; jego dziób wbił się w dolinę, ale płycej niż wcześniej, i Attyk natychmiast rozkazał, aby wiosła znów zaczęły pracować z prędkością bojową. Wiosłarze musieli teraz zmagać się zarówno z następną falą, jak i dryfkotwą.

Attyk powtórzył ten wzorzec kilkanaście razy, po czym odwrócił się w stronę Gajusza. Sternik patrzył w jakiś punkt za sterburtą galery, ale gdy zerknął w jego stronę i dostrzegł jego spojrzenie, kiwnął głową. *Orcus* utrzymywał pozycję: nie płynął przed siebie i się nie

cofał.

Attyk podniósł dłoń, żeby osłonić oczy przed chłoszczącym deszczem i wiatrem, i ponownie skierował wzrok na dziób. Wykrzyknął następną komendę pod adresem dobosza bez zastanowienia – udało mu się już wpaść w rytm – i nagle zdał sobie sprawę, że cały zdrętwiał z powodu przenikliwego chłodu, który wyziębził go, gdy siedział bez ruchu w otwartym luku. Zignorował ból, wiedząc, że sztorm może potrwać jeszcze godzinami, i między wydawaniem kolejnych komend rozglądał się po morzu otaczającym *Orcusa*.

Jego widoczność była ograniczona do dwóch mil w każdym kierunku – przesycone deszczem powietrze zasłaniało wszystko inne – ale nawet w tym niewielkim polu widzenia można było zaobserwować straszliwe sceny. O brzeg roztrzaskały się już tuziny jednostek, a fale uderzały teraz o ich zrujnowane kadłuby, nieustannie i z furją łomocząc galerami o skały. Inne okręty nieubłaganie pędziły ku zagładzie, choć ich załogi toczyły beznadziejną walkę z potęgą Posejdona, desperackie starcie między śmiertelnikami a synem tytanów.

Na otwartym morzu dookoła *Orcusa* wciąż unosiło się na powierzchni jeszcze tylko kilka galer – wszystkie płynęły pod wiatr – ale na oczach Attyka zatoneły dwie kolejne. Kruki na ich przednich pokładach ściągnęły dzioby pod wodę; rampa abordażowa, która niegdyś uratowała rzymską flotę, teraz była straszliwym przekleństwem. W wodzie dookoła tonących galer pełno

było martwych i umierających ludzi, a wiatr litościwie nie pozwalał żyjącym dosłyszeć ich krzyków.

Attyk ponownie spojrzął na dziób i zwartą ścianę czerni stanowiącą serce sztormu. Jego potęga była nieokiełznana, do końca bezmyślnej rzezi, jaką urządzał, było jeszcze daleko, a odrętwienie, które Attyk czuł w kończynach, powoli wkradło się do jego serca, chroniąc go przed udręką, jaką wywoływała strata *classis Romana*.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gajusz Duiliusz siedział nieruchomo, gdy *princeps senatus* odczytywał przygotowane zawczasu oświadczenie; głos przewodniczącego senatu łamał się z powodu jego wieku oraz doniosłości słów, które czytał. Trzystu zgromadzonych senatorów słuchało w niemal całkowitej ciszy, a nieruchome powietrze kurii Hostyliusza – siedziby rzymskiego senatu – tylko od czasu do czasu przerywały okrzyki zdumienia.

Galera wysłana przez Paulusa z Agrigentum ponad tydzień wcześniej dotarła do Ostii przed dwunastoma godzinami, wioząc meldunek, który większość senatorów siedzących w kurii dopiero teraz słyszała po raz pierwszy, meldunek opisujący zniszczenie armii wysłanej na bitwę pod Tunesem oraz wynikłej z niego decyzji Paulusa o pożeglowaniu do Afryki. Duiliusz niezbyt zwracał uwagę na słowa przewodniczącego i zamiast tego koncentrował się na reakcjach pozostałych obecnych. Poznał pełną treść meldunku w ciągu dwóch godzin od przyplłynięcia galery – dzięki swojej siatce szpiegów i informatorów był jak zawsze świetnie zorientowany – teraz więc mógł do woli przyglądać się twarzom innych senatorów, zwłaszcza swoich przeciwników.

Zadanie ułatwił Duiliuszowi niewidzialny, lecz wyraźny podział istniejący w senacie. Po jego stronie siedziby siedzieli ludzie codziennie rzucający wyzwanie

ustalonemu porządkowi panującemu w Rzymie, postępowi senatorowie, z których wielu było *novi homines*, nowymi ludźmi, pierwszymi przedstawicielami swoich rodów w senacie. Po przeciwnej stronie komnaty dominowali dziedzice starych patrycjuszowskich rodów, potomkowie założycieli republiki, których władza zależała od tego, czy *status quo* zostanie utrzymane.

Duiliusz ukradkiem analizował wyraz twarzy każdego z nich po kolei, wielu z miejsca odrzucając, ponieważ wiedział, że to nic nieznaczące pionki i pochlebcy. Nie zwracał też uwagi na tych, którzy z pewnością zaliczali się do elity opozycji: wysokich rangą senatorów, którzy ponad wszelką wątpliwość znali wszystkie szczegóły raportu, lecz mieli dość przytomności umysłu, aby sprawiać wrażenie zaskoczonych czy zaniepokojonych. Duiliusz koncentrował się natomiast na reszcie, szukając wymownych sygnałów świadczących o wiedzy, subtelnych oznak opanowania, które ujawniłyby, kto wcześniej słyszał o raporcie i, jak można było z tego wnioskować, należał do kręgu wtajemniczonych. Wiedział z doświadczenia, że często najświeżsi członkowie każdej koterii, w większości młodzi senatorowie, nie mają jeszcze dość rozwiniętego instynktu politycznego, aby ukryć swoją wiedzę za pomocą obojętnych min; miał teraz rzadko nadarżającą się okazję dowiedzenia się czegoś więcej o układach w opozycji.

Choć Gajusz zdawał sobie sprawę, jak ulotna to okazja, zamarł, gdy jego spojrzenie napotkało jednego z

senatorów, Gnejusza Korneliusza Scypiona. Był to mężczyzna o surowej twarzy, którą właśnie pochylał nieznacznie, jakby chcąc ukryć jej wyraz, choć Duiliusz wiedział, że nie jest to konieczne. Scypion świetnie potrafił się maskować, a jego samodyscyplinie dorównywała wyłącznie jego bezwzględność. Był przywódcą opozycji, choć niewielu o tym wiedziało – nawet jeśli zaliczali się do jego najbliższych sprzymierzeńców – ponieważ największym talentem Scypiona była jego umiejętność manipulowania wydarzeniami *sub rosa*. Choćby z tego powodu Duiliusz uważał go za najgodniejszego siebie i najniebezpieczniejszego przeciwnika. Wiele się nauczył od Scypiona w latach, kiedy razem pełnili funkcje konsulów. Tamta kadencja zakończyła się dla Scypiona upokorzeniem: z powodu swojej porażki i pojmania pod Lipari zdobył sobie *cognomen* Azyna, „osioł”.

A jednak przetrwał na scenie politycznej, sprawując władzę za kulisami, i jego machinacje już doprowadziły do wyboru dwóch starszych konsulów, Regulusa oraz Paulusa. Duiliusz przejął podejście Scypiona, ukrywając swoją znaczącą władzę w okresie, kiedy pełnił funkcję cenzora, aby wpływać na głosowania odbywające się w senacie. Przy każdej konfrontacji nienawiść i rywalizacja między dwoma mężczyznami stawały się coraz bardziej intensywne.

Scypion zerknął w stronę Duiliusza, jakby zdawał sobie sprawę, że ktoś mu się przygląda, i ich spojrzenia

się spotkały. Uśmiechnął się zimno, a Duiliusz odwzajemnił uśmiech. Porażka Regulusa w Afryce nie pozostanie bez konsekwencji, z pewnością wpłynie na układ sił w senacie, a w zależności od tego, jak rozegra się jej następstwa, wiele karier ucierpi albo się umocni. Ani Duiliusz, ani Scypion nie byli oficjalnie przywódcami faksji walczących o dominację w rzymskim senacie, ale tą jedną szybką wymianą spojrzeń w zatłoczonym pomieszczeniu dali sobie sygnał o eskalacji konfliktu.

Hamilkar zawahał się przed wejściem do świątyni; całkowita cisza i to, że miał wrażenie, iż jest całkiem sam, niepokoiły go. Popołudniowe słońce grzało go w plecy, aż na jego karku zebrały się krople potu i spłynęły mu za tunikę. Światło obramowało jego cień, kiedy padł on do środka sklepionej wewnętrznej komnaty. Hamilkar zrobił krok do przodu i znów się zatrzymał, trapiiony narastającym wrażeniem własnej marności; miał poczucie, że jego wdzięczność zostanie skalana niewiarygodnym wyczynem, którego dokonało bóstwo zamieszkujące to uświęcone miejsce.

Pierwsze pogłoski pojawiły się w Kartaginie poprzedniego dnia, niosąc się po ulicach jak ogień pędzony potężnym wiatrem *ghibli*. Hamilkar natychmiast pobiegł do portu, aby jak najszybciej dowiedzieć się czegoś więcej od załóg przybywających statków i otrzymać potwierdzenie, że taki cud faktycznie nastąpił, jednak przez kolejną dobę ku swojej frustracji otrzymywał

tylko kolejne niesprawdzone plotki. Dopiero tego ranka z Selinus przybyła wojskowa galera, której kapitan potwierdził prawdziwość raportu, na co Hamilkar czym prędzej pospieszył do świątyni Jama.

Barkas znów ruszył przed siebie, przeciął skromny przedsionek i wszedł do wewnętrznej komnaty, po czym powoli przesunął spojrzeniem po wyobrażeniach nieokiełznanego morza wyrytych na granitowych ścianach, czując niesamowity dreszcz przerażenia. Posąg Jama znajdował się na drugim końcu komnaty. Przesuwały się po nim cienie i patrząc na niego, Hamilkar wstrzymał oddech. Podczas wojny z Rzymianami często wzywał na pomoc wielu bogów, prosząc ich o przychylność lub o to, aby użyczyli mu potęgi swojego gniewu, ale nigdy wcześniej nie modlił się do tego pomniejszego bóstwa, władcy gwałtownych burz i szalejącego morza.

Hamilkar padł do przodu, jakby ktoś zadał mu cios w plecy, a świątynia rozbrzmiała odgłosem jego ciała uderzającego o podłogę. Wyciągnął ramiona i położył się krzyżem, przyciskając czoło do marmurowej płyty, po czym zaczął szeptać podziękowanie. Modlitwa przyszła mu z początku niełatwo – pokora odbierała mu słowa – ale wkrótce zalała go fala wdzięczności i mówił, niemal nie nabierając tchu, bez cienia wstydu korząc się w ciszy sanktuarium.

Po chwili umilkł. Podniósł się i ponownie spojrzął na posąg, chcąc zapamiętać każdy jego szczegół. Skinął



głową i opuszczając komnatę, zobaczył, że nadchodzi cała gromada ludzi, z których wielu niosło girlandy i amfory z winem jako ofiary dla ignorowanego wcześniej boga. Z czasem, kiedy wieści o zniszczeniu rzymskiej floty się rozejdą, świątynię wypełnią wdzięczni wierni. Hamilkar cieszył się, że dana mu była ta chwila samotności, kiedy to mógł wyrazić swoją wdzięczność.

Przepychając się przez nadciągający tłum, przyspieszył kroku, ponieważ chciał jak najszybciej wrócić do miasta i dalej rozwijać swój plan, zrodzony z pomysłu, na który wpadł, kiedy usłyszał pierwsze pogłoski o sztormie. Wkrótce miał popłynąć na Sycylię, ale najpierw musiał zasiać ziarno swojej taktyki i jak najlepiej wykorzystać to, że rzymska flota została zniszczona. W drodze do miasta Hamilkar pozbył się ostatnich wątpliwości. Nadszedł czas na dokonanie natarcia, a skoro bogowie byli po stronie Kartaginy, nikt nie mógł się z nim zmierzyć.

Attyk stał z twarzą uniesioną do słońca i zamkniętymi oczami, czując, jak światło rozgrzewa jego ciało. Dookoła rozlegały się zwielokrotnione odgłosy narzędzi cieśli, a dźwięk ten obudził pamięć Greka, przywołując wspomnienie Aspisa, dnia poprzedzającego wypłynięcie floty na Sycylię, oraz podziwu, z jakim patrzył na zebrane okręty. Na tę myśl otworzył oczy i rozejrzał się po osiemdziesięciu galerach zacumowanych w porcie w Agrigentum.

Wiele z nich przechylało się mocno, gdyż w ich kadłubach wciąż zalegała woda. Attyk zauważył, że niektóre załogi używają do opróżnienia zęz nowej pompy śrubowej, dziwnie wyglądającego urządzenia wynalezionego niewiele wcześniej przez pewnego młodego Syrakuzanczyka. Na pozostałych galerach widać było uszkodzenia spowodowane sztormem, poczynając od połamanych wiosel, a na utraconych masztach kończąc; na wodach tuż przy *Orcusie* Attyk naliczył pół tuzina statków, które już nigdy nie będą zdatne do żeglugi.

Podszedł do burty i przesunął dłonią po relingu, a jego palce odnalazły i potarły zarys pęknięcia w twardej sośninie. Ocalało osiemdziesiąt galer. Przepadło ponad trzysta, w tym *Concordia*. Attyk ze zmarszczonymi ponuro brwiami zwrócił uwagę na to, że większość ocalałych okrętów stanowiły kartagińskie galery przechwycone pod Przylądkiem Hermajskim: brak kruka dał im kluczową przewagę podczas tych pierwszych chaotycznych chwil, kiedy linia szkwału zrównała się z flotą.

Sztorm trwał cztery długie godziny, a kiedy w końcu ustał, morze zdążyło pochłonąć niemal sto tysięcy ludzi. Była to oszałamiająca liczba i Attyk nie potrafił jej pojąć; dwudziestokrotnie przewyższała ona liczbę mieszkańców jego rodzinnych Lokr.

– Jesteśmy gotowi do wypłynięcia, prefekcie – powiedział Baro.

Attyk odwrócił się i skinął głową. Jego wzrok

przyciągnęła rana na twarzy zastępcy, a kiedy ten się odwrócił, Attyk nieświadomie dotknął blizny na własnej zuchwie, przesuając po niej palcami, tak jak po pęknięciu w relingu *Orcusa*. Jego ręka opadła, gdy zauważył, że zbliża się Septymus.

– Jesteśmy gotowi do drogi – powiedział Attyk.

Centurion kiwnął głową.

– Drogi do domu – powiedział, rozkoszując się tymi słowami, choć w jego głosie nie było radości. – Ile to potrwa?

– Musimy popłynąć dłuższą trasą, koło Syrakuz – odparł Attyk. – Nieco ponad tydzień, jeśli pogoda się utrzyma.

– Jeśli pogoda się utrzyma? – powtórzył Septymus lodowatym tonem. – Z pewnością ci przekłęci bogowie zebrali już dość duże zniwo?

Attyk przytaknął, dzielając gniew przyjaciela wywołany bezlitosną rzezią dokonaną przez Posejdon, choć jego furia miała też inną przyczynę.

Gajusz wydał rozkaz do prędkości sterownej i *Orcus* ruszył z miejsca, powoli skręcając w wewnętrznym porcie. Attyk zerknął ponad rufą na świątynie górujące nad miastem. Zbudowane niemal dwieście lat wcześniej, kiedy miasto było kolonią Greków, przedstawiały wspaniały widok: świątynie Zeusa i Heraklesa, ruiny świątyni Hery – spalonej przez Kartagińczyków, kiedy splądrowali miasto – i w końcu świątynia Concordii, bogini zgody.

Attyk patrzył przez chwilę na tę ostatnią świątynię, a potem odwrócił wzrok z pogardą. Sztorm rozgromił *classis Romana*, ale kapitan wiedział, że jej los został przypieczętowany wcześniej, gdy Paulus arogancko zignorował jego ostrzeżenia. Rzymianie byli dumnym ludem. U niektórych ta duma rozwinęła się w głębokie poczucie honoru – Attyk odruchowo zerknął na Septymusa – ale w duszach innych przemieniła się w głęboko zakorzenioną pychę, przyczyniającą się do ich arogancji. To właśnie tej cechy charakteru Attyk zaczął po czasie nienawidzić, a napotykał ją aż nazbyt często u swoich dowódców.

Kiedy *Orcus* wypłynął poza szeregi zacumowanych galer, rozległ się sygnał do prędkości standardowej i galera pospieszyła w stronę ujścia portu. Fale zwiększyły się, gdy osłaniające port cyple ustąpiły otwartemu morzu. Attyk rozejrzał się na wszystkie strony – niebo było czyste na całym widnokregu – i wydał rozkaz do zmiany kursu. *Orcus* rozpoczął podróż.

Na południowym wschodzie leżały wybrzeża Syrakuz, a dalej, na północy – Cieśnina Mesyńska. Po wypłynięciu z kanału będą mieli Italię na flance, a na wprost przed dziobem swój cel, miasto zbudowane dzięki dumie stanowiącej główną cechę jego mieszkańców, którego przywódcy wybrali jedną lub drugą ścieżkę wywodzącą się od tej cnoty. Biorąc pod uwagę doniosłe wieści, które wiozł ze sobą *Orcus*, wieści o zniszczeniu floty, Attyk wiedział, że jako najstarszy stopniem

dowódca, który przeżył, będzie musiał stanąć przed przywódcami republiki. Ponieważ Regulus był w rękach Kartagińczyków, a Paulus – Plutona, Attyk nie miał pojęcia, kto będzie na niego czekał w Rzymie.

Scypion nie wstał po zakończeniu debaty i przez chwilę widok przesłonił mu otaczający go senatorowie, którzy podnieśli się i przeszli na środek pomieszczenia. Zaczęli się zbierać w małe grupki: niżsi rangą senatorowie gromadzili się dookoła bardziej zasłużonych, kiwając mądrze głowami, gdy ich mentorowie czynili oczywiste uwagi na temat utraty armii w Afryce. Scypion pochylił się do przodu i patrzył, jak Duiliusz wychodzi z siedziby senatu samotnie; zwrócił uwagę na zdecydowany krok swojego rywala, jego wrodzoną determinację i niezależność, które wyróżniały go na tle gadatliwych, nic nieznaczących ludzi z senatu.

Scypion szanował tę cechę przeciwnika, ponieważ sądził, że głównie dzięki niej on sam zawdzięczał to, że przetrwał i odniósł sukces. Przesuwając wzrokiem po siedzibie senatu, kpił w myślach z obecnych tam ludzi mniejszego formatu, ludzi, którzy tworzyli grupy, aby popierać się nawzajem i wtajemniczać w swoje sekrety. Scypion już dawno temu zdał sobie sprawę, że rzymski senat jest zasadniczo zbiorowiskiem jednostek. Nie istniały stałe podziały między ugrupowaniami, a nawet obecne przymierza były w najlepszym razie tymczasowe: senatorowie tworzyli je dla wygody, aby służyły ich

własnym potrzebom.

Scypion nie miał sprzymierzeńców, lecz tylko chwilowych popleczników, dzięki którym osiągał własne cele, i to było prawdziwym świadectwem jego umiejętności zwodzenia innych. Ci ludzie nigdy nie byli mu równi, ale jeśli byłych wspólników źle się potraktowało, mogli się stać przeciwnikami; świadomość, że ktoś zrobił z nich użytek do własnych celów, wyzwalala w nich wrogość. Jednym z takich ludzi był Regulus, senator, którego Scypion przywołał z zapomnienia i zrobił starszym konsulem. Jednak w chwili nierozważnej furii zdradził mu, jakie kierują nim motywy, i Regulus zaczął mu się przeciwstawiać.

Tamtego dnia Scypion poprzysiągł sobie, że zemści się na Regulusie za jego zdradę, ale także – że więcej nie popełni takiego błędu; swoją kontrolę nad nominacją i wyborem Paulusa starannie ukrywał i starszy konsul nigdy nie poznał tożsamości swojego patrona. Plan Scypiona był prosty: obalić Regulusa, usunąć go ze stanowiska dowódcy armii polowej i zastąpić go Paulusem. Prokonsul jednak cieszył się sporym poparciem w senacie, a były młodszy konsul, Longus – pionek Duiliusza – przy każdej okazji trąbił o jego zwycięstwie pod Eknomos, więc wysiłki Scypiona w Rzymie spełzły na niczym.

Następnie Scypion doprowadził do głosowania, na mocy którego wysłano Paulusa na Sycylię, ponieważ miał nadzieję, że nowy starszy konsul – uwolniony od

bezpośrednich ograniczeń ze strony senatu – siłą odbierze Regulusowi inicjatywę. Jednak znów spotkał go zawód: Paulus trwożliwie ulegał woli senatu.

Teraz jednak koło Fortuny się obróciło. Obojętna mina Scypiona kryła wewnętrzny uśmiech, gdy obserwował zmartwione twarze swoich towarzyszy senatorów. Ich niepokój tworzył w siedzibie senatu wyczuwalne napięcie, które podsycalo satysfakcję Scypiona. Ubolewali nad porażką Regulusa, ale Scypion uważał ją za zwycięstwo: Paulus w końcu miał szansę na osobistą interwencję w Afryce oraz odcisnięcie piętna swojej władzy na całej kampanii. Starszy konsul skwapliwie wykorzystał tę okazję, nieco zbyt późno wykazując się odwagą i przekonaniem.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Scypion był pewien, że jego plan się powiedzie. Jeśli Paulus zakończy kadencję zwycięstwem nad Kartagińczykami, jego facja się umocni, a w rezultacie Scypion zbliży się o krok do swojego ostatecznego celu. Wybrał Paulusa starannie: był on człowiekiem cechującym się właściwą mieszanką ambicji, arogancji i ignorancji i choć przez jakiś czas jego ostrożność rozczarowywała Scypiona, teraz wyglądało na to, że starszy konsul spełni jego oczekiwania.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Drcus* przecinał zatłoczone wody Ostii, a Attyk stał na jego pokładzie dziobowym i obserwował port. Widok ten zawsze robił na nim kolosalne wrażenie: niezliczone statki konkurowały tam o miejsce do cumowania, rozległe nabrzeża pochłaniały ładunki wszystkich jednostek tak szybko, jak tylko można było je wyładować, a handlarze gorączkowo usiłowali zaspokoić nienasycony głód leżącego dwanaście mil dalej miasta.

Okręty handlowe przybyły ze wszystkich krańców basenu Morza Śródziemnego; pochodzenie wielu z nich można było z łatwością odgadnąć na podstawie ich budowy lub załogi, natomiast inne były bardziej anonimowymi biremami oraz barkami żaglowymi, powszechnymi we wszystkich portach. Mimo wojny kupcy raczej nie uznawali granic i część statków zacumowanych w Ostii ledwie kilka dni wcześniej przyплыnęła z portów w imperium kartagińskim, przywożąc z nieznanых miejsc ładunki, które szybko wymieniono na denary. Rzymskie władze usiłowały powstrzymać ten napływ, zamykając port dla statków z najbliższych kolonii Kartaginy – Sardynii, Malty i Balearów – ale pokusa osiągnięcia zysku pchnęła kupców do ukrywania swojej działalności, a rzymscy handlarze w Ostii, lojalni wyłącznie wobec rynku, aż nazbyt ochoczo pomagali w tych potajemnych transakcjach.



Napędzane wiosłami jednostki ustępowały drogi większej od nich kwinkweremie, a Gajusz manewrował zręcznie dookoła mniej zwrotnych barek żaglowych, aż *Orcus* dotarł do północnego krańca portu i baraków wojskowych, bazy *classis Romana*, jak zawsze u nabrzeża zacumowane było wiele galer, ale większość z nich stanowiły triremy, mniejsze okręty, których nie uważano już za godne miejsca w szyku bojowym. Używano ich głównie do patrolowania szlaków morskich u wybrzeży Ostii.

Attyk przyjrzał się uważnie najbliższej triremie. Wyglądała niemal identycznie jak *Aquila* – pierwszy okręt, którym dowodził – tak samo jak wszystkie triremy w rzymskiej flocie, masowo budowane kopie pierwotnego projektu, który przez pokolenie służył we flocie przybrzeżnej. Attyk zignorował niewielkie różnice i z uśmiechem wyobraził sobie swój stary okręt, wolniejszy i mniej potężny niż *Orcus*, ale zwrotniejszy i bardziej zrywny, podobny do ogiera rasy arabskiej, w odróżnieniu od solidnych niczym rumaki bojowe kwinkwerem. To, że rzymska flota przeczuciła się na kwinkweremy, było nieuniknione – zmieniające się oblicze wojny wymuszało używanie większych galer – ale Attyk wciąż był zdania, że triremy mają zalety odwrotnie proporcjonalne do swojego rozmiaru.

Gajusz wydał rozkaz do prędkości sterownej, a potem do wycofania wioseł, i nakierował *Orcusa* na wolne miejsce przy brzegu. Attyk już miał zejść z przedniego

pokładu, ale zatrzymał się, widząc grupę ludzi biegnących w stronę jego galery, wyraźnie wzburzonych żeglarzy i legionistów. Na czele grupy dostrzegł dowódcę, który rozglądał się gorączkowo po pokładzie *Orcusa*.

– Co to za statek? – krzyknął dowódca, podbiegłszy do nabrzeża.

– *Orcus!* – odkrzyknął kapitan.

Dowódca podążył wzrokiem za głosem Attyka i spojrzał prosto na niego.

– Z której floty? – dopytywał się.

– Z floty konsula, z Afryki.

Wydawało się, że dowódca zapomniał języka w gębie, jakby to, co powiedział Attyk, potwierdziło jakąś straszliwą pogłoskę.

– Czy to prawda? – zapytał.

Attyk zrobił zdumioną minę.

– Sztorm, flota! – Dowódca krzyczał coraz głośniej. – Czy to prawda? Czy flota jest zniszczona?

Oszołomiony pytaniami Attyk przeszedł szybko na główny pokład: jednocześnie zrzucono na brzeg i uwiązano cumy. Coraz bardziej zniecierpliwiony dowódca poszedł jego śladem wzdłuż nabrzeża i kiedy trap opadł na ląd, stał naprzeciwko Attyka.

– Odpowiedz mi, kapitanie – powiedział gniewnie.

– Prefekcie – poprawił go Grek, schodząc na ląd. Zauważył, że dowódca ma na sobie strój trybuna, więc byli właściwie równi rangą, choć Attyk wątpił, czy Rzymianin byłby gotów to dostrzec.

– No dobrze... prefekcie – odparł kpiąco trybun. – Czy to prawda, człowieku?

– A co słyszeliście? – zapytał Attyk świadom, że za dowódcą stoi spora grupa żołnierzy. Nie chciał potwierdzać żadnych wiadomości przed rozmową z głównodowodzącym.

– Tylko plotki od kupców, którzy w ciągu ostatnich dwóch dni przybyli do Ostii. Mówili o strasliwym sztormie, który zniszczył flotę konsula na południowo-zachodnim wybrzeżu Sycylii. Słyszeliśmy, że niektórzy przeżyli, ale nie mieliśmy jeszcze potwierdzenia od wojskowej galery.

– Kto tu dowodzi? – zapytał Attyk, wskazując stojące za nimi baraki.

Trybun podał mu nazwisko.

– Zaprowadź mnie do niego – powiedział kapitan i ruszył w stronę budynków.

Trybun zawahał się, ogarnięty frustracją, ale w końcu poszedł za nim, a ludzie, których przyprowadził z baraków, podążyli grupą z tyłu.

Regulus zarzucił świeżą togę i wyszedł z łaźni, biorąc po drodze wyciągnięty w jego stronę puchar wina. Nie kąpał się od tygodni i prosty rytuał oczyszczenia się złagodził trochę złe przeczucia, które towarzyszyły mu nieustannie od czasu, gdy go pojmano. Powąchał wino i upił łyk, rozkoszując się smakiem, po czym poszedł za usługującym mu niewolnikiem na zacieniony dziedziniec

na tyłach willi.

Przywieziono go do Kartaginy poprzedniego wieczoru; przyjechał z Tunesu konno, w obstawie, ze związanymi rękami, jakby był pospolitym przestępcą. Przełknął protesty, wiedząc, że wypowiedzenie ich na głos będzie proszeniem się o kpiny, ale jarzmo niewoli ciążyło mu i z trudem udało mu się podróżować z podniesioną głową.

Spędził noc w kolejnym mrocznym pokoju, ale wraz z nadejściem świtu natura jego niewoli całkowicie się zmieniła. Drzwi do pomieszczenia otworzył niewolnik niosący ręczniki, a kiedy Regulus wyszedł na zewnątrz, od razu zauważył nieobecność strażników. Willa, w której się znalazł, była pogrążona w ciszy i świetle porannego słońca. Poszedł za niewolnikiem do łaźni i choć była ona podrzędna w porównaniu z jego własną w Rzymie, Regulus ucieszył się z możliwości kąpieli. Teraz, gdy siedział na otwartym dziedzińcu, zastanawiał się nad tą zmianą sytuacji. Było dla niej tylko jedno wyjaśnienie.

Regulus podniósł wzrok, gdy Hamilkar wszedł na dziedziniec. Wstał bez zastanowienia, po czym przeklął w duchu swoje niedbalstwo – zmiana w tym, jak go traktowano, zmiękczyła go. Szybko się otrząsnął, wyprostował plecy i przybrał władczy wyraz twarzy, gdy Kartagińczyk się zbliżył.

Barkas, który przejrzał grę Rzymianina, uśmiechnął się pogardliwie. Od kilku chwil przyglądał się Regulusowi z ukrycia, zwracając uwagę na to, jak jest rozluźniony.

Uzasadniło to jego decyzję pójścia wrogowi na to niewielkie ustępstwo – wiedział, że musi nakłonić Rzymianina do uległości, jeśli chce zrealizować swój plan. Podeszedł jeszcze bliżej do Regulusa i stanął przed nim, pozwalając, by cisza się przedłużała.

– Wiem, dlaczego mnie tu przywiozłeś, Barkas – powiedział Regulus.

Hamilkar uniósł pytająco brwi.

– Moi ludzie zaoferowali ci za mnie okup, a ty się zgodziłeś.

Hamilkar nieomal się roześmiał, ale powstrzymał wybuch drwiny, wiedząc, że słowa odniosą znacznie większy efekt.

– Mylisz się, Rzymianinie – odpowiedział. – Przywiozłem cię tutaj, aby móc osobiście dostarczyć ci pewne wieści. – Hamilkar zrelacjonował Regulusowi, co się działo podczas jego niewoli w Tunesie. Zaczął od bitwy u Przylądka Hermajskiego, pomijając kwestię przechwycenia wielu z jego statków, i choć nie mówił o niej jako o porażce, zauważył, że gdy opisywał, jak pod Aspis galery wyłamały się z szyku, aby dołączyć do większej rzymskiej floty z Sycylii, na twarz Regulusa wypełzł przebiegły uśmiech.

Hamilkar przerwał, pozwalając Regulusowi nacieszyć się dobrymi wiadomościami, po czym opowiedział o następnych działaniach rzymskiej floty, jej powrocie na Sycylię, jej głupim zlekceważeniu nieprzewidywalnej pogody przed wschodem Syriusza, a w końcu – o nagłym

sztormie, który całkowicie ją zniszczył. Ciągnął nieprzerwanie, nawet gdy kielich Regulusa spadł z brzękiem na posadzkę, a kiedy skończył, patrzył z zimnym triumfem, jak Rzymianin zatoczył się do tyłu i ponownie usiadł na niskiej ławie.

Hamilkar milczał dalej, nie odrywając uważnego spojrzenia od Regulusa, który siedział z pochyłą głową. Barkas wiedział, że nie potrwa to długo. Rzymianin ponownie podniesie głowę. Zbierze siły, zmobilizuje swoją dumę i oskarży Hamilkara o kłamstwa oraz wymysły. Nie będzie to miało znaczenia.

Z czasem przekona Regulusa o prawdziwości swojej relacji i choć prokonsul pozostanie więźniem, będzie dobrze traktowany, co pozwoli Barkasowi na stopniowe zdobycie jego zaufania, aby Regulus przyjął jego propozycję – którą przecież przyjął już w innej formie.

Attyk pędził konno wzdłuż *via Aurelia*, pochylony nad szyją swojego wierzchowca. Septymus jechał u jego lewego boku, a przed nimi *contubernium* dziesięciu konnych robiło im miejsce, krzykami ostrzegając ludzi płynących strumieniem po wielkim północnym szlaku. Attyk koncentrował się na czekającym go zadaniu, a szybki rytm uderzeń kopyt o kamienne płyty pomagał mu się skupić.

Głównodowodzący w barakach potwierdził słowa trybuna. W Ostii i Rzymie huczało od plotek o zniszczeniu floty i dwa dni niepewności doprowadziły do

paniki utrzymywanej pod kontrolą tylko dzięki brakowi jakichkolwiek twardych dowodów, czyli tego, z czym Attyk właśnie jechał do senatu.

Jeźdźcy dotarli do muru Serwiusza i pędem przejechali Porta Flumentana, zwalniając dopiero, kiedy znaleźli się wśród wąskich uliczek. Po obu stronach wznosiły się *insulae*, a między nimi Attykowi migwały wzgórza Palatyn i Kapitol, wznoszące się z dna doliny.

Na ulicach było tłoczno i wierzchowiec Attyka parsknął z niepokojem, gdy tłum zaczął napierać z każdej strony. Attyk spiął konia, ignorując wściekle przekleństwa ludzi, których odepchnął na bok. Bezcelność pieszych w obliczu uzbrojonych, dosiadających koni mężczyzn była wyrazem tego, jak bezpiecznie rzymscy obywatele czuli się w murach swojego miasta.

Wąskie ulice wkrótce ustąpiły miejsca otwartej przestrzeni Forum Magnum, głównego placu miasta, a konie przyspieszyły i cwałem przejechały na północno-zachodni kraniec, pod kurię. Attyk i Septymus wbiegli po schodach, unosząc wzrok w stronę obstawionego kolumnami wejścia. Dotarwszy na szczyt, Attyk zatrzymał się i obejrzał przez ramię, na rozciągające się za nim miasto. Słysząc było nieprzerwany gwar ludzi rojących się na niezliczonych ulicach. Grek przypomniał sobie ostatnią okazję, kiedy stał w tym miejscu – wtedy ci sami ludzie zgromadzili się na Forum, aby uczcić pierwsze zwycięstwo floty, pod Myle. Odwrócił się i zobaczył, że Septymus czeka na niego. Kiwnął głową i

weszli do środka.

Hałas zewnętrznego świata przycichł, w miarę jak oddalali się od wejścia do kurii, a zastąpił go szum debaty toczonej podniesionymi głosami, przerywany okrzykami aprobaty i sprzeciwu. Attyk zatrzymał się na progu i przesunął wzrokiem po rzędach siedzeń, szukając znajomej twarzy, aby zwrócić uwagę na swoje przybycie.

Komnata była pełna zaledwie w jednej trzeciej; wielu senatorów skupiło się w ciasne grupki toczące własne rozmowy, a inni patrzyli na stojącego bliżej senatora, który przemawiał rozwlekłe. Czytał z pergaminu, a jego monotony głos przykuwał uwagę tylko tych, którzy siedzieli najbliżej, a ich entuzjazm dla jego przemowy i tak wyglądał na – w najlepszym razie – umiarkowany.

Attyk poczuł, że Septymus klepie go po ramieniu i wskazuje mu podium naprzeciwko rzędów siedzeń. Na ustawionym obok krześle z oparciem siedział z wyprostowanymi plecami wiekowy senator, który nie odrywał spojrzenia od mówcy. Attyk kiwnął głową i przeszedł przez pomieszczenie, co przyciągnęło wzrok niektórych senatorów.

Słyszając zbliżające się kroki, *princeps senatus* spojrział w kierunku przybysza i wstał powoli. Na jego twarzy malowała się mieszanka irytacji i zaciekawienia, a kiedy Attyk nachylił się w jego stronę i zaczął szeptać, wśród senatorów wezbrało szemranie, które wkrótce stało się tak głośne, że mówca przerwał orację i zerknął w stronę podium.



Attyk przekazał swoją wiadomość szybko i zwięźle, nie dając przewodniczącemu zbyt wiele okazji na odpowiedź, ale siedzący najbliżej podium zauważyli zmianę w wyrazie twarzy starca, a ich reakcja na nią podsyciła dalsze spekulacje, które położyły kres rozmowom na inne tematy.

Attyk skończył i wyprostował się. *Princeps senatus* wszedł na mównicę i zgromadzeni umilkli, nie czekając, aż poprosi ich o spokój.

– Ten człowiek... – zaczął przewodniczący, wskazując na Attyka i patrząc na niego pytająco. Kiedy Attyk szeptem przypomniał mu swoje nazwisko, mężczyzna mówił dalej: – Prefekt Perennis z floty konsula Paulusa przynosi niezwykle doniosłe wieści.

Na wzmiankę o Paulusie wielu senatorów się podniosło. Wszyscy słyszeli pogłoski, a zachowanie przewodniczącego było ich potwierdzeniem. Po komnacie rozniosła się fala pytań. Przewodniczący próbował przywołać ich do porządku, ale jego słabowitość i oszołomienie osłabiły te wysiłki i jego słowa przepadły we wrzawie.

– Obywatele!

Na niespodziewany, ostry okrzyk Septymusa w pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy przenieśli wzrok na centuriona, którego władcze spojrzenie było jak magnes. Zapadła cisza. Skinął głową do Attyka, który odwrócił się, aby przemówić do zebranych.

– Senatorowie, przybyłem tu z Agrigentum, aby

poinformować was o zniszczeniu *classis Romana* – zaczął Grek. Zrelacjonował przebieg sztormu, poza swoją rozmową z Paulusem w Aspis nie pomijając żadnego szczegółu, nawet utraty *Concordii* wraz z całą załogą.

Senatorowie słuchali w całkowitym milczeniu, oszołomieni katastrofą. Gdy zakończył, rozległa się ogłuszająca wrzawa pytań i lamentów.

Dyskusje uniemożliwiły indywidualną debatę. Attyk został za mównicą, odpowiadając na pytania na bieżąco, wielokrotnie powtarzając szczegóły raportu senatorom siedzącym na przeciwległych krańcach sali. Niektórzy wybiegli z siedziby, aby odszukać nieobecnych, i po drodze z powrotem przekazali im wiadomości. Każdy nowo przybyły tylko podsycił zamieszanie i w senacie robiło się coraz głośniej; wkrótce senatorów było już ponad dwustu. Attyk nie odróżniał już pojedynczych głosów. Frustracja tych, którzy nie usłyszeli meldunku z pierwszej ręki, szybko przemieniła się w agresję, a ogólna wrzawa zagłuszyła ich pytania.

Attyk nie zauważył, że do komnaty wszedł Scypion, przyprowadzony przez jednego z niskich rangą senatorów. Zatrzymał się tuż za wejściem do komnaty i rozejrzał po tłumie, uśmiechając się kpiąco. Widział to już aż nazbyt często. Senat Rzymu, przywódcy republiki, sprowadzony do postaci ogarniętego paniką tłumy, pozbawionego tego, co – jak Scypion uważał od zawsze – mógł zapewnić tylko on i kilku innych, podobnych jemu ludzi: żelaznej ręki. Wydał zwięzły rozkaz młodemu senatorowi u

swojego boku i mężczyzna zniknął w tłumie, aby odszukać przedstawicieli konserwatywnego odłamu i przekazać im, że Scypion się pojawił. Jako grupa nie uważali go za ich przywódcę, ale większość z nich zawarła z nim osobiste przymierza; niżsi rangą senatorowie uważali go za patrona, wyżsi – za towarzysza. Choć każdy z nich uważał, że jego relacja ze Scypionem jest wyjątkowa, zasłona tajemnicy zarzucona przez niego ukrywała faktyczny zasięg jego wpływów.

Wyszedł na otwartą przestrzeń w sali i poczekał, aż kolejne grupki umilkną, a senatorowie zaczną odwracać się pospiesznie w kierunku wskazanym przez innych i w całym pomieszczeniu zapadnie cisza. Wkrótce wszyscy skupili uwagę na senatorze stojącym samotnie pośrodku sali.

Attyk, zdumiony tym, że wszyscy się uspokoili, podążył za spojrzeniem tłumu. Kiedy rozpoznał Scypiona, wezbrała w nim fala gniewu i strachu; zacisnął ręce na skraju mównicy, żeby się uspokoić. Scypion uosabiał wszystko, czego Attyk nienawidził w Rzymie, i Grek zdał sobie sprawę, że jego nienawiść dla tego przebiegłego polityka nie zmniejszyła się w ciągu lat, które upłynęły od ich ostatniego spotkania. Uderzyła go teraz jak młotem prosto w brzuch i nie potrafił powstrzymać emocji. Gniew wykrzywił jego usta, co podkreśliło głęboką bliznę na jego twarzy.

Scypion zwrócił się w stronę mównicy i uśmiechnął zimno na widok miny Greka. Szok wywołany wieściami

przyniesionymi przez młodego senatora złagodziła tożsamość posłańca. Oto Grek, który przyniósł chwałę jego zaprzysiężonemu wrogowi, Duiliuszowi i przyczynił się do upadku Scypiona, sukinsyn, który jakimś sposobem przetrwał kolejne próby zniszczenia go i zawsze przebywał poza bezpośrednim zasięgiem. Senator odwrócił się plecami do Attyka i rozejrzał po niemal pełnej sali. Dał znak wciąż stojącym senatorom, aby usiedli, a oni bez wahania wypełnili jego polecenie. W sklepionej komnacie zapadła cisza.

– Powtórz swój raport w całości – rzucił Scypion lekceważącym tonem przez ramię i głos Attyka ponownie wypełnił pomieszczenie. Wciąż stojąc, Scypion zmienił pozycję tak, żeby wydawało się, iż pośredniczy w składaniu meldunku. Zgromadzeni odruchowo patrzyli to na mównicę, to na jedyne stojącego senatora. Gdy Attyk po raz drugi skończył mówić, wszyscy przenieśli wzrok na Scypiona.

– Czy możesz potwierdzić, że *Concordia* przepadła?  
– zapytał, wciąż zwrócony plecami do Attyka.

– Statki, które przetrwały, popłynęły do Agrigentum. *Concordii* wśród nich nie było. Nie mogę potwierdzić niczego innego – odpowiedział Attyk, a tożsamość pytającego nadała jego głosowi ostre brzmienie.

Scypion momentalnie zauważył jego ton i szybko zmienił w myślach kolejność swoich pytań. Senatorowie byli w szoku: utracie floty towarzyszyła niemal pewna utrata obu konsulów. W chwilach kryzysu słabi ludzie

często zwracają się do silnych po wskazówki i otuchę, a Scypion znajdował się jak na razie na wyjątkowej pozycji. Duiliusz jeszcze się nie pojawił i to on prowadził dyskusję. Senat widział w nim przywódcę, ale Scypion wiedział, że oszołomienie spowodowane wstrząsem i niepewnością wkrótce zostanie przełamane, gdy co bystrzejsi przedstawiciele senatu się otrząsną. Musiał zatem działać szybko, jeśli chciał w pełni wykorzystać okazję. Paulus z pewnością zginął i senat wkrótce będzie musiał wybrać nowego przywódcę, ale była to też szansa na oczernienie Greka. Ponownie odwrócił się do Attyka i – chcąc go podjudzić – przybrał minę wyrażającą całkowitą pogardę.

– Skoro starszy konsul zaginął, jesteś najwyższym rangą dowódcą, który przeżył sztorm? – spytał.

– Tak – odpowiedział Attyk.

Scypion kiwnął głową i ponownie zwrócił się do senatorów.

– Uznałeś więc, że spoczywa na tobie odpowiedzialność zawiadomienia senatu – ciągnął, obejmując zebranych gestem.

– Tak – powtórzył zwięźle Attyk.

– Odpowiedzialność – powtórzył Scypion, jakby rozmyślając nad tym słowem. – Czy znana jest ci zbrodnia zwana *perduellio*? – zapytał Greka.

Po komnacie poniósł się niski pomruk z odcieniem zaskoczenia i oburzenia, a zanim Attyk zdążył odpowiedzieć, Scypion znów odwrócił się do senatorów,

świadom, że musi powściągnąć ich gniew wywołany utratą floty oraz zachować ostrożność.

– Zrozumcie, że nie oskarżam starszego konsula ani prefektów floty o popełnienie tego przestępstwa – ciągnął taktownie Scypion – ale uważam, że taka strata prosi się, aby ktoś wziął za nią odpowiedzialność.

*Perduellio* to zbrodnia zdrady. Z powodu utraty floty bezpieczeństwo Rzymu zostało bardzo poważnie nadszarpnięte. Musimy wiedzieć, kto ponosi za to odpowiedzialność.

Wielu senatorów pokiwało głowami. Utrata floty była katastrofą, a jeśli spowodowało ją czyjeś zaniedbanie, możliwe, że była skutkiem zdrady. Zebrani ponownie spojrzeli na Attyka, a liczni spośród nich nieświadomie myśleli o nim już jako o oskarżonym, a nie posłańcu.

Attyk nigdy nie słyszał o *perduellio*, ale zrozumiał aluzję dotyczącą oskarżenia o zdradę, i jego gniew przemienił się w ostrożność. Wyczuł, że Septymus podchodzi o krok bliżej do mównicy, i jego obecność dodała Attykowi sił, choć nie spuszczał wzroku z Rzymianina. Senator odwrócił się do niego.

– Zaraportowałeś, że konsul Paulus rozkazał flocie popłynąć na Sycylię, aby nękała kontrolowane przez Kartagińczyków porty na południowo-zachodnim wybrzeżu.

– Takie były rozkazy konsula – odparł Attyk, świadom gry słów Scypiona. Konsul insynuował, że Attyk relacjonuje osobistą wersję wydarzeń, która tuszowała

jakąś ukrytą prawdę. Grek próbował przewidzieć kolejne pytanie Scypiona, wiedząc, że senator znajduje się na swoim terenie i ma nad nim przewagę w kwestii doświadczenia.

– Twój okręt przetrwał sztorm – stwierdził Scypion. – Najwyraźniej jesteś doświadczonym żeglarzem. Dlaczego zatem nie przewidziałeś tak straszliwego pogorszenia pogody i nie ostrzegłeś konsula? Jesteś prefektem i powinieneś być lojalny przede wszystkim względem floty.

– Ależ... – Attyk już miał odpowiedzieć, ale powstrzymał się i zawahał. Zapewnianie, że przecież ostrzegął Paulusa, z pewnością zrobiłoby wrażenie kłamstwa wymyślonego w obronie na subtelne oskarżenie Scypiona, ale milczenie rzuciłoby na niego równie złe światło.

Scypion był zdumiony jego wahaniem i nagle zdał sobie sprawę, że całkiem możliwe, iż Perennis faktycznie przewidział sztorm, a nawet ostrzegł Paulusa o zagrożeniu. Szybko dokonał ponownej oceny swojego ataku. Jedną z najważniejszych zasad toczenia debaty było to, aby zadawać wyłącznie pytania, na które zna się już odpowiedź, by uniknąć zaskoczenia. Scypion sądził, że jego pytanie jest bezpodstawne, że nie da się przewidzieć kaprysów pogody, ale zadał je tak czy owak, pewien, że Perennis nie będzie w stanie odeprzeć zarzutu o zaniedbanie żadną odpowiedzią. Choć Grek nigdy nie zostałby uznany winnym *perduellio* z tak błahaego powodu, zasugerowana mu wina pozostanie w pamięci.

Teraz jednak istniała możliwość, że Grek zamieszałby w sprawę Paulusa, a choć Scypion nie dbał o reputację konsula, atak ten mógłby rozwścieczyć wielu senatorów. Scypion straciłby swoją chwilową kontrolę nad debatą wśród oskarżeń o pomówienie.

– Zakres twoich obowiązków był jasny i zajmujemy się tobą w odpowiednim czasie – podsumował, chcąc zakończyć atak, póki miał inicjatywę. – Na razie możecie odejść.

Attyk stał wciąż sparaliżowany niepewnością, aż piorunujące spojrzenie Scypiona zmusiło go do ruszenia się.

– Czekaj – powiedział Septymus i wszedł na mównicę.

Scypion obrócił się.

– Milcz, centurionie – syknął. – Macie obaj opuścić kurię. Wynoście się.

– Stać! – ktoś krzyknął i wszyscy zebrani odwrócili się w stronę senatora stojącego przy wejściu.

Duiliusz przeszedł zdecydowanym krokiem na środek pomieszczenia i zajął miejsce między Scypionem a mównicą. Stał przez chwilę w milczeniu, z ostrym, zdeterminowanym wyrazem twarzy, czekając, aż rytm oddechu wróci do normy. Pokonana galopem podróż z jego leżącej poza murami miasta posiadłości zmęczyła go, ale dała mu też szansę na pełne przeanalizowanie wiadomości przyniesionej przez posłańca. Zerknął przez ramię na podium i choć minę miał obojętną, subtelnym



kiwnięciem głową dał znać stojącym tam dwóm mężczyznom, że jest z nimi. Słyszał ostatni fragment konfrontacji między nimi a Scypionem i natychmiast zrozumiał zamiary swojego rywala. Ponownie odwrócił się do zgromadzonych.

– Senatorowie Rzymu – zaczął – wobec tej katastrofy musimy być zjednoczeni w lojalności, nie podzieleni potępieniem. Prefekt jest posłańcem. Nie jest tutaj po to, żeby odpowiadać za utratę floty.

Dramatyczne pojawienie się Duiliusza odebrało Scypionowi kontrolę nad debatą i większość senatorów wyraziła zgodę, po czym ponownie skoncentrowała się na sednie kryzysu. Scypion dostrzegł tę zmianę i przeciął salę, co przyciągnęło uwagę zebranych.

– Utrata floty jest katastrofą, która wymaga szybkich i zdecydowanych działań. Musimy potwierdzić, czy konsulowie faktycznie zaginęli, i podjąć odpowiednie kroki – stwierdził.

Senatorowie znów podnieśli głosy z aprobatą i Scypion przestał krążyć po komnacie. Duiliusz zerknął na Attyka i dał mu ręką sygnał, aby wyszedł. Attyk kiwnął głową i wraz z Septymusem po cichu opuścił siedzibę senatu.

Duiliusz odprowadził ich wzrokiem i ponownie skupił się na osobie swojego rywala. Debatą przeradzała się teraz w rozwlekłą dyskusję, a senatorowie zaczęli wstawiać, aby było ich lepiej słychać. Duiliusz dalej się przyglądał, a *princeps senatus* zaprowadził do pewnego

stopnia porządek, wywołując senatorów po imieniu i po kolei udzielając im głosu. Scypion przeszedł powoli na swoje miejsce, w końcu opuszczając środek sali świadom, że jego moment minął. Duiliusz podążył jego śladem, zerkając na niego ukradkiem, gdy siadał.

Wraz ze stratą zarówno floty, jak i konsulów polityczna stawka niewyobrażalnie wzrosła i Duiliusz przeklinał te kilka kluczowych minut, podczas których Scypion kierował debatą; wiedział, że wielu bardziej kapryśnych przedstawicieli senatu zapamięta, iż w chwili szalejącej niepewności stał przed nimi Scypion.

Septymus wyciągnął rękę i podtrzymał Attyka, ściskając mocno jego ramię. Stali na szczycie schodów prowadzących z kurii na Forum.

– Dzięki niech będą Fortunie, że Duiliusz się pojawił – mruknał.

Attyk kiwnął głową.

– Ten sukinsyn Scypion – mruknał, zerkając przez ramię na zacienione wejście do kurii. Senator całkowicie go wymanewrował, zapędził go w kozi róg, a potem odciął drogę ucieczki. Attyk czuł się jak głupiec i był zły, że nie obronił się lepiej. Odwrócił się szybko i ruszył po schodach, a Septymus podążył o krok za nim.

Popołudniowe słońce grzało ich w plecy i centurion patrzył, jak ich cienie docierają do podnóża schodów przed nimi; gotował się z wściekłości na myśl o tym, jak senat potraktował jego przyjaciela, a szczególnie, co

wyczyniał Scypion przed pojawieniem się Duiliusza. Gdy dotarli na dół, zerknął na Attyka i zauważył, że przyjaciel patrzy w stronę południowo-wschodniego krańca Forum i leżącej dalej dzielnicy Wiminał.

Myśli o wydarzeniach w senacie zastąpił w sercu Septymusa zapomniany gniew. Jego siostra Hadria mieszkała w domu ich ciotki na Wiminale i Attyk najwyraźniej myślał o tym, żeby ją odwiedzić. Czas nie załagodził sprzeciwu Septymusa względem związku Attyka z jego siostrą, lecz kiedy już miał zastąpić przyjacielowi drogę, zawahał się.

Pomyślał o tym, jak dużo czasu upłynęło od ich ostatniego pobytu w Rzymie, od jak dawna nie widział własnej rodziny. Podniósł wzrok na kurię i przypomniał sobie niebezpieczeństwo, z którym właśnie zmierzył się Attyk, oraz wielu wrogów, którym wspólnie stawili czoło w ciągu ostatniego roku. Na moment znów obudziła się w nim duma, żądając, aby skonfrontował się z Attykiem, ale poczucie przyjaźni nakłaniało go do niedopuszczenia swoich przekonań do głosu.

– Idę na Celius, odwiedzić rodzinę – powiedział Septymus. – Zobaczymy się na statku?

Pytanie zaskoczyło Attyka, ale szybko się otrząsnął i pokiwał głową. Septymus klepnął go w ramię i podszedł do *contubernium* żołnierzy czekających z końmi. Dosiadł wierzchowca i ruszył przez Forum, nie oglądając się za siebie.

Attyk stał jeszcze chwilę, w końcu odebrał własnego

konia i odprawił żołnierzy. Wspiął się na siodło i spojrział w stronę, w którą odjechał Septymus, ale nie było go już widać. Attyk popędził konia w kierunku Wiminału.

Pamiętał każdy zakręt na trasie i dotarł do celu z łatwością. Kiedy uwiązywał konia przed domem Hadrii, miał wrażenie, że poprzedniego roku wcale nie było. Gdy zastukał do bramy, otworzył mu służący, którego nie rozpoznawał. Oczy mężczyzny nabrały podejrzliwego wyrazu na widok wysokiego nieznanego z blizną na twarzy i przenikliwymi zielonymi oczami. Podejrzliwość wzrosła jeszcze, gdy Attyk przemówił – jego nietypowy akcent wskazywał, że nie pochodzi z Rzymu. Wyraźnie nieufny służący wpuścił go do środka, zaprowadził na atrium i poprosił go, aby poczekał.

Attyk obszedł położony pośrodku atrium basen z deszczówką. Przebywając poza Rzymem, myślał o Hadrii prawie codziennie, przywoływał w myślach konkretne wspomnienia, aby uchwycić esencję jej urody, ale próbował nie ulegać emocjom – nie miał pojęcia, kiedy ją znów zobaczy, a wielka odległość między nimi stanowiła otchłań, którą przekroczyć mógł tylko los. Teraz od ponownego spotkania dzieliły ich zaledwie chwile i Attyka zalało uczucie do niej.

Hadria pojawiła się błyskawicznie, wbiegając do atrium i rozglądając się za nim. Attyk wlepił w nią uważny wzrok, napawając się każdym szczegółem. Wyglądała inaczej niż wyobrażenie o niej, które krzepiło go przez ostatni rok. Jej brązowe włosy były ciemniejsze,

sięgały ramion i podkreślały jej szaroniebieskie oczy, których wejrzenie miało stalową determinację, jakby nabrała pewności siebie.

Twarz Hadrii rozjaśniła się, gdy zobaczyła Attyka po drugiej stronie spokojnej sadzawki; obiegała ją dookoła i wpadła mu w ramiona. Wdychała jego zapach, pozwalając mu wypełnić swoją pamięć, a kiedy zakończyła uścisk, aby go pocałować, zrobiła to tak mocno, że pękła jej warga. Krew zmieszała się z jego smakiem. Mieli już za sobą takie chwile, gdy wracał z kolejnych kampanii, ale zawsze miała wrażenie, że to pierwszy raz, a emocje niemal ją obezwładniały. Przyciągnęła go jeszcze bliżej, nie mając odwagi zaufać swoim zmysłom i uwierzyć, że znów wrócił.

Kilka godzin później Attyk siedział na skraju łoża Hadrii i patrzył na słońce zachodzące za wzgórze Kwirynał. Poczuł na plecach lekki dotyk, obejrzał się przez ramię i uśmiechnął. Hadria była wyciągnięta na łóżku, a włosy opadały jej na twarz w nieładzie. Na powrót padł jej w ramiona. Pocałował ją czule, świadom, jak delikatne wrażenie sprawia jej nagie ciało, ale kiedy się ruszała, czuł siłę drzemiacą w jej smukłych kończynach.

– Wkrótce będzie tu posłaniec – powiedział.

Kiwnęła głową. Septymus był w domu, co oznaczało, że wkrótce zostanie wezwana, aby się z nim spotkać. Jej ekscytację na myśl o zobaczeniu się z całym i zdrowym

bratem osłabiała konieczność rozstania się z Attykiem.

– Możesz poczekać, aż wrócę? – zapytała.

– Nie mam dość czasu – odparł. – Jeśli mam wrócić do Ostii, muszę wyjechać z miasta, zanim o zmroku zamkną bramy.

– Mógłbyś zostać tu na noc – powiedziała z uśmiechem.

– Ale czy twojej ciotki nie ma w domu?

– Tak, ale wie o tobie – rzuciła swobodnie Hadria.

Attyk oniemiał na tę rewelację. Myślał, że Hadria za wszelką cenę próbuje utrzymać ich związek w tajemnicy, dopóki nie poczuje, że nadeszła odpowiednia pora, aby powiedzieć o nim rodzicom.

– Udaremniam wysiłki rodziców, którzy chcą ponownie wydać mnie za mąż – wyjaśniła. – To wzbudziło podejrzenia ciotki, a przy tylu służących w domu jest niewiele tajemnic. Wypytała mnie kilka miesięcy temu i zdradziłam jej, że cię kocham.

– Powiedziała to twoim rodzicom?

– Nie. Zgodziła się na utrzymanie tego w sekrecie, pod warunkiem że sama wyjawię to rodzicom podczas twojej następnej wizyty w Rzymie.

– A zatem muszę ci dziś wieczorem towarzyszyć – powiedział Attyk.

Hadria pokręciła głową.

– Mojego ojca jeszcze przez tydzień nie będzie w mieście. Kiedy wróci, stawimy się przed nim oboje.

Uśmiechnęła się wyczekująco i Attyk objął ją raz

jeszcze, nie chcąc, aby wyczuła jego wątpliwości. Ojciec Hadrii, Antoninus, niegdysiejszy centurion w Dziewiątym legionie, był Rzymianinem i ekwitą. Jego podejście do Attyka zawsze było mieszanką szacunku i pogardy: podziw dla niego jako dowódcy walczył w nim z podejrzliwością wywołaną pochodzeniem Attyka. Teraz Grek miał stanąć przed nim w roli zalotnika jego córki, i tylko od Antoninusa będzie zależało, który instynkt w nim wygra.

Scypion rozejrzał się powoli po oświetlonych blaskiem świec ścianach jadalni, uważnie przyglądając się znajomym malowidłom naściennym, opowiadającym historię o bohaterskiej ucieczce Eneasza z Troi i podróży, która zawiodła go do wybrzeży Italii. Ten nieskomplikowany wątek dziejów doprowadził wiele pokoleń później do założenia Rzymu. Scypion uśmiechnął się na wspomnienie o tym, jak w dzieciństwie ojciec zabraniał mu wstępu do tego prywatnego pomieszczenia. Wielokrotnie złamał ten zakaz i wkradał się tam, aby oglądać wyobrażenie legendy, która go fascynowała. Nawet teraz, choć jego ojciec nie żył, Scypion wciąż czuł cień strachu, który towarzyszył mu podczas każdej tajemnej wizyty w pokoju.

Na odgłos zbliżających się kroków Scypion otrząsnął się i spojrzał w stronę drzwi. Chwilę później weszła jego żona, Fabiola. Miała na sobie prostą wełnianą stolę, a skromność szaty podkreślała klasyczną urodę kobiety; jej

ciemnobrązowe oczy odbijały płomienie świec, które zamigotały, gdy sunęła w stronę własnej sofy. Wyciągnęła dłoń, a Scypion ujął ją, gładząc kciukiem jej smukłe palce. Uśmiechnęła się skromnie i kiwnęła głową, gdy zaproponował jej wino.

Scypion przywołał służących, którzy natychmiast wmaszerowali do pokoju ze świeżymi owocami i gotowanym mięsiwem. Po kolei postawili półmiski na niskim, kwadratowym stole między sofami. Gdy wyszli, Fabiola zaczęła lekkim i miłym tonem toczyć błąhą rozmowę, przerywając tylko po to, aby dolać mężowi wina, i starannie dobierając słowa, aby rozluźnić go i zabawić.

Czuła, że wzbiera w niej intensywne wyczekiwanie. Decyzja Scypiona, że zjedzą kolację w prywatnej jadalni, mogła oznaczać tylko to, że chciał poprosić ją o radę. Teraz czekała, aż mąż przerwie jej paplaninę i ujawni swoje ukryte myśli. Dawniej służący, którzy byli płatnymi szpiegami Duiliusza, podsłuchiwali ich rozmowy w domu – Fabiola ich zdemaskowała. Pamiętała, jak jej mąż kazał ich poddać brutalnym torturom i zgładzić. Przerwała, aby nabrać tchu, i wtedy jej mąż się odezwał.

– W obliczu śmierci Paulusa i Nobiliora senat postanowił, że w przyszłym tygodniu odbędą się nadzwyczajne wybory na stanowisko konsula.

Fabiola kiwnęła głową, ale milczała.

– To może być szansa dla mnie – rzekł z namysłem, patrząc uważnie na żonę.



Przez chwilę zbierała myśli, po czym odparła:

– Zgadzam się, że może już nie nadejść lepsza pora.

Scypion przytaknął.

– Nie planowałem jednak ubiegać się o to stanowisko jeszcze przez co najmniej dwa lata – stwierdził. – Jeśli spróbuję teraz i mi się nie uda, stracę szansę na przyszłość.

– Czy teraz, czy w przyszłości przedłużająca się kampania przedwyborcza byłaby trudna. – Biorąc pod uwagę to, jak się zhańbiłeś, dodała niemal, ale się powstrzymała. – Twój sojusznicy wśród senatorów to ludzie słabi, niewolnicy swoich namiętności. Utrata floty to kryzys, w którym mogą przydać się twoje umiejętności oratorskie. Jeśli podsycisz płomienie ich strachu i niepewności, poprą cię.

Sam tak uważał, ale aprobatą Fabioli utwierdziła go w tym przekonaniu. Spojrzał na nią nad brzegiem kielicha, rozmyślając nad jej słowami, i nie znalazł żadnej wady w swoim planie, choć był ryzykowny. Duiliusz z pewnością mu się sprzeciwi, być może wysuwając własnego kandydata spośród „nowych ludzi”, a poza dwoma ugrupowaniami w senacie wciąż było wielu niezdecydowanych. Scypion raz jeszcze rozważył możliwości, analizując je z każdego punktu widzenia. Powoli okręcał puchar w dłoni, tworząc maleńki wir w ciemnoczerwonym winie.

Fabiola przyglądała się mężowi w milczeniu, pewna, że jej słowa go umocnią, i czuła, że niedługo podejmie

decyzję. Poprzedni rok był bardzo ciężki i wyczerpujący dla nich obojga: niezliczone wieczory spędzili na zabawianiu zaproszonych polityków w głównej jadalni domu, podczas uczt starannie zaaranżowanych po to, aby nakłonić senatorów do przejścia na stronę Scypiona. Fabiola przypominała sobie, jak często przymilała się do mężczyzn, którzy nie dorastali jej mężowi do pięt, aby zapewnić mu ich poparcie. Te wysiłki przyniosły owoce w postaci częściowego wskrzeszenia jego politycznej kariery, ale dla Fabioli była to niedostateczna rekompensata: niecierpliwie wyczekiwała chwili, gdy Scypion ponownie zajmie należne mu stanowisko najpotężniejszego człowieka w Rzymie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lentulus, główny budowniczy floty, gładził swoją rzadką, siwą brodę i słuchał uważnie rozmów toczących się dookoła stołu. Zerknął na greckiego żeglarza u szczytu stołu, rozmyślając nad kluczowymi elementami jego raportu, a potem na swoje notatki, nagryzmołone słowa i proste diagramy, które obrazowały jego pierwsze myśli.

Przypomniwał sobie, jak poznał Attyka kilka lat wcześniej. Pod wieloma względami był taki sam: wciąż wysoki i szczupły, wciąż miał w sobie pewien intensywny niepokój, który często udzielał się innym – teraz na przykład pomocnikom Lentulusa – ale pod innymi się zmienił. Wyraźną różnicę stanowiła blizna na jego twarzy, ale można było dostrzec też subtelniejsze szczegóły: jego wcześniejszą otwartość zastąpiła rezerwa i odnosiło się wrażenie, że usiłuje przeniknąć wzrokiem każdego, na kogo spojrzał, jakby chcąc poznać jego najskrytsze myśli.

– Musimy spróbować przywrócić projektowi równowagę – powiedział jeden z pomocników, a Lentulus wrócił myślami do rozmowy.

– Nie możemy – odparł inny. – Jeśli na rufie umieścimy przeciwwagę dla kruka, zwiększymy zanurzenie okrętu.

– Zapominasz o większym balaście kwinkweremy – odciął się pierwszy. – Kruka zaprojektowano początkowo dla triem. Większy okręt wytrzyma ten ciężar.

– Nie – wtrącił Lentulus i spojrział na greckiego żeglarza. – Prefekcie, opowiedz nam jeszcze raz o *Strenui* i o tym, jak zatoneła.

Attyk ponownie zrelacjonował to, co widział. Tak jak wcześniej, pomocnicy słuchali z zapartym tchem, szczególnie gdy opisywał, jak szybko galera przepadła podczas sztormu.

– To nie jest kwestia wagi – Lentulus przerwał ciszę, która zapadła po meldunku Attyka – lecz równowagi.

Wstał i z dłońmi splecionymi za plecami, przemierzając pokój tam i z powrotem, zaczął wyjaśniać, do jakich doszedł wniosków, po części na użytek zebranych, ale też po to, aby – wypowiadając je na głos – uporządkować je sobie w głowie.

– Ani oryginalnej triremy z rzymskiej floty przybrzeżnej – perorował – ani zbudowanej w tyryjskim stylu kwinkweremy z kartagińskiej floty, której projekt przejęliśmy, nie skonstruowano z myślą o kruku. Oba rodzaje mają starannie wyważony kadłub, a ciężar kruka niszczy tę równowagę.

– Przecież wzięliśmy to pod uwagę, kiedy montowaliśmy kruki – sprzeciwił się jeden z pomocników. – Zbudowaliśmy je tak, żeby statek wytrzymał ich ciężar. Być może wina leży nie po stronie statku, lecz załóg i ich umiejętności żeglarskich.

Oczy Attyka pociemniały.

– Sądysz zatem, że załoganci sami są winni swojej śmierci? – warknął.

Młodzieniec wyraźnie dosłyszał ton agresji czający się w głosie Attyka, ale nie ustępował: nie chciał stracić twarzy w obecności swojego zwierzchnika.

– Z całym szacunkiem, prefekcie – powiedział drżącym głosem – ale projekt nie może być wadliwy. Poddaliśmy go rygorystycznym sprawdzianom.

– Wypróbowaliście swój projekt na wodach przybrzeżnych – zwrócił uwagę Attyk. – Nie dokonaliście pełnych prób na otwartym morzu, podczas bitwy czy sztormu. Żeglarze, o których tak źle mówisz, stracili życie, udowadniając to.

Mężczyzna przywołany do porządku słowami i przekonaniem kapitana wlepił wzrok w stół. Attyk nie odrywał od niego pełnego irytacji spojrzenia. Był zapewne niewiele starszy, gdy sam dołączył do floty, i teraz zdał sobie nagle sprawę, że gniewa się nie na pomocnika, ale na samego siebie. Przypomniał sobie dzień, kiedy przybiegł do tego samego pokoju z załączkiem pomysłu, który miał przybrać postać kruka. Pamiętał, jak stał przed Lentulusem i tłumaczył mu swój plan zamontowania rampy do abordażu, jak pękał z dumy, gdy zamysł ten zrealizowano i sprawdzono podczas bitwy pod Myle. Choć wydawało się, że było to wieki temu, upłynęło zaledwie kilka lat i Attyk przyznał, że ukrył to wspomnienie przed samym sobą, żeby stłumić poczucie winy, wiedział bowiem, że niegdyś był największym orędownikiem kruka.

– Prefekt ma rację – powiedział Lentulus, przejmując

kontrolę nad rozmową. – W pośpiechu i pysze zignorowaliśmy podstawowe atrybuty galery, balast oraz równowagę, i nie do końca zdaliśmy sobie sprawę z tego, jaki wpływ będzie miał na nie *corvus*.

Czeladnicy pokiwali głowami, zgadzając się bez słowa, a Lentulus polecił im zacząć pracę nad rozwiązaniem tego problemu i ich odprawił.

– Sądysz zatem, że jest jakieś rozwiązanie? – zapytał Attyk.

Lentulus spojrział na swoje początkowe, pobieżne notatki.

– Nie – odparł po chwili. – Jeśli chcemy, żeby nasze galery konkurowały z kartagińskimi pod względem prędkości i zwrotności.

– Nie możemy walczyć z Punijczykami na ich warunkach, potrzebujemy przewagi, jaką daje nam *corvus* – powiedział Attyk. Ta obrona rampy abordażowej zabrzmiała w jego własnych uszach zdradziecko.

– Możliwe, że nie będziemy mieli wyboru, prefekcie – odparł Lentulus, ponownie krążąc po pokoju. – Wszyscy w Ostii wiedzą, jak i dlaczego przepadła flota. Załoganci już odmawiają pływania na galerach wyposażonych w kruka i nie bez powodu. Oni nie chcą... a my nie możemy... ryzykować jeszcze jednej takiej katastrofy.

Rozmowa trwała dalej, ale Attyk nie potrafił się skupić. Przebywał w Rzymie od ponad tygodnia i sprzeczał się na ten temat już niejednokrotnie, choć z innymi. To, że główny budowniczy okrętów poprosił go o

osobiste złożenie raportu, było dowodem na ogrom problemu, z jakim musiała się zmierzyć flota. Dylemat rozbijał się o kwestie sił Kartagińczyków oraz pogody: pierwsze zagrożenie nakazywało zachowanie kruka, drugie – zlikwidowanie go ze statków.

Spotkanie zakończyło się godzinę później. Attyk zszedł na brzeg, by się orzeźwić. Pochylnie i rusztowania, które zajmowały sporą część plaży, były pogrążone w bezruchu i żarze południa. Attyk szedł między nimi, a delikatny, rytmiczny odgłos fal rozbijających się o czarny piasek pozwolił mu wyciszyć gorycz. Odwrócił się plecami do plaży, odnalazł swojego konia w stajni przy barakach, dosiadł go i ruszył w stronę miasta. Teraz myślał już tylko o nadciągającym wieczorze, a na jego twarz wypełził uśmiech wyczekiwania. Ojciec Hadrii wrócił do Rzymu i w końcu nadszedł czas, aby miłość jej i Attyka ujrziała światło dzienne.

Regulus zaklął, gdy zahaczył stopą o luźny kamień i musiał wyrzucić ramiona na boki, żeby zachować równowagę. Oddział eskortujących go żołnierzy nie zwolnił ani na chwilę i Rzymianin był zmuszony podbiec kilka kroków, aby wrócić na miejsce pośrodku formacji. Podniósł wzrok na wzgórze po lewej i twierdzę wieńczącą jego szczyt, aby porównać ją z opisami zawartymi w raportach, które przeczytał od czasu przybycia do Afryki. Żadnemu z nich nie udało się uchwycić natury fortecy, jej ogromu oraz zapierającej dech w piersiach lokalizacji, i

Regulus zastanawiał się, jak Kartagina mogła upaść, mając u podstaw taką potęgę.

Oddział doprowadził go do nabrzeża, a stłoczeni tam handlarze i kupcy rozstąpili się, aby przepuścić żołnierzy; rozmowy toczyły się nieprzerwanie mimo zawady, słychać było podniesione głosy mówiące językami, których Regulus nie rozumiał. Wlepiał wzrok przed siebie, ignorując nienawistne spojrzenia tych niewielu ludzi, którzy domyślili się jego pochodzenia. Ogólna wrzawa zagłuszyła ich niezrozumiałe obelgi.

Za portem handlowym znajdował się wojskowy i Regulus znów wykorzystał okazję, aby uważnie się rozejrzeć. Ten port był okrągły, pośrodku wznosiła się wyspa otoczona laguną, a dookoła biegł pomost. Na całej dostępnej przestrzeni wznosiły się hangary na okręty i Regulus naliczył, że z kilkunastu na dwieście miejsc wystają tarany przypominające wysunięte pazury czających się wewnątrz bestii.

Na drugim końcu portu znajdował się barak. Oddział przeszedł przez łukowate wejście i dostał się na niewielki dziedziniec; na jego trzech pierzejach widać było otwarte bramy prowadzące do wewnętrznych korytarzy i pomieszczeń, ale na ścianie naprzeciwko Regulusa wszystkie drzwi były zaryglowane. Metal okuć pozieleniał od nasyczonego solą powietrza. Dowódca oddziału podszedł do środkowych drzwi i odsunął rygiel mocnym ruchem, po czym odwrócił się do Regulusa i gestem kazał mu się zbliżyć.



– Masz pół godziny – powiedział.

Regulus był zdezorientowany, ale wszedł do zaciemnionego pokoju. Drzwi zamknęły się za nim, a rygiel głośno wsunięto na miejsce.

Jego wzrok natychmiast przyciągnął mały otwór wysoko w ścianie naprzeciwko, przez który wpadał żaloszny promyk białego światła, ledwie przenikający przytłaczającą ciemność. Krawędzie otworu były zaplamione białymi odchodami, a w promieniu światła unosiły się pojedyncze pióra: ptaki, zaniepokojone odgłosem otwieranych drzwi, pofrunęły z powrotem na swoje grzędę.

– Prokonsulu?

Regulus spuścił wzrok i dostrzegł, że w mroku podchodzą do niego cztery postaci. Ludzie ci mieli na sobie podarte rzymskie stroje, a kiedy na ich wychudzone twarze padło światło słońca, Regulus rozpoznał każdego z nich. Byli trybunami z jego armii, częścią sztabu dowódców, który towarzyszył mu podczas ucieczki spod Tunesu. Regulus odruchowo się wyprostował, a trybunowie poszli jego śladem i zasalutowali mu. Przyjął to kiwnięciem głową, a potem podszedł bliżej, wyciągając rękę. Wszyscy trzej wymienili z nim uściski dłoni, milczący gest braterstwa.

– Co wiadomo o reszcie? – zapytał Regulus.

– Trafili do niewoli, prokonsulu – odparł jeden z trybunów – Tylko nas sprowadzono tu z Tunesu pięć dni temu.

– Do niewoli – powtórzył Regulus, pochylając głowę. W ciągu poprzedniego tygodnia Hamilkar trzykrotnie odwiedził go w willi. Za każdym razem Regulus pytał o los pięciuset ludzi pojmanych pod Tunesem, ale Kartagińczyk nie dawał się wciągnąć w rozmowę na ten temat i zamiast tego koncentrował się na świeżych dowodach, które potwierdzały jego opowieść o zniszczeniu rzymskiej floty. Podejrzenia Regulusa i wykręty Hamilkara sprawiły, że pogodził się z myślą, iż los jego legionistów był przesądzony w chwili, kiedy schwytano ich w bitwie.

– Mamy znacznie gorsze wieści, prokonsulu – rzekł inny trybun i zaczął relacjonować Regulusowi plotki, które słyszeli o sztormie.

Regulus podniósł dłoń, aby go uciszyć.

– Te plotki mogą być prawdziwe – powiedział, dopiero teraz przyznając na głos, że wierzy w to, co powiedział mu Hamilkar. Szczegółowo wyjaśnił, co wiedział, a ich miny wskazywały, że zaczynają uświadamiać sobie straszliwą prawdę, z którą on mierzył się od tygodnia.

W ciszy, jaka zapadła później, Regulus przyglądał się im uważnie. Wszyscy trzej byli młodymi synami senatorów, a dwaj – byłych konsulów. Kampania w Afryce była dla nich pierwszą, a Regulus przypomniał sobie ich zaraźliwą radość po zwycięstwach pod Eknomos i Adys, ich bezgraniczną pewność siebie podsycaną naiwnością właściwą młodemu wiekowi. Klęska i niewola

zniszczyły w nich tę zuchwałość, ale Regulus z dumą dostrzegał, że – przynajmniej do pewnego stopnia – zastąpiła ją dojrzałość, siła, której będą potrzebowali w ciągu następnych miesięcy.

Ciszę przerwał metaliczny zgrzyt rygla i Regulus opuścił trybunów, zapewniając ich, że wkrótce wróci. Podejrzewał już, dlaczego sprowadzono ich do Kartaginy, choć nie był pewien, dlaczego pozwolono mu się z nimi zobaczyć. Oddział straży stanął w szyku dookoła Regulusa i wraz z nim opuścił szybko dziedziniec, po czym ponownie nabrzeżem portowym wrócił do willi. Gdy mijali wzgórze, na którego szczycie znajdowała się twierdza, jeden z żołnierzy przyjął rzucony szorstkim tonem rozkaz i wyłamał się z formacji, po czym pobiegł w stronę fortecy.

Kiedy wrócili do willi, Regulus natychmiast przeszedł na znajomy sobie wewnętrzny dziedziniec. Zawołał, żeby przyniesiono mu wina, i poczekał na nie cierpliwie w cieniu, myśląc o trybunach i majątku ich rodzin w Rzymie. Odgłos zbliżających się kroków wyrwał go z zamyślenia i prokonsul wstał, aby przyjąć spodziewanego gościa; ta odruchowa grzeczność stanowiła odbicie kurtuazji, którą wróg okazywał mu od czasu jego przybycia do Kartaginy. Hamilkar wszedł na dziedziniec i kiwnął Rzymianinowi głową.

– Widziałeś się ze swoimi ludźmi – powiedział.  
– Tak, Barkas, zgodnie z doniesieniem twojego żołnierza. – Regulus usiadł na powrót i upił łyk wina. – A

zatem oszczędziłeś moim trybunom niewoli, aby dostać za nich okup.

– Tak.

– Ale dlaczego pozwoliłeś mi się z nimi spotkać?

– Abyś mógł potwierdzić, że są cali i zdrowi – odparł Hamilkar. – Chcę, żebyś pojechał do Rzymu i wynegocjował warunki wykupienia ich.

– Ja? – Regulus był zdumiony tą sugestią. – Uwolniłbyś mnie?

– Na zasadzie parolu.

Regulus znów oniemiał. Dotrzymałby warunków umowy, ponieważ uważał się za człowieka honorowego. Kartagińczyk jednak nie mógł być tego pewien: znali się krótko.

– Uwolnienie mnie byłoby szaleństwem, Barkas – wypowiedział na głos swoje myśli. – Nie możesz wierzyć w mój honor, a życie czterech trybunów ma zbyt małe znaczenie, aby zagwarantować mój powrót. – Zmrużył podejrzliwie oczy. – Chodzi o coś jeszcze, coś, czego mi nie mówisz.

Hamilkar kiwnął głową.

– Rzeczywiście, okup za trybunów jest jedynie symbolem dobrej wiary.

– Dobrej wiary?

– W to, czego jeszcze chcę od ciebie – odparł Hamilkar i podszedł do Regulusa, powoli układając sobie w myślach słowa swojej propozycji, świadom ich wagi. – Chcę, żebyś został emisariuszem – powiedział całkowicie

pewnym sobie tonem – i dostarczył Rzymowi kartagińskie warunki zawieszenia broni.

Attyk zwinął dłoń w pięść z gniewu. Już miał ruszyć przed siebie, ale desperackie spojrzenie, które rzuciła mu Hadria, powstrzymało go. Dziewczyna płakała, łzy płynęły obficie po jej twarzy, a wściekłość Attyka narastała. Hadria odwróciła od niego wzrok, a on poczuł, że traci nad sobą kontrolę, że instynkt każe mu przeciąć pokój i zakończyć podły potok inwektyw, który plamił jego honor i łamał serce Hadrii.

Pokój rozbrzmiewał głosami i dźwiękami: drżącym szlochem Hadrii, zawodzeniem jej matki, nieprzerwaną tyradą jej ojca, jego waleniem pięścią o stół. Tylko Attyk i jeszcze jeden obecny człowiek milczeli.

Uskrzydłona nadzieją Hadrii pewność siebie Attyka narastała w ciągu poprzedniego tygodnia, kiedy czekali na powrót jej ojca do Rzymu. Wciąż spotykali się w tajemnicy, ale Hadria zaczęła otwarcie mówić o swoich planach na przyszłość z ufnością, która złagodziła wątpliwości Attyka, ufnością, którą niósł w sercu, kiedy ledwie kilka chwil wcześniej wchodzili do jej rodzinnego domu, ufnością, która wyparowała momentalnie, gdy tylko zobaczył minę jej ojca.

Antoninus natychmiast zrozumiał, co oznacza fakt, że jego córka przybyła razem z Attykiem.

– Od jak dawna spotykasz się z tym... z tym człowiekiem? – warknął.

Hadria powiedziała mu i słychać było, że brakuje jej tchu.

– Czy ktokolwiek wie, czy ktokolwiek was widział? – zapytała pospiesznie matka dziewczyny, Salonina. Na jej twarzy malowała się troska i przerażenie.

– Nie – odparła Hadria, rozgniewana pełnym odrazy tonem matki.

– Co ty sobie myślałaś? – dopytywała się Salonina.

– Kocham go, matko – odpowiedziała Hadria i spojrzała na Attyka z pełnym bólu wyrazem twarzy.

– Nie wolno ci! – krzyknął Antoninus. – To *barbarus*, to cudzoziemiec.

– Jest z Rzymu – wtrącił się Septymus. Nigdy nie chciał, żeby Hadria i Attyk byli ze sobą, ale nie potrafił dłużej milczeć, zawstydzony tym, jak jego ojciec atakuje człowieka, który wielokrotnie ryzykował wszystko dla Rzymu.

Antoninus odwrócił się w stronę syna i widząc sprzeciw na jego twarzy, nagle wszystko zrozumiał.

– Wiedziałaś o tym? – syknął.

– Wiedziałem – odpowiedział Septymus. – I próbowałem do tego nie dopuścić.

– Byłeś w zмовie z nim, z tym Grekiem, przeciwko własnej rodzinie? – ryknął Antoninus. – Na bogów, Septymusie, kiedyś byłeś człowiekiem honoru, *optio* Dziewiątego. Ta flota, to zbiorowisko *notki* i *barbari*, skalało cię i twój honor...

– Dostyc! – wrzasnął Attyk, a kiedy zapadła cisza,

wlepił wzrok w Antoninusa, który płonął nienawiścią, a blizna biegnąca przez jego lewe oko nadawała mu obłąkany wygląd. Attyk poczuł, że traci już wszelką kontrolę nad swoim gniewem. Wcześniej trzymał język za zębami w rozpaczliwej nadziei, że rodzice Hadrii przezwyciężą początkowy szok – wiedział, że każde wypowiedziane przez niego słowo tylko podsyciłoby ich gniew – ale usłyszał już dosyć, żeby wiedzieć, iż ich sprzeciw jest całkowity. – Dosyć już powiedziałeś, Antoninusi – uciał.

– Nie masz tu głosu, Greku – odparł Antoninus ostrym tonem. – Walczyłem z twoimi rodakami pod Benewentem i nie pozwolę, żeby jeden z was rządził się w moim własnym domu. – Odwrócił się do Hadrii. – Zakazuję ci spotykać się z tym człowiekiem – zarządził.

Hadria zatoczyła się do tyłu, jakby ktoś ją uderzył, i jej ramiona opadły bezsilnie. Spojrzała na Attyka zrozpaczonym wzrokiem i uciekła z pokoju.

– A teraz wynoś się, Greku – warknął Antoninus – i żeby twoja noga tu więcej nie powstała.

Absolutna pogarda pobrzmiewająca w słowach Antoninusa i widok uciekającej Hadrii przekroczyły wszelkie granice wytrzymałości Attyka. Zrobił kilka kroków do przodu, a jego dłoń opadła na rękojeść miecza.

– Attyku! – krzyknął Septymus i stanął między nim a swoim ojcem. Był nieuzbrojony i wyciągnął obronnie rękę.

Attyk zamarł i spojrzał na centuriona, a potem na

nieugiętego Antoninusa, i na mgnienie oka gniew pchnął go niemal do ataku. Ponownie wlepił wzrok w twarz Septymusa, widząc wymalowaną na niej prośbę o to, żeby się powstrzymał, i w końcu pokręcił głową i wyszedł z pokoju.

Przeciął atrium z zupełnym zamętem w myślach i falą sprzecznych emocji w sercu. Zwolnił, gdy usłyszał szlochanie, i wyszeptał imię Hadrii. Wyszła z za drzwi i na widok jej cierpienia konflikt, który szalał w Attyku, osłabł. Podeszedł do niej, a ona rzuciła mu się w ramiona i wtuliła twarz w jego pierś.

– Nie mogłam pozwolić ci odejść – załkała. – Nie bez pożegnania.

– To nie jest pożegnanie – uspokoił ją Attyk. – Wrócę po ciebie.

Przyjdzie czas, że będziemy razem.

– Nie – wyszeptała, a udręka wywołana przez to słowo wycisnęła nowe łzy z jej oczu. – Ojciec tego zabronił, a ja nie mogę się mu sprzeciwić.

– Przecież się kochamy – powiedział Attyk zdumiony jej uległością.

– Mój ojciec ma władzę *pater familias* – powiedziała. – Jeśli mu się sprzeciwię, jako głowa domu wyrzeknie się mnie. Będę wyrzutkiem wśród własnego ludu.

– To tak jak ja – powiedział rozgniewany nagle Attyk.

– Błagam, zrozum, Attyku – powiedziała Hadria zdesperowanym tonem. – Rzym, moja rodzina... to



wszystko, co znam, cały mój świat.

– Poza Rzymem też jest świat, Hadrio – powiedział Attyk. – Tam moglibyśmy być razem. Zostaw to miasto, wyjedź ze mną.

– Nie mogę – powiedziała, a widząc, że jego twarz czerwienieje, wyciągnęła do niego ręce. – Proszę, Attyku. Nie możesz żądać ode mnie, żebym wybrała... nie mam wyboru.

Gdy Attyk usłyszał te słowa, rozgniewał się jeszcze bardziej, nie na Hadrię, ale na przekłete miasto, które trzymało ją z dala od niego. Spojrzał na jej uniesioną twarz i fala żalu odebrała mu chęć walki.

– Ja nie mam wstępu do twojego świata, a ty nie możesz żyć poza nim – powiedział powoli. – Zatem miałaś rację, Hadrio. Nie możemy być ze sobą.

Pocałował ją przelotnie po raz ostatni, wyminął ją i opuścił jej dom.

Scypion podniósł się, aby przyjąć nominację na stanowisko konsula, kiwając głową senatorowi, który zgłosił jego imię, z miną pełną wdzięczności i lekkiego zaskoczenia. Krótkie oklaski przywitały jego gest, ale szybko ucichły w napiętej atmosferze siedziby senatu, i wszyscy spojrzeli ponownie w stronę mównicy. *Princeps senatus* rozejrzał się po rzędach siedzeń, sprawdzając, czy ktoś jeszcze wysunie jakąś nominację, ale tak się nie stało. Uderzył o blat mównicy młotkiem, przywołując obradujących do porządku.

– Senatorowie Rzymu – zaczął, a Scypion oderwał od niego wzrok, aby przypatrzeć się twarzom przedstawicieli senatu. Po kolei wywołano nazwiska pięciu nominowanych. Z tych pięciu wybranych miało być dwóch: stanowisko starszego konsula przypadło temu, kto zdobył najwięcej głosów, a młodszego – zdobywcy drugiego miejsca. Scypion z miejsca odrzucił pierwszych trzech, wiedząc, że dysponują niewielkim lub żadnym poparciem; ogromowi ich niewłaściwie ukierunkowanej ambicji dorównywała tylko ich głupota. Nie stanowili zagrożenia. Jednak czwarte nazwisko było potwierdzeniem tego, co Scypion podejrzewał w ciągu poprzedniego tygodnia.

Był to Aulus Acyliusz Kajatynus, młody mężczyzna, który wstąpił do senatu pięć lat wcześniej. Choć był patrycjuszem, w odróżnieniu od swoich towarzyszy otwarcie popierał postępową faksję senatu, co oznaczało, że zdecydowanie należał do obozu Duiliusza. Scypion odszukał go wzrokiem na drugim końcu sali, zwracając uwagę na jego pozycję względem Duiliusza, który siedział w tylnym rzędzie. Ostatnie padło nazwisko Scypiona, a kiedy wielu obecnych ponownie zwróciło na niego oczy, jeszcze raz kiwnął głową.

Na znak z podium pierwszy z kandydatów wstał, aby wygłosić mowę nakłaniającą do poparcia go. Wkrótce to samo zrobił drugi i trzeci. Choć Scypion przez cały czas zachował nieprzenikniony wyraz twarzy, w duchu kpił z naiwności nominowanych. W ciągu ostatniego tygodnia

zainwestował cały swój polityczny kapitał w wybory na stanowisko starszego konsula. Powołał się na każdy starannie podtrzymywany sojusz, a tam, gdzie go brakowało, uciekał się do przekupstwa, srebrem ze swojego skarbcza oraz słodkimi jak miód obietnicami powyborczych przysług, gwarantując sobie głosy pozbawionych skrupułów senatorów.

Trzeci kandydat usiadł, a wstał Kajatynus. Zaczął mówić cichym, dźwięcznym głosem, który dodawał jego słowom wagi; uzasadniał, dlaczego jest najlepszym kandydatem do przewodzenia republiką w nadciągających niebezpiecznych czasach. W starannie przygotowanej mowie subtelnie skrytykował utratę floty spowodowaną przez Paulusa i zwrócił uwagę na przywiązanie nieżyjącego konsula do starego rzymskiego porządku, przez które stał się mało elastyczny i nie był w stanie przystosować się do nowych warunków wojny toczonej z Kartaginą na morzach.

Kajatynus wypowiedział się potem o swoich kontrkandydatach, koncentrując się na każdym po kolei. Jego ataki były pomysłowe i powściągliwe, co dawało jemu samemu fałszywą moralną przewagę, a kiedy doszedł do Scypiona, spojrział w stronę swojego głównego rywala i wypowiedział jego nazwisko w pełnym brzmieniu, celowo akcentując nieoficjalny *cognomen* Asina. Scypion najeżył się na tę potwarz, ale zachował nonszalancką minę, uważając, żeby nie zdradzić się z tym, jak głęboko zraniona jest wciąż jego duma.

Koniec mowy przywitała entuzjastyczna owacja. Scypion miał chwilę, aby rozejrzeć się po sali i ustalić, którzy z niezdecydowanych senatorów podjęli decyzję na podstawie oracji Kajatynusa. Zapadła cisza, a Scypion wstał i zaczął mowę, którą skonstruował wraz z Fabiolą. Jego ton głosu przykuł uwagę wszystkich obecnych. Scypion uważał, żeby zwrócić się osobiście do tych kilku senatorów, o których wiedział, że nie są po niczyjej stronie. Ludzie ci znajdowali się poza jego wpływem: byli niezależni i rzadko sprzymierzali się z kimkolwiek, więc Scypion musiał polegać wyłącznie na swoich talentach oratorskich i umiejętnościach przekonywania ludzi do swoich racji.

Siedzący po drugiej stronie sali Duiliusz też spoglądał na tych właśnie senatorów. Patrzył, jak mowa Scypiona ich omotuje, jak dramatyczne słowa uderzają w ich najgłębsze obawy i niepewności. Była to przejmująca oracja, stosowna riposta dla mowy Kajatynusa, i Duiliusz zdał sobie sprawę, że wynik głosowania nie będzie tak jednoznaczny, jak miał nadzieję. Kiedy kilka dni wcześniej dowiedział się, że Scypion ma zamiar kandydować, zastanawiał się, czy samemu nie wziąć udziału w wyborach, ale ostatecznie doszedł do wniosku, że – biorąc pod uwagę przytłaczającą większość, jaką miała ta warstwa społeczna w senacie – szanse na zwycięstwo zwiększyłyby się, gdyby kandydat wysunięty przez jego faksję był patrycjuszem. Ponadto Duiliusz był przekonany, że mógłby zrobić lepszy użytek ze swoich

politycznych wpływów, gdyby utrzymał je w tajemnicy przed ogółem senatu; był pewien, że więcej może osiągnąć potajemnie niż jako jawny przywódca.

Kulminacją mowy Scypiona była tyrada przeciwko Kartagińczykom, która poruszyła senat. Wielu zebranych wiwatowało, gdy mówił o nieuniknionej porażce nieprzyjaciół oraz potędze miasta, które ich upokorzy. Usiadł wśród burzliwego aplauzu, wyprostował się i spojrzał prosto na mównicę, przedstawiając obraz absolutnej władzy i majestatu.

*Princeps senatus* przywołał senat do porządku i wezwał zebranych do zagłosowania przez podniesienie ręki. Pierwsi trzej otrzymali żałośnie niewielkie poparcie, ale Scypion mógł tylko gapić się z konsternacją, gdy wywołano nazwisko Kajatynusa. Uniosły się ręce niemal połowy senatu i miał trudności z policzeniem ich w krótkiej chwili, gdy pozostawały w górze. Zarządzono ostatecznie głosowanie, na Scypiona. I tym razem podniosły się niezliczone ręce, a on wstrzymał oddech, wiedząc, że wynik jest zbyt zbliżony do poprzedniego, aby był decydujący.

Napięcie w komnacie wzrosło, gdy *princeps senatus* zgodnie z oczekiwaniami wyeliminował pierwszych trzech kandydatów. Zarządził, że każdy ma wyrazić swoją decyzję, przechodząc na stronę sali przeznaczoną dla konkretnego kandydata. Senatorowie rozdzielili się szybko. Siedzący na flankach w większości zostali na miejscu, a środek rozproszył się, aby zasilić obie faksje.

Znajdując się pośrodku grupy, Scypion nie potrafił dokładnie określić liczby senatorów po swojej stronie, a gdy usiłował policzyć tych, którzy poparli jego przeciwnika, poczuł, że po plecach spływa mu kropla potu. Ostatni senatorowie usiedli i w sali znów zapanował spokój.

*Princeps senatus*, który miał najlepszy punkt widzenia, obrzucił obie strony uważnym spojrzeniem. Kiwnął głową, a Scypion nachylił się, gdy przewodniczący spojrzał ponownie na stronę Kajatynusa. Wargi wiekowego mężczyzny ruszały się, gdy bezgłośnie liczył jego zwolenników, a gdy już kończył, ponownie zaczął kiwać głową, jakby obliczenia potwierdziły jego podejrzenie.

– Senatorowie Rzymu – stwierdził – niniejszym ogłaszam, że nowym starszym konsulem Rzymu jest Gnejusz Korneliusz Scypion.

W sali zawrzało, a zebrani zerwali się z miejsc wśród wiwatów i protestów, zanim jeszcze przewodniczący wypowiedział nazwisko Scypiona do końca.

Zwycięzca wciąż siedział, czekając, aż obwieszczenie to w pełni do niego dotrze. W końcu wziął głęboki oddech i wstał. Ludzie stojący dookoła natychmiast odwrócili się w jego stronę i zaczęli do niego mówić z ożywieniem, uśmiechać się i poklepywać go po ramieniu, gdy szedł między nimi na środek sali. Podszedł zdecydowanym krokiem do mównicy, patrząc prosto przed siebie, ponad głowami zwróconych w jego stronę trzystu senatorów. W

komnacie panował ogłuszający hałas i Scypion podniósł dłonie, prosząc gestem o ciszę. Wszyscy szybko usłuchali i senat się uspokoił. Scypion milczał; nie uśmiechnął się, a jego oczy zachowały zimny wyraz. Nie czuł ani odrobiny radości, żadnej iskry satysfakcji, tylko przejmujące, ponure uczucie zadośćuczynienia, ponieważ odniósł zwycięstwo, na które w pełni zasługiwał. Znów był przywódcą Rzymu i teraz miał zamiar jedynie odzyskać należne sobie poczucie dumy i honoru.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Regulus przeszedł powoli przez główny pokład *Alissar*; jego umysł podrzucał mu coraz to nowe myśli, a głos sumienia nie pozwalał mu się skoncentrować. Bardzo chciał znaleźć wyjście z niezwykle trudnej sytuacji, w jakiej postawił go kartagiński dowódca, lub – jeśli to było niemożliwe – sposób na ponowne objęcie kontroli nad własnym losem. Marzył o tym, żeby móc poradzić się jakiegoś swojego krajana.

Nie było nadziei. Kampania przeciwko Kartaginie legła w gruzach. W Afryce przepadły dwa całe legiony, flota była całkowicie zniszczona i podczas gdy Punijczycy mogli już zaangażować w walkę posiłki, republika po prostu nie miała okrętów, które mogłyby uzupełnić jej straty. Sycylia znalazła się poza zasięgiem Rzymu i Regulus musiał przyznać, że proponowane warunki zawieszenia broni były sprawiedliwe i rozsądne: sprowadzały się do żądania, aby wycofano z wyspy wszystkie rzymskie siły. Biorąc pod uwagę, że były one bardzo nieliczne, ostatecznym rezultatem traktatu pokojowego byłaby rezygnacja z miast, które i tak w swoim czasie nieuchronnie wpadłyby w ręce Kartagińczyków.

A jednak, choć rzymska sprawa była beznadziejna, Regulus nie potrafił się zdobyć na całkowitą aprobatę proponowanego rozejmu. Kapitulacja – nieważne, na jak



rozsądnych warunkach – stanowiła anatemę dla rzymskiego ducha. W przeszłości republika ponosiła już klęski, ale zawsze walczyła dalej, nie ustępując, aż walka była wygrana. Regulus rozejrzał się po statku i do głowy przyszła mu jeszcze jedna myśl, która uderzyła go w chwili, gdy *Alissar* wyruszyła z Kartaginy.

Regulus jeszcze nigdy nie płynął na galerze wroga i był zdumiony tym, jak bardzo różni się ona od rzymskich jednostek. Statki były identyczne pod względem rodzaju i projektu, ale kartagińscy marynarze wykazywali umiejętności i wprawę, jakich Regulus w życiu nie widział. Wyglądało to tak, jakby pracowali, nie potrzebując nadzoru czy rozkazów, jakby każdy z nich znał nie tylko swoje zadanie, ale też zadania otaczających go ludzi, i ich nakładające się obowiązki dawały efekt płynnej wydajności zupełnie nieosiągalnej dla rzymskich załóg. Regulus nabrał przekonania, że najniższy rangą kartagiński majtek z łatwością dorównałby umiejętnościami żeglarskimi każdemu rzymskiemu kapitanowi, i mimo własnego zwycięstwa pod Eknomos nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że Kartagińczycy w końcu odzyskają pełne prawo do morza, dominium, nad którym mieli kontrolę od pokoleń.

Hamilkar przyglądał się Regulusowi z pokładu rufowego i zdał sobie sprawę, że Rzymianin wciąż boryka się z jakimś wewnętrznym konfliktem. Flota z Gadiru przybyła do Kartaginy zaledwie dzień wcześniej i właśnie uzupełniała zapasy na czas ostatniego odcinka podróży do

Lilybeum na Sycylii; flota transportowa także czyniła ostatnie przygotowania. Hamilkar namówił Hannona do odstąpienia mu dwudziestu słoni i pięciuset najemników z numidyjskiej kampanii i zorganizował wszystko tak, aby Regulus zobaczył, jak cała grupa przybywa do portu wojskowego. Widok kolosalnych zwierząt był dla Rzymianina okrutnym przypomnieniem o jego porażce pod Tunesem i słabości legionów. Nawet odpłynięcie *Alissar* było starannie zaplanowane: okręt flagowy powoli minął zgromadzone galery z floty z Gadiru i choć Hamilkar wolałby płynąć ze swoją flotą, przyspieszył wyruszenie na Sycylię, aby uświadomić Regulusowi nieuchronność jego zadania. Ten jeden krok bliżej do Rzymu był zaledwie pierwszym etapem podróży, którą będzie zmuszony odbyć zgodnie z danym słowem honoru.

Nawet w głębi duszy Hamilkar wiedział, że każdy traktat pokojowy z Rzymem będzie farsą. Zaledwie dwadzieścia pięć lat wcześniej miasta były sprzymierzeńcami w walce z Pyrrusem z Epiru, po czym podpisano rozejm, na którego mocy obie strony uznawały swoje strefy wpływów. Następnie Rzym jawnie zlekceważył jego warunki i najechał Sycylię, kartagińskie dominium, a to zdradzieckie posunięcie wywołało obecny konflikt. Hamilkas uważał, że zgodnie z tym, co było właściwe, oraz biorąc pod uwagę osłabienie Rzymu, mógł narzucić mu znacznie ostrzejsze warunki, ale ustalił je z myślą, że bardziej pobłażliwe podejście doprowadzi do szybszego zakończenia sprawy.

Kartagina toczyła wojnę na dwóch frontach z dwoma różnymi wrogami. To rozdzielenie jej sił już kosztowało Hamilkara armię, którą dowodził pod Tunesem; utrata owa, którą starannie ukrył przed Regulusem, z pewnością sparaliżuje jego wysiłki zmierzające do ostatecznego pokonania Rzymian na Sycylii. Kluczem do zdobycia wyspy były jej miasta i choć najważniejsze z nich leżały na wybrzeżu, nie można ich było zająć, działając jedynie od morza. Oblężenia musiały odbyć się z udziałem sił lądowych, Hamilkar więc potrzebował więcej czasu – czasu na to, aby Hannon zdążył pokonać Numidyjczyków i oddać armię z powrotem pod jego komendę.

Wojna między Rzymem a Kartaginą będzie trwała dalej, ale tymczasem nieprzyjaciele wycofają się z Sycylii, a Hamilkar zyska znakomitą okazję, by umocnić wyspę przed ich nieuniknionym powrotem. Kartagina była źle przygotowana, gdy Rzymianie zaatakowali Sycylię po raz pierwszy, i w rezultacie straciła Agrigentum. Taki błąd się już nie powtórzy.

Hamilkar opuścił pokład rufowy i podszedł do Regulusa, który przywitał go ze zirytowaną miną, jakby Barkas przerwał mu ważną rozmowę, co ponownie obudziło w nim rozdrażnienie.

– Jutro będziemy w Lilybeum – powiedział, chcąc wciągnąć Regulusa w rozmowę, która sfinalizuje cel jego podróży do Rzymu.

– Będę potrzebował więcej czasu na podjęcie decyzji – odparł Regulus głuchym, zdeterminowanym głosem.

Hamilkar zachował neutralny wyraz twarzy i kiwnął głową na znak zrozumienia, ale w duszy walczył z niemal nieodpartą chęcią uduszenia Rzymianina. Co w pojęciu porażki było dla niego niezrozumiałe? Pokonano ich, rzymska flota przestała istnieć. Jakiego toku rozumowania chwycił się Regulus, że nie potrafił przyjąć wielkodusznej propozycji Hamilkara?

Postanowił zasiać w myślach Rzymianina jeszcze jedno ziarno, przedstawić mu ostatni element rozumowania, które być może nakłoni go do przyjęcia oferty.

– Ta wojna ciągnie się od dawna – stwierdził, a Regulus kiwnął czujnie głową, zaskoczony komentarzem Hamilkara. – Ucieszy mnie, kiedy zapanuje pokój. Pozwoli to chociaż mojemu miastu odzyskać siły nadszarpnięte przez ten konflikt.

Regulus przytaknął i spojrzał za Hamilkara, a pomysł ten zakorzenił się w jego myślach. Rzym też skorzystałby z okazji, o której mówił Kartagińczyk. Jej koszt będzie niewielki, ledwie kilka miast, które będzie można ponownie zająć w odpowiedniej chwili. Regulus nieświadomie kiwnął głową jeszcze raz, gdy doprowadził swoje rozumowanie do konkluzji.

Hamilkar dostrzegł to i odwrócił się, pewien już, że Rzymianin wykona polecenie i dostarczy jego warunki senatowi. Potem będzie tylko kwestią czasu, gdy Rzym ugnie się wobec woli Kartaginy.

– Ster w prawo na burtę, prędkość do taranowania!

*Orcus* rozpoczął ostry skręt, jego pokład przechylił się gwałtownie, a Attyk poczuł, jak napinają się mięśnie jego nóg, gdy usiłował zachować równowagę. Liczył w myślach, ile czasu zajęło dziobowi wykonanie skrętu o kąt prosty.

– Ster prosto – rozkazał, a Gajusz napał na rumpel.

*Orcus* przyspieszył, gdy opór steru się zmniejszył. Znow rozległy się rytmiczne uderzenia w bęben, zapowiadające sunięcie towarzyszące każdemu ruchowi wiosła w spokojnej wodzie, a załoganci kucali na pokładzie, kołysząc się. Wielu zerkało na onieśmielającą postać prefekta, który stał nieruchomo na pokładzie rufowym i wlepił wzrok w jakiś odległy punkt na horyzoncie.

Attyk oczyścił umysł i pozwolił uderzeniom bębna zdominować swoją świadomość, podsycić nieukierunkowaną agresję. Nabrał haust słonego powietrza i wstrzymał oddech, chcąc poczuć jego smak z tyłu gardła, a potem powoli opróżnił płuca, aby uspokoić gorzki kwas szarpiący mu brzuch.

– Chwileczkę, prefekcie – odezwał się za nim Gajusz.

Attyk wydał komendę „cała stop”, pozwalając wiosłarzom wsunąć wiosła na pokład i odpocząć.

– Ja robię ten zakręt trochę szybciej – oznajmił sternik. Jego dłoń spoczywała teraz lekko na rumplu, a *Orcus* unosił się i opadał w pustej zatoczce.

Attyk mruknął coś w odpowiedzi i podszedłszy do

relingu na burcie, przesuwając wzrokiem po linii brzegowej na północ od Ostii.

Paulus zabrał prawie wszystkie dostępne statki, gdy wiele tygodni wcześniej popłynął na południe, a reszcie zostawił zadanie patrolowania szlaków morskich Rzymu. *Orcusa* szybko włączono do tej grupy. Była to uciążliwa praca, bardziej nadająca się dla załóg rezerwowych i szkoleniowych, ale obsada *Orcusa* przyjęła ją z ochotą, zmęczona po wielu miesiącach spędzonych na wrogich wodach. Tylko Attyk wciąż był niespokojny: nie mógł stłumić opadających go wątpliwości. Choć tego dnia zaplanowano dla *Orcusa* odpoczynek i naprawy, o świcie rozkazał, aby galera popłynęła na północ, chcąc wykorzystać wolny dzień na dalsze szkolenie swojej załogi.

– Chwila odpoczynku, a potem powtórka – rzucił przez ramię i Gajusz potwierdził rozkaz, wykrzykując go w stronę stojącego na pokładzie głównym Barona.

Na okręcie zapadła pełna niepokoju cisza, tylko belki pokładu trzeszczały, gdy pod kadłubem przesuwwały się drobne fale. Gajusz wstrzymał oddech, nasłuchując, i niemal wyczuł dźwięki wydawane przez wiosłarzy pod pokładem, zanim je dosłyszał. Zachłystywali się powietrzem, napęliając płuca do granic, aby odzyskać siły w krótkim czasie, który na to mieli, a ich zbiorowe wysiłki tworzyły wrażenie, że oddycha sama galera.

Sternik spojrzał na dowódcę, zastanawiając się, do czego jeszcze zmusi załogę okrętu, zanim zakończy dzień.

Szkolili się nieprzerwanie od świtu, doskonaląc swoje rzemiosło marynarskie: brak kruka na pokładzie dziobowym zmusił ich do skoncentrowania się na rzadko używanej ofensywnej taktyce taranowania. Gajusz nie wiedział wiele o szerzej zakrojonych planach floty, ale – tak samo jak reszta załogi *Orcusa* – zauważył, że nowe okręty budowane w stoczniach nie mają przekłetej rampy do abordażu.

Z jakiegoś powodu prefekt bez litości zmuszał załogę do ciężkiej pracy i w ciszy przyznanej im przerwy Gajusz mógł tylko zgadywać, z jakimi demonami zмага się jego dowódca. Nie znał go poza tym, że współpracowali na pokładzie rufowym. Tam często byli jednomyślni, a ich doświadczenie i umiejętności łączyły się z łatwością, ale poza tym sternik rzadko z nim rozmawiał.

Pokład rufowy galery był niewielki i Gajusz wielokrotnie przypadkiem podsłuchał rozmowy między prefektem a dwoma ludźmi, którym ufał – centurionem i zastępcą – jednak to użyteczne źródło informacji nie było już dostępne. Centuriona nie było na pokładzie: nie wrócił z Rzymu, wysłał tylko rozkazy do swojego *optio*, aby sprowadził legionistów na ląd w Ostii, ponieważ ich obecność nie była konieczna, gdy *Orcus* przebywał na rzymskich wodach. Ponadto prefekt nie zwierzał się swojemu obecnemu *optio* tak samo jak poprzedniemu, Lucjuszowi. Ta chłodna relacja nie była jedynie winą prefekta – Gajusz często słyszał, jak przed swoim awansem Baro wypowiadał się z drwiną o dowódcy. Choć

teraz Baro był bardziej dyskretny, Gajusz wyraźnie widział, że trzyma się na dystans, i zdał sobie sprawę, że opinia zastępcy o prefekcie się nie zmieniła.

Spojrzał na Attyka, gdy ten znów stanął pośrodku pokładu rufowego i rozglądał się po całej długości statku. Gajusz podążył wzrokiem za spojrzeniem dowódcy. Rezygnacja z kruka stanowiła niewypowiedziany rozkaz dla wszystkich załóg, aby walczyły z Kartagińczykami na ich warunkach. Nieważne, co jeszcze mogło martwić prefekta: Gajusz wiedział, że sam ten problem jest dostatecznym wyjaśnieniem jego ponurego nastroju.

Padł rozkaz do rozwinięcia prędkości bojowej i *Orcus* ruszył przed siebie, prędko przyspieszając do ośmiu węzłów Gajusz zacisnął mocniej rękę na rumplu i choć koncentrował się na tym, żeby uprzedzać rozkazy prefekta, został przy temacie wcześniejszych rozmyślań. Zerknął na swojego dowódcę i nieświadomie przesunął palcami po gładkiej, wytartej rączce rumpla. Cokolwiek ich czeka, Gajusz miał zamiar wypełnić każdy rozkaz prefekta.

*Orcus* opłynął cypel na północ od Ostii, gdy słabły ostatnie promienie słońca. Galera sunęła wdzięcznie pod żaglami – jej wiosła uniesiono i wciągnięto na pokład. To był długi dzień i wielu załogantów odwróciło się w stronę wyczekiwanego widoku portu, a także gorącego posiłku i pryczy, która tam na nich czekała. Był to dla nich niespotykany luksus. Na służbie jedli i spali na galerze,



zazwyczaj na najwyższym pokładzie, ale w Ostii, podczas tymczasowej demobilizacji floty, cieszyli się wygodami stałego obozu wojskowego.

Gdy bliżej brzegu zrobiło się ciasniej, opuszczono żagle, a wiosła się wysunęły, też wolniej niż zazwyczaj z powodu zmęczenia wioślarzy, a rytm bębna narzucił prędkość sterowną. Gajusz kiwnął głową, gdy Attyk wskazał mu puste miejsce, i galera skierowała się ku krańcowi pomostu. *Orcus* zareagował na komendę „cała stop”, rzucono na ląd cumy z dziobu i rufy oraz opuszczono trap. Baro wyznaczył ludzi na wachtę, po czym odprawił resztę załogi, która ze świeżą energią przeszła pomostem w stronę plaży, podczas gdy Attyk czekał na pokładzie rufowym, wydając ostatnie rozkazy. Potem sam zszedł na ląd.

Jego głuche stąpienia po drewnianym pomoście zastąpił odgłos piasku przesypującego się pod stopami. Attyk, nachylony, wspiał się na spadzistą plażę i pokonał wydmę u jej szczytu w chwili, gdy ostatni skrawek słońca zniknął za horyzontem, pozostawiając tylko światło zmierzchu odbijające się od wysokich chmur. W ciągu minionych kilku lat sporą część obozu wojskowego przekształcono w solidne budowle z drewna i kamienia, ale Attykowi, jako tymczasowemu gościowi, przydzielono namiot, choć odpowiedni dla jego rangi.

Na łodzi nie mógł zazwyczaj polegać na swoim zmyśle orientacji, ale w labiryncie prowizorycznych uliczek odnajdował drogę nieomylnie. Szedł jakby w

transie, rozmyślając nad tuzinem różnych kwestii, z których każda usiłowała wysunąć się na pierwszy plan. Najwięcej uwagi poświęcił tym, które wiązały się z rezygnacją z kruka, i próbował stłamsić problemy osobiste, ale te dopadały go w najmniej oczekiwanych momentach, wyrywając go z zamyślenia i podsuwając mu wspomnienia o Septymusie, Hadrii, Scypionie i Antoninusie. Każde z nich niszczyło starannie skonstruowany spokój, którego pragnął, a z każdą rundą tej walki gniew Attyka nasilał się i słabł.

Attyk minął ostatni róg i niemal wtoczył się do swojego namiotu, zanim zauważył, że w środku pali się lampa. Cofnął się i odruchowo sięgnął do rękojeści sztyletu. Obejrzał się, przeklinając swoje zamyślenie, coraz słabsze światło słońca i coraz ciemniejsze cienie. Podszedł czujnie do wejścia do namiotu, wyciągając sztylet, a zgrzyt stalowej klingi o pochwę rozbrzmiał nienaturalnie głośno. Odciągnął klapę i zajrzał do środka, wyczulając słuch na wszelkie odgłosy dobiegające zza jego pleców i przesuując wzrokiem po wnętrzu swojej kwatery.

Na drugim końcu namiotu siedział samotny człowiek. Attyk rozpoznał go natychmiast i wyraźnie się rozluźnił, po czym, chowając sztylet, ruszył w stronę gościa.

– Konsulu – powiedział – nie spodziewałem się...

Duiliusz wstał, aby przywitać się z Attykiem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Wolę w miarę możliwości odbywać spotkania

prywatnie – stwierdził Duiliusz, prosząc gospodarza gestem, aby usiadł na niskiej pryczy. – Dobrze cię widzieć, Attyku.

Dwaj mężczyźni szybko wdali się w rozmowę, wymieniając najświeższe informacje. Attyk długo opowiadał o kampanii w Afryce, dostarczając Duiliuszowi szczegółów, których nie można było znaleźć w oficjalnych meldunkach złożonych senatowi. Omówili kwestię sztormu i Attyk opowiedział o tym, jak przewidział pogodę i ostrzegł Paulusa.

– Ten człowiek zawsze był głupcem, nawet zanim opuścił Rzym – odparł Duiliusz. – Nic dziwnego, że pozostał nim aż do śmierci. Niemniej jednak jego lekkomyślność drogo kosztowała republikę.

Konsul skierował rozmowę na temat ujawnionej wady kruka. Zadawał przenikliwe pytania, ujawniając, że zachował w pamięci wiedzę, którą nabył od czasu, gdy dowodził flotą. Attyk ośmielił się wysunąć własny wniosek, popierający rezygnację z urzędu; zwrócił uwagę, że Duiliusz nie sprzeciwił się jego pogładowi, jakby osiągnięto już w tej sprawie kompromis, nawet w kręgach senatora.

– Senat zezwolił na budowę dwustu dwudziestu nowych galer – powiedział na zakończenie Duiliusz. – Najprawdopodobniej nie będą wyposażone w kruki.

Attyk już dawno przyzwyczał się do niebywałych możliwości Rzymu, ale na tę wieść oniemiał, wiedząc, że harmonogram budowy nowych jednostek będzie

wyczerpujący.

Ten aspekt rzymskiego społeczeństwa zawsze zadziwiał Attyka: gotowość do poświęcenia wszystkim przedsięwzięciom ogromnej ilości zasobów, kierowana pełną determinacji wiarą, że sam wysiłek umożliwi zwycięstwo w każdym konflikcie. Pod względem wojskowym to nastawienie świetnie się w przeszłości sprawdziło, szczególnie na lądzie, gdzie Rzymianie byli w stanie czerpać ze swojej ogromnej populacji. Tę samą postawę przyjęli na morzu, błyskawicznie budując do walki z wrogiem potężne floty. Ich wysiłki były daremne tylko w starciach z siłami natury – a jednak ta ostatnia decyzja senatu dowodziła, że jego wiara jest niezachwiana.

Myśli o senacie przypomniały mu o Scypionie, ale Attyk powściągnął gniew i tylko podziękował Duiliuszowi, że zainterweniował, gdy Scypion właściwie zarzucił mu zdradę.

– Słyszałeś o jego zwycięstwie w wyborach na konsula? – zapytał Duiliusz.

Attyk kiwnął głową. Między Rzymem a Ostią wieści krążyły szybko.

– Jego sukces był niespodziewany i dodatkowo komplikuje sprawę – powiedział Duiliusz, po czym zamilkł, ponieważ ten temat przywiódł mu na myśl jego własne problemy. Zerknął na Attyka i zobaczył troskę wymalowaną na jego twarzy. Znał jej przyczynę. – Jak na razie nic ci nie grozi ze strony Scypiona – powiedział

Duiliusz. – Chroni cię twoja ranga i masz wpływowych przyjaciół, między innymi mnie.

Attyk kiwnął głową w podziękowaniu, ale Duiliusz zmarszczył brwi.

– Jednak on wykorzysta każdy twój błąd, prawdziwy czy nie, Attyku. Jeśli możesz, trzymaj się od niego z dala.

– Nie będziesz próbował usunąć go ze stanowiska? – zapytał Attyk, sfrustrowany powrotem Scypiona do władzy. – Obaj byliśmy świadkami konsekwencji jego pychy i zuchwałości.

Duiliusz znów zamilkł i Attyk przeklął nierozważność pytania. Czuł, że przekroczył pewną granicę, zakładając, iż Duiliusz ufa mu bardziej niż w rzeczywistości. Senator wlepił w niego uważny wzrok, jakby rozważając konsekwencje udzielenia odpowiedzi.

– Jak na razie Scypion działa w najlepszym interesie republiki. Ma pełne poparcie senatu.

Attyk kiwnął głową, usiłując domyślić się, jak daleko posunięte wnioski ma wyciągnąć z odpowiedzi Duiliusza.

– Attyku – ciągnął senator – ponieważ tylu naszych wyszkolonych załogantów zginęło w czasie sztormu, a teraz straciliśmy możliwość korzystania z kruka, republika znajduje się w niebezpiecznej sytuacji. Masz rację, to, że Scypion jest u władzy, tylko ją pogarsza. Ale na razie możemy działać tylko w ramach tego systemu. Mogę podjąć próbę ograniczenia jego wyczynów w senacie, a ty musisz zrobić to samo na poziomie operacyjnym, we flocie.

– Jak? Moja ranga jest niczym dla Scypiona. Nie mogę wywrzeć na niego wpływu.

– Ale możesz wywrzeć wpływ na doświadczonych załogantów. Szanują cię... podejrzewam, że bardziej, niż sądzisz... i wielu z nich zwróci się do ciebie, gdy stracą wiarę w Scypiona.

Attyk spojrzął za Duiliusza, na efemeryczne cienie rzucane przez migoczącą lampę na ścianę namiotu. Próbował skupić się na nich, oczyścić umysł i uporządkować chaotyczne myśli. Kiedy Duiliusz wspomniał o niepewnym losie republiki, Attyk odruchowo pomyślał z kpina o tym ostrzeżeniu; co go obchodzi Rzym i jego losy? Ten pusty, bezduszny byt nigdy go nie akceptował. A jednak gdy mówił o nim Duiliusz, jego przekonanie zrobiło na Attyku głębokie wrażenie i musiał przyznać, że przez chwilę podzielał zaangażowanie senatora. Zbierając się do odejścia, Duiliusz wstał i ponownie uścisnął mu dłoń, tym prostym gestem podkreślając, że są sobie równi. Attyk miał w Duiliuszu sprzymierzeńca i nie potrafił oprzeć się myśli, że ludzie tacy jak senator nieustannie podają w wątpliwość jego opinię o Rzymie.

Jeździec zbliżył się do muru Serwiusza pełnym cwałem, świadom, że za jego prawym ramieniem słońce już zachodzi: jego pędzący cień sięgał daleko w pola rozciągające się po bokach. Pół mili przed sobą widział grupę legionistów stojących przy Porta Flumentana i

wpuszczających do miasta ostatnich maruderów przed zamknięciem bramy. Popędził konia, którego podkute żelazem kopyta krzeswały iskry na brukowanym szlaku i potrząsnął cugłami, nachylając się nad szyją wierzchowca.

Krzyknął do legionistów, kiedy zobaczył, że zabierają się do zamykania bramy, ale zignorowali go i dalej rozmawiali między sobą. Jeździec krzyknął raz jeszcze, tym razem jednak ostrzegawczo, i nakierował wierzchowca na szparę w bramie. Łoskot kopyt zwrócił uwagę legionistów; odskoczyli w ostatniej chwili, a koń i człowiek przemknęli między nimi i pod na wpół zamkniętą bramą.

Żołnierze zaczęli krzyczeć gniewnie i wielu sięgnęło po miecze, ale jeździec już zniknął w labiryncie wąskich uliczek za murem. Zwolnił nieco, a jego koń galopował w stronę centrum miasta, dysząc. Niebo wciąż było rozjaśnione resztkami słonecznego blasku, który odbijał się od bielonych murów, przedłużając zmierzch i oświetlając jeźdźcowi drogę.

Dotarł do głuchego półmroku Forum i rozejrzawszy się po górujących nad nim świątyniach, przyglądał się, jak wyznawcy poszczególnych bóstw zapalają pochodnie przy wejściach do każdej z nich. Skierował się w stronę północno-wschodniego rogu placu, ponownie spinając konia. Musiał znaleźć swój cel, zanim ciemność spowije ulice.

Dobrze znał Rzym, ale za całą wskazówkę miał tylko niepotwierdzoną nazwę ulicy, ustaloną na podstawie

strzępków informacji zebranych w ciągu dwóch poprzednich tygodni. Przeklinał późną porę i brak czasu świadom, że jest teraz właściwie więźniem w mieście i jeśli nie znajdzie tego, kogo szuka, będzie zmuszony szukać schronienia w gospodzie. Będzie musiał spędzić tutaj noc i światło świtu ujawni jego nieobecność na stanowisku, a człowiek, którego nienawidził, z pewnością wykorzysta to zaniedbanie obowiązku.

Ulice na północnym zboczu Kapitolu były szerokie i porządnie zamiecione, a za murami otaczającymi posesje jeździec widział rysujące się na tle nieba wysokie dachy rozległych posiadłości. Przesuwał wzrokiem po tabliczkach z nazwiskami przy każdej bramie; po chwili nie widział już obu stron ulicy, jadąc pośrodku, zjechał więc na lewą stronę, o połowę zmniejszając skuteczność swoich poszukiwań, ale doszedł do wniosku, że zamożność i ranga człowieka, z którym miał nadzieję się spotkać, oznaczały, że jego dom będzie się znajdował po wyżej położonej stronie ulicy.

Z ulgą odnalazł właściwy dom. Zszedł z konia i załomotał do drewnianych drzwi. Usłyszał dźwięk odsuwanego rygla i drzwi się otworzyły, a w obramowaniu framugi pojawili się dwaj żołnierze, strażnicy domostwa. Ich obojętne miny nabrały odcienia irytacji, kiedy dostrzegli, że stojący przed nimi mężczyzna ewidentnie nie jest nikim ważnym. Już mieli go odprawić, ale usłyszawszy jego prośbę, zawahali się: jej bezczelność ich poraziła i zamarli na granicy między kpina a



ostrożnością. Jeździec nalegał, podkreślając swoją rangę oraz stanowisko i twierdząc, że pan domu będzie się chciał z nim zobaczyć, jeśli zostanie poinformowany o jego przybyciu.

Zaprowadzono go na dziedziniec. Jeden z żołnierzy pomaszerował do posiadłości, a drugi zamknął bramę na rygiel. Jeździec czekał, bez słowa podając lejce stajennemu. Opadły go wątpliwości, ale stłumił je, po raz kolejny postanawiając, że spełni swój zamiar. Żołnierz pojawił się ponownie i gestem nakazał jeźdźcowi wejść za nim do środka. Mężczyzna westchnął z ulgą, nabierając nieco więcej pewności.

Scypion nie wstał, gdy wartownik wprowadził nieznanego do pokoju. Konsul zanalizował zachowanie mężczyzny, szukając oznak niepokoju, emocji, jakie człowiek przejawia, przebywając wśród wrogów, ale nowo przybyły robił wrażenie niezwykle pewnego siebie. Scypion odprawił żołnierza i ruchem ręki nakazał mężczyźnie stanąć przed sobą, choć niezbyt blisko; kroki wartownika cichły, a konsul pozwolił, by cisza się przeciągnęła.

– To zaszczyt, że zgodziłeś się na spotkanie ze mną, konsulu – przerwał ją w końcu nieznanomy.

Twarz Scypiona pociemniała z gniewu.

– Nie odzywaj się niepytany – warknął i znów zapadła cisza.

Po chwili Scypion zauważył, że wcześniejsza swoboda mężczyzny zanika, i uśmiechnął się w duchu.

Wolał, żeby zwracający się do niego ludzie niższej rangi byli zastraszeni w jego obecności.

– Dlaczego tu przybyłeś? – zapytał w końcu.

– Chcę ci służyć, konsulu.

– Mam dość wielu służących – odparł lekceważąco Scypion, choć był zaintrygowany niespodziewanym pojawieniem się tego mężczyzny, biorąc pod uwagę jego rangę i pozycję. – W każdym razie – ciągnął ostrożnie – dlaczego chcesz mi służyć?

– Ponieważ obaj nienawidzimy tego samego człowieka – odpowiedział bez wahania nieznajomy.

– Doprawdy – rzekł czujnie Scypion. – Kogo?

– Greka Perennisa.

Ta nieoczekiwana deklaracja wytrąciła Scypiona z równowagi, ale zachował obojętny wyraz twarzy. Wyczuł się na oznaki nieszczerości, ale żadnych nie znalazł.

– Twierdzisz, że jesteś jego zastępcą – powiedział.

– Tak – odparł Baro. – Od ponad roku.

Scypion kiwnął głową, powściągając narastającą ekscytację. Wolał być ostrożny. Starannie wybrał następne pytanie i skupił całą uwagę na minie mężczyzny.

– Dlaczego nienawidzisz Perennisa? – zapytał.

Baro poczerwieniał i odruchowo zrobił krok do przodu, pchany nagłym napadem agresji.

– Z powodu tego, kim jest, i ponieważ muszę wypełniać jego rozkazy – syknął.

– Jesteś obywatelem rzymskim? – zapytał Scypion,

zdziwiony wrogością rozmówcy.

– Tak, konsulu – odparł Baro. – Synem wyzwolenca z Awentynu. To, że muszę wysłuchiwać rozkazów człowieka spoza Rzymu, plami mój honor.

Scypion nie skomentował motywów Barona; uważał je za mniej ważne od samej siły płonącej w nim nienawiści. W niej leżało źródło szczerości zastępcy, bez względu na to, jak nieracjonalna mogłaby się wydawać jego wrogość komuś z zewnątrz, i Scypion był pewien, że jest ona głęboko zakorzeniona. Pozostawało jeszcze jedno pytanie.

– Skąd wiesz o mojej wrogości względem Perennisa?  
– zapytał.

– Na galerze niezbyt wiele da się ukryć, konsulu – wyjaśnił Baro. – Pokład jest mały, grodzie są cienkie. W miarę upływu czasu usłyszałem dość dużo, aby wiedzieć, że Grek uważa cię za wroga.

Scypion znów kiwnął głową przekonany, że Baro mówi szczerze.

– A zatem sądzisz, że powinniśmy zawrzeć jakiś rodzaj sojuszu? – spytał sceptycznie. – Starszy konsul i załogant o niskiej randze.

Baro najeżył się, słysząc lekceważący ton konsula, ale wiedział, że skoro już ujawnił swoje niezadowolenie, musi obstawać przy swoim.

– Mogę być twoimi oczami i uszami na *Orcusie*, konsulu. Prędzej czy później Grek będzie miał chwilę słabości i jeśli będziesz na bieżąco, uda ci się wykorzystać

ten moment.

Scypion odruchowo wyprostował plecy; już sam doszedł do wniosków wykraczających poza tę podstawową ofertę, która miała swoje zalety. Konsul skoncentrował się jeszcze bardziej i przepytął zastępcę ponownie na okoliczność jego motywów i relacji z Grekiem. Bardziej przenikliwie analizował każdy aspekt uzyskanych odpowiedzi i wkrótce zaprosił Barona, aby usiadł przy drugim końcu stołu.

Dwie godziny później zawołał swoich strażników, aby odeskortowali Barona do Porta Flumentana. Podał jednemu z nich zwój opatrzony pieczęcią starszego konsula, jedyną przepustkę, która upoważniała wartowników do otwarcia bramy po zmroku. Odprawił Barona szorstko, mówiąc mu, że we właściwym czasie powiadomi go o swojej decyzji, choć już ją podjął. Scypion znał wielu ludzi pokroju Barona: zdeterminowanych, nawet bezwzględnych, lecz pozbawionych inteligencji koniecznej do obmyślenia skutecznego ataku na wroga. Baro był jedynie orężem, zimną, bezmyślną włócznią. Sam konsul dostarczy to, czego jemu brakowało. Scypion miał przejąć rolę włócznika i w wyobraźni już celował w serce wroga.

Attyk odciągnął klapę namiotu, gdy pierwsze promienie słońca oparły się o szczyt jego płóciennej kwatery. Z optymizmem przypomniał sobie fragmenty rozmowy z Duiliuszem odbytej poprzedniego wieczoru,

koncentrując się na jednoznacznych sygnałach poparcia, których udzielił mu senator. Zobaczył, jak Baro wyłania się z własnego namiotu, ustawionego kilka kroków dalej, i przywołał go do siebie. Zastępca zareagował żwawo.

– Zbierz ludzi na plaży, Baro. Chcę odpłynąć w ciągu półgodziny.

– Tak jest, prefekcie – odparł Baro i odszedł w stronę namiotów załogi.

Attyk odprowadził go wzrokiem, skierowując myśli na czekający go dzień. Duiliusz poparł jego opinię na temat kruka i Attyk był zadowolony, że uporczywa musztra, którą prowadził w ciągu ostatnich tygodni, nie pójdzie na marne. Chcąc już zacząć dzień, ruszył w stronę namiotów załogi. W legionach każde *contubernium* żołnierzy szykowało jedzenie i spożywało je razem; ta obowiązująca od dawna rutyna usprawniała cały proces, ale ponieważ każdego dnia przybywali kolejni ludzie, przyszłe załogi nowych galer, trzeba było wznieść wspólne namioty, w których mieściła się mesa. Załoganci *Orcusa* korzystali z tego przywileju, ile tylko mogli, i Attyk był pewien, że będą za nim dotkliwie tęsknić, gdy galera ponownie skieruje się na południe.

Skrecił za ostatni róg i stanął jak wryty. Pośrodku drogi stał Septymus, rozglądając się dookoła, a kiedy zauważył Attyka, i on zamarł. Greka zalały wspomnienia z ich ostatniego spotkania; ruszył dalej z zaciśniętymi ustami. Centurion też zrobił kilka kroków w jego stronę, z dłonią jak zawsze na rękojeści miecza.

– Wróciłeś do obozu – powiedział lekceważącym tonem Attyk, zaskoczony nagłą wrogością, jaką czuł.

– Wcale nie wyjechałem – odparł Septymus. – Zakwaterowano mnie w części obozu od strony lądu, wraz z resztą legionistów.

Attyk kiwnął głową i zapadła cisza.

– Przyszedłem tu, żeby cię znaleźć – odezwał się Septymus wolno, napiętym głosem.

– Stawiasz się z powrotem na *Orcusie*?

– Nie, ja... – Septymus się zawahał. – Jeśli chodzi o Hadrię, Attyku, mój ojciec nie mówi w imieniu całej rodziny.

– Powiedział tylko to, co ty sądzisz od dawna: nie jestem dość dobry dla Hadrii. – Głos Attyka drżał od powstrzymany gniewu, a myśli, które kłębiły się w głębi jego umysłu, wyłoniły się na powierzchnię. – Twój ojciec powiedział to w twoim imieniu i w imieniu każdego Rzymianina, który wierzy w waszą przekłątą wyższość.

Twarz Septymusa zaczerwieniła się z wściekłości i odruchowo zacisnął dłoń mocniej na rękojeści miecza. Ze względu na decyzję, którą podjął, nie chciał konfrontacji, ale nie mógł zignorować słów Attyka.

– Bronilem cię, Attyku – powiedział. – Usiłowałem wytłumaczyć ojcu, że jesteś Rzymianinem, jeśli nie z urodzenia, to czynem.

– W tym właśnie tkwi twoja arogancja – odciął się agresywnie Attyk. – Mój honor i moje czyny nie robią ze

mnie Rzymianina. Jestem tym, kim jestem, i to powinno wystarczyć.

Septymus cofnął się rozwścieczony. Zdarzyło mu się już być świadkiem tej strony charakteru Attyka, tej wrogości względem Rzymu, ale nigdy nie dotknęła Septymusa tak bardzo. To, że Attyk uważał porównanie do Rzymianina za obelgę, było potwarzą dla każdego obywatela republiki i zraniło Septymusa do żywego. Centurion zdał sobie sprawę, że wyłącznie podjęta przez niego decyzja powstrzymuje jego prawe ramię. Spór o Hadrię wywołał między nimi niemożliwy do zaleczenia rozłam.

– Nie odszukałem cię po to, żeby wdać się w ten spór – powiedział. Chciał już zakończyć rozmowę i odejść.

– Dlaczego więc przyszedłeś? – zapytał cynicznym tonem Attyk.

– Odtworzono Dziewiąty i przyjęto moją prośbę o przeniesienie.

– Przeniesienie? – Gniew Attyka osłabł w obliczu ogromnego zaskoczenia.

– Będę dowodził czwartym manipulem, moim starym oddziałem.

Attyk zawahał się, a jego umysł ponownie zalały sprzeczne emocje.

Szybko jednak ustąpiły, gdy na czoło wysunęło się poczucie, że został oszukany.

– A zatem *Orcus* będzie walczył bez ciebie – powiedział.

– Obaj wiemy, że nie możemy wspólnie dowodzić, nie teraz – odparł gniewnie Septymus. Nie miał zamiaru brać na siebie całej odpowiedzialności za los, który zniszczył ich przyjaźń. – Sprawił to twój związek z Hadrią.

– Nie – odparł zmęczonym tonem Attyk. – Rzym to sprawił.

Septymus prychnął w odpowiedzi i odwrócił się do odejścia, ale jeszcze się zatrzymał. Jeszcze raz spojrzął na Attyka, usiłując za wrogim wyrazem twarzy zobaczyć swojego niegdysiejszego przyjaciela. Nie udało mu się i odszedł, nie mówiąc już nic więcej.

Attyk stał w milczeniu pośrodku drogi. Obozowa wrzawa narastała dookoła niego. Od strony namiotów nadszedł Baro z załogą – wszyscy byli w pogodnych nastrojach – i zastępca kiwnął dowódcy głową, gdy go mijał po drodze na plażę. Attyk dołączył z tyłu grupy. Jego wcześniejszy optymizm się ulotnił. Nie było na niego miejsca: z każdym krokiem w stronę *Orcusa* nastrój Attyka stawał się coraz bardziej ponury.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Kwinkwerema sunęła miarowo zatłoczonym szlakiem morskim, ani na moment nie zmieniając kursu, a jednostki handlowe ustępowały z drogi jej imponującemu dziobowi. Wielu kupców odprowadziło galerę przekleństwami, rozgniewanych tym, że nie przestrzegała prastarej zasady, w myśl której okręty napędzane wiosłami powinny ustępować statkom płynącym pod żaglami. Jednak ich poirytowane okrzyki cichły, gdy zdawali sobie sprawę, że bandery na maszcie są nie rzymskie, lecz kartagińskie; wtedy oddalali się od kwinkweremy jeszcze bardziej, tak pośpiesznie, że niemal zderzali się z innymi okrętami, jakby były to flagi sygnalizujące zarazę na pokładzie. Okrzyki ostrzegające o nadciągającej galerze przenosiły się z okrętu na okręt po całym ruchliwym szlaku, jak gorący wiatr poprzedzający pożar buszu, i wśród statków utworzyła się pusta przestrzeń. Kartagińczycy natychmiast to wykorzystali, chcąc jak najszybciej wypełnić swoją misję, i kwinkwerema przyspieszyła. Każdy ruch wiosła zbliżał ją do Ostii.

*Orcus* płynął powoli pod żaglami, w tym samym tempie co inne jednostki żaglowe dookoła. Załoga przekomarzała się z ludźmi na pokładach pobliskich okrętów, czekając, aż *Orcus* pokona trasę patrolową. Attyk kroczył powoli po pokładzie rufowym, od czasu do czasu sprawdzając linię steru. Zerknął na odległą o milę

linię brzegową; jej zarys był mu jakby znajomy.

– Kwinkwerema na kursie, milę od nas i coraz bliżej.

Attyk przeniósł wzrok najpierw na Korina, a potem na dziób. Galera znajdowała się na wprost *Orcusa*, wyraźnie widoczna wśród jednostek usuwających się jej z drogi.

To nasi, pomyślał Attyk, ale nie potrafił dojść do tego, z którego portu mógł przy płynąć statek. Te, które przetrwały sztorm, wciąż znajdowały się w Agrigentum, a Attyk nie wiedział o żadnych innych kwinkweremach w pozostałych rzymskich portach. Odwrócił się, gdy na pokład rufowy przybiegł Baro.

– Kartagińska, prefekcie – wyrzucił z siebie. – Dlatego okręty robią jej miejsce: kupcy wysyłają o niej ostrzeżenie.

– Wszyscy na stanowiska bojowe! – krzyknął Attyk.

Szybko opuszczono grotzagiel, a *Orcus* przyspieszył do prędkości bojowej; Gajusz przeklinał tłoczne wody, usiłując utrzymać ster prosto. Attyk spojrzał na pusty główny pokład. Patrole na szlakach morskich Ostii były w najlepszym razie formalnością – zakładano, że jedyny posiadający flotę wróg miasta znajduje się na sycylijskich wodach – i zwyczajowego oddziału legionistów nie było na *Orcusie*. Attyk ścisnął mocno rękojeść miecza. Spojrzał na Gajusza i zobaczył jego zafrasowane oblicze. Otoczeni tyloma okrętami handlowymi mieli bardzo niewiele miejsca i zrobienie użytku z tarana nastęrczy wielu trudności.

– Gajuszu, ster na prawą burtę. Ściągniemy ich ze szlaku – rozkazał Attyk.

Sternik kiwnął głową i skręcił dziobem o dziewięćdziesiąt stopni, przecinając kursy tuzina okrętów handlowych, których załogi ustąpiły drogi sunącej zdecydowanie galerze, świadome nadciągającej potyczki. Attyk odrywał wzrok od statku wroga tylko po to, żeby od czasu do czasu zerknąć ze zmarszczonymi brwiami na Korina stojącego u szczytu masztu.

– Nie skręcają – powiedział Attyk, ale szybko odrzucił wątpliwości i niepewność, wiedząc, że zbyt zdecydowana reakcja i zgadywanie intencji wroga mogą być fatalne w skutkach. Lepiej było walczyć na własnych warunkach. Utrzymał kurs *Orcusa* jeszcze przez chwilę, oceniając kąty natarcia. – Gajuszu, zwrot. Prędkość ofensywna. Wyceluj taran na śródokręcie.

*Orcus* skręcił zwawo na otwartych wodach i skierował się z powrotem w stronę szlaku morskiego; galera wroga znajdowała się teraz dokładnie przed jego dziobem, ale ustawiona do niego burtą. Odległość między nimi zmniejszyła się do trzystu kroków. Potem do dwustu.

Wciąż nie reaguja, pomyślał zdumiony Attyk, choć widział, że załoga nieprzyjaciela ustawia się przy relingu na burcie. Wielu ludzi wskazywało *Orcusa* palcami, inni machali. Wróg był w zasięgu wzroku, na idealnej pozycji, aby go zaatakować, i całe doświadczenie Attyka nakazywało mu wydać komendę do prędkości do taranowania. Nagle zauważył, że jeden z Kartagińczyków

trzyma tarczę nad głową, co było symbolem kapitulacji, i rozkaz wyrwał mu się odruchowo:

– Cała stop.

Komendę powtórzono bez wahania i *Orcus* zatrzymał się, gdy wiosła zanurzyły się w wodzie.

– Jakie rozkazy, prefekcie? – zapytał czujnie Gajusz. *Orcus* szybko tracił pozycję, podczas gdy kartagińska galera wciąż płynęła swoim kursem.

– Prędkość standardowa, wpływamy w ich kilwater, a potem zrównujemy się z nimi – powiedział Attyk, po czym zawołał w stronę pokładu głównego: – Baro, niech ludzie będą gotowi, w razie gdyby to była jakaś zasadzka.

Zastępca potwierdził rozkaz i Attyk ponownie przeniósł uwagę na kartagińską galerę.

*Orcus* szybko zajął pozycję, zbliżając się do jednostki nieprzyjaciela od jej najsłabszej strony. Jego dziób zbliżył się do rufy wroga na odległość równą połowie długości statku, a Kartagińczycy zatrzymali się i wciągnęli wiosła na pokład, aby *Orcus* mógł podpłynąć do burty. Gajusz zręcznie zakończył manewr i Attyk przeszedł na główny pokład w ciszy, która zapadła wśród obu załóg, gdy patrzyły na siebie ponad burtami statków.

Kartagińczycy stojący wzdłuż relingu rozstąpili się, a zaszokowany Attyk cofnął się, gdy rozpoznał Rzymianina, który podszedł miarowym krokiem, podtrzymując fałdy togi.

– Ach, prefekt Perennis – powiedział z lekkim zaskoczeniem, ale szybko się otrząsnął i kiwnął głową

kartagińskiemu dowódcy stojącemu obok niego, na co ten szybko wydał rozkaz wysunięcia w stronę *Orcusa* trapu. Rzymianin przeszedł po nim, a kładkę szybko wciągnięto z powrotem. Widać było, że dostarczywszy swojego pasażera, kartagińscy załoganci rozluźnili się, a ich galera skręciła o jeden rumb, aby ponownie uruchomić wiosła, i wykonała ciasny zwrot na szlaku, aż jej dziób był skierowany na południe.

*Orcus* dryfował dalej w łagodnym prądzie: załoga, podobnie jak Attyka, jeszcze nie doszła do siebie.

– Czy to prawda? – zapytał Rzymianin, chwytając Attyka za ramię i ściskając je mocno.

– Prokonsulu?

– Sztorm, straty. Byłeś tam. Czy to prawda?

Attyk otrząsnął się z początkowego zaskoczenia.

– Tak, prokonsulu, to prawda – odpowiedział poważnym tonem.

Ramiona Regulusa opadły nieco. Dawno temu pogodził się z wersją wydarzeń przedstawioną mu przez Hamilkara, a przynajmniej tak mu się wydawało; jednak gdy zobaczył Attyka, ponownie wezbrała w nim nadzieja i niedowierzanie. Wiedział, że prefekt stacjonował w Aspis. Teraz ponownie spojrzął na Greka i wyprostował plecy, znów odzyskując przekonanie.

– Musisz złożyć mi szczegółowy raport na temat wszystkich wydarzeń od czasu naszej porażki pod Tunesem – zarządził. – A teraz, prefekcie, czym prędzej do Ostii. Muszę być w Rzymie przed zachodem słońca.

– Ale kartagińska galera... – odparł Attyk, nie odrywając wzroku od wycofującego się okrętu wroga. – Powinniśmy ją zaatakować.

– Nie możecie – odpowiedział Regulus. – Dałem im słowo, że będą mogli odpłynąć bez przeszkód. Udadzą się do Lipari, gdzie będą czekać na mój powrót.

– Twój powrót – powtórzył zdezorientowany Attyk. – Nie rozumiem, prokonsulu. Po co sprowadzili cię z powrotem do Rzymu?

– Abym zakończył tę wojnę – odparł Regulus z nutą dumy w głosie.

Septymus zszedł z konia i wyciągnął ramiona, odchylając się do tyłu, aby napiąć mięśnie barków, i stęknął z ulgi. Przejechał galopem niemal całą drogę z obozu, nie chcąc zmarnować ani jednej cennej chwili swojej przepustki, a kiedy patrzył na Domicjana idącego w jego stronę dziedzińcem, poczuł intensywny przypływ zadowolenia. Podał lejce wiekowemu służącemu i poklepał go po ramieniu. Widząc najmłodszego syna rodu z powrotem w domu rodzinnym, mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Twoi rodzice są w *triclinium* – powiedział.

Septymus wkroczył do posiadłości i podążył do głównej jadalni.

Widząc syna, Salonina poderwała się i podeszła do niego z wyciągniętymi ramionami. Antoninus też się podniósł, ale wolniej, z krzywym uśmiechem na ustach.

Septymus uścisnął rękę ojca z równą siłą.

– Witaj, centurionie – powiedział Antoninus.

Septymus z trudem ukrył zaskoczenie. Jego ojciec po raz pierwszy zwrócił się do niego, używając tego tytułu. Widział w jego oczach dumę z tego, że syn doszedł do rangi, którą on sam niegdyś piastował: centuriona Dziewiątego legionu. Septymusa nagle rozżłościła ta jawna manifestacja aprobaty, ponieważ przypomniał sobie pogardę, jaką Antoninus wielokrotnie okazywał tej samej randze w siłach floty, lekceważąc ją jako pusty, pozbawiony znaczenia tytuł. Septymus złapał się na tym, że ponownie roztrząsa swoją decyzję o przeniesieniu.

Kiedy po raz pierwszy dotarły do niego wieści o odtworzeniu Dziewiątego, poczuł ogromną dumę i był szczęśliwy, że „Wilki Rzymu” powstaną, aby znów walczyć. Była to dzielna jednostka o chwalebnych dziejach i jako jeden z jej synów zawsze czuł się z nią mocno związany. Przeniesienie się do floty dało mu szansę na awans i choć na decyzję o nim wpłynęło to, że stracił w bitwie pod Agrigentum przyjaciela, Waleriusza, nigdy tego nie żałował.

Mimo to od dawna uznawał i akceptował potężny wpływ, jaki wywarł na niego Dziewiąty, uwidoczniiony w sile jego prawego ramienia i więzi z byłymi towarzyszami, ludźmi, którzy znali i szanowali jego ojca. W rezultacie tego wpływu pomaszerował wraz z Dziewiątym do bitwy pod Termini; potem jednak wrócił do żołnierzy floty z jasnym poczuciem celu, pewien, że

znalazł sobie miejsce pośród honorowych marynarzy.

Ta pewność legła w gruzach wraz z końcem jego przyjaźni z Attykiem. Septymus pojawił się na powrót w Dziewiątym ze zdwojoną determinacją, chętnie przejmując dowodzenie nad czwartym manipulem. Wydawało się, że funkcja ta jest mu przeznaczona – niegdyś świetnie pełnił ją jego ojciec, a sam Septymus służył w tej randze jako *optio* Marka Fabiusza Buteo, towarzysza, którego stracił w bitwie pod Tunesem.

To z takim bagażem Septymus stał teraz przed Antoninusem; pozornie przyjmował pochwałę, lecz zarazem zdał sobie sprawę, że choć tej właśnie aprobaty pragnął przez wiele lat, gdy dowodził manipulem żołnierzy floty, teraz nie sprawia mu ona żadnej przyjemności. To spostrzeżenie wytrąciło Septymusa z równowagi i kiedy siadał z rodzicami na ich zaproszenie, zastanawiał się, czy przestał cenić akceptację ojca, czy też stanowisko, które wcześniej tak poważał.

– Jak ma się Hadria? – zapytał, chcąc zmienić temat.  
– Jest w domu?

Salonina posmutniała i splotła dłonie, aby powstrzymać ich drżenie.

– Jest bardzo chora – odpowiedziała głosem, w którym pobrzmiwał szloch. – Jest w swoim pokoju i nie wstała z łóżka od tamtej nocy, kiedy...

– Ten grecki sukinsyn rzucił na nią klątwę – syknął Antoninus.

Septymus poczuł nową falę gniewu na ojca. Ugryzł



się w język, wiedząc, że nie jest w stanie zmienić jego nastawienia.

– Co jej dolega? – zapytał, coraz bardziej zmartwiony.

– Nie odzywa się – odparła Salonina. – Prawie nie je. Leży tylko w sypialni. Jest z nią gorzej, niż kiedy była w żałobie po Waleriuszu.

– Nie porównuj ich, kobieto – odezwał się gniewnie Antoninus. – Waleriusz był Rzymianinem, ten Grek to *barbarus*.

Salonina zdawała się nie słyszeć męża.

– Czas uleczy jej rany – powiedziała niepewnym tonem, kręcąc głową z rozpaczą.

Kierowany impulsem Septymus wstał i wyszedł z pokoju, po czym skierował się w stronę schodów prowadzących do sypialni. Wspiał się na nie powoli, zastanawiając się, jak pocieszyć Hadrię, ale kiedy przypomniał sobie, jaką rolę odegrał w jej związku z Attykiem, zawahał się. Zawsze był mu przeciwny – jego motywy zmieniały się wielokrotnie, ale przekonanie żywił niezachwiane – nawet gdy już zrozumiał, jak bardzo Hadria jest oddana Attykowi. Liczyło się to, że zajmował stanowisko absolutnie przeciwne siostrze oraz przyjacielowi, i nagle poczuł się niepewnie, wstrząśnięty konsekwencjami: utratą przyjaźni z Attykiem i głęboką rozpaczą Hadrii.

Dotarł do drzwi jej sypialni i stanął, nasłuchując uważnie, ale nie dobiegał zza nich żaden odgłos. W tej

ciszy Septymus wyciągnął rękę, ale powstrzymał się, gdy jego pewność siebie ustąpiła pod ciężarem poczucia winy; w końcu odwrócił się i odszedł.

Regulus stał na progu kurii, słuchając w aż nadto znajomy sposób narastających i cichnących głosów debatujących senatorów. Poprawił fałdy togi, przypominając sobie, kiedy ostatnio stał w tej szacownej komnacie. Był wtedy starszym konsulem, najpotężniejszym człowiekiem w Rzymie, i kiedy wstał, aby wyruszyć na podbój Afryki, senat wiwatował i wykrzykiwał jego imię. Teraz wracał jako emisariusz pokoju, zwiastun wiadomości, które z pewnością zostaną przywitane z radością. Będzie witany owacjami jako zbawca, ten, który pokazał miastu drogę w najmroczniejszej godzinie.

Regulus był całkowicie po stronie zawarcia proponowanego rozejmu; doszedł do tego wniosku po wielu tygodniach dyskusji i rozmyślań. Rzym został pokonany, Barkas go o tym przekonał, a rozmaite siły, które widział w porcie Kartaginy, dodatkowo uwidoczniły fakt, że wróg nawet jeszcze nie pokazał całej swojej potęgi. Wygłosi przed senatem mowę o zawarciu pokoju z zachowaniem poczucia honoru, o potrzebie zahamowania natarcia kartagińskiej hordy, o szansie na unormowanie sytuacji na południowej granicy republiki oraz o zyskaniu czasu na zebranie sił.

Regulus zamyślił się nad jednym aspektem, którego

nie był w stanie przewidzieć: wyborem Scypiona na stanowisko starszego konsula, o czym zawiadomił go grecki prefekt. Scypion był jego zaprzysiężonym wrogiem i Regulus wiedział, że ma on niebywale podstępłą naturę, ale sądził też, że jego własna sprawa jest honorowa i że starszy konsul dostrzeże to dla dobra Rzymu, bez względu na osobiste animozje. Otrząsnąwszy się z myśli o tym nieistotnym detalu, Regulus wyprostował się i przekroczył próg kurii.

Gdy wszedł, senatorowie dyskutowali dalej, lecz wkrótce rozległy się okrzyki zdumienia, gdy go rozpoznano. Niektórzy wstali i podeszli do niego, zasypując go pytaniami, ale ignorował ich i zachowując neutralny wyraz twarzy, rozglądał się, aby się upewnić, czy Scypion jest w sali. Ruszył w stronę mównicy – senatorowie ustępowali mu drogi – i wszyscy umilkli, czekając, co powie.

– Obywatele Rzymu – zaczął. – Stoję dziś przed wami, aby przekazać wam wspaniałe wieści. W tej najtrudniejszej chwili bogowie przodków pokierowali naszym losem. Kartagina chce pokoju i przedstawiła nam warunki...

Jego słowa przywitały okrzyki niedowierzania i protestu. Regulus przerwał, zaniepokojony nastawieniem swoich towarzyszy. Przypomniawszy sobie, jaką odrazę sam początkowo czuł na myśl o kapitulacji, ale to było, zanim się przekonał o jej słuszności. Podniósł głos, zdecydowany dokończyć przygotowaną mowę; bardzo chciał

wytłumaczyć, jak łagodne są warunki stawiane przez Punijczyków, i był pewien, że pierwsze wątpliwości senatorów wkrótce znikną w obliczu jego rozumowania.

– Senatorowie, senatorowie! – zakrzyknął. – Kartagińczycy żądają jedynie, żebyśmy wycofali się z Sycylii. Biorąc pod uwagę nasze straty i ich potęgę, to szczodra propozycja, którą warto przyjąć. My...

Znów był zmuszony urwać, gdy protesty stały się jeszcze głośniejsze, a wielu senatorów poderwało się na nogi i celowało w niego gniewnie palcami. Regulus stropił się i ponownie przeanalizował każdy aspekt swojego argumentu, nie znajdując w nim skazy. Uniósł dłonie i mówił dalej, przekrzykując wrzawę.

– Nasza flota już nie istnieje, zabrali ją bogowie! – zawołał. – Pokonano nas w otwartej walce. Musimy przyjąć te warunki, choćby tylko po, żeby zyskać na czasie...

– Cisza! – ryknął ktoś.

Regulus odwrócił się i natychmiast dostrzegł Scypiona. Był na miejscu przez cały ten czas, siedząc wśród anonimowego tłumu, gdy on przemawiał. Prokonsul z narastającym przerażeniem patrzył, jak Scypion wstaje i rusza przez salę.

– Za mną – rzucił pogardliwie, a Regulus usłuchał i wyszedł z komnaty wśród zdwojonej salwy protestów.

Scypion ruszył do kwatery starszego konsula, a Regulus szedł znaną trasą za nim bez słowa, z zamęt w głowie. Dopiero gdy dotarli na miejsce, poczuł się trochę

uspokojony. Komnata owa należała niegdyś do niego i kiedy przypomniawszy sobie o swoich osiągnięciach jako starszego konsula, odzyskał nieco pewność siebie.

Pomieszczenie było idealnie okrągłe, co stanowiło anomalię w sercu budynku zbudowanego na planie prostokąta, a kopulaste sklepienie wieńczył *oculus*, przez który wpadał strumień światła, bezustannie przemieszczający się po marmurowych ścianach. Scypion stanął za stołem pośrodku komnaty i wlepił w Regulusa uważny wzrok. Początkowo – jak wszyscy w senacie – był zszokowany nagłym pojawieniem się Regulusa. Patrzył, jak prokonsul idzie w stronę podium zdecydowanym krokiem, ale kiedy zaczął mówić, ten szok zastąpiło niedowierzanie. Scypion uśmiechnął się w duchu, wyczuwając narastający gniew otaczających go senatorów.

Scypiona wybrano na stanowisko starszego konsula, ponieważ obiecał senatorom zwycięstwo nad Kartagimą, a oni mu uwierzyli. Od tamtego dnia starannie podsycił płomień tej wiary, rozniecając go w szalejący ogień, kiedy potrzebował, aby przegłosowali stworzenie nowej floty kwinkwerem, i pozwalając mu osłabnąć, gdy chciał ostudzić wiarę strachem, lecz nieustannie dbał, aby do pewnego stopnia zachowali nadzieję w ostateczne zwycięstwo Rzymu. Natychmiastowa reakcja senatu na słowa Regulusa świadczyła, że mu się udało.

Scypion zmierzył prokonsula spojrzeniem, mając dla mężczyzny, który niegdyś mu się sprzeciwił, wyłącznie

pogardę.

– A zatem stałeś się marionetką Kartagińczyków.

– Nie jestem marionetką, Scypionie – odparł gniewnie Regulus. – Jestem tu na zasadzie parolu, jako posłaniec pokoju, i przynoszę dogodne warunki, które Rzym musi przyjąć.

– Jesteś głupcem i wyszedłeś na głupca, Regulusie – powiedział kpiąco Scypion. – A Rzym nie musi niczego przyjmować.

– Sięgnij wzrokiem poza własną dumę, Scypionie. Pokonano nas – zaripostował Regulus. – Rozejm jest dla nas jedyną szansą na utrzymanie panowania nad terenami na stałym lądzie. Jeśli będziemy dalej walczyć, zostaniemy siłą wypędzeni z Sycylii, a Kartagińczycy nie zatrzymają się na Cieśninie Mesyńskiej.

– Zwycięzimy Kartagińczyków. Obiecałem to senatowi. Dałem mu wiarę. Dopiero co byłeś świadkiem siły tego przekonania.

– To przekonanie jest nieuzasadnione, Scypionie. W porcie w Kartaginie widziałem potęgę nieprzyjaciela. Nie wygramy z nim, teraz, kiedy jesteśmy słabi.

– Właśnie odbudujemy flotę – odparł pełnym determinacji tonem Scypion. – Wkrótce Rzym znów będzie silny, a kiedy to się stanie, poprowadzę go do zwycięstwa.

Regulus zauważył szaleństwo w głosie Scypiona, dostrzegł absolutną wiarę w siebie płonącą w jego oczach i zdał sobie sprawę, że – mimo niepewnej sytuacji Rzymu

– jest on zdecydowany ciągnąć wojnę dalej. Perennis wspominał o nowej flocie, ale Regulus miał nadzieję, że Grek nie jest do końca dobrze poinformowany. Teraz nie było wątpliwości. Właśnie miał wysunąć dalsze argumenty, ale nagle się powstrzymał. Sam zmienił się nie do poznania w ciągu dwóch lat, od kiedy w tym samym pokoju stawiał czoło Scypionowi, ale właśnie zdał sobie sprawę, że Scypion jest w gruncie rzeczy tym samym człowiekiem. Nie chciał kontynuować wojny na chwałę Rzymu, lecz dla własnych celów. Mimo wszystkiego, co się wydarzyło, wciąż przedkładał osobiste ambicje ponad potrzeby republiki. Ta świadomość rozwścieczyła Regulusa, który nachylił się nad stołem.

– Niegdyś siedziałem na tym krześle – powiedział. – Pamiętam, jaką władzę sprawuje się jako starszy konsul, i wiem, jak można manipulować senatem za pomocą słów i pustych obietnic. Wprowadziłeś senat w błąd dla własnych celów.

– Siedziałeś na tym krześle, boja cię na nim posadziłem – odciął się zjadliwie Scypion. – A ty odpłaciłeś mi się za to zdradą.

– Zrobiłem to, co zrobiłem, dla Rzymu – odparł Regulus.

– I dlatego właśnie przegrywasz! – krzyknął Scypion, wstając. – Dlatego słabiesz, gdy słabnie siła Rzymu. Rzym jest potężny dzięki ludziom takim jak ja, Regulusie, ludziom, których siła powiedzie to miasto przed siebie. Rzym nie podda się, ponieważ ja się nie poddam, i

zwycięży, ponieważ ja zwyciężę.

Regulus odsunął się od stołu, wiedząc, że dalsza argumentacja nie ma sensu. Zbierając się do odejścia, odwzajemnił złowrogie spojrzenie Scypiona.

– Zgodnie z zasadami parolu jestem zobowiązany moim słowem honoru wrócić do Lilybeum na Sycylii przez Lipari – powiedział. – Ale wiedz jedno, Scypionie. Twoja ambicja stanowi zagrożenie dla przetrwania Rzymu, a kiedy senatorowie zdadzą sobie z tego sprawę, przypomną sobie o ludziach mojego pokroju, ludziach, dla których dobro Rzymu jest najważniejsze, i przywołają mnie z powrotem.

– Nie, Regulusie – wycedził powoli Scypion. – Popadniesz w zapomnienie. – I odwrócił się plecami, a prokonsul wyszedł z komnaty.

Rozsierdzony Scypion zorientował się, że nie potrafi ustać w miejscu, i zaczął krążyć po cichym pokoju, chodząc bezcelowo dookoła wielkiego marmurowego stołu. Postanowił już, gdzie nastąpi jego pierwsze natarcie – celem miał być kartagiński przyczółek, który od początku wojny stanowił ogromną przeszkodę dla rzymskiej kampanii oraz główny punkt każdego ataku przypuszczanego przez wroga na północnym wybrzeżu Sycylii.

Do ukończenia budowy nowej floty było jeszcze daleko, więc aby wykonać swój plan, Scypion musiał zebrać zmasakrowane w sztormie niedobitki stacjonujące w Agrigentum. Ponownie pomyślał o człowieku, który był



jego pierwszym kandydatem na dowódcę morskiej części natarcia, i tak jak wcześniej jego rozsądek i duma się kłóciły. Z logicznego punktu widzenia – biorąc pod uwagę, jak nieliczni byli wykwalifikowani rzymscy dowódcy – Grek stanowił oczywisty wybór. W swojej wąskiej dziedzinie dysponował wiedzą, którą posiadało niewielu innych. Scypion pomyślał o tym, jak Grek ostrzegł Paulusa przed sztormem, tylko po to, żeby ów konsul-idiota zignorował tę radę. Czuł zarazem narastający gniew na myśl o tym, że nawet bierze pod uwagę wcielenie Greka do swoich szeregów, ale rozsądek znów zwyciężył i Scypion przypomniał sobie o szpiegu, którego miał na okręcie prefekta. Będzie trzymał Greka na dystans, a Baro będzie go uważnie obserwował; ten kompromis wzbudzał u Scypiona nudności, ale konsul wiedział też, że jak na razie jest on konieczny.

Podjąwszy decyzję, Scypion skierował myśli na inne aspekty kampanii. Pochłonęły go szczegóły – jego bystry umysł uporał się z każdym po kolei – ale czuł też narastającą ekscytację, coraz szybciej krążąc po pokoju. Po chwili zatrzymał się i zerknął na drzwi, po czym ruszył w ich stronę zdecydowanym krokiem. Dość już planowania i czekania. Nadszedł czas, aby wcielić te plany w życie, czas spełnić obietnicę, którą złożył senatowi: czas ruszać na wojnę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po rozległej połaci zatoki poniósł się dźwięk pojedynczego dzwonu alarmowego, chwilę później dołączył do niego tuzin następnych, po czym na galerach w zewnętrznym porcie rozległy się trąby, a hałas ten podsycał panikę mieszkańców znajdujących się za murami miasta. W Panormos panował chaos, na ulicach tłoczyli się ludzie i zwierzęta – niektórzy uciekali głębiej w miasto i na nabrzeże, a inni w stronę bram, teraz szczelnie zamkniętych przed nadciągającymi rzymskimi legionami. Ogłuszająca wrzawa wpędzała ludność w jeszcze większe przerażenie, a ponad nią słychać było wykrzykiwane komendy dowódców, którzy poganiali swoich ludzi w stronę murów. Żołnierze torowali sobie drogę w tłumie tarczami i włóczniami.

Attyk stał na pokładzie rufowym *Orcusa*, wdychając powietrze prastarego portu. W zatoce było nie więcej niż kilkanaście kartagińskich galer, które z nachylnymi kadłubami wycofywały się głębiej, do bezpiecznego wewnętrznego portu, gnane widokiem tylu rzymskich galer. *Orcusowi* towarzyszyło siedemdziesiąt galer, nowo zebranych z niedobitków floty spod Agrigentum, która w poprzednim miesiącu odzyskała swoją siłę. Attyk był głównodowodzącym; kiwnął głową Gajuszowi, kiedy zobaczył, że ostatnie z jego statków wpływają na szlaki prowadzące do miasta od wschodu.

*Orcus* zwolnił do zwykłej prędkości. Skrzydła formacji rozwinęły się, tworząc blokadę, a po całej flocie poniosła się fala rozkazów i sygnałów, aż każda galera знаła swoje miejsce. Attyk przez chwilę obserwował trym własnego statku i działania nowej załogi. Każda chwila długiej przeprawy z Rzymu do Agrigentum i stamtąd do Panormos upłynęła na szkoleniu świeżych rekrutów i Attyk był zadowolony z ich postępów.

Niemal cała wysoka rangą załoga *Orcusa* została przeniesiona, aby zapewnić doświadczoną obsadę dla nowej floty dwustu dwudziestu galer budowanej w porcie w Ostii i kiedy jakieś trzy tygodnie wcześniej Attyk wypłynął z Rzymu na południe, połowę z tych jednostek już zwodowano i przechodziły one próby morskie. Było jedynie kwestią czasu, zanim zmierzą się z nieprzyjacielem.

Attyk złożył wniosek o to, aby zatrzymać przy sobie Gajusza, na co wyrażono zgodę ze względu na jego rangę, ale z zaskoczeniem i radością dowiedział się, że Baro również uniknął przeniesienia. Wielu z doświadczonych zastępców kapitanów odkomenderowano do dowodzenia nowymi galerami i to, że Baro został przy nim, było łutem szczęścia, który niezwykle przyspieszył szkolenie nowej załogi.

Attyk potwierdził przyjęcie kolejnej porcji sygnałów i *Orcus* zatrzymał się, a jego dziób zwawo skierował się prosto w stronę wewnętrznego portu; dzięki swojej pozycji galera stanowiła podstawę całej prawej flanki

blokady. Aby mieć lepszy widok, Attyk przeszedł na pokład dziobowy, zabierając ze sobą sygnalistę z rufy. Poza jakimś tuzinem kartagińskich galer wojennych widać było ponad pięćdziesiąt jednostek handlowych wszelkich rozmiarów – wiele z nich stało na cumach w porcie, podczas gdy inne uwijały się przy niewidocznej granicy między wewnętrznym a zewnętrznym portem. Po zapadnięciu zmroku rozpoczną się pierwsze próby wyłamania się, szczególnie wśród mniejszych statków handlowych, i Attyk obserwował uważnie ich trym i nastawienie, usiłując się zorientować, które z nich zachowują się najbardziej agresywnie ze względu na bliskość blokady.

Biorąc pod uwagę niewielki zasięg galer, blokady bardzo trudno było utrzymać. Na tych jednostkach znajdowało się niewiele miejsca na zapasy, szczególnie wody, zużywanej w ogromnych ilościach przez wioślarzy w upale późnego lata. W związku z tym trzeba było ustalić system, według którego pojedyncze okręty mogły odłączyć się od formacji i uzupełnić zapasy na pobliskim lądzie; szereg był osłabiony dookoła pozycji nieobecnego statku do momentu jego powrotu, kiedy kolejna jednostka mogła powtórzyć ten manewr. Każdy żeglarz, który kiedykolwiek był świadkiem blokady – a tacy bez wątpienia znajdowali się w Panormos – będzie zdawał sobie sprawę z tych ograniczeń i mógłby spróbować je wykorzystać. Attyk znał tylko jedno rozwiązanie tego problemu: kolejność opuszczania formacji musiała być

przypadkowa, co nie dałoby spostrzegawczemu nieprzyjacielowi żadnej przewagi. Mimo to niektórym statkom na pewno uda się umknąć z nieznanego Rzymianom portu, a Attyk martwił się głównie o to, że niektóre z nich mogą popłynąć prosto do Lilybeum i ostrzec stacjonującego tam wroga o blokadzie.

Gdy uwagę Attyka przykuł wysoki ton trąbki legionów, odwrócił się w stronę brzegu za murami Panormos. Maszerujące formacje nowo utworzonego Dziewiątego rysowały się jaskrawą czerwienią na tle zielonych wzgórz wznoszących się za miastem i Attyk nawet z tej odległości wyczuwał ich uśpioną energię; były niczym zwinięty wąż, który szykował się do ataku na miasto. Attyk odwrócił się od tego widoku, powstrzymując bieg myśli, które natychmiast skierowały się w stronę jednego z ludzi owego legionu. Ponownie skoncentrował się na otaczającym go szyku galer świadom, że niedługo rozpocznie się bitwa i blokada będzie musiała wytrzymać.

Septymus ryczał na świeżych rekrutów ze swojego manipułu, klnąc, na czym świat stoi. Starannie utworzony szyk jednostki w ciągu krótkiej chwili, kiedy rozproszył się, obserwując mury Panormos, po raz kolejny stracił zwartość. Wyraźne odstępy między jego fragmentami zniknęły, a proste wcześniej boki kwadratu znowu wygięły się na zewnątrz na flankach, na co zaczęli przeklinać również centurionowie dowodzący manipułami

po bokach.

Rekruci szli na przemian z doświadczonymi żołnierzami, lecz stanowili większość oddziału, więc potknięcie się jednego natychmiast odbijało się na rytmie marszu pozostałych. Zaprawiona w bojach jednostka bezustannie zwierzałaby szeregi, natychmiast radząc sobie z wszelkimi nierównościami terenu, ale rekruci potykali się na wybojach, z ekscytacji zapominając o najbardziej podstawowych zasadach musztry. Nerwowe napięcie ludzi jeszcze bardziej rozdrażniło Septymusa, a bicz jego rozkazów ponownie zagonił ich do formacji, choć centurion wiedział, że nie utrzyma się ona długo.

Manipuł – co więcej, cały legion – zbudowano na solidnym założeniu, że doświadczenie jest najważniejsze przy utrzymywaniu dyscypliny podczas bitwy. Z tego powodu przednie szeregi, *hastati*, często składały się z najniższych rangą żołnierzy, a zawsze z najlżej uzbrojonych. Za nimi podążali *principes*, kręgosłup i źródło siły formacji, a na tyłach szli *triarii*, weterani wielu bitew. Drugi i trzeci szereg pilnowały, żeby legion nie zrobił ani kroku w tył, jeśli nie otrzyma takiego rozkazu, odbierając młodemu *hastati* możliwość ucieczki, gdyby w ogniu walki opuściła ich odwaga. Jednak w nowo i pośpiesznie utworzonym Dziewiątym zarówno *hastati*, jak i *principes* byli głównie świeżymi rekrutami, i tylko postura żołnierzy decydowała, kto znajdzie się w którym szeregu. Jedynie *triarii* byli doświadczonymi wojownikami, zaciągniętymi z innych legionów, i w

nadciągającej bitwie to oni mieli stanowić fundament Dziewiątego.

Słyszając łoskot galopujących kopyt, Septymus urwał wiązaną przekleństw w pół słowa, oglądając się, gdy minął go kolejny oddział jazdy, pędzący w stronę drogi dojazdowej po drugiej stronie miasta. Tę – zachodnią – stronę przydzielono Drugiemu legionowi i jego żołnierze już mknęli po płaskich polach uprawnych oddzielających skierowane w stronę lądu mury Panormos od strzelistych wzgórz, które otaczały zatokę. Septymus przyglądał się uważnie ich natarciu, zwracając uwagę na uporządkowane szeregi zaprawionego w bojach legionu, i wiedział, że Drugi nie przez przypadek skierowano na drogę prowadzącą z twierdzy wroga w Lilybeum.

Po Dziewiątym poniósł się echem rozkaz do zatrzymania się i Septymus powtórzył go instynktownie; komenda wzbudziła znużone westchnienie wśród stojących za nim żołnierzy. Słyszając ten odgłos, centurion zmarszczył brwi, świadom, że jego ludziom brakuje nawet wytrzymałości fizycznej koniecznej podczas kampanii. Z błogosławieństwem Fortuny – o ile Kartagińczycy nie wyruszą z Panormos – tego dnia nie wezmą udziału w bitwie, ale do wieczora było jeszcze daleko. Septymus rozejrzał się i od razu dostrzegł ludzi wyznaczających granice prostokątnego obozowiska, którego budowa musiała się zakończyć przed zmrokiem. Wzdłuż ich oznaczeń powstanie rów – szeroki na dziesięć stóp i głęboki na pięć – a po wewnętrznej stronie jego obwodu z

wykopanej ziemi usypany zostanie wał. W niego żołnierze mieli wbić *sudes*, długie na sześć stóp, zaostrome dębowe pale, które legion transportował ze sobą, a je z kolei poprzepłatać lżejszymi dębowymi gałęziami. Doświadczony legion był w stanie wypełnić to zadanie w niecałe trzy godziny, ale podczas poprzednich dni marszu z Brolium Dziewiąty z ledwością kończył je w pięć. Septymus mógł mieć tylko nadzieję, że pod spojrzeniem nieprzyjaciela nieudolność ta pozostanie niezauważona.

Scypion wstał w strzemionach, prostując się, a jego koń zmienił nieco pozycję, aby zachować równowagę. Konsul odruchowo wymamrotał kojące słowa, uspokajając wierzchowca. Klacz rasy hiszpańskiej pochodziła z południa półwyspu, była wysoka na piętnaście piędzi i Scypion osobiście wybrał ją ze swoich stajni jako jednego z trzech rumaków bojowych, które przybyły z nim na Sycylię. Specjalnie wyhodowany i wyszkolony koń natychmiast reagował na zmianę ułożenia ciężaru ciała jeźdźca i nacisk jego nóg, co eliminowało konieczność używania lejców w bitwie i pozwalało wojownikowi posługiwać się orężem obiema rękami.

Scypion stał nieruchomo i rozglądał się po murach Panormos. Były one potężne i choć dobiegały zza nich wyraźne odgłosy paniki, konsul zdał sobie sprawę, że żaden dowódca nie podda miasta bez walki.

Przemaszerował przed nim Drugi legion; żołnierze



poruszali się, nie czekając na rozkazy, i towarzyszył im jedynie rytmiczny brzęk ekwipunku i uzbrojenia. Legion ten sprawdził się już w wielu bojach i miał stanowić kręgosłup natarcia.

Konsul dostrzegł, że po prawej Dziewiąty przystępuje do zbudowania swojego obozu. Żołnierze ci byli legionistami tylko z racji swojego odzienia i daleko im było do użytecznej jednostki bojowej. Scypion wysłał ich na kampanię wyłącznie jako ostatnią deskę ratunku; chciał, żeby ich dodatkowe zastępy podtrzymały iluzję potęgi. Wiedział, że Kartagińczycy zobaczą z murów Panormos jedynie sam legion, a nie jego nieudolność.

Marsz z Brolium był ciężki, po trudnym, górzystym terenie położonym dalej od linii brzegowej; trasę tę wybrano z konieczności ominięcia kontrolowanego przez Punijczyków portu Termini. To śmiałe posunięcie miało przeciwników w senacie, ale Scypion nalegał, chcąc ponownie przejąć inicjatywę w walce – był świadom, że stopniowe, ostrożne podejście do sprawy szybko uszczupli cenny czas jego kadencji konsula, a zarazem nie pomoże osiągnąć żadnych godnych uwagi korzyści. Jeśli uda mu się zdobyć Panormos, będzie mógł rozpocząć kampanię w celu utrzymania dowodzenia po zakończeniu swojej kadencji; zdobycie urzędu prokonsula otwierałoby przed nim wiele kolejnych możliwości.

Usiadł z powrotem w siodle, a otaczający go trybunowie natychmiast nabrali czujności, niecierpliwie czekając na jego komendę. Ponownie spojrzął na mury i

potężną bramę chroniącą miasto od wschodu. Bez wątpienia podobna brama znajdowała się też na końcu zachodniej trasy dojazdowej, również zabarykadowana przed rzymskimi legionami.

Scypion przywołał do siebie jednego z trybunów.

– Weź oddział konnicy i jedź pod mury – rozkazał. – Odszukaj dowódcę nieprzyjaciela, kogoś o wysokiej randze, i przekaz mu wiadomość: jeśli poddadzą się bez walki, każdy dorosły mężczyzna trafi do niewoli, ale oszczędzimy ich, tak samo jak wszystkich mieszkańców. Jeśli będą stawiać opór, kiedy przełamiemy ich obronę... a tak się stanie... nie będzie miłosierdzia.

Trybun uderzył pięścią o napierśnik, salutując, i odjechał w kłębie kurzu, wykrzykując rozkazy, gdy mijał oddział jazdy. Od formacji odłączył się tuzin jeźdźców i podążył za trybunem, doganiając go dopiero, gdy ten zbliżał się już do murów. Scypion przyglądał się im bez zainteresowania. Oferta łaski była zwykłą formalnością, wysuniętą na podstawie mało prawdopodobnego założenia, że dowódca jest tchórzem albo że mieszkańcom udało się jakoś pokonać garnizon i obdarzyć dowodzeniem cywila. W innym razie takie propozycje przyjmowano rzadko, jeśli w ogóle.

Czas zaczął się Scypionowi dłużyć i konsul ponownie się uniósł w siodle, aby lepiej widzieć grupę rzymskich jeźdźców pod murami. Na blankach rysowała się gromada Kartagińczyków, którzy spoglądali w dół, a światło odbijało się od ich hełmów. Nagle z dalszego odcinka

murów na konnych spadła salwa strzał; Scypion patrzył z furją, jak Kartagińczycy ciskają włóczniami prosto w stronę rzymskiej jazdy. Jeźdźcy natychmiast rzucili się do ucieczki, zostawiając za sobą martwych i rannych, a ze strony milczącego wcześniej Drugiego legionu dał się słyszeć ryk gniewu – ci, którzy widzieli ten podły atak, dali upust swojej wściekłości. Kartagińczycy dali im odpowiedź: kapitulacji nie będzie.

Wyczuwając napięcie jeźdźca, wierzchowiec się spłoszył. Scypion spał go do pełnego galopu, a zaskoczona grupka trybunów podążyła za nim, gdy gnał na spotkanie wycofującego się oddziałku jazdy. Zatrzymał go i szybko przeliczył: dwaj z pozostałych siedmiu ludzi byli ranni, a z ich ciężkich obrażeń wystawały drzewce strzał. Trybuna wśród nich nie było i Scypion spojrzał na bezwładne postaci leżące w cieniu murów miasta. Ich śmierć była bezsensowna, niepotrzebna, i Scypion wrył sobie ten widok w myślach. Panormos padnie – w to nie wątpił ani przez chwilę – ale teraz powziął postanowienie, że upadek ten pociągnie miasto i wszystkich mieszkańców na samo dno Hadesu.

O świcie Attyk mógł po raz pierwszy dobrze przyjrzeć się przechwyconej łodzi kupieckiej; ocierając zmęczone oczy, podszedł do relingu, żeby mieć lepszy widok. Niewielka jednostka miała ożaglowanie łacińskie do prowadzenia handlu przybrzeżnego, a jej właściciel usiłował prześlizgnąć się między okrętami tworzącymi blokadę trzy godziny przed brzaskiem. Noc była

bezksiężycowa, więc miał spore szanse, ale Fortuna pokierowała jego losem i jego próba ucieczki przez szczelinę w blokadzie zbiegła się z powrotem jednej z galer, *Corusa*, na stanowisko.

Kupca szybko nakryto i potyczka, która się wywiązała, była krótka i jednostronna. Ostrzegawcze okrzyki i rozkazy obudziły Attyka, który wybiegłszy na pokład, był świadkiem chaotycznego starcia oświetlonego jedynie pojedynczymi pochodniami odległymi o niecałe sto kroków. Rozległa się komenda wyrzucenia haków i Attyk dostrzegł, że co najmniej dwie inne rzymskie galery ustawione niedaleko *Corusa* popłynęły mu na pomoc, ale zanim któraś z nich zdążyła zainterweniować, było już po wszystkim.

W ciszy, jaka zapadła, dały się słyszeć sporadyczne wiwaty, a Attyk szybko wydał rozkaz do przekazania pozostałym galerom; ostrzegł załogi, aby wypatrywały innych łodzi, które mogły wykorzystać zamieszanie i również próbować uciec. Potem blokada pogrążyła się w niemal całkowitej ciszy, ale wielu nie mogło już zasnąć, tak jak Attyk. Bliskość świtu i krótkotrwały, lecz przenikliwy niepokój spowodowany potyczką sprawiały, że ludzie pozostali już czujni i rozbudzeni.

W świetle świtu załoga *Corusa* rozstawiła ludzi z jednostki handlowej wzdłuż relingu ich łodzi, a Attyk przyglądał się w milczeniu, czekając, aż okaże się, jaki los spotka schwytanych z rąk zwycięzców. Nastawienie załóg okrętów tworzących blokadę zmieniło się w ciągu trzech

tygodni, które upłynęły od czasu ich przybycia do Panormos. Początkowo prób ucieczek było wiele, szczególnie wśród większych statków handlowych. Wszystkie przechwycono, a ich załogantów wysłano do więzienia wojskowego w obozie Drugiego legionu. Stamtąd mieli trafić na targi niewolników, a zyskiem miały się podzielić załogi rzymskich okrętów.

Jednak w miarę trwania blokady próby ucieczki stały się rzadsze, podejmujące je jednostki mniejsze, a rzymskim załogom zaczęła się przykrzyć monotonna rutyna. Kartagińscy załoganci, których złapano podczas usiłowań przełamania się przez szyk, spotykali się z inną reakcją. Frustracja i nuda przeobraziły się w gniew, a wśród ludzi zapadła niewypowiedziana decyzja, że mniejsze kartagińskie załogi stanowią łatwy łup niewart śmiesznie małej sumy, którą można byłoby uzyskać za nie na targu niewolników. Równowaga między dyscypliną a niesubordynacją stała się chwiejna, ale Attyk przymykał oczy na brutalne odwety na złapanych kartagińskich załogach; wolał, żeby ludzie wyładowywali frustrację na nieprzyjacielu niż na własnych dowódcach.

Attyk naliczył, że przy relingu przechwyconej łodzi stoi piętnastu jej załogantów. Załoga *Corusa* bez uprzedzenia wepchnęła wszystkich do morza. Z galer stacjonujących najbliżej całego wydarzenia rozległy się wiwaty i wielu ludzi z *Orcusa* podbiegło do burty, żeby mieć lepszy widok. W ciągu poprzednich dni Attyk był świadkiem wielu brutalnych metod pozbywania się

punickich załóg, ale tym razem sposób wyglądał na dość prosty: Kartagińczycy mieli płynąć lub zginąć.

Niemal natychmiast kilku ludzi, którzy nie potrafili pływać, zniknęło pod wodą, a ciszę, która zaległa, gdy ucichły ich desperackie okrzyki, wypełniły pomruki gniewu i irytacji ze strony tych załogantów *Corusa*, którzy na nich postawili. Hazard rozpoczął się już na dobre na każdej galerze w zasięgu wzroku i po pokładzie *Orcusa* niosły się okrzyki zachęty i wiwaty. Attyk przyglądał się tej scenie obojętnie i od czasu do czasu zerkał na swoją załogę, stłoczoną na głównym pokładzie. Między ludźmi stał Baro i przyjmował zakłady.

Część Kartagińczyków ruszyła w stronę odległej o dwie mile linii brzegowej, ale jeden z ludzi – ogarnięty paniką – podpłynął do niedalekiej galery i zaczął wołać do rzymskiej załogi o ratunek. Wielu marynarzy zaczęło się śmiać, ale inni zajęli się odpędzaniem szamoczącego się Kartagińczyka grotami włóczni: nie chcieli, żeby przeżył, skoro nie udało się to ludziom, o których się założyli. Dwaj inni Kartagińczycy unosili się na wodzie kilkanaście kroków od dziobu ich łodzi, i wkrótce stało się jasne, że jeden z nich nie potrafi pływać. Trzymał się kurczowo ramion towarzysza i z przerażeniem wypisanym na twarzy gorączkowo łykał powietrze, podczas gdy fale zalewały mu twarz.

Ich męka szybko przyciągnęła uwagę Rzymian i okrzyki gniewu znów zmieszały się z zachętami, pieniądze znów zmieniły właścicieli i przyjęto zakłady.

Załoganci *Corusa*, którzy przebywali na pokładzie łodzi handlowej, zaczęli rzucać różnymi przedmiotami w walczącą o życie parę, usiłując ich rozdzielić, i ktoś przypadkowo trafił pływaka krążkiem linowym w głowę. Mężczyzna stracił przytomność, a kiedy obrócił się w wodzie, jego towarzysz zaczął chwytać się desperacko jego pleców; te gorączkowe wysiłki wpychały nieprzytomnego człowieka pod powierzchnię wody, aż zaczął się topić. Ten, który nie potrafił pływać, w panice wypuścił towarzysza z rąk i wsunął się pod wodę, pozostawiając za sobą ciało człowieka, który usiłował go ratować.

Attyk odwrócił się i spojrzał w stronę wybrzeża. Sto kroków dalej męczył się jeszcze jeden człowiek, nieudolny pływak, a kiedy wślizgiwał się już pod powierzchnię fal, jego ramię wystrzeliło w górę, jakby chwytał jakąś niewidzialną pomocną dłoń. Potem zostało już tylko dwóch Kartagińczyków i wszyscy zwrócili oczy w ich stronę. Płynęli umiejętnie, w odległości dwudziestu kroków od siebie, i już zbliżyli się do brzegu o jakieś dwieście kroków. Wrzawa znów się wzmogła i marynarze zaczęli się zakładać na nowo, a Attyk złapał się na tym, że zjadłość ich zmagania go wciąga.

Jego uwagę przyciągnęły gniewne okrzyki, a kiedy się odwrócił, zobaczył, że na pokładzie *Corusa* wywiązała się bójka. Nagle ze środka naporzanki pomknęła salwa strzał, które pomknęły ze śmiertelną dokładnością w stronę pierwszego pływaka i wbiły się w powierzchnię

otaczającej go wody, a jedna trafiła go w bark. Na galerach wyraźnie było słychać jego krzyk, ale z powodu szalejącej burdy szybko o nim zapomniano. Attyk przywołał własną załogę do porządku i uspokoił kłótnie toczące się o uregulowanie zakładów. Załoganci rozeszli się szybko, ale Attyk dostrzegł, że kapitanowie innych galer mają trudności z zapanowaniem nad swoimi ludźmi. Attyk przeklął w duchu blokadę, wiedząc, że w miarę upływu czasu sytuacja może się tylko pogorszyć, ale gdy spojrzął na miasto, poczuł, że humor mu się poprawia.

W ciągu poprzednich tygodni przyglądał się z zainteresowaniem temu, jak na wschodnim krańcu miasta powstają cztery wieże oblężnicze. Wzniesiono je powoli, czterysta kroków od murów, i w dniach, kiedy bryza od lądu niosła dźwięki w stronę oceanu, na statkach słychać było uderzenia młotów. Rosnąc, wieże stały nieruchomo, ale dziś ruszyły już stopa za stopą w stronę murów. Z odległości dzielącej *Orcusa* od lądu ich przesuwanie się było niemal niedostrzegalne, ale wkrótce zauważyli je też inni i ostatnie gniewne okrzyki marynarzy zastąpił wiwat, który poniósł się po zatoce. Legiony w końcu zaczęły natarcie.

– Pchać!

Komendę powtórzyły tysiące głosów, a ten niski pomruk dodał ludziom sił. Grupa czterech mężczyzn stała za każdą z belek przebiegających przez długie, tępo zakończone drągi wystające z tyłów wież oblężniczych.



Drągi miały długość trzydziestu metrów i przypominały potężne, nieruchome tarany wbite w niemal niemożliwą do ruszenia masę gigantycznych wież oblężniczych. Rzędy pchających chwiały się, gdy mężczyźni potykali się na nierównym terenie – na nogach utrzymywał ich wyłącznie impet konieczny do stawiania jednego drogo okupionego kroku za drugim.

Septymus powtarzał każdy wykrzyczany rozkaz otaczającym go ludziom; plecy unieruchomił, aby były wyprostowane, i z trudem zrobił kolejny krok. Belka wpijała mu się w klatkę piersiową, a pot zalewał oczy. Zerknął w prawo, na uporządkowane szeregi Drugiego legionu, ustawionego dwójkami między drągami i za drabinami prowadzącymi na szczyt wieży. Żołnierze Dziewiątego zbudowali wieże, harowali nad nimi od świtu do nocy przez poprzednie tygodnie, i teraz jak konie pociągowe pchali je na miejsce, oddając całą pracę oraz honor zaatakowania murów Drugiemu. Było to niesprawiedliwe i Septymus wyryczał rozkaz, nasycając go swoją frustracją.

– Pociski, tarcze w górę!

Legioniści na flankach, którzy ochraniaли pchających, jednocześnie podnieśli tarcze, aby przyjąć na nie pierwszą salwę strzał z murów Panormos. Kartagińscy łucznicy stali na dalszym odcinku murów, szyjąc strzałami na ukos, w stronę ludzi znajdujących się dalej od wieży i nieosłoniętych przez jej bryłę, i legioniści musieli stworzyć wydłużone *testudo*.

Septymus podniósł wzrok. Pięćdziesiąt kroków. Jego spojrzenie przyciągnęły zwłoki zwieszane z blanek. Należały do legionistów pojmanych w czasie nocnego ataku, który odbył się tydzień wcześniej: Kartagińczycy wychynęli z miasta, aby podpalić wieże oblężnicze. Ich natarcie odparto, ale światło brzasku ujawniło jego makabryczne następstwa. Legionistów poddano straszliwym torturom i na oczach rzymskiej armii powieszono na murach; upadek złamał karki szczęściarzom, a pozostali dusili się powoli. Ich desperacka szamotanina prowokowała wiwaty wśród przyglądających się Kartagińczyków.

Widok ten zmroził krew w żyłach wszystkich obserwujących ów brutalny czyn legionistów, ale nie odstraszył ich, wręcz przeciwnie: pozbawił ich wszelkiego człowieczeństwa. Septymus przypomniał sobie dziką determinację, z którą jego ludzie rzucili się następnego dnia do pracy nad kończeniem wież oblężniczych.

Dał się słyszeć rozkaz zajęcia pozycji i pierwsze szeregi Drugiego legionu przesunęły się do przodu. Z punktu widzenia przeciwnika przód wieży wyglądał solidnie i onieśmielająco: była to pionowa, prostokątna ściana z dębowego drewna, wznosząca się ponad poziomem murów. Jednak od tyłu – co było niewidoczne dla Kartagińczyków – od podstawy wieży do platformy umieszczonej dwadzieścia pięć stóp nad ziemią, na poziomie blanek, prowadziła ogromna, nachylona drabina, dość szeroka, aby pomieścić czterech ludzi. Pierwsze

szeregi Drugiego wskoczyły na podstawę i wspięły się na pierwsze szczeble drabiny. Szło im powoli, ponieważ wieża chwiała się na nierównym terenie, ale dwunastu ludzi dotarło na szczyt i ustawiło się za prymitywnym mostem zwodzonym z przodu platformy, czekając cierpliwie, gdy wieżę przesuwano do przodu.

Deszcz strzał się nasilił, a wraz z nim okrzyki wsparcia centurionów i *optiones*. Ze wszystkich stron dało się od czasu do czasu słyszeć wrzaski bólu i ludzie zdwoili wysiłki, gdy rozkaz do pchania padał coraz częściej. Płonące strzały o grotach owiniętych szmatami nasyconymi smołą wbiły się głęboko w belki u szczytu wieży, a płomienie uchwyciły się świeżo ściętej dębiny niczym mocne palce Wulkana. Na blankach rozległy się wiwaty, gdy jedna z wież zajęła się ogniem. Legioniści, którzy już stali gotowi na górnej platformie, zeskoczyli z niej, uciekając przed płomieniami, i poginęli.

Wśród legionów nieprzerwanie niosły się zajadłe rozkazy natarcia, a ludzie z Dziewiątego wlepili zdeterminowane spojrzenia w ziemię pod stopami i parli przed siebie.

Gdy Rzymianie zbliżyli się jeszcze bardziej, włócznie o żelaznych grotach wyrzucane z wysokości blanków przebijały nawet najmocniejsze tarcze. Ofiar na ziemi było coraz więcej, a najbardziej ucierpiały przednie szeregi Dziewiątego. Zwarta formacja tarcz utworzona, aby chronić żołnierzy, roztrzaskała się niczym fala o ostre skały, a wystawieni na atak nieprzyjaciela legioniści

mogli tylko się modlić do Marsa, pokonując drogę przez strefę rażenia.

Kiedy legioniści znaleźli się niemal pod osłoną murów, brakowało im jeszcze ledwie kilku kroków, obrońcy uciekli się do obrzucania ich kamieniami. Bezpieczni byli tylko ludzie znajdujący się na wieży oblężniczej lub dokładnie za nią. Bardziej z tyłu nie było możliwości obronienia się przed pociskami wielkości głowy człowieka, które masakrowały flanki, zabijając i kalecząc, miażdżąc kości i ciała.

Krew ciekła obficie po twarzy Septymusa. Usunął ją z oka, mrugając powiekami, i splunął, czując jej słony smak w ustach. Nie była to jego własna krew i centurion zerknął na puste miejsce po prawej. Kamień uderzył legionistę w głowę, roztrzaskując mu czaszkę, a potem poleciał dalej i trafił mężczyznę z tyłu w miednicę; jego krzyki rozbrzmiewały echem w uszach Septymusa, gdy centurion parł nieprzerwanie przed siebie.

Odstęp między wieżą oblężniczą a murami spadł do pięciu kroków.

Właściwie nie czekając na rozkaz, żołnierze Dziewiątego puścili ciężkie drągi i zaczęli się wycofywać poza zasięg strzał.

W tym samym momencie opuszczono most zwodzony i legioniści z Drugiego przebyli go niczym nieujarzmiona fala stali i mięśni. Kartagińczycy trzymali się swoich pozycji na wąskich murach i potyczka przeobraziła się w chaotyczną bijatykę. Niektórzy spadali

z murów, reszta walczyła zawzięcie, z twarzami wykrzywionymi agresją i wściekłością.

Legioniści wspinali się po drabinie wieży, nadając natarciu potężnego impetu, który wpychał przednie szeregi głębiej między przeciwników i rozciągał rzymskie flanki po całej długości murów; wąskie przejście zmusiło żołnierzy do toczenia indywidualnych starć, w których zwycięstwo przynosiły siła i determinacja. Kartagińczycy walczyli jak demony, mając za plecami bezbronnych mieszkańców Panormos. Po chwili rozkład sił się zmienił: Punijczycy najpierw zatrzymali natarcie, a potem zaczęli spychać legionistów z powrotem w stronę wież, mordując wszystkich, którzy nie ustępowali pola w obliczu gorączkowej furii kontrataku.

Septymus przyglądał się bitwie z odległości dwustu kroków, a wyczerpujące natarcie i żądza krwi krążąca mu w żyłach sprawiły, że ciężko dyszał. Jeszcze nigdy wcześniej nie wycofał się przed atakiem i teraz przeklinał podrzędną rolę wyznaczoną Dziewiątemu w tym szturmie oraz poniesione przez niego krwawe ofiary, za które nie będzie mógł się zemścić.

Nagle dostrzegł, że ludzie z Drugiego zaczynają tracić na blankach przewagę. Legioniści nie wspinali się już po drabinie, a na platformie za mostem zwodzonym panował zbyt wielki tłok: kartagiński kontratak powstrzymał impet natarcia. Septymus spojrział w stronę pozostałych wież oblężniczych, usiłując ocenić, w jakiej są sytuacji, ale uniemożliwiły mu to dym i odległość.

Centurion znów skierował wzrok przed siebie i prawie intuicyjnie podjął decyzję.

– Ludzie czwartego, do broni! – krzyknął.

Jego manipuł zareagował na komendę natychmiast i bez wahania. Ludzie podnieśli się i ustawili w formacji za swoim centurionem, dobywając mieczy. Septymus dał sygnał do marszu, a żołnierze ruszyli śladem wieży oblężniczej, coraz szybciej idąc po raz drugi tą samą trasą, tym razem z orężem w dłoniach.

Nagłe natarcie czwartego manipułu zaskoczyło pozostałych żołnierzy Dziewiątego, ale szybko się przyłączyli. Kiedy Septymus dotarł do podstawy wieży oblężniczej, miał już za sobą niemożliwe do powstrzymania natarcie, które wyminęło legionistów Drugiego, i jak siódma fala, silniejsza niż poprzednie, czwarty manipuł pokonał nachyloną drabinę. Septymus przepchnął się przez tłum na górnej platformie, pochylając głowę w kłębach czarnego dymu wypełniającego całą tę przestrzeń; kartagiński ogień, wystrzeliwany z niewielkiej odległości, spowił drewnianą konstrukcję.

Septymus przyjrzał się wrogowi zmrużonymi oczyma, po czym napał całym ciężarem na tarczę, a jego stopy instynktownie odnalazły pewne punkty na wąskim, przesiąkniętym krwią moście zwodzonym, kierowane wspomnieniem tuzina natarć na kuku. Ryknął wyzywająco, a jego okrzyk podjęło stu ludzi, wdzierając się w linię frontu Kartagińczyków i natychmiast ją przełamując, aż nieprzyjaciele zlatywali z blank.

Septymus obrócił się, skierowując impet natarcia wzdłuż wąskiego przejścia, i potyczka znów zaczęła się toczyć na dwóch wąskich frontach: legioniści usiłowali zmieść Punijczyków z murów.

Septymus poczuł smak krwi legionisty, który padł u jego boku, jego własnej z lekkiej rany od miecza pod hełmem, a także krwi przeciwnika, której drobne kropelki pokryły mu twarz, gdy przekreślił klingę i wyciągnął ją z ciała mężczyzny. Walka oko w oko osiągnęła krwawą kulminację, gdy obu stronom zaczęło brakować sił; dookoła rozlegały się desperackie komendy wykrzykiwane w różnych językach, które kazały ludziom pokonywać kolejne granice bólu i wyczerpania.

Septymus dźgnął mieczem i choć jego lewe ramię odrętwiało od niezliczonych ciosów, które przyjął na tarczę, zaczął dostrzegać w oczach przeciwnika ślady zwątpienia. Nagle obrona zmieniła się z wytrwałej w desperacką. Liczba legionistów na fortyfikacjach osiągnęła niebezpieczny poziom i Kartagińczycy instynktownie zdali sobie z tego sprawę.

Napór na tarczę Septymusa zniknął, a ponad ramionami pierwszego szeregu wroga centurion dostrzegł, że inni przeciwnicy rozpoczynają odwrót, uciekają po schodach prowadzących na ulicę. Wojownik stojący naprzeciwko centuriona wyczuł za plecami pustkę i cofnął się spanikowany. Septymus wykorzystał to, że mężczyzna się odsłonił, i wbił miecz w jego krocze, po czym zepchnął go z murów i poprowadził swoich ludzi do

przodu. Wiwat Dziewiątego zagłuszył krzyki umierającego Kartagińczyka.

Rzymianie zeszli z blanek i pociągnęli wąską ulicą do wschodniej bramy, oczyszczając drogę i błyskawicznie zabijając wszystkich Punijczyków, którzy samotnie stawiali im czoło. Pędzili co siłą, a żądza krwi i triumf zwycięstwa pozbawiały ich wszelkich hamulców.

Septymus sprowadził z umocnień stu ludzi, ale zbliżając się do wschodniej bramy, miał ze sobą ich tylko tuzin, ponieważ pozostali zniknęli w labiryncie ulic. Wiedzieli, że są tam pierwsi, i chcieli spustoszyć dziewicze miasto, zanim spadnie na nie reszta hordy. Wschodniej bramy strzegli czterej Kartagińczycy, dzielne pozostałości oddziału, który zdążył uciec. Rzucili się na ludzi Septymusa, wrzeszcząc z nienawiścią. Legioniści szybko ich wymordowali, po czym schowali miecze i podnieśli sztabę blokującą bramę.

Przez otwarte odrzwia wpłynęła fala żołnierzy wznoszących wiwaty przesycone okrucieństwem wywołanym krwawą potyczką. Ataki pozostałych wież oblężniczych się nie powiodły i Drugi legion poniósł spore straty; ta hekatomba podsyciła u żołnierzy żądzę brutalnego odwetu. Niczym dzikie zwierzęta odrzucili wszelki umiar i popędzili opuszczonymi ulicami, dobywając mieczy, aby zaatakować bezbronno przeciwnika.

Septymus wycofał się z pędu natarcia. Sprawował dowodzenie i teraz dał sobie chwilę przerwy na



uspokojenie żądz krwi i ocenę sytuacji. Nad legionistami nie dało się już zapanować i choć przeciwnicy będą pojedynczo lub małymi grupkami stawiali im czoło, mieli ogromną przewagę liczebną i koniec potyczki był nieunikniony.

Panormos padło i Septymus słyszał okrzyki przerażenia mieszkańców, wrzaski kobiet i dzieci, a także mężczyzn desperacko usiłujących stawić opór zaprawionym w bojach żołnierzom, którzy mieli zabić każdego, kto stanął im na drodze. Miasto nie skapitulowało, więc mieszkańcom nie przysługiwała łaska. Zwycięzcy wezmą na nich odwet. Kiedy ucichły ostatnie okrzyki bojowe, od murów odbił się nowy, bardziej przerażający odgłos: rozpaczliwe błagania ludzi, których czekał potworny los, gwałty i śmierć.

– Kartagińskie galery skręcają!

– Raportuj, Korinie! – krzyknął Attyk, podbiegając do relingu na pokładzie rufowym.

Na chwilę zapadła cisza, gdy marynarz na „oku” patrzył, jak formacja jednostek wroga nabiera kształtu.

– Jedenaście galer, zdaje się, że płyną prędkością bojową, na... zachód, w stronę prawej flanki.

– Baro, przygotowania do bitwy. Druzusie, zbierz ludzi! – zawołał Attyk.

*Orcus* zaczął tętnić życiem, gdy wszyscy zaczęli postępować zgodnie z tym, co nakazywała im musztra lub doświadczenie; niekończące się godziny ćwiczeń

przeobraziły galerę z uszpionej w gotową do bitwy w ciągu kilku chwil.

– Sygnał z brzegu, legionieści dostali się za mury!

Attyk spojrział na Panormos. Wieże oblężnicze znajdowały się tuż pod wschodnią częścią murów i przypominały zadziory wystające ze skóry jakiejś gigantycznej bestii: w porównaniu z gładkimi murami i fortyfikacjami wydawały się niewielkie. Co najmniej dwie z nich płonęły i choć Attyk przyglądał się wcześniej, jak zbliżają się do miasta, poczuł nagły przypływ podziwu dla ludzi, którzy wspięli się po tych prymitywnych konstrukcjach, aby się zmierzyć z czekającymi obrońcami. Przeniósł wzrok na wewnętrzny port i zwartą formację kartagińskich galer zbliżającą się do jego oddziału. Miasto padło i wkrótce wszystkie jednostki w Panormos podejmą próbę ucieczki. Wiele z nich popłynie śladem galer w nadziei, że one się przełamia. Attyk podjął decyzję właściwie w tym samym momencie, w którym wypowiedział komendę.

– Sygnał do lewej flanki: do ataku! Przekaż im, żeby zajęli wewnętrzny port. My zajmiemy się galerami.

Gajusz natychmiast wydał rozkaz nabrania prędkości bojowej i *Orcus wystrzelił* z nieruchomej blokady. Galery na jego flankach zareagowały szybko, gdy rozkaz poniósł się po ich pokładach i przekazano go dalej.

– Gajuszu, celuj w środek ich formacji – rozkazał Attyk. Sternik skręcił o dwa rumby. Najlepsze, co mogli zrobić, to szybko i zdecydowanie obezwładnić

kartagińskie galery, kładąc kres nadziejom na ucieczkę wśród jednostek handlowych. Attyk stanął koło steru, balansując na przechylającym się pokładzie, a gdy galery utworzyły formację grotą za *Orcusem*, poczuł, że zapomina o miazdzącej monotonii poprzednich trzech tygodni.

Kartagińska formacja zmieniła kształt niczym rozkładające się skrzydła gotowego do lotu jastrzębia: flanki przyspieszyły, aż galery wroga płynęły w szyku czołowym. Attyk zdał sobie sprawę, że manewrują tak, aby mieć więcej miejsca, i porzuciły już wszelkie pozory tego, że chcą się przebić przez rzymską formację. Miały zamiar zaangażować się w potyczkę. Attyk uśmiechnął się pogardliwie. Choć Rzymianie mieli przewagę liczebną, Kartagińczycy byli najwyraźniej pewni zwycięstwa. W końcu potyczka miała toczyć się na ich warunkach – za pomocą taranów – ale nie doceniali umiejętności wyszkolonej rzymskiej załogi i Attyk poprzysiągł, że drogo zapłacą za swój brak rozwagi.

Zerknął w lewo, na przeciwną flankę, która sunęła za kartagińskimi galerami, aby otoczyć szamoczące się jednostki handlowe. Mimo słabego wiatru wiele bezskutecznie usiłowało podnieść żagle, irracjonalnie ignorując to, że nie mają szans. Rzymskie okręty właśnie odbierały im możliwość ucieczki. Attyk zwrócił twarde spojrzenie w stronę nadciągających kartagińskich galer. Odległość od nich spadła do czterystu kroków. Kapitan wydał rozkaz do prędkości ofensywnej, a *Orcus*

przyspieszył o cztery węzły na odcinku równym swojej długości. Attyk wskazał galerę płynącą pośrodku formacji, a Gajusz bez słowa przyjął ten milczący rozkaz i minimalnie zmienił kurs. Godziny musztry dały efekt: *Orcus* zrzucił jarzmo wspólnego natarcia i przeobraził się w samotnego wojownika, zapominając o reszcie rzymskich galer.

Attyk i Gajusz odezwali się jednocześnie, gdy kartagińska galera się zbliżyła; załoga okrętu wroga dostrzegła nietypową metodę ataku i zareagowała na nią. Galery lawirowały wzdłuż niewidzialnej linii łączącej ich tarany, gdy obaj sternicy subtelnie kontrowali zwody i riposty tego drugiego. Szykując się do ostatecznego manewru, Attyk odniósł wrażenie, że nieustający rytm bębna dobiegający z pokładu wioślarzy przyspieszył.

Jego umysł oczyścił się z wszelkich myśli, a rozkaz miał na końcu języka. Wyczuł, że Gajusz napina mięśnie w oczekiwaniu na komendę. Kartagińska galera wypełniła całe jego pole widzenia. Jej ciemny kadłub był wiernym odbiciem kadłuba *Orcusa*: te dwie istoty, stworzone według identycznego projektu, musiały ze sobą walczyć na rozkaz swoich wojujących właścicieli.

– Teraz – powiedział Attyk niemal szeptem.

Gajusz musnął rumpel, sprowadzając *Orcusa* z kursu. Ten niemal niedostrzegalny i celowy błąd zmusił wroga do zaangażowania się w walkę. Kartagińczycy zareagowali natychmiast, demonstrując niebywale umiejętności żeglarskie, i zatoczyli łuk, aby uderzyć w

dziób *Orcusa* od sterburty. Attyk spodziewał się takiego posunięcia, ale nie tego, jak szybko zostanie wykonane: wprawność nieprzyjaciela przechodziła wszelkie wyobrażenia, wykrzyczał więc ostatni rozkaz, zanim jeszcze zdążył złapać oddech.

– Ster w prawo na burzę, prędkość do taranowania!

Można było odnieść wrażenie, że *Orcus* momentalnie przenosi się z powrotem na spokojne wody u wybrzeża Ostii. Wioślarze przyspieszyli do odpowiedniej prędkości w czasie, w którym Gajusz przesunął rumpel na burzę. Setki godzin musztry osiągnęły rezultat w mgnieniu oka i *Orcus* ściał linię ataku, nakierowując taran na prawą burzę okrętu wroga.

Attyk upadł na pokład, gdy taran trafił w cel: długa na sześć stóp pięć z brązu przebiła deski poszycia kadłuba pod ostrym kątem, oddzielając je od grodzi. Impet kartagińskiej galery zwiększył siłę uderzenia, a statek sam nadział się na oręż wbijający się w jego podbrzusze. Attyk podniósł się, a szok natarcia i bitewna furia wyczuliły jego zmysły. Szybko się rozejrzał. Nagła zmiana sytuacji wytrąciła Kartagińczyków z równowagi, ale już dochodzili do siebie; Attyk słyszał rozkazy wykrzykiwane gniewnie na okręcie wroga. Nieprzyjaciele pędzili w stronę relingów, przygotowując się do abordażu, gotowi zamienić jeden okręt na drugi.

– Gajuszu, cała wstecz – rozkazał Attyk. – Druzusie, przygotuj się do odparcia abordażu.

Świeżo upieczony centurion wydał swoim ludziom

serię krótkich, zdecydowanych rozkazów, a oni pobiegli na pokład dziobowy, aby stworzyć przy relingu ścianę zachodzących na siebie tarcz. Dobyli mieczy, rzucając Kartagińczykom wyzwanie, aby zaatakowali.

Wiosła *Orcusa* zaczęły pracować w tył, ale jednocześnie przeciwnicy wyrzucili w powietrze haki, które spięły dwie jednostki ze sobą. Belki unieruchomionej kartagińskiej galery skrzypiały i roztrzaskiwały się, gdy taran ruszał się w ziejącym otworze. Legioniści odsunęli tarcze, aby zaatakować liny, które – napięte siłą dwustu siedemdziesięciu wioślarzy – pękały niczym cięciwy łuków, ale Kartagińczycy ciskali włóczniami z odległości dziesięciu stóp w stronę szpar między tarczami, mordując wszystkich legionistów, którzy odsłaniali się choć na chwilę. Rzucali kolejne haki i połączenia między okrętami nie udało się przerwać.

Odstęp między pokładami dziobowymi zmniejszył się do czterech stóp i Kartagińczycy zaczęli odważnie przeskakiwać ponad nim, desperacko atakując ścianę tarcz, aby uciec ze swojego skazanego na zatonięcie okrętu. Legioniści stali twardo na pozycji i tuzin mężczyzn wpadł między ocierające się o siebie kadłuby galer, a wrzawa bitewna zagłuszyła ich okrzyki przerażenia. Silniejszym wojownikom udało się znaleźć na rzymskim pokładzie, ale ludzie Druzusa nie pozwolili im przedostać się dalej, łatając wszelkie wyłomy w szyku, zanim mogły się powiększyć, a coraz większy impet *Orcusa* w końcu przewyciężył siłę napiętych lin, które

rozerwały się po kolei, aż kartagińska galera zaczęła się oddalać. Ci z Kartagińczyków, którzy zostali na pokładzie rzymskiej galery, walczyli do ostatniej kropli krwi. To, że byli zdani na własne siły, wpędziło ich w bezmyślną furję, i zanim ich w końcu pokonano, zginęło wielu legionistów.

*Orcus* skręcił, obsypywany ostatnią salwą strzał i włóczy z tonącej kartagińskiej galery, a mimo powiększającej się odległości między statkami wciąż słychać było z niej przekleństwa nieprzyjaciół. Gajusz ponownie zarządził prędkość bojową, a zakrwawiony taran *Orcusa* rozpoczął poszukiwania kolejnej ofiary.

Attyk patrzył, jak ostatnie strzały wpadają do wody, nie dosięgając celu, a potem przeniósł wzrok na pokład dziobowy i poległych legionistów. Kartagińczycy byli przerażająco zajadłą rasą i waleczna próba wejścia na pokład *Orcusa* stanowiła wyznacznik ich odwagi. Mimo to zostali pokonani na własnych warunkach, za pomocą tarana, i gdy Attyk zerknął ponownie na tonący okręt wroga, wiedział, że jego wcześniejsza pewność siebie była uzasadniona.

– Na bogów... – zaczął Gajusz.

Attyk podążył wzrokiem za spojrzeniem sternika. Na wodach za *Orcusem* tonęło szybko osiem rzymskich galer staranowanych przez Kartagińczyków; na oczach przerażonego Greka łupem wroga padły trzy kolejne jednostki. Podczas pierwszego natarcia Rzymianie dopadli zaledwie dwie kartagińskie galery.

Wcześniej Attyk był pewien zwycięstwa: sama

przewaga liczebna Rzymian sprawiała, że Kartagińczycy nie mieli szans. A jednak okręty wroga siały zniszczenie wśród trzydziestu pięciu galer na prawej flance i Attyk zdał sobie sprawę z przyływem przerażenia, od którego zrobiło mu się niedobrze, że ta pewność była oparta wyłącznie na umiejętnościach jego załogi. Jako dowódca źle ocenił sytuację, sądząc, że wszystkie rzymskie załogi przeszły takie szkolenie jak jego własna. Jednak Kartagińczycy świetnie wykorzystali te różnice w rzemiośle żeglarskim, niemal bezkarnie atakując liczne jednostki, i tylko bardziej doświadczeni rzymscy kapitanowie byli w stanie zmierzyć się z taranami wroga.

Z krukami Rzymianie atakowali od dziobu w szyku czołowym, tak że każdy okręt chronił flanki sąsiada, co tworzyło niemożliwy do przebycia mur, przeciwko któremu Kartagińczycy nie mieli możliwości obrony. W porównaniu z taranowaniem atak czołowy wymagał od Rzymian minimalnych umiejętności i to stanowiło jedną z wielu zalet kruka: załoganci musieli jedynie uderzyć o dziób okrętu wroga, po czym opuszczano rampę abordażową, aby spiąć statki ze sobą. Teraz dominował taran i kluczowe znaczenie miały umiejętności żeglarskie, które Kartagińczycy doskonalili od wielu pokoleń i wykorzystali ze śmiertelnością skuteczną w porcie Panormos.

Attyk gniewnie wykrzyczał rozkaz do zmiany kursu, a *Orcus* osiągnął prędkość ofensywną. Przed nim jedna z rzymskich galer desperacko usiłowała uniknąć tarana



ścigającego ją kartagińskiego okrętu, który przy każdym zwrocie zręcznie udaremniał każdą jej rozpaczliwą próbę ucieczki. Attyk wskazał cel Gajuszowi, a sternik z determinacją nakierował taran *Orcusa* w odpowiednią stronę. Kartagińska załoga zdała sobie sprawę z zagrożenia i choć tak jak wcześniej zareagowała błyskawicznie, Gajusz był dla niej godnym przeciwnikiem i *Orcus* przyspieszył do prędkości do taranowania.

Attyk instynktownie przygotował się na zderzenie, ale frustracja nie pozwalała mu się skoncentrować. Na nagły odgłos pękających belek odwrócił się i z przerażeniem patrzył, jak kolejna rzymska galera pada ofiarą kartagińskiego ataku. Niemal natychmiast dźwięk ten powtórzył się jeszcze dwa razy i Attyk poczuł przygniatający przypływ żalu. *Orcus* staranuje jeszcze jeden okręt, może dwa, ale tymczasem zostaną zatopione kolejne rzymskie okręty, a on nie był w stanie obronić ich wszystkich.

Panormos padło, miasto należało do Rzymian, ale w porcie Kartagińczycy mścili się za to, powoli karząc rzymską flotę za jej niekompetencję, barwiąc wodę na czerwono jej krwią. Po raz kolejny zdobywali to, co im się należało: dominację na morzach.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hamilkar patrzył niecierpliwie, jak mały ptak okrąża wieżę, machając powoli skrzydłami w prądzie wstępującym. Nagle ptaszek opadł na wysokość klatki, ale wciąż nie chciał wlecieć do środka. Poleciał dalej szerokim łukiem, niepomny na irytację stojącego poniżej obserwatora.

Wcześniej Barkas tylko przez przypadek zauważył, że ptak już się pojawił. Stał wtedy przy oknie w swoim pokoju, wlepiając wzrok w odległe wzgórza na wschód od Lilybeum, i – jak od tygodni – rozmyślał o twierdzy Panormos leżącej za tą naturalną granicą. Szarobiała smuga gołębia pocztowego na zielonym tle przyciągnęła jego uwagę, gdy ptak nadleciał nisko nad ziemią. Hamilkar natychmiast popędził na fortyfikacje pod klatką, chcąc jak najszybciej otrzymać wieści o oblężeniu.

Gołąb podleciał raz jeszcze, ale tym razem wylądował na wystającym skraju klatki. Rozprostował skrzydła, których czubki zadrżały lekko, po czym w końcu je złożył i wgramolił się niezgrabnie do środka. Hamilkar przeniósł wzrok na drzwi u podstawy wieży, zza których po chwili wyszedł opiekun, trzymając maleńki walcowaty pojemnik z mosiądzu, który wcześniej był przymocowany do nogi gołębia. Zatrzymał się w pół kroku, zaskoczony, że dowódca już czeka, i podał mu pojemnik. Oparłszy się pokusie natychmiastowego

otwarcia go, Hamilkar wrócił do swojej kwatery, po drodze obracając niewielki walec w palcach.

Wszedł do swojego cichego pokoju i zamknął drzwi. Nie miał żadnych wiadomości od ponad tygodnia i kiedy kładł pojemnik na stole, zauważył, że ręka drży mu lekko. Położone na północno-zachodnim wybrzeżu Sycylii Lilybeum znajdowało się jedynie o dzień żeglugi od Panormos, ale oblężenie, które Rzymianie przypuścili od morza i lądu, sparaliżowało miasto. Przez niedostatek doniesień, w większości dostarczanych przez okręty przepływające z daleka od portu, raport przyniesiony przez gołębia był tym istotniejszy. Hamilkar otworzył pojemnik i wyciągnął ze środka małej zwój. Wiadomość napisano kodem, co było zbytkiem ostrożności, biorąc pod uwagę to, że Rzymianie nie zdawali sobie jeszcze sprawy z niezwykłych umiejętności gołębi pocztowych; Kartagińczycy nauczyli się tej pomysłowej metody komunikacji od Persów, pokolenie wcześniej, a sprowadził ją na Sycylię poprzednik Hamilkara. Barkas odcyfrował wiadomość i przeczytał ją dwukrotnie. Wymuszona zwięzłość raportu wyraźnie kontrastowała z jej doniosłą treścią.

„Atak na wieże oblężnicze nieudany. Nadciąga rzymskie natarcie. Kapitanowie galer znają twój ostatni rozkaz”.

Hamilkar zorientował się, że wstrzymuje oddech, i wypuścił powietrze. Panormos przepadło. Atak na wieże oblężnicze był ostatnim desperackim ryzykiem, które

Hamilkar podjął, gdy dowiedział się o ich istnieniu. Zdawał sobie sprawę, że dowódca garnizonu nie ma dość wielu ludzi, i miał nadzieję, że Tanit, bogini losu, zaangażuje się w sprawę, ale ona opuściła Panormos, pozostawiając je samemu sobie.

Rzymski atak na miasto był zaskoczeniem; z perspektywy czasu to agresywne i ambitne posunięcie było dla nich typowe, ale Hamilkar nie był w stanie go przewidzieć. Flota z Gadiru przybyła na Sycylię, ale ponieważ jego armia znajdowała się pod komendą Hannona w Afryce, Hamilkar nie miał możliwości zakończenia oblężenia. Miał nadzieję, że będzie miał więcej czasu, że zdąży zrealizować strategię, którą już wcześniej wcielił w życie, ale przeczuwając porażkę, przygotował się na tę ewentualność. Bezgłośnie powtórzył słowa kończące raport: „twój ostatni rozkaz”. Napisał go ponad tydzień wcześniej dla kapitanów galer, a brzmiał on: „Jeśli Panormos padnie, zatopcie własne statki albo walczcie, ale galery nie mogą wpaść w ręce wroga”.

Hamilkar znał trzech z kapitanów osobiście. Uznaliby oni zatopienie własnych okrętów za straszliwy dyshonor, ale Hamilkar chciał dać im ten wybór, wiedząc, jak niewielkie mają szanse. W głębi serca czuł, że wdadzą się oni w walkę ze statkami tworzącymi blokadę wroga. On sam tak by postąpił w podobnej sytuacji. Czytając raport po raz kolejny, Hamilkar wyszeptał modlitwę do Baala, prosząc o opiekę nad synami Kartaginy.

Wstał i powoli potarł cienki skrawek papieru między

pokrytymi pęcherzami palcami, tak że rozsypał się na kawałki. Barkas pozwolił strzępkom opaść na podłogę. Rzymianie mu się przeciwstawili. Wysłał do nich emisariusza z łagodnymi warunkami, a oni zlekceważyli jego wspaniałomyślność, a potem dodali do tego jeszcze potwarz w postaci agresywnego ataku z zaskoczenia. Hamilkar spojrział na dokument u swoich stóp i poczuł, że robi mu się gorąco od oburzenia i gniewu. Już nigdy nie zrobią z niego głupca. Po Panormos Rzymianie z pewnością przeniosą uwagę na Lilybeum, a Hamilkar poprzysiągł sobie, że tutaj roztrzaska ich arogancję o mury. Nie będzie więcej rozmów o pokoju, żadnych pobłażliwych warunków; Hamilkar wiedział, że aby nadać tej decyzji nieodwołalność, konieczny jest pewien symboliczny czyn, trzeba pozbyć się jednego zbędnego elementu. Barkas opuścił pokój, a z każdym krokiem utwierdzał się w swoim postanowieniu i nabierał zimnej determinacji.

Grupa konnych jechała powoli opuszczoną ulicą, a nienaturalną ciszę przerywały tylko od czasu do czasu uderzenia żelaznych podków o przypadkowe kamienie, które wystawały spod słomy pokrywającej ubitą ziemię. Konie były niespokojne i parskwały nerwowo, wyczuwając nastrój jeźdźców. Grupa zwarła szeregi, trzymając się środka trasy.

Konni zauważyli przed sobą ciało kobiety leżące bezwładnie na drodze. Była naga od pasa w dół, nogi

miała groteskowo powykrzywiane, i widać było, że brutalnie ją pobito; kałuża poczerńiałej krwi pod nią przyciągnęła chmarę połyskujących much. Jej oblicze przykrywały zmatowiałe włosy, trudno więc było odgadnąć jej wiek, ale miała smukłą sylwetkę młodej kobiety i jeźdźcy odwrócili własne, pobladłe z szoku, twarze.

Dalej, pod oknem na górnym piętrze, wisiał mężczyzna o twarzy osmalonej od ognia, który pożarł jego odzienie i zwęglił ciało. Zwłoki okręcały się powoli na łagodnym wietrze. Poniżej drzwi do jego domu były otwarte i mijając je, konni zerknęli do środka, nie mogąc opanować prymitywnego odruchu zmuszającego człowieka do patrzenia z niezdrową fascynacją właśnie na to, co jest dla niego ohydne. Na szczęście we wnętrzu panował mrok przysłaniający los rodziny, którą mężczyzna próbował chronić, ale skąpe światło odbijające się od nagich, drobnych kończyn stworzyło straszliwą scenę w wyobraźni jeźdźców, którzy ponownie odwrócili wzrok, przerażeni.

Niemal całkowitą ciszę przerwał nagle krzyk i trybun jadący koło Scypiona wzdrygnął się ze strachu, a jego wierzchowiec przejechał truchtem kilka kroków, zanim młodzieńcowi udało się go opanować. Scypion spojrzał na niego z milczącą przyganą, marszcząc brwi, choć i jego zaskoczył ten dźwięk. Panormos przypominało drugi brzeg Styksu, przekłęte miejsce, gdzie skazani na potępienie czekali na swoją podróż do głębin Hadesu. Od

przekroczenia murów upłynęło czterdzieści osiem godzin i rzeź, której dokonano, była absolutna. Nie oszczędzono żadnego mieszkańca, a nieliczny garnizon wycięto w pień.

Scypion pozwolił ludziom nasycić się miastem, ponieważ chciał dać przykład pozostałym osadom na Sycylii, ale nawet on był zszokowany brutalnością legionistów. W młodości, służąc jako trybun, miał okazję oglądać bezwzględne potyczki twarzą w twarz, furię, jaką wykazywali ludzie, gdy instynkt przetrwania wygrywał w nich ze wszystkimi innymi, sytuacje, kiedy tylko stopień barbarzyństwa oddzielał żywych od martwych. Nigdy wcześniej jednak nie widział tej furii wymierzonej przeciwko cywilom. Choć już dawno znieczulił serce na niedole wroga, zdawał sobie sprawę, że niewielu zasłużyło na los, jaki spotkał mieszkańców Panormos.

Tego ranka Scypion rozkazał przejąć kontrolę reszcie Drugiego legionu. Ludzie ci, niepotrzebna rezerwa, nie brali udziału w natarciu. Przemaszerowali przez bramę zdyscyplinowanymi szeregami, a za zadanie mieli zebrać legionistów rozproszonych po mieście i dopilnować, żeby nie ostał się żaden przyczółek wroga. Zabrali się do wypełniania go z bezlitosną skutecznością – wielu z nich bez wątpienia było wściekłych, że ominął ich udział w łupach – i w ciągu kilku godzin wypędzili z miasta wszystkich legionistów poza oddziałem garnizonowym, który zajmował teraz barak blisko nabrzeża.

Scypion spiął konia do cwału i trybuni przyspieszyli, aby dotrzymać mu kroku, pędząc za nim w dół łagodnego

zbocza prowadzącego do portu. Szybko dotarli do szerokiej polaci ubitej ziemi, która wiodła wzdłuż linii brzegowej, i Scypion zatrzymał wierzchowca, po czym przesunął wzrokiem po zatoce. Niedaleko grupa legionistów pełniła straż, podczas gdy Kartagińczycy, przywiezieni na ląd z przechwyconych okrętów handlowych, zbierali zwłoki leżące na ziemi i ładowali je na wozy. Ciała miały zostać wywiezione poza mury miasta i poddane kremacji, aby zminimalizować możliwości zarazy, pokłosa wszystkich bitew.

Scypion zignorował ich i skoncentrował się na galerach przycumowanych pięćdziesiąt kroków od nabrzeża. Instynktownie poszukał wzrokiem statku Greka, rozglądając się za banderą prefekta, a gdy dostrzegł *Orcusa* wśród floty, zmrużył oczy. Ponieśli spore straty, ogółem dziewiętnaście galer, ale blokada zakończyła się sukcesem i nie uciekł żaden z okrętów wroga, co potwierdziło słuszność decyzji Scypiona, aby obdarzyć Greka dowodzeniem. Scypion uśmiechnął się zimno, gdy przypomniał sobie historię z dzieciństwa, którą opowiadał mu ojciec: według niej tyran Dionizjos z Syrakuz zademonstrował ulotność życia, zawieszając nad głową jednego ze swoich dworzan miecz podtrzymywany pojedynczym końskim włosem. Obraz ten pasował do sytuacji, choć w tym wypadku Grek był całkowicie nieświadom tego, jak bliskie jest zagrożenie.

Konsul odwrócił się plecami do floty i ponownie spojrzął na nadbrzeżne miasto. Ten najważniejszy



kartagiński port na północnym wybrzeżu stanowił znaczącą zdobycz; Scypion już wysłał do Rzymu polecenia dla swojej żony, aby wynajęła retorów, którzy mieli po całym mieście rozgłosić wieści o jego wielkim zwycięstwie. Kątem oka dostrzegł, że trybuni patrzą na niego, a ich miny wyrażają teraz cień szacunku do niego. Nie był już tylko ich konsulem, był zwycięskim dowódcą; Scypion z poczuciem triumfu odwrócił się do nich, aby wyjawić, które miasto jako następne padnie pod jego mieczem: Lilybeum.

Regulus krążył po pomieszczeniu, od czasu do czasu zatrzymując się, aby wyjrzeć przez okno na ulice Lilybeum leżące wiele pięter poniżej. Za każdym razem instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Czuł to na widok każdego oddziału żołnierzy, który kroczył szybko ulicami, na widok galer i statków handlowych przybywających do portu i opuszczających go w gorączkowym tempie; ten pośpiech oznaczał jakiś kryzys.

Żył w wymuszonej izolacji, która rozpoczęła się bez żadnego ostrzeżenia. Wrócił do Lilybeum pięć tygodni wcześniej. Wypłynął z Ostii na rzymskiej galerze wojkowej, udał się na umówione spotkanie na wyspie Liparze, a potem Kartagińczycy odtransportowali go z powrotem na Sycylię. Natychmiast zaprowadzono go przed oblicze Barkasa, zawiadomił więc kartagińskiego dowódcę, że Rzym odrzucił propozycję rozejmu. Z początku Barkas był wściekły, ale po kilku dniach się

uspokoił. Choć odnosił się do Regulusa chłodno, dalej odwiedzał go w jego kwaterze, wypytując go o rozumowanie uzasadniające decyzję Rzymu.

Jednak przed trzema tygodniami wizyty Barkasa się urwały i Regulus więcej z nim nie rozmawiał ani się z nim nie widział. Ponadto strażnicy prokonsula zaczęli wykazywać jawną wrogość i nie dawali się wciągać w żadne rozmowy, gdy przynosili mu jedzenie. Regulus miał z każdym dniem coraz gorsze przeczucia.

Na odgłos nadchodzących kroków nabrał czujności i odwrócił się, gdy drzwi otwarto z rozmachem.

– Barkas – zaczął, ale urwał, gdy zobaczył morderczą minę Kartagińczyka. – Co się stało? – zapytał z narastającym lękiem.

Hamilkar stał nieruchomo jak skała, czując, że tętni w nim gniew i nienawiść. Skupiały się one na Rzymianinie stojącym przed nim, na wrogu, z którym jak głupiec chciał pertraktować. Jakby po raz pierwszy dostrzegł arogancką pozę prokonsula, jego pychę, którą zaczął kojarzyć z rzymskimi nieprzyjaciółmi i nienawidzić u nich.

– Brać go – rzucił, a dwaj wartownicy wbiegli do środka i chwycili Regulusa za ramiona.

– Co to ma znaczyć, Barkas? – zapytał gniewnie Regulus.

– Już się na nic nie przydasz, Rzymianinie – odparł zimno Hamilkar i skinął głową żołnierzom, którzy wyciągnęli Regulusa z pokoju. Hamilkar podążył za nimi,

przyglądając się obojętnie, jak Regulus usiłuje wyrwać się obstawie i krzyczy przez ramię, protestując przeciwko takiemu traktowaniu.

Regulus odwrócił się od blasku stojącego w zenicie słońca, gdy wyprowadzono go na dziedziniec. Rozejrzał się, cały czas walcząc z narastającym strachem.

– Barkas! – krzyknął pewnym głosem, zasłaniając przerażenie gniewem – co masz na myśli? Co się stało?

Hamilkar nie zwrócił na niego uwagi, a Regulusa podprowadzono do przodu. Natychmiast dostrzegł cztery wbite w ziemię pale, rogi niewidocznego kwadratu. Zaczął opierać się wartownikom, aż jego stopy ślizgały się po luźnych kamieniach, ale oni pchnęli go na ziemię, na wznak. Brutalnie rozciągnęli jego kończyny i przywiązali każdą do jednego z kołków.

Regulus zaciskał powieki w świetle słońca, zachłystując się płytkimi haustami powietrza; w każdej chwili groził mu atak paniki. Usiłował przemówić opanowanym tonem, ale gdy zawołał Barkasa, prosząc go o wyjaśnienie, co się stało, głos mu zadrżał. Wyczuł, że ktoś podchodzi i staje nad nim, ale kiedy spróbował otworzyć oczy, uniemożliwił mu to blask słońca.

– Byłem ślepy – powiedział powoli Hamilkar. – Ślepy na prawdziwą naturę mojego wroga, do tego stopnia, że uwierzyłem, iż pokój jest możliwy.

– Pokój jest możliwy – odparł Regulus, wyrywając się z więzów i odwracając głowę w stronę Hamilkara. – Senat potrzebuje po prostu więcej czasu. Mogę

przemówić im do rozumu...

– Nie – ciągnął Hamilkar. – Ja przejrzałem na oczy, Rzymianinie, a teraz sprawię, że i ty przejrzysz.

Nagle czyjeś dłonie mocno ścisnęły Regulusowi głowę. Szamotał się z całych sił, usiłując się wywinąć, ale wartownicy nie puszczali. Przerażony poczuł, że ktoś przyszczypuje jego powiekę i odciąga ją od gałki ocznej, i zawył z bólu, gdy czubek noża odciął cienki płatek skóry. Jego wrzaski stały się bardziej piskliwe, kiedy odcięto mu i drugą powiekę.

Jego pole widzenia zalała krew, ale po jakimś czasie dostrzegł zarys człowieka stojącego tuż nad nim. Ból ran zastąpiło inne, straszliwsze cierpienie: przeraźliwie błękitne niebo wdzierało się w jego nieosłonięte oczy.

– Oto przejrzałeś – stwierdził twardo Hamilkar i przesunął się tak, że jego cień nie spoczywał już na twarzy Regulusa, wystawiając go na pełne działanie promieni słońca.

Regulus wrzeszczał rozzierająco i wykrzywił twarz, bezskutecznie usiłując ochronić oczy. Przeszywający ból pozbawił go resztek opanowania. Straszliwe męki owładnęły jego umysłem, a biały blask słońca był niczym płomień dla jego oczu. Zaczął się szamotać jeszcze mocniej i uwolnił głowę, w końcu odwrócił ją od światła, ale utrata wzroku była nieodwracalna. Regulus zawodził, ślepy i cierpiący.

Hamilkar cofnął się, zamykając serce na krzyki Rzymianina. Pomyślał o tym, jaki kiedyś był, zanim

wojna odebrała mu zdolność do miłosierdzia, i wiedział, że już nigdy taki nie będzie. Rzymianie używali bezwzględności jak narzędzia i jeśli Hamilkar miał ich pokonać, musiał zniżyć się do ich poziomu. Regulus trafił z powrotem do swojego ludu, ponownie jako posłaniec, ale tym razem po to, aby przekazać Rzymianom, iż nie będzie więcej propozycji rozejmu. Najpierw jednak trzeba było przygotować prokonsula do podróży.

Regulus wynurzył się spod fali bólu, powoli odzyskując przytomność i uświadamiając sobie, co go spotkało. Nie był już, ale kiedy usłyszał dookoła siebie głosy Kartagińczyków, zawołał, aby go uwolniono.

Wyczuł pod plecami pierwszy wstrząs, głucho, rytmiczne drzenie, jakby ziemia się pod nim przesuwała. To wrażenie przywiodło mu na myśl ukryte wspomnienie. Raptem powietrze rozdarł straszliwy ryk, który wymiół ze świadomości Regulusa wszystko inne.

Znów zaczął się wyrywać, a liny wpiły mu się w ciało, gdy napierał na nie ze wszystkich sił. Wrzeszczał, ogarnięty bezgranicznym przerażeniem, jelita odmówiły mu posłuszeństwa, a potężny słoń odpowiedział mu własnymi rykami. Regulus błyskawicznie obrócił głowę w stronę, z której dobiegał odgłos, i choć ślepotą udaremniła jego wysiłki dostrzeżenia bestii, pozostałe zmysły zalały jego umysł szczegółami: obezwładniający piżmowy zapach, głębokie parsknięcia przy każdym oddechu i dudniące kroki. Wrażenia te nabrały intensywności i Regulus zdał sobie sprawę, że zwierzę stoi tuż nad nim.

To, w jak bezbronnej leżał pozycji, tylko pogłębiło jego panikę. Potrząsnął mocno głową, jakby próbował ocknąć się z koszmaru sennego.

Nagle poczuł na klatce piersiowej spory ciężar. Napór zwiększył się, wypychając powietrze z jego płuc. Regulus usiłował nabrać tchu, ale nie był w stanie, i otworzył usta, wydając z siebie niemy okrzyk. Jego umysł zasnuła mgła i prokonsul osunął się w najdalsze głębiny przerażenia, kiedy wyczerpywały mu się ostatnie zapasy powietrza. Tracąc powoli przytomność, przekraczając próg śmierci, usłyszał jeszcze ostry trzask żeber pękających pod ciężarem stopy słonia.

Hamilkar skinął głową poganiaczowi, który krzyknął na bestię, żeby się wycofała, lekko uderzając ją witką w zad. Słoń odsunął się ociężale, a Hamilkar podszedł do przodu. Choć była to prastara forma egzekucji, Hamilkar jeszcze nigdy nie był świadkiem takiego procesu, a jego rezultat wzbudził w nim zarówno fascynację, jak i wstręt. Klatka piersiowa Regulusa była całkowicie zapadnięta, a wszystkie kości i organy wewnętrzne – wgniecione w ziemię. Nawet ktoś niewtajemniczony nie mógłby mieć wątpliwości, jak Regulus zmarł, i Hamilkar pokiwał powoli głową. Teraz prokonsul był gotowy, aby przekazać swoją wiadomość.

Głuche trzaski niosły się po głównym pokładzie *Orcusa*, gdy legionieści walczyli drewnianymi mieczami. Byli podzieleni na poruszające się niezależnie pary, a

Attyk przyglądał się każdej z nich po kolei, wprawnym okiem oceniając ich możliwości.

Ostrzegawczy okrzyk wyrwał go z zamyślenia. Attyk rozejrzał się po pokładzie i podniósł wzrok na Korina na szczycie masztu. Młodzieniec nieprzerwanie rozglądał się dookoła, obserwując horyzont. Attyk kiwnął głową z aprobatą. Bywało, że ten najmłodszy załogant z nudów skupiał się raczej na tym, co działo się pod nim, za co Lucjusz zwykł go gniewnie karcić. Te reprimendy oraz doświadczenie szybko dały Korinowi nauczkę i teraz nie odrywał orlego wzroku od wyznaczonego mu zadania.

Attyk uchwycił się tego zaufania do Korina i skoncentrował się na nim, usiłując załagodzić wątpliwości, które wkradły się do jego myśli po bitwie w Panormos, ale ta ulga była przelotna i Attyk obrzucił zaniepokojonym wzrokiem morze przed nimi. *Orcus* wpływał coraz dalej na wody wroga, kursem wiodącym dookoła północno-zachodniego skraju Sycylii, w stronę następnego celu kampanii Scypiona – Lilybeum. Było to serce kartagińskiego terytorium i choć Rzymianie mieli za sobą zwycięstwo, Attyk nie czuł się pewnie, myśląc o czekającym ich zadaniu.

Dziesięć galer zostało w Panormos, tworząc garnizon, choć cztery z nich były poważnie uszkodzone i czekały je tygodnie napraw. Reszta okrętów płynęła za *Orcusem*. Attyk wiedział, że jeśli jego oddział napotka na otwartych wodach kartagińską siłę o podobnym rozmiarze, zostanie rozgromiony. Liczebność była dla Rzymian jedyną

gwarancją bezpieczeństwa i Attyk nie mógł się doczekać kontaktu z pierwszą połową nowej floty, z którą miał się spotkać pod osłoną Wysp Egadzkich, na zachód od Lilybeum.

Słyszając gniewnie podniesiony głos, Attyk obejrzał się na swojego zastępcę. Z twarzą wykrzywioną frustracją Baro właśnie odepchnął na bok jednego z legionistów, aby jeszcze raz zademonstrować sekwencję pchnięć mieczem, której usiłował nauczyć żołnierzy. Mimo powagi tego zadania Attyk uśmiechnął się ze współczuciem. Baro stracił cierpliwość zaledwie po godzinie musztry – udało mu się ją zachować znacznie dłużej, niż wytrzymałby Attyk – i kapitan zauważył upartą, niemal wrogą minę legionisty, któremu zastępca wydawał polecenia.

Attyk wiedział z doświadczenia, że przekonanie dowódców legionów o potrzebie szkolenia ludzi w walce twarzą w twarz, niezbędnego dla zastępu, który miał dokonać abordażu na statek wroga, będzie prawie niewykonalne. Sądził, że jedyną nadzieją dla niego będzie wyćwiczenie legionistów na pokładzie *Orcusa*, a potem za ich pośrednictwem zademonstrowanie możliwości i rezultatów takiej musztry, ale nawet ten mniej ambitny cel będzie trudno osiągnąć.

Attyk zwrócił uwagę, że młodszy legionieści wykazują pewną chęć przystosowania się do tych nowych warunków, bez względu na to, jak bardzo usiłowali ukryć ten entuzjazm za zasłoną obojętności. Trafili do armii



względnie niedawno i nie zapomnieli jeszcze niektórych elementów walki mieczem, które poznali przed zaciągnięciem się do legionu. Starsi żołnierze jednak byli nieustępliwi: niezliczone bitwy wyrobiły u nich odruchowy sposób posługiwania się mieczem, którego niemal nie dało się wykorzenić. Walczyli w taki sam sposób od lat, dzięki tej technice pokonali wielu wrogów i nie widzieli potrzeby zmieniania jej, szczególnie na styl, który urągał jednej z podstawowych zasad walki w legionie: ochronie zwartych szeregów.

Najważniejsza dla tej ochrony była długa, szeroka tarcza *scutum*; stanowiła ona też drugą przeszkodę dla jakiegokolwiek transformacji. Była zbyt nieporęczna przy abordażu, nakazano więc legionistom ułożyć *scuta* na pokładzie dziobowym i wziąć zaokrąglone greckie tarcze *hoplan*, używane przez załogi z floty. Ta zamiana była dla legionistów oburzająca i przyczyniła się do trudności w szkoleniu: ludzie posługiwali się mniejszą tarczą tak samo jak większą, a doświadczony kartagiński wojownik natychmiast wykorzystałby ten błąd.

Gdy Baro demonstrował to wszystko, Attyk zerknął na Druzusa; centurion stał w milczeniu z boku, trzymając miecz oraz *hoplon* i powtarzając każdy ruch zastępcy kapitana. Było niewielu lepszych centurionów w legionach. Druzus przywiązywał ogromną wagę do dyscypliny, był człowiekiem o niezwykle silnych przekonaniach i jednym z najbardziej zdeterminowanych wojowników, których Attyk miał okazję spotkać.

Wypełniał rozkazy co do joty i oczekiwał od swoich ludzi tego samego, uosabiając każdy niezmienny element stanowiący kręgosłup legionów, i w tym właśnie leżała istota problemu. W walce twarzą w twarz sztywne trzymanie się reguł kończyło się przewidywalnością i było wyrokiem śmierci, ale wpojenie legionistom koniecznej płynności techniki oznaczało unieważnianie lat szkolenia.

Patrząc na Druzusa, Attyk poczuł, że rysujące się przed nim problemy go przerastają. Rzymskie załogi dysponowały mniejszymi umiejętnościami niż obsady okrętów wroga i wymagały wielomiesięcznego szkolenia w taranowaniu, a legiony nie mogły już polegać na swoim podstawowym atucie; musiały się szybko przystosować do nowego stylu walki. Przed wynalezieniem kruka Attyka czekało zmierzenie się z takimi samymi kłopotami, ale wtedy nie był z tym sam.

Z pomocą Gajusza mógłby wyszkolić załogi. Razem udoskonalili umiejętności marynarzy z *Orcusa* i możliwe, że Attykowi udałooby się zrobić użytek z zaufania, którym – jak zapewniał Duiliusz – darzyli go kapitanowie floty. Może mógłby przekazać im własne przekonanie o tym, że jedynym sposobem pokonania Kartagińczyków jest dorównanie im w umiejętności taranowania. Attyk wiedział jednak, że nie ma takiej więzi z legionami. Ta relacja oraz zaufanie legionistów – jeśli w ogóle było – istniały dzięki Septymusowi i choć centurion zdecydowanie opowiadał się za szkoleniem wszystkich żołnierzy floty w indywidualnej walce, nie trwał już przy

boku Attyka ani nie dowodził żołnierzami *Orcusa*.

Baro był dobrym nauczycielem, ale nie legionistą, i widać było wyraźnie, że żołnierze nie pokładają wiary w nowe techniki. Wypełniali jego polecenia, ponieważ wydano im taki rozkaz. Attyka opadły nagłe wątpliwości, czy nawet to ograniczone podejście się powiedzie. Jeśli nie potrafił przekonać legionistów z własnego statku, jak ma nakłonić pozostałych? Attyk nie po raz pierwszy pożałował, że Septymusa nie ma na statku.

Rozejrzał się po pokładzie, usiłując znaleźć pocieszenie w znajomej rutynie żeglowania, a jego myśli zbłądziły w stronę *Aquili* i życia sprzed czasów, kiedy wciągnięto go do wojny z Kartaginą. Uchwycił się kurczowo tego wspomnienia, gdy *Orcus* pędził przed siebie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kalikst zerknął na pomarszczoną od wiatru powierzchnię wody, oceniając prędkość niewielkich fal, i przeniósł wzrok na północny wschód, za cypel, zwracając twarz prosto pod wiatr, przesycony wilgocią po szalejącym daleko sztormie. Kalikst starł cieniutką warstewkę wody z twarzy i ogolonej głowy.

Kierunek wiatru nie zmienił się od dwóch dni, kiedy to galera Kaliksta, <sup>^m</sup>, przybyła na stanowisko na Wyspach Egadzkich; patrząc na słońce, mężczyzna obliczył, że jeśli utrzyma się jeszcze przez kolejne dwie godziny, i ten dzień będzie stracony. Niespecjalnie mu to przeszkadzało. Był cierpliwy. Choć powiedziano mu, że jego zadanie jest pilne, on sam czuł apatię. Zajmował się swoim rzemiosłem przez całe życie, doskonale więc znał wiatry i pływy w tej części basenu Morza Śródziemnego, i ponad wszystko wiedział, że nie zmienią ich niczyje zachcianki czy żądania. Mógł poczekać, świadom, że jeśli nie odpłynie dziś, zawsze może to zrobić następnego dnia. W każdym razie dotrze do celu.

Nazywano go Rodyjczykiem; nie wymyślił tego przydomka sam, ale i tak pozwolił mu się rozpowszechnić. W normalnych okolicznościach w jego zawodzie niedobrze było stać się rozpoznawalnym. Anonimowość była ważnym sprzymierzeńcem, ale odkrył, że zła sława też ma swoje korzyści. Najważniejszą

z nich było to, że jego klienci byli coraz ważniejsi: pracował z ludźmi majątymi, którzy stawiali bezkompromisowe żądania i zatrudniali tylko tych, których uważali za najlepszych.

Kalikst faktycznie pochodził z Rodos, tak samo jak jego przodkowie, choć większą część dzieciństwa spędził na Itace. Tam, mając siedem lat, został załogantem kapitana biremy handlowej, który szybko odkrył, że jego grecki podopieczny ma wrodzony, nadzwyczajny talent żeglarski. Jako siedemnastolatek Kalikst był doświadczonym bosmanem i przeniósł się do Syrakuz, aby zacząć pracę dla jednego z większych domów kupieckich. Jego umiejętności znów zwróciły uwagę i w ciągu trzech lat awansował do rangi kapitana, w której przez wiele lat pływał po wodach przybrzeżnych Sycylii i po Morzu Śródziemnym.

Syrakuzy były ważnym ośrodkiem handlowym dla całego Mare Nostrum, i w mieście, gdzie było niewiele tajemnic, umiejętności Kaliksta ogólnie znano i szanowano. Wskutek tego rozgłosu kilka lat wcześniej zawarł swój pierwszy kontrakt: pewien człowiek poprosił go, aby nocą przewiózł go do kontrolowanego wtedy przez Kartagińczyków Agrigentum. Na horyzoncie kłębiły się chmury wojny i Kalikst podejrzewał, że mężczyzna był Rzymianinem, w przeciwnym razie po co byłaby ta tajemnica? Już miał mu odmówić, kiedy Rzymianin wyciągnął złoto, które był gotów zapłacić za tę prostą usługę, za jedną noc pracy. Suma ta była większa niż

półroczne zarobki Kaliksta w domu kupieckim i na widok migoczących złotych monet odmowa zamarła mu na ustach.

Wkrótce potem miał dostarczyć ładunek do Agrigentum – Kalikst sądził, że Rzymianin już o tym wiedział – popłynął więc zgodnie z planem i z pasażerem na pokładzie. Zwlekał podczas przeprawy, poczekał u wybrzeży Kamariny do zmroku i wpłynął do portu pod osłoną nocy. Było to trudne, ale Kalikst doskonale znał tamtejsze szlaki morskie i jego umiejętności pozwoliły mu stanąć na wysokości zadania. Wysadził pasażera na ląd po północy, a z rozładowaniem towarów cierpliwie poczekał do świtu; nikt nie zwrócił na niego uwagi przy tłoczonym nabrzeżu, a jego statek był tylko jedną z wielokrotnie widywanych w Agrigentum, znajomych birem.

W ciągu następnych lat zaostrzenie konfliktu między Rzymem a Kartaginą stworzyło jeszcze więcej szans na zysk, a Kalikst nabrał biegłości w wykorzystywaniu ich. Wkrótce już nie potrzebował przykrywki, którą dawała mu praca w domu kupieckim, i kupił własną biremę, zmieniając zwyczajowy ładunek materiałów i ziarna na oręż oraz szpiegów. Początkowo wszystkie jego kontrakty pochodziły od Rzymian, którzy nie znali sycylijskich wód i brakowało im własnych wyszkolonych załóg, ale Kalikst dość szybko znalazł pracę i wśród Kartagińczyków: dostrzegali oni niepowtarzalne korzyści płynące z anonimowości zwyczajnej galery handlowej.

Zależało mu wyłącznie na zysku i szmuglowanie

ładunków błyskawicznie ustąpiło potyczkom, a nawet piractwu, gdy konflikt nabrał zajadłości. Jego reputacja najemnika sięgała coraz dalej i po jakimś czasie zamówił własny statek, *Aresa*, specjalnie zaprojektowany i zbudowany przez najświetniejszych cieśli okrętowych w Grecji, a także obsadzony starannie dobraną załogą. Na nowym statku jego główną bronią nie była skrytość, ale szybkość i zwrotność.

Przyjmował tylko najbardziej lukratywne propozycje i kiedy tydzień wcześniej skontaktował się z nim przedstawiciel rady Kartaginy, Kalikst natychmiast przyjął zadanie, gwarantując sobie zapłatę proporcjonalną do ryzyka.

Kalikst właśnie wyczuł, że wiatr nieco osłabł, i wydał załodze rozkaz. Ludzie zakrzętnęli się i po chwili *Ares* był gotów do wypłynięcia. Załoganci znów znieruchomieli, zwracając twarze pod wiatr i próbując ocenić jego powiewy, czuli bowiem, że zaraz się zmieni. W mgnieniu oka tak się stało; bryza dmuchnęła dziko z zachodu, po czym dwa razy zmieniła kierunek, nim się ustaliła. Kalikst się uśmiechnął: moment był idealny. Obejrzał się na zachodzące za nim słońce. Skinął głową sternikowi, co zauważyli wszyscy dowódcy na pokładzie, wydali więc rozkazy niemal jednocześnie, a *Ares* nabrał prędkości standardowej na odcinku równym swojej długości, podążając zdecydowanym już kursem do oblężonego Lilybeum.

Septymus otarł pot z twarzy, patrząc na niktą

słońce. Od blasku szczypały go oczy, ale nie odrywał wzroku, rozkoszując się widokiem tej powolnej śmierci – wiedział, że dzień ma się już ku końcowi. Odwrócił się do swoich ludzi i rzucił komendę głosem równie ostrym jak o świcie, starannie ukrywając zmęczenie, które widział też na twarzach żołnierzy.

Przybyli do Lilybeum dwa tygodnie wcześniej i znów niemal już wypełnili zadanie: cztery nowe wieże oblężnicze trwały niezachwianie przed murami miasta, uważnie obserwując ofiarę. Zbudowano je szybciej niż wieże pod Panormos, z użyciem ich resztek, ale i tym razem dokonał tego Dziewiąty legion. Drugi otrzymał odznaczenie bojowe za natarcie na Panormos, podczas gdy o Dziewiątym wspomniano jedynie w meldunkach. Septymus postanowił zlekceważyć tę niesprawiedliwość i namówił co świeższych ze swoich rekrutów, aby zrobili to samo. Nie pierwszy raz i nie ostatni przeoczono czyjeś czyny w bitwie.

Tempo pracy zwiększyła też chęć jak najszybszego zakończenia oblężenia. Panormos otaczały pola uprawne i pastwiska, świetna ziemia z dobrym systemem odwadniającym, idealny teren na fortyfikacje oblężnicze i konieczne w tej sytuacji nagromadzenie wielu ludzi w obozowiskach. Jednak za Lilybeum zbiegały się dwa strumienie, tak więc mury otaczały bagniste moczary; choć było późne lato i jesiennych deszczów nie spodziewano się jeszcze przez wiele tygodni, ziemia była podmokła, a o zmroku dręczyły legionistów ogromne



chmary komarów.

Co wieczór ludzie z manipułu Septymusa uskarżali się zrzędlawie pod nosem i toczyli nieustanną wojnę z maleńkimi owadami, uderzając otwartymi dłońmi odsłonięte miejsca na ciele. Centurion pozwolił im narzekać – lepiej, żeby dali upust frustracji – ale sam martwił się coraz bardziej. Nie znał się na tajemnicach zarazy, nie miał pojęcia, dlaczego część ludzi uchodziła jej, a innym pisana była choroba, i na jakiej podstawie Pluton wybierał, którzy z nich umrą, a którzy wyzdrowieją. Jednak jak wielu innych doskonale wiedział o straszliwych plagach czających się w trujących wyziewach z bagien. Lata wcześniej walczył w bitwie pod Agrigentum, rzymskim oblężeniu, podczas którego legiony same były oblegane przez posiłki wroga i uwięzione tygodniami na bagnistych terenach między zewnętrznymi murami miasta a linią umocnień. Liczba ofiar zaczęła szybko wzrastać – nie z powodu kling i strzał, lecz zarazy – i Septymus pamiętał, jak codzienny apel wkrótce zamienił się w listę ofiar, ludzi, którzy wydali ostatnie tchnienie w mrokach nocy.

Na to wspomnienie centurion nieświadomie wstrzymał oddech, a gdy w końcu nabrał do płuc ciepłego, cuchnącego powietrza, zakaszłał. Miało głęboki, piżmowy posmak gleby i Septymus nagle zapragnął poczuć czyste, przesycone solą powietrze na pokładzie *Orcusa*. Nie myślał o tamtym życiu od wielu dni i tak jak wcześniej zdumiało go to, co wywołało te wspomnienia.

Przypomniął sobie, jak początkowo nienawidził tego ostrego morskiego klimatu, chłodnego wiatru hulającego bez przerwy po odsłoniętym pokładzie galery, ale teraz tęsknił za tym, gdy przyszło mu wypełniać płuca wilgotną duchotą bagien.

Odepchnął tę myśl, nagle zły na siebie. Tamto życie było już zakończone i myślenie o nim z sympatią było słabością, która podkopywała jego lojalność względem Dziewiątego. Jego przyszłość była w czwartym manipule, nie wśród żołnierzy floty, i Septymus zmusił się do koncentracji na swoim oddziale.

Przeniósł wzrok na wieże oblężnicze, których koła zapadły się w miękką ziemię aż po osie. Wieże miały być gotowe w ciągu niecałych trzech dni i Septymus wymamrotał modlitwę do Marsa, aby Scypion obdarzył Dziewiąty zaszczytem poprowadzenia natarcia. Wiedział jednak, że się łudzi. Dziewiąty dopiero co stworzono, a Drugi był zaprawioną w bojach formacją. Zajął Panormos, nawet jeśli w rzeczywistości to bezładna szarża Dziewiątego pozwoliła mu przebyć fortyfikacje, i poprowadzi atak także tym razem. Dziewiąty będzie się przyglądał z oddali, a Septymus zastanawiał się, ściskając rękojeść miecza, czy będzie miał okazję dobyć oręża w bitwie o Lilybeum.

Hamilkar zajrzał przez ramię inżynierowi siedzącemu przed nim, usiłując przeczytać napisane maczkiem notatki, ale mu się nie udało, skupił więc wzrok na samym szkicu. Zerknął ponad murami na rzymskie wieże

oblężnicze, rysujące się czterysta kroków dalej, poza zasięgiem łuków. Biorąc pod uwagę odległość, szkice inżyniera robiły wrażenie i Hamilkar wypytał mężczyznę o kilka szczegółów, wiedząc, że ten dzięki swojej wiedzy uzupełnia to, czego nie było widać. Słuchając wyjaśnienia, Kartagińczyk kiwał powoli głową, znów patrząc na wieże, ciekaw, kiedy będą gotowe.

Budowanie skutecznych machin oblężniczych było jedną z mocnych stron armii rzymskiej, a to, że wieże powstawały w zasięgu wzroku Hamilkara, było okazją, której nie mógł przegapić. Kartagińczycy wiedzieli niewiele o tak nowoczesnej technologii i zazwyczaj jedynym narzędziem, którego używali do zmuszenia oblężonego miasta do kapitulacji, był czas. Rzymianie przywłaszczyli sobie projekt kartagińskiej kwinkweremy. Może Hamilkar mógłby odwzajemnić ten gest, tworząc dla swojej armii maszyny oblężnicze na wzór rzymskich? Panormos padło przez takie urządzenia i choć Lilybeum miało bardziej złożone i mocniejsze fortyfikacje, Hamilkar wiedział, że jeśli te piekielne wieże zaatakują mury miasta, trudno będzie przewidzieć rezultat. Dlatego też już wprowadzał w życie swój plan obrony i dlatego szkic przedstawiający wieże był istotny.

Na morzu ciągnącym się za Lilybeum Hamilkar dostrzegał blokadę utrzymywaną przez rzymską flotę: galery przesuwają się powoli w jego polu widzenia. Szerokość zatoki oraz nietypowy kształt prowadzących do niej szlaków uniemożliwiły stworzenie nieprzerwanej

blokady, ale też wyeliminowały jej konieczność: w rezultacie galery były skupione na flankach, a mniejsze ich grupy krążyły bezustannie po zatoce. Szacowano, że okrętów Rzymian jest sto pięćdziesiąt – liczebność ta zaskoczyła i zmartwiła Hamilkara, sądził bowiem, że jest ich znacznie mniej. Doniesienia z Panormos wspominały o flocie złożonej z siedemdziesięciu okrętów. Hamilkar zakładał, że część z nich została zniszczona podczas bitwy, która wywiązała się w porcie, i spodziewał się, że do Lilybeum przybędą tylko niedobitki.

Początkowo uznał, że znacznie więcej rzymskich galer przetrwało sztorm po bitwie u Przylądka Hermajskiego, ale potem zaczęły do niego docierać niepokojące plotki, doniesienia z drugiej ręki od kupców, którzy twierdzili, iż nieprzyjaciele zbudowali na północ od Rzymu ogromną nową flotę. Zlekceważył te plotki, ale otrzymał wiarygodne meldunki, że większość statków blokujących Lilybeum stanowi część rzymskiej floty liczącej ponad sto okrętów, która wiele tygodni wcześniej płynęła na południowy zachód, mijając Liparę, w stronę Wysp Egadzkich.

Ten raport wprowadził go w osłupienie. Jakimi ludźmi są ci Rzymianie, że tak w siebie wierzą, że potrafią przetrwać utratę tylu okrętów oraz ludzi i odbudować flotę tak szybko? Wydawało się, że nic nie może osłabić ich pewności siebie i zaangażowania w wojnę, i Hamilkar był ciekaw, czy lękają się jakichkolwiek bogów czy ludzi. Pomyślał o Kartaginie, o jej siłach, podzielonych na dwa

fronty i osłabionych na obu, o jej przywódcach, którzy ze sobą rywalizowali, podczas gdy Rzymianie wytrwale dążyli do jednego celu.

Barkas zdecydowanie odsunął od siebie te wątpliwości. Niektórzy może wierzą, że przeznaczenie Kartaginy leży gdzie indziej, ale on był całkowicie zaangażowany w konflikt z Rzymem, w związku z czym nie miał zamiaru dopuścić do upadku Lilybeum. Wraz z pojawieniem się większej rzymskiej floty rozkład sił się zmienił, ale podstawy planu obrony stworzonego przez Hamilkara pozostały niezmienione.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy pierwsze doniesienia potwierdziły, że Rzymianie otoczyli Panormos, Hamilkar pospiesznie wysłał do Kartaginy galerę wiozącą dwie prośby do jego ojca. Pierwsza była błaganiem o ludzi, siły lądowe, które wzmocniłyby garnizon, najchętniej Kartagińczyków, jeśli Hazdrubal był w stanie oddelegować ich z armii Hannonna, a jeśli nie – najemników, o których rozmawiali. Ojciec zareagował szybko i w ciągu trzech tygodni – gdy padało Panormos – w Lilybeum pojawiła się flota dwudziestu okrętów transportowych, na których pokładzie znajdowały się dwa tysiące greckich najemników i wiadomość od Hazdrubala, że właśnie wypełnia drugą prośbę syna.

Następnie Hamilkar zajął się morzem; zanim nadciągnęła rzymska flota, wysłał własne okręty z Gadiru na północ, do portu Drepanum, aby nie unieruchomiła ich blokada. Tam ponad sto dwadzieścia galer czekało w

gotowości na jego przybycie. Chciał popłynąć z nimi, ale został w Lilybeum, aby sfinalizować budowę umocnień miasta i nadzorować operację wyznaczoną greckim najemnikom, atak, który dałby mu więcej czasu i pozwoliłby wypełnić plan.

Hamilkar popatrzył na zachodzące słońce, przeklinając brakujący element – kluczowy dla zakończenia blokady i oblężenia. Ostatecznie czekała go ucieczka z okrażonego Lilybeum, jeśli chciał dołączyć do swoich okrętów w Drepanum, i zależała ona od drugiej rzeczy, o którą poprosił ojca. Nie mógł wiedzieć, czy Hazdrubalowi udało się skontaktować z jedynym człowiekiem, dzięki któremu Hamilkarowi z pewnością udałoby się uciec i który dysponował umiejętnościami oraz znajomością okolic jak żaden inny dowódca floty z Gadiru. Tylko ten jeden człowiek mógł wywieźć go poza rzymską blokadę.

*Orcus* sunął powoli, pchany południowo-zachodnim wiatrem, który wiał od lewej strony rufy, łagodnie wybrzuszając płótno żagla. Bryza zmieniła kierunek wiele godzin wcześniej, co pozwoliło oddziałowi dziesięciu galer wciągnąć wiosła na pokład. Teraz płynęły niemal w ciszy, a przy braku uderzeń w bęben słyszeć było tylko plusk wody o kadłub i od czasu do czasu wykrzykiwany rozkaz.

Attyk stał nieruchomo, patrząc nad rufą, a jego myśli błądziły bez celu w ciszy; po dwóch monotonnych

tygodniach spędzonych w blokadzie szybko się rozprasał. Morze otaczające *Orcusa* było gładkie jak wypolerowany marmur, ale zaledwie dwieście kroków dalej, bliżej portu, charakterystyczne zmarszczki na niespokojnej powierzchni wody sygnalizowały obecność zdradliwych płycizn, których pełno było na szlakach prowadzących do Lilybeum. Do portu można było bezpiecznie dopłynąć tylko wąskim kanałem na północnym skraju zatoki i to tam znajdowała się większa część rzymskiej floty pod komendą nowo przybyłego prefekta, Owidiusza. Mężczyzna nalegał, aby przekazać mu dowodzenie w tym ważnym punkcie – nie mógł się doczekać, żeby zaatakować każdy statek, który śmiałby przebić się przez blokadę – i Attyk chętnie odstąpił mu tę pozycję, wiedząc, że w odróżnieniu od sytuacji pod Panormos tym razem niewielu podejmie próbę ucieczki z tak mocno zaciśniętej pętli.

Zamiast tego Attyk rozkazał swoim okrętom patrolowanie laguny biegnącej na całej szerokości portu, między zewnętrzną a wewnętrzną płycizną zatoki. Przez obie mielizny prowadziło wiele innych wąskich kanałów, znanych wyłącznie Posejdonowi i miejscowym, i jeśli którykolwiek Kartagińczyk pokusiłby się o próbę ucieczki, z pewnością dokonałby jej jedną z tych cieśnin. Ostatecznie jednak wysiłki zarówno Attyka, jak i rzymskiego prefekta spełzły na niczym. Ani jeden kartagiński okręt nie spróbował przełamać się przez blokadę i dwa tygodnie upłynęły powoli i bez żadnych

incydentów.

Attyk wlepił wzrok w pobielone mury odległego Lilybeum, które zachodzące słońce barwiło na różowo, na pozornie wymarłe nabrzeże. Widok ten przywiódł mu na myśl podobną scenę i Grek zmarszczył czoło, usiłując ją przywołać. Wtedy zaskoczony zorientował się, że przypomniał sobie swoje rodzinne miasto.

Od wielu lat nie widział Lokr, gdzie dorastał w brudzie i nędzy, miasta, które porzucił jako czternastolatek, aby wstąpić do rzymskiej floty przybrzeżnej. Jego jedyne miłe wspomnienia stamtąd wiązały się z dziadkiem, który brał go na ryby i snuł fascynujące opowieści o dawnych Grekach i ich zwycięstwach nad imperium perskim. Dla Attyka te czasy reprezentowały teraz pewien stary świat, świat, w którym mieszkał jego dziadek, kiedy to Grecy byli panami Magna Graecia, Wielkiej Grecji, sieci skolonizowanych miast i państw, do których zaliczała się południowa Italia. Czasom tym położyli kres Rzymianie, gdy podbili owe ziemie i narzucili ich mieszkańcom własną kulturę i zasady.

Ów stary świat istniał teraz tylko we wspomnieniach i Attyk ze wstydem złapał się na tym, że nie pamięta, kiedy ostatnio myślał o Lokrach czy dziadku, kiedy ostatnio umocnił w duszy więzi z przodkami.

Gdy był kapitanem *Aquili* i ścigał piratów na Morzu Jońskim, wzdłuż wybrzeża Kalabrii, żył jedynie na pograniczu republiki rzymskiej. Teraz był w niej



całkowicie zanurzony. Rzym wpływał na wszystko, co robił, i to, kim był, a Attyk cieszył się, że jego dziadek nie żył dość długo, aby zobaczyć, jak bardzo wnuk oddalił się od własnego ludu.

– Galera milę za nami, od bakburty. Mija zewnętrzne płycizny!

Attyk czym prędzej obejrzał się za siebie, ale od razu znów się odwrócił, ponieważ zachodzące słońce wciąż świeciło zbyt jasno, a mimo to dostrzegł na wodzie ciemny kształt. Podniósł oczy na szczyt masztu.

– Zidentyfikuj ją! – zawołał.

Korin nachylił się lekko, osłaniając oczy dłonią.

– Nie mogę, prefekcie, mam ją pod światło! – odkrzyknął. – Ale to z pewnością galera pod żaglami.

Attyk nie wahał się ani chwili.

– Baro, zwinąć grotzagiel. Przygotować wiosła. Gajuszu, zwrot, prędkość bojowa.

*Orcus* zwinnie okręcił się dookoła własnej osi na czele oddziału, a pozostałe galery poszły jego śladem, szybko reagując na sygnały nadawane z pokładu rufowego okrętu dowódcy; ich wiosła wysunęły się, a żagle zebrano.

– Płynie pod żaglami i wiosłami! – zawołał Korin.

Klnąc, Attyk dostrzegł, że marynarz ma rację: to, że jego własny statek zawracał, zapewniło mu lepszy widok. Tylko świetnie wyszkolona załoga poradziłaby sobie z galerą pchaną przez postawione żagle i pracujące wiosła. Zaletą była w takim wypadku dodatkowa prędkość, która

nie przemęczała wioślarzy, ale wymagała absolutnej kontroli nad sterem i zdyscyplinowanej obsady wioślarskiej. Była to birema, galera o dwóch rzędach wiosł, a ktokolwiek nią dowodził, był sprytnym sukinsynem i świetnie znał okoliczne szlaki morskie. Maskując się w blasku słońca i dzięki wiatrowi zyskując prędkość i przewagę, uniknął wykrycia aż do chwili, gdy znajdował się o milę od *Orcusa*. Galera mknęła kursem ukośnym względem środka portu i kiedy Attyk obliczył kąt ataku, zmarszczył brwi. Nawet biorąc pod uwagę połączenie żagli i wiosł, birema poruszała się zdecydowanie zbyt szybko jak na statek swojej klasy.

– Gajuszu, prędkość ofensywna – rozkazał Attyk, choć już czuł, że się spóźnił. Potwierdzał to prosty rachunek.

*Orcusa* napędzały tylko wiosła i wiatr wiał mu w burtę, a niezidentyfikowana galera zdążyła pokonać już połowę laguny, nakierowując dziób na jakiś niewidoczny szlak. Attyk walnął pięścią w reling, gorączkowo zastanawiając się, jak zapobiec temu, co nieuchronne.

– To tetrera – zorientował się Gajusz.

Attyk przyjrzał się uważnie kadłubowi okrętu, wiedząc już, jak osiągnął on taką prędkość. Na wyposażonej w dwa rzędy wiosł biremie każde wiosło obsługiwał jeden człowiek, a na tetrerze – po dwóch. Dwa typy galer były do siebie podobne pod względem wysokości i zanurzenia, ale tetrera była szersza, aby pomieścić dodatkowych wioślarzy. Galerę tę rzadko się

widywało; była wolniejsza niż kwinkwerema, ale bardziej zwrotna i miała bardzo niewielkie zanurzenie.

To spostrzeżenie nie złagodziło jednak frustracji Attyka. W milczeniu patrzył, jak tetrera mija dziób *Orcusa* w odległości pół mili i zmienia nieco kurs, wymijając wewnętrzne płycizny. Odległość między dwoma statkami nie mogła się już bardziej zmniejszyć i Attyk już miał wydać rozkaz do odwrotu, gdy dostrzegł zmartwioną minę Gajusza.

– O co chodzi? – zapytał.

– Tamten kapitan miał przewagę pod każdym względem i bezbłędnie zbliżył się do portu. Nic tutaj nie było kwestią szczęścia, nic – odparł z przejęciem sternik. – I płynie tetrerą.

Attyk zastanowił się nad tym, co Gajusz sugerował, a czego on sam nie wziął pod uwagę, ogarnięty złością. Kapitan galery był niezwykle wprawny, świetnie znał pobliskie szlaki morskie, a jego statek był tetrerą. Attyk kiwnął Gajuszowi głową, zgadzając się z jego wnioskiem. To musiał być Rodyjczyk.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wartownik naciągnął skraj hełmu niżej, wlepiając wzrok w ciemność i odwracając lekko głowę, żeby lepiej słyszeć ewentualne odgłosy świadczące o tym, że ktoś się zbliża. Wysoko na murach odległego o czterysta kroków miasta płonęły ogromne pochodnie, przytępiając jego zdolność widzenia w ciemnościach, ale nie podnosił spojrzenia ponad ziemię i czarną otchłań oddzielającą wroga od rzymskich sztyków.

Był *optio* drugiego manipułu; tej nocy nadeszła kolej jego jednostki na wystawienie *vigilae*, straży nocnej, i choć wartownik mógł pocieszać się myślą, że będzie to jego jedyna nocna warta w tym tygodniu, był zmęczony po całym dniu pracy przy wieżach oblężniczych i oczy same mu się zamykały. Próbował zachować przytomność umysłu, wiedząc, że jakakolwiek przerwa w koncentracji groziła zaśnięciem na służbie, przestępstwem karanym natychmiastową egzekucją. Poczul ból w krzyżu i nagle złapał się na tym, że się garbi. Momentalnie wyprostował plecy i zaklął pod nosem, wyciągając sztylet z pochwy.

Przyłożył opuszkę kciuka do klingi i nacisnął, aż ostrze przebiło jego skórę. Syknął z bólu, ale jego umysł zareagował natychmiast, i żołnierz nie odsunął palca, lecz przesuwając go od czasu do czasu po klindze, żeby zachować czujność. Była to stara sztuczka; kciuk legionisty był poznaczony starymi bliznami, pamiątkami

po latach spędzonych w innych legionach. Zmarszczył brwi w ciemnościach. To będzie długa noc.

Dowódca greckich najemników usłyszał zgrzyt klingi wyciąganej z pochwy i zamarł. Mimo otaczających go ciemności wyczuł, że jego ludzie reagują podobnie: cichutki szelest trawy zastąpiła absolutna cisza. Wstrzymał oddech. Czy rzymski wartownik ich usłyszał? Mężczyzna się nie ruszył, otworzył tylko lekko usta, aby lepiej słyszeć, i zaczął znów oddychać – nabierał szybkie, płytkie hausty powietrza, nie głośniejsze niż szum ciepłego wiatru. Wyobraził sobie rzymskiego wartownika, być może stojącego w tak samo napiętej pozycji, i czekał na nieuchronne pytanie o hasło; wiedział, że każdy wartownik, nieważne, jak doświadczony, czułby się w obowiązku zawołać w ciemności. Dłuższa chwila minęła jednak w ciszy i dowódca najemników nabrał pewności, że nie zostali wykryci.

Ponownie ruszył przed siebie i uśmiechnął się, nie odsłaniając zębów. Rzymski wartownik znajdował się nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego i dowódca rozejrzał się, usiłując w świetle pojedynczych pochodni na odległej rzymskiej palisadzie dostrzec sylwetkę stojącego żołnierza. Wraz z setką ustawionych w rozciągniętym szeregu ludzi podszedł do linii rzymskich czujek, a pięćdziesiąt kroków za nim równie cicho zbliżała się kolejna pięćsetka wojowników. Teraz byli gotowi do ataku i dowódca skinął głową w ciemnościach. Osiągnął

efekt zaskoczenia.

Zrobił jeszcze pięć kroków do przodu i znów się zatrzymał, aby dać ludziom czas na zajęcie miejsc. Główny oddział miał nieprzerwanie podążać do przodu, nie wiedząc, jaka jest pozycja dowódcy, ten więc nie mógł zwlekać. Przesunął dłoń w bok, odnajdując znajomą w dotyku, wyrzeźbioną z kości słoniowej rękojeść swojego miecza. Obrócił ciało w kierunku, z którego dosłyszał metaliczny dźwięk, a potem powoli wyprostował się z przyuczajonej pozycji; mięśnie jego nóg były napięte od czekającej na wyzwolenie energii. Nie ruszał się jeszcze przez moment, po czym zagwizdał ostro, krótko, dając sygnał do ataku. Rzucił się biegiem przed siebie, po drodze dobywając miecza i szukając jakiegoś celu.

Po prawej, pod jedną z gigantycznych wież oblężniczych, dostrzegł wartownika, cień wśród innych cieni. Dowódca najemników skrzywił i podniósł wysoko miecz, a Rzymianin zareagował: wyrwały mu się początki ostrzegawczego okrzyku, gdy usiłował wyciągnąć własny oręż z pochwy. Grek zgładził go jednym ciosem w szyję, a legionista momentalnie padł na ziemię. Dowódca pędził dalej, prosto w stronę wieży oblężniczej, a docierając do niej, usłyszał pierwsze wrzaski wartowników, którzy zareagowali szybciej.

Ich ostrzeżenia błyskawicznie uciszono, ale oddział rzymskich żołnierzy pilnujący wież i tak rzucił się do działania, szybko jak zajmująca się ogniem hubka. Z ciemności ruszyła w stronę dowódcy najemników jakaś

postać, zdeformowana bestia z tarczą i mieczem wyciągniętymi przed siebie. Dowódca przykucnął nisko i ciał mieczem po nogach zbliżającego się legionisty. Rzymianin krzyknął z bólu i runął na ziemię. Grek obrócił się i zamachnął mieczem w stronę odsłoniętych pleców legionisty; klinga odbiła się od kręgosłupa i zanurzyła w nerkę.

Dowódca najemników szybko się wyprostował i znów wysunął miecz. Główna część jego oddziału właśnie wymijała go biegiem, a gdy starła się ze środkiem szyku rzymskich wartowników za wieżami, w ciemnościach wezbrała coraz głośniejsza wrzawa. Wróg szybko stawiał najemnikom czoło – dowódca spodziewał się tego po zdyscyplinowanej rzymskiej armii – ale już po chwili mieli oni ogromną przewagę liczebną. Dowódca nie zaangażował się w desperacką potyczkę i patrzył na jaśniejące światła pobliskiego obozu legionistów. Kiedy ostatni człowiek z dzielnej straży nocnej zginął od miecza, dookoła wież zapanowała chwilowa namiastka spokoju, kontrastująca z narastającą kakofonią rozkazów wykrzykiwanych w obozie.

Grecki dowódca najemników wiedział, że muszą działać szybko, zanim na odsiecz przybędzie cały legion. Nie byliby w stanie wygrać z tyłoma przeciwnikami, ale jeśli szczęście będzie im sprzyjać, ich zadanie będzie już wtedy wykonane. Odsunął się od wieży, kiedy pojawili się pierwsi jego ludzie z wiadrami smoły. Wylali ją u podstawy wieży, a inni wspięli się po drabinie na

platformę, pokrywając lepłą substancją jak największą powierzchnię. Podpalona smoła podsyci płomienie na świeżo ściętym, wciąż ciężkim od żywicy drewnie, ale żeby płomienie rozgorzały i przeobraziły się w niemożliwe do ugaszenia morze ognia, trzeba było kilku decydujących chwil, za które greccy najemnicy zapłacą własną krwią.

Pierwsze okrzyki wyrwały Septymusa ze snu. Otumaniony zerwał się, pospiesznie wciągnął zbroję i chwycił oręż. Kiedy wyłonił się z namiotu, ostrzegawcze okrzyki zdążyły ustąpić ogólnym wezwaniom do broni. Odruchowo powtórzył komendę, rozkazując pokrzykując na kolejnych ludzi ze swojego oddziału, kiedy wychodzili z namiotów, aby ustawili się w szyku i przygotowali.

Septymus spojrział na szanice obozu, usiłując między tłumem ludzi reagujących na ostre rozkazy dojrzeć miejsce, gdzie przypuszczono atak. W mroku trudno było cokolwiek zobaczyć, ale do tuzina pochodni szybko dołączyło kilkanaście, a potem kilkadziesiąt następnych, i niepewność nagle zniknęła. Oprzytomniał już zupełnie i popędził w stronę głównej bramy, czując, że strach ściska mu trzewia.

Jego manipuł podążył za nim chaotycznie – *optio* wykrzykiwał rozkazy, aby ludzie stworzyli szyk w biegu – a po całym obozie poniosła się fala zrozumienia. Wszyscy zdali sobie sprawę, co jest celem ataku wroga, i legionieści z czwartego manipułu przyspieszyli. Septymus



wdarł się między żołnierzy stłoczonych przy głównej bramie, a jego postura i ranga dawały mu przewagę, gdy przepychał się w stronę otwartej przestrzeni za bramą. Za szanćami panowały niemal całkowite ciemności i Septymus potknął się na wyboistej ziemi, nie odrywając wzroku od stojących dwieście kroków dalej wież oblężniczych. Cztery gigantyczne cienie rysowały się na tle światła pochodni płonących na odległych murach miasta i Septymus od czasu do czasu dostrzegał przemykające przy ich podstawach postaci, nie wiedząc, czy to sprzymierzeńcy, czy wrogowie.

Zerknął w prawo, na odległy o pół mili obóz Drugiego legionu. On też budził się do życia w reakcji na harmider spowodowany przez Dziewiąty. Na szanćach roiły się płomienie pochodni, a nieufni w ciemnościach żołnierze nie wiedzieli, czy patrzą na główny atak, czy na pozorację. Septymus nie miał co do tego wątpliwości i wyciągnął miecz, biegnąc przed siebie; otaczały go warknięcia i dyszenie setek ludzi, zgrzyt kling wysuwanych z pochew i ciężkich stąpnięć żołnierzy pędzących w stronę wież.

Kiedy Kartagińczycy zaatakowali wieże oblężnicze pod Panormos, posiłki z głównego obozu szybko wytrzebiły wroga i uratowały oblegany manipuł, który pełnił straż. Teraz nieprzyjaciel dokonał podobnego ataku i biegnącego Septymusa z każdej strony otaczali legioniści – ci, co zareagowali szybciej, znajdowali się przed nim – którzy szarżowali w obronie wież, nie

czekając na rozkazy. W błyskawicznym ataku zatarły się wszelkie ślady porządku w szykach.

Odległość dwustu kroków zmniejszyła się do pięćdziesięciu, a Septymus wykrzykiwał pierwsze komendy. Ludzie natychmiast usłuchali biegnącego wśród nich centuriona, ale z powodu ciemności i pędu natarcia stworzony szyk był mało spójny. Septymus zacisnął mocniej palce na rękojeści miecza, napinając ramię osłonięte tarczą. Wlepiął wzrok w ciemności, szukając ofiar i spodziewając się, że już uciekają w obliczu rzymskiego kontrataku.

Nagle na najbliższej wieży pojawił się pomarańczowy pióropusz migoczącego światła, który zdarł fasadę dyscypliny z legionów, i rzymski ryk gniewu przeobraził się w przerażający okrzyk bojowy, gdy żołnierze patrzyli, jak płomienie mkną po całej wysokości wieży. W ich świetle Septymus zobaczył, jak nie wiadomo skąd w odległości dwudziestu kroków nagle pojawiają się zwarte szeregi licznych wojowników z mieczami wyciągniętymi w stronę nadciągającego wroga. Wykrzyczał desperacki rozkaz, aby rzymski szyk się scalił; zaniepokoiła go widoczna dyscyplina i koordynacja w zastępach nieprzyjaciela, wyraźnie kontrastujące z nocnym atakiem w Panormos. Jego komenda padła jednak zbyt późno i Rzymianie natarli na formację Kartagińczyków jako grupa pojedynczych wojowników.

Rozgniewany i sfrustrowany Septymus wypchnął miecz przed siebie; czując panujący dookoła siebie chaos,

wciąż szalał z niepokoju. Oświetlona słabym światłem płomieni pożerających wieże oblężnicze bitwa przeobraziła się już w desperacką potyczkę, plątaninę szamoczących się ciał, w której mieczy i tarcz używano z jednakową siłą. Ludzie obracali się dookoła własnej osi, aby stanąć twarzą w twarz z wrogiem, który nagle pojawiał się z każdej strony, a szyki bojowe dwóch stron całkowicie się przemieszały.

Brzęk oręża rozbrzmiewał w półmroku, a napastnicy i obrońcy pokrzykiwali gniewnie. Greccy najemnicy wzmagali wrzawę, waląc mieczami o własne tarcze i wydając sprzeczne komendy, rozkazując natarcie, choć ich własne szyki stały w miejscu, co pogłębiało wrażenie chaosu. Dowódca najemników wycofał się z potyczki i wlepił wzrok w pożary, które z każdą chwilą mogły się wymknąć spod jakiegokolwiek kontroli.

Przeklinał gotowość Rzymian, ich nieludzko szybki wypad z obozu, dzięki któremu wdarli się między jego szeregi znacznie prędzej, niż się tego spodziewał. Każdy inny przeciwnik zachowałby się ostrożnie w ciemnościach, stawiając na przewagę liczebną, ale Rzymianie przypuścili kontratak w tempie najszybciej biegnącego człowieka z ich szyków; ta bezładna szarża nie mogła pokonać jego ludzi, ale mogła ich przetrzebić. Dowódca nie śmiał się wycofać zbyt wcześnie, ponieważ to dałoby Rzymianom możliwość ugaszenia pożarów, z drugiej strony jednak każda chwila niosła ryzyko, że coraz

liczniejsze zastępy wroga zyskają przewagę nad jego siłami i odetną im drogę odwrotu.

Nabrał tchu – haust powietrza rozgrzanego szalejącym pożarem wysuszył mu gardło – i sięgnął po róg zawieszony u swojego boku, po czym podniósł go powoli do ust, nie odrywając wzroku od ognia. Zamarł, czekając na odpowiednią chwilę. „Teraz” – postanowił i splunął, aby zwilżyć gardło, po czym dał sygnał do odwrotu, który w walce twarzą w twarz zazwyczaj był równoznaczny z samobójstwem, ale greccy najemnicy byli świetnie wyszkoleni i przygotowani na rozkaz, a dowódca liczył na to, że Rzymianie zignorują ich ucieczkę, aby popędzić na ratunek wieżom oblężniczym.

Rozległ się jednostajny ryk rogu. Napastnicy szybko wyplątali się z potyczki; wielu z nich wykonało ostatnią szarżę tylko po to, żeby potem w oświetlającym drogę blasku płonących wież odbiec w mrok. Septymus odruchowo krzyknął do swoich ludzi, żeby walczyli dalej, żeby wykorzystali ten moment największej słabości, gdy wróg był odwrócony do nich plecami. Jednak jego rozkaz zgubił się w ciemnościach i ogólnym zamieszaniu, a agresorzy umknęli z chaotycznej potyczki jak fala wycofująca się z kamienistej plaży, początkowo porywając ze sobą niektórych Rzymian, ale w ogólnym rozrachunku bez większych strat.

Na straszliwy widok ognia pożerającego wieże Septymus szybko zapomniał o odwrocie nieprzyjaciela.

Natychmiast schował miecz do pochwy i wrzasnął do zakrwawionych, zdyszanych legionistów, aby pobiegli po wodę, ale rozkaz ten był niepotrzebny: od strony obozu pojawiły się zwarte szeregi ludzi niosących wiadra i amfory wody. Zbliżyli się do szalejących płomieni tak blisko, jak śmieli, i wylali na nie skromną zawartość wszystkich naczyń.

Septymus cofnął się, czując na twarzy żar płomieni. Oparł się o tarczę i pozwolił pozostałym centurionom dowodzić ich manipułami podczas walki o ocalenie wież. Była beznadziejna, a Septymus żałował straty tylu dni ciężkiej pracy. Ziemia otaczająca wieże usiana była zabitymi, którzy walczyli w obronie pustych drewnianych trofeów.

Drugi manipuł wytrzebiono niemal w całości, poległy też tuziny legionistów, którzy rzucili się nieustraszenie w chaotyczny wir walki, gdzie wróg stawiał im czoło z determinacją i dyscypliną. Napastnicy spodziewali się kontrataku, walczyli zajadle i wycofali się dopiero wtedy, gdy wieże zajęły się ogniem, a ich dowódca dał im sygnał rogiem.

Septymus wyszukał wzrokiem zabitych przeciwników i okazało się, że stanowią jedynie ułamek całej liczby ofiar; ledwie było ich widać wśród odzianych w czerwone opończe żołnierzy. Kopnięciem odwrócił ciało jednego z nich i nawet w słabym świetle ognia zauważył, że jego strój i uzbrojenie wcale nie są podobne do kartagińskich. Poczł przyplłw niekontrolowanego

gniewu, kiedy zdał sobie sprawę, że napastnicy byli najemnikami, zabijakami do wynajęcia, lojalnymi tylko względem pieniędzy i łupów. Dla legionistów byli najgorszą hołotą, a poniesienie porażki z ich ręki stanowiło straszliwą potwarz, która tylko pogłębiała hańbę klęski.

Septymusa wyrwała z zamyślenia przepychanka, która wywiązała się niedaleko: grupa legionistów była schwytanego najemnika. Był on poważnie ranny, ale rozwścieczeni żołnierze okazywali mu niewiele miłosierdzia. Jeden z centurionów usiłował nad nimi zapanować – chciał utrzymać najemnika przy życiu w celu przesłuchania go. Ogarnięci żądzą mordu legioniści nie mieli zamiaru ustąpić, więc centurion wyciągnął miecz, aby narzucić im swoją wolę. Septymus przyglądał się apatycznie. Jakie znaczenie miały informacje, które mógł posiadać najemnik? Porażka była nieodwracalna. Ponownie odwrócił wzrok w stronę stosów, które niegdyś były wieżami oblężniczymi; ludzie nie próbowali już gasić płomieni, ale stali dookoła, dysząc ciężko, a ich osmalone twarze były powykrzywiane gniewem i frustracją.

Hamilkar miał wrażenie, że nawet z odległości czterystu kroków czuje żar bijący z tłących się stert drewna, choć wiedział, że tak naprawdę to ciepło pierwszych promieni słońca, które wspaniale oświetlały triumf, jakim zakończył się nocny wypad najemników.

Grecy dowiedli swojej wartości ponad wszelką wątpliwość, a Hamilkar żałował, że nie ma przy nim ojca, aby mógł zobaczyć owoce swojej decyzji.

Poza zniszczeniem wież oblężniczych atak miał jeszcze jeden ważny rezultat: uspokoił wątpliwość, która dręczyła Hamilkara od chwili przybycia wynajętych Greków. Od dawna wcielał najemników w swoje zastępy, ale jeszcze nigdy nie dopuścił do tego, aby mieli przewagę liczebną nad żołnierzami z jego ojczyzny. W Lilybeum była to konieczność wywołana przejęciem kartagińskiej armii przez Hannona oraz widmem zdrady, które wisiało nad Hamilkarem i całym garnizonem.

To, że Grecy dokonali udanego ataku na wieże i zgładzili tyłu Rzymian, położyło kres tej obawie.

Hamilkar nie wątpił, że Rzymianie znów zabiorą się do budowania, ale tym razem zrobią to wolniej, być może z powodu konieczności zachowania większej ostrożności lub strachu, że ich praca pójdzie na marne. Rzymianie byli niebywale uparci, nawet aroganccy, ale i oni musieli czuć niepewność po porażce.

Jakkolwiek miał zamiar postąpić przeciwnik, plan Hamilkara szybko zaczął się wypełniać. Zniszczenie wież oblężniczych dało mu trochę cennego czasu. Jak na razie Lilybeum nie groził atak od lądu, Hamilkar więc mógł się zająć drugą częścią konfliktu. W tym celu musiał opuścić obleżone miasto. Odwrócił się w stronę morza i tetrery czekającej na niego przy nabrzeżu.

Attyk niecierpliwie przeciął pokład rufowy *Orcusa*; miał podły humor po nieprzespanej nocy. Przybycie Rodyjczyka do Lilybeum było złym znakiem, subtelną, lecz decydującą zmianą w rozkładzie sił, która dawała Kartagińczykom przewagę. Łatwość, z jaką podpłynął i wyminął Rzymian, skompromitowała blokadę. Attyk wysłał jedną ze swoich galer na północny skraj zatoki, do prefekta Owidiusza, aby ostrzec go o pojawieniu się tetrery. Zaniepokoiły go też odgłosy potyczki dobiegające zza murów w środku nocy, które niosły się wyraźnie po spokojnych wodach zatoki. Był uwięziony na lagunie, więc nie mógł stwierdzić, co się dzieje, ale gdy hałas ucichł, pojawiła się pomarańczowa luna. Oczywiście było, że wieże oblężnicze stały się celem ataku; Attyk był myślami przy Septymusie i Dziewiątym legionie, a troska nie dała mu spać aż do świtu.

Podniósł dłoń, aby osłonić oczy przed blaskiem słońca, które wstawało za miastem, oświetlając wewnętrzny port. Zobaczył liczne jednostki pływające bezcelowo wzdłuż nabrzeża i inne, zakotwiczone na złagodzonych przez płycizny falach. W obliczu pojawienia się Rodyjczyka Attyk miał ochotę porzucić blokadę i natychmiast popłynąć z flotą północnym kanałem do wewnętrznego portu, aby wywołać konfrontację i zakończyć udrękę oczekiwania. Odrzucił jednak ten pomysł, wiedząc, że Kartagińczycy nie zaatakowali w zamkniętym porcie w Aspis z tych samych powodów, z których on nie mógł zrobić tego tutaj; w



Lilybeum istniało dodatkowe zagrożenie w postaci konieczności wysadzenia ludzi na nabrzeże kontrolowane przez wroga, tak że mieliby niezbyt pewną drogę odwrotu. Miasto musiałoby zostać zajęte od lądu przez legiony lub, gdyby to się nie udało, trzeba byłoby wziąć mieszkańców głodem, a ta taktyka zadziałałaby wyłącznie, gdyby zatoka była zablokowana, a miasto odcięte od dostaw.

Rodyjczyk, któremu udało się przebić przez blokadę, był niczym młot: mógł rozbić całe precyzyjnie skonstruowane oblężenie. Attyk odwrócił się nagle plecami do miasta i znów zaczął krążyć po pokładzie, wspominając myśli, które krążyły mu po głowie w nocy, o tym, jak mógłby schwytać Rodyjczyka, kiedy ten – jak należało się spodziewać – ponownie spróbuje przepłynąć przez blokadę. Żar dnia narastał, słońce prażyło na czystym, niebieskim niebie, a Attyk czuł, jak pot spływa mu po plecach, co tylko pogłębiło jego chmurny nastrój.

Hamilkar kiwnął głową, gdy otrzymał pozwolenie na wejście na pokład. Wszedł pospiesznie po trapie i zeskoczył na główny pokład, a za nim podążyło dwudziestu jego ludzi. Rozejrzał się za charakterystyczną ogoloną głową Rodyjczyka. Grek stał przy sterze i wyglądał na rozgniewanego. Hamilkar ruszył w jego stronę – jego ludzie rozproszyli się po pokładzie za nim – a Rodyjczyk wyszedł mu naprzeciw na głównym pokładzie.

– Umowa dotyczyła tylko ciebie, Hamilkarze –

powiedział. – Nikt nie wspominał o tych ludziach.

– Są tu, aby mnie chronić, Kalikście – odparł spokojnie Hamilkar. – Wcześniej pracowałeś z Rzymianami i chciałem być pewien, że nie będzie cię kusić, aby przekazać mnie w ręce oblegających. Zatem moi ludzie mają rozkaz zgładzić cię przy pierwszej oznace zamiaru zdrady.

Kalikst najeżył się, słysząc, jak obraża się jego honor, a Hamilkar wyczuł, że otaczający go greccy załoganci też reagują gniewem, ale nie odrywał wzroku od rozmówcy – Zdrady nie będzie, Hamilkarze – odpowiedział Kalikst, tłumiąc urazę. – Współpracowałem też w przeszłości z twoimi krajanami, a moja reputacja jest nieskazitelna.

– A jednak – stwierdził stanowczo Barkas – moi ludzie zostaną.

Kalikst patrzył na kartagińskiego dowódcę jeszcze przez chwilę.

– Niech będzie – powiedział. – Omówimy kwestię ceny za ich przepawę, kiedy przebijemy się poza blokadę.

– Zgoda – odparł Hamilkar z uśmiechem. Wiedział, że Kalikst ostatecznie się ugnie, skoro jeszcze mu nie zapłacono – ale to, że wycofał się tak szybko i przełknął zniewagę względem jego honoru, świadczyło, że jest zawodowcem. W wypadku wielu ludzi, których lojalność była na sprzedaż, mógł ją bez trudności odkupić ktoś, kto zaoferował wyższą cenę; jednak Hamilkar był już teraz pewien, że Rodyjczyk związany jest też słowem honoru i

swoją reputacją.

Kalikst rozkazał załodze rzucić cumy i krzyknął przez otwarty luk prowadzący na pokład wioślarzy, aby się przygotowali. Hamilkar zerknął w dół i z zaskoczeniem dostrzegł, że mężczyźni poruszają się swobodnie po pokładzie: słysząc rozkaz Kaliksta, wielu z nich pobiegło do wiosł.

– To wyzwoleńcy – powiedział jakby do siebie.

Kalikst się odwrócił.

– Najlepsza załoga wioślarzy na Morzu Śródziemnym – odparł z prostolinijną pewnością siebie i znów zaczął wykrzykiwać rozkazy pod adresem załogi. *Ares* oddalił się statecznie od nabrzeża.

Hamilkar przyglądał się wioślarzom przy pracy: każdy ich ruch był miarowy i spójny. Słyszał, że Grecy używają wyzwoleńców przy wiosłach, ale jeszcze nigdy nie spotkał się z taką załogą. W wypadku floty tak wielkiej jak kartagińska koszt posiadania wolnych ludzi jako wioślarzy byłby gigantyczny – nie wspominając nawet o trudnościach *związanych z zebraniem takiej siły – ale Hamilkar dostrzegł korzyści.*

Gdy padł rozkaz do osiągnięcia prędkości standardowej, *Ares* wyrwał się do przodu. Hamilkar już miał się odwrócić, kiedy zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze. Był tak przyzwyczajony do pewnego dźwięku, że dopiero teraz zauważył jego nieobecność: nie słychać było uderzeń w bęben. Właśnie gdy zastanawiał się, jak wioślarze trzymają rytm, zaczęli nagle śpiewać głęboką,

dźwięczną melodię w tym samym tempie co ich ruchy. Wypełniali zadanie z entuzjazmem wyszkolonych robotników, którzy szczycą się swoją pracą.

Dziób *Aresa* skręcił o dziewięćdziesiąt stopni, a Kalikst zażądał prędkości bojowej. Za wewnętrznymi płyciznami po lagunie pływały powoli dwa oddziały okrętów, a większość wciąż znajdowała się na obu krańcach północnego kanału. Gdy Hamilkar zbliżył się do steru, Kalikst ponownie wprowadził drobną zmianę do kursu *Aresa*, decydując się na szlak prowadzący między dwoma oddziałami, ale bliżej tego bardziej wysuniętego na południe, aby zminimalizować ryzyko pościgu.

Hamilkar spojrział na odległe o niecałą milę rzymskie statki i, jak przystało na żeglarza, postanowił zignorować kwestie taktyki i skoncentrować się na czekającej ich rozgrywce. Nie miał odwrotu: jego los był w rękach bogów oraz wprawnej załogi greckiego najemnika.

– Galera wroga, cztery rumby od dziobu, na sterburcie.

Attyk potrzebował ledwie mgnienia oka, aby dostrzec zbliżający się statek i domyślić się, jaki ma kurs oraz zamiary.

– Prędkość bojowa, ster prosto! – krzyknął, biegnąc do relingu na burcie. Nie było wątpliwości: to Rodyjczyk zmierzał prędkością bojową w stronę kanału wiodącego przez wewnętrzne płycizny, odległego o pół mili. Attyk obejrzał się na swój drugi oddział, bliższy północnemu

skrajowi zatoki. On też reagował, odwracając się, aby zacisnąć pętlę, ale Attyk momentalnie zauważył, że tamte statki są za daleko. Tylko jego grupa znajdowała się na pozycji, z której można było przechwycić Rodyjczyka.

– Gajuszu, jak to oceniasz? – rzucił przez ramię.

– Płynie prędkością bojową – odparł Gajusz, silną dłońią trzymając rumpel – i jeśli popłynie kanałem prowadzącym prosto przez mielizny, dotrze do laguny, zanim go schwytemy. Zalecałbym prędkość ofensywną i kurs na zewnętrzny skraj laguny.

Attyk pokiwał głową, nie odwracając się.

– Niech tak będzie – powiedział i *Orcus* przyspieszył.

Reszta grupy poszła jego śladem z niewielkim opóźnieniem i między nią a okrętem dowódcy utworzył się niewielki odstęp.

Gajusz skorygował kurs o dwa rumby na bakburkę, *Orcus* nachylił się przy zakręcie, a jego taran rozcinał wodę, tworząc łukowate falki znaczące przebytą drogę.

– Baro! – krzyknął Attyk. – Niech Druzus przygotuje legionistów. Czas, żeby zrobili użytek ze swoich nowych umiejętności.

Jego zastępca przytaknął z porozumiewawczym uśmiechem. Szkolił legionistów bezlitośnie przez ostatnie tygodnie i bardzo chciał, żeby spróbowali sił w bitwie. Odbiegł na pokład główny i zaczął rozmawiać z Druzusem, od czasu do czasu wskazując tetrerę widoczną na sterburcie.

Tetrera zbliżała się do wewnętrznych mielizn, wciąż

płynąc prędkością bojową, co było niewiarygodnym tempem, biorąc pod uwagę przeszkodę, którą miała wkrótce pokonać, ale ten zdecydowany kurs pozwolił Attykowi jeszcze raz obliczyć kąty natarcia. Gdy wyciągnął już wnioski, poczuł, że wzbiera w nim pewność siebie.

Hamilkar odruchowo nachylił się, gdy taran *Aresa* zbliżył się do mielizn; tetrera płynęła tak szybko, że włoski na przedramionach stawały mu dęba. Rodyjczyk wlepił wzrok w rzymski oddział po drugiej stronie laguny. Barkas obejrzał się przez ramię na Lilybeum, ciekaw, jakiego punktu orientacyjnego używa sternik, aby nakierować galereę na niewidoczny kanał. Był pod wrażeniem pewności siebie, jaką emanowali wszyscy na pokładzie, ale po chwili dostrzegł, że Kalikst marszczy czoło ze zdumieniem.

– O co chodzi? – zapytał.

– O Rzymian – odpowiedział powoli Kalikst. – Spodziewałem się, że skierują się prosto na nas, kiedy przepłyniemy wewnętrzne mielizny, a potem puszczą się w pogoń, ale oni udali się na drugi koniec laguny. To mądre posunięcie, korzystne dla nich...

Odwrócił się nagle i zaczął rozmawiać ze sternikiem, jakby Hamilkara w ogóle przy nich nie było, a obaj spojrzeli w stronę Rzymian. Greka była językiem kupców z całego basenu Morza Śródziemnego i Barkas znał ją dość dobrze, ale mówili szybko i używali dialektu, więc

nic nie rozumiał. Podjąwszy decyzję, kiwnęli głowami.

Hamilkar zauważył, że *Ares* niemal już przebył mielizny. Pod kryształowo czystą zieloną wodą widział cienie skał; niektóre rysowały się pod powierzchnią nie dalej niż dwadzieścia stóp od dziobu tetrery. Ich ostre, przypominające iglice wierzchołki potrafiłyby przedziurawić nawet najmocniejszy kadłub, a Hamilkar znów poczuł podziw na myśl o umiejętnościach i pewności Rodyjczyka, wiedząc, że każdy jego błąd skończyłby się katastrofą.

Pokład przechylił się nagle. Barkas odzyskał równowagę, gdy *Ares* przyspieszył do prędkości ofensywnej, a jego dziób skręcił o jeden rumb, przed rzymski oddział. Rodyjczyk najwyraźniej porzucił pierwotny kurs i teraz zmierzał w stronę bardziej oddalonego kanału, zmuszony do tego przytomną reakcją przeciwnika. Hamilkar poczuł cień wątpliwości, ale ją zlekceważył. Mimo niewielkiej zmiany planów Rodyjczyka wciąż mu ufał.

– Skręca! – krzyknął Korin. – Rodyjczyk skręca o dwa rumby na sterburtę. Przyspiesza do prędkości ofensywnej.

– Mnie się wydaje, że raczej trzy – powiedział Baro, ale Attyk i Gajusz milczeli, całkowicie skupieni na każdym ruchu tetrery.

– Sternik, rumb na sterburtę – nakazał Attyk. – Niech między naszą bakburtą a zewnętrznymi mieliznami będzie

sto kroków.

Gajusz kiwnął głową i dokonał korekty. Tetrera znajdowała się niemal prostopadle do ich sterburty na drugim końcu laguny, ale płynęła kursem zbieżnym: Rodyjczyk celował w stronę kanału wiodącego przez płycizny gdzieś przed *Orcusem*. Attyk chciał przechwycić tetrerę tuż przed jej celem, wiedział bowiem, że gdy Rodyjczyk znajdzie się na płyciznach, będzie za późno. Zanurzenie tetrery było o co najmniej cztery lub pięć stóp mniejsze niż kwinkweremy i Attyk wiedział, że w odwrotnej sytuacji on sam wybrałby kanał, który mogłaby przebyć tylko lżejsza jednostka.

– Powinniśmy nabrać prędkości do taranowania – powiedział Baro, ale Attyk go zignorował. Było zbyt wcześnie na tak desperackie posunięcie. Wioślarze byli w stanie utrzymać takie tempo tylko przez pięć minut, a biorąc pod uwagę, że Rodyjczyk może ponownie zmienić kurs, ta rezerwa sił mogła się okazać potrzebna. Obejrzał się na drugi oddział, który zbliżał się do swojej pozycji, ale nawet płynąc kursem zbieżnym, i tak nie zdołałby dopaść Rodyjczyka, zanim ten przepłynie lagunę. *Orcus* prowadził natarcie i tylko on mógł udaremnić plany wroga.

– Prędkość do taranowania – rozkazał Kalikst.

*Ares* przeobraził się w istotę, której patronował jej imiennik: galera pomknęła po gładkich wodach laguny, a dzięki niewielkiemu zanurzeniu kadłub prawie nie stawiał



oporu. Taran wyłaniał się z wody przy każdym ruchu wiosła.

Hamilkar słuchał pieśni wioślarzy: zmienili melodię, aby dopasować się do szybszego tempa, a słowa śpiewali na wydechu, przy każdym pociągnięciu wiosła. Rzymski oddział zbliżał się od bakburty – znajdował się może trzysta kroków od nich – a Hamilkar nie widział przed sobą jeszcze oznak typowych dla początków płycizn. Spojrzał na Rodyjczyka, wytrącony z równowagi jego spokojem. Według Hamilkara komenda do rozwinięcia prędkości do taranowania padła zbyt szybko i teraz zastanawiał się, czy Kaliksta nie zaślepiła wiara w siebie. Rzucił ostatnią kość i nakazał *Aresowi* jego największą prędkość. Rzymianie z pewnością zareagują tym samym i Hamilkar próbował przewidzieć rezultat, lecz doszedł tylko do wniosku, że rozkład sił jest zrównoważony. Korciło go, żeby zażądać od Rodyjczyka wyjaśnień, ale ugryzł się w język i utrzymał nerwy na wodzy.

– Nabrali prędkości do taranowania! – krzyknął Baro.  
– Mówiłem ci...

– Cisza! – warknął Attyk, zdumiony tym niespodziewanym posunięciem. – Gajuszu?

– To musi być pomyłka – stwierdził sternik. – Zbyt wcześnie odkrył karty.

Attyk kiwnął głową, ale bez względu na ten pozorny błąd musiał skontrolować ruch Rodyjczyka.

– Prędkość do taranowania! – krzyknął, a Baro niepotrzebnie pobiegł do luku na głównym pokładzie, aby

powtórzyć rozkaz; dobosz już zareagował na głos Attyka.

*Orcus* parł przed siebie z siłą dwustu siedemdziesięciu wioślarzy, dzięki którym jego prędkość do taranowania była nieco większa niż tetrery. Attyk zauważył, że Baro kiwa Druzusowi głową: było to ostatnie pozdrowienie między towarzyszami broni przed walką.

Attyk rozejrzał się na wszystkie strony. Wody przed nimi były puste, płycizny rysowały się od bakburty, jego oddział zajmował tyły, a galera wroga desperacko usiłowała wyprzedzić *Orcusa*. Jej niewielka przewaga zmniejszała się wraz z każdym ruchem wiosł kwinkweremy.

– To Grek – odezwał się jadowicie Hamilkar, gdy rozpoznał okręt dowódcy rzymskiego oddziału.

– Kto? – zapytał skonsternowany Kalikst.

– Perennis, grecki prefekt.

– Perennis – powtórzył powoli Kalikst i spojrzał na wiodącą galere z większym zainteresowaniem. Wyprzedziła jednostki płynące za nią niemal o swoją długość, co świadczyło o lepiej wyszkolonej załodze. Słyszał już wcześniej o Perennisie i zapamiętał jego nazwisko: to, że Grek zrobił karierę w rzymskiej flocie, samo w sobie potwierdzało jego umiejętności. Kiwnął głową, czując lekki żal, że wkrótce pokona własnego krajana.

Hamilkar nie odrywał wzroku od rzymskiej galery,

odległej o niecałe dwieście kroków i celującej w punkt przed zbliżającymi się do siebie jednostkami, i z przerażeniem, od którego zrobiło mu się niedobrze, zdał sobie sprawę, że rzymska galera dotrze na miejsce pierwsza i zablokuje *Aresowi* drogę na mielizny. Nie było ucieczki. Nawet jeśli skręca wcześniej, natkną się na cały rzymski oddział. Nie było alternatywy poza odwrotem; nawet wtedy jednak szanse mieli niewielkie, ponieważ wioślarze nie byli w stanie utrzymać prędkości do taranowania w czasie koniecznym do ponownego przebycia laguny na wewnętrzne płycizny. Rodyjczyk źle ocenił sytuację i Hamilkar odwrócił się do niego z morderczym wyrazem twarzy.

– Nie uda nam się – powiedział gniewnie. – Zbyt wcześnie nakazałeś im prędkość do taranowania.

Kalikst nie odpowiedział, ale podniósł rękę, aby uciszyć Hamilkara, mówiąc coś szybko do sternika, po czym obaj zerknęli za siebie, na jakiś odległy punkt na lądzie. Kalikst pokiwał głową, a potem odwrócił się do Barkasa.

– Wybacz mi, Hamilkarze, ale musimy dokładnie wymierzyć kurs, jakim zbliżymy się do kanału – wyjaśnił spokojnie.

– Nie dotrzemy tam. Perennis odetnie nam drogę. Musimy się wycofać.

– Jeszcze im uciekniemy – odparł Kalikst, po czym wykrzyczał rozkaz, aby wioślarze się przygotowali.

– Już płyniemy prędkością do taranowania, a

kwinkwerema Perennisa jest szybsza – wytknął rozdrażniony Hamilkar.

– Jego wioślarze są niewolnikami – odpowiedział Rodyjczyk, nie spuszczając wzroku z rzymskiej galery. – Tak samo jak twoi, Hamilkarze. Dlatego myślisz jak właściciel niewolników. Oni reagują tylko na rytm bębna... nieważne, jak dobrze są wyszkoleni, ograniczają ich jego uderzenia. Prędkość do taranowania jest tylko granicą dla dobosza. Gdyby walił w bęben szybciej, uderzenia zaczęłyby się nakładać, a wioślarze nie mogliby się zgrać. Ale moja załoga to wyzwoleńcy. Nie wyszkolono ich do rytmu bębna, a koordynacja jest dla nich niemal instynktowna. Ogranicza ich jedynie siła, a wiem, że nie sięgnęli jeszcze jej progu. – Spojrzał na Hamilkara. – Teraz ty i Perennis zobaczycie prawdziwą prędkość galery – powiedział i rozkazał wioślarzom przyspieszyć.

Hamilkar przyglądał się oniemiały, jak *Ares* osiąga niewiarygodną prędkość szesnastu węzłów.

– Na bogów, oni przyspieszają – wyszeptał Gajusz, a Attyk podbiegł do relingu, aby potwierdzić to, w co nie mógł uwierzyć. Odstęp między statkami wciąż się zmniejszał, ponieważ ich kursy się zbiegały, ale teraz tetrera płynęła szybciej niż *Orcus*. Attyk zaczął się gorączkowo zastanawiać nad jakimś sposobem na powstrzymanie Rodyjczyka, biorąc pod uwagę wszelkie możliwe korekty kursu i jednocześnie je odrzucając.

Tylko prędkość zadecyduje o wyniku tego starcia, a Rodyjczyk jakoś obrócił sytuację na swoją korzyść.

Tetrera minęła dziób *Orcusa* w odległości równej długości statku, a Gajusz wprowadził okręt w jej kilwater, wiedząc, że nie może zrobić wiele więcej. Attyk wlepił wzrok w pokład rufowy statku wroga. Wśród załogi złożonej z najemników znajdowali się Kartagińczycy, których twarzy nie dało się rozróżnić z tej odległości, a Attyk poczuł nieopanowaną frustrację.

– Będzie musiał zwolnić, kiedy wpłynie do kanału – powiedział Baro. – Wciąż mamy szansę. – Krzyknął do Druzusa, żeby był gotów.

– To już koniec – odparł Attyk. – Nie możemy wpłynąć do kanału. Jest dla nas zbyt płytki.

– Nie wiesz tego na pewno – wyklócał się gniewnie Baro. – Musimy ich zatrzymać.

– Rodyjczyk wiedział, że będziemy go gonić – odparł Attyk. – Na pewno wybrał kanał, który tylko on może przebyć.

Baro spojrzał na Gajusza, ale sternik milczał, bez słowa zgadzając się z Attykiem.

– Skąd wiesz? – zapytał Baro, ponownie odwracając się do Attyka. – Bo jest Grekiem, jak ty? O to chodzi? Wszyscy podobnie myślicie?

Attyk wlepił morderczy wzrok w zastępcę, aż ten cofnął się odruchowo.

– To już koniec, Baro – warknął. – A teraz wynoś się z rufy.

Baro wyprostował się i odmaszerował. Attyk odwrócił się do Gajusza, który kiwnął głową i wydał rozkaz „cała stop”, a *Orcus* zatrzymał się stopniowo, podczas gdy tetrera dotarła do zewnętrznej granicy płycizn, gdzie też zwolniła, aby przepłynąć kanał. Galery za *Orcusem* zareagowały na wydany z niego rozkaz i rozproszyły się, aby dać sobie miejsce na bezpieczne zatrzymanie się. Wszystkim pozwolono patrzeć, jak Rodyjczyk przepłynął zewnętrzne mielizny, po czym tetrera bezkarnie podniosła żagiel, aby oddalić się na zachód.

Gajusz poprosił o dalsze rozkazy, gotów ruszyć w drogę, ale Attyk go nie dosłyszał, całym sobą skoncentrowany na uciekającej galerze. Przypomniawszy sobie wszystkie szczegóły pościgu, każdy manewr tetrery, i mimo gniewu wyrył je sobie w pamięci. Postanowił, że dzięki nim znajdzie sposób na załatwienie luki w blokadzie, której istnienie ujawnił Rodyjczyk, i stworzy nowy szlak obronny, którego nie da się tak łatwo przełamać.

Scypion przyglądał się z lekkim uśmiechem, gdy legionieści okładali kupca płazami mieczy. Po każdym ciosie podrywali klingi, wykręcając lekko nadgarstki, tak że ostrza rozcinały ubrania kupca i jego skórę, tworząc płytkie rany, które zostawią blizny na pamiątkę jego przestępstwa. Mężczyzna biegł zgięty niemal wpół poprzez szydzący tłum, który ignorował jego błagania o litość, a legionieści gonili go aż do głównej bramy,

zatrzymując się na jej progu tylko po to, żeby spluwać i rzucać klątwy za uciekającym kupcem, niepotrzebnie wykrzykując pod jego adresem pogróżki, żeby nie ważył się wracać.

W napiętej atmosferze obozu legionistów zbrodnia kupca była oczywista: pochodził z Grecji. Był markietanem, jednym z ponad setki handlarzy, którzy ściągęli do obozów, oferując wszelkiego rodzaju towary, począwszy od zapasowego oręża do win oraz egzotycznego jedzenia, a także schadzek z miejscowymi kobietami. Dla niektórych był to zawód na pełny etat: przybyli oni z Rzymu pieszo, zwabieni tym, co można było zarobić w czasie sezonu bitewnego. Grek podążał za legionami na Sycylii od lat i był świetnie znany wśród oboźnych. Jak i pozostałych markietanów tolerowano go – jak podejrzewał Scypion, nawet lubiono – ale wszystko to zmieniło się, gdy wyszło na jaw, że niespodziewanego ataku na wieże oblężnicze dokonali greccy najemnicy Nienawiści do Kartagińczyków legioniści nabrali z powodu trudów kampanii i utraty towarzyszy w poprzednich bitwach, ale to, że Grecy odpowiadają za zniszczenie wież, wydawało się równoznaczne ze zdradą: były greckie terytoria wchodziły w skład republiki i zawsze były traktowane wspaniałomyślnie.

Dla Scypiona stanowiło to potwierdzenie opinii, jaką zawsze żywił na temat zdradliwej natury ludzi niebędących obywatelami rzymskimi: sądził, że ich brak lojalności jest po prostu oznaką wrodzonej niższości.

Patrząc na mężczyznę wyganianego ciosami mieczy z obozu, Scypion wyobrażał sobie, że gdyby Rzymianie, którzy tolerowali Perennisa przez lata, w końcu zdali sobie sprawę z prawdziwej natury tego przebywającego wśród nich obcego, byłby on na miejscu kupca, opluty i wypędzony na zawsze. Jak na razie grecki prefekt wciąż pełnił swoją funkcję, ale Scypionowi coraz trudniej było trzymać się pierwotnego planu; wysiłkiem woli powstrzymywał chęć wezwania Perennisa do obozu pod jakimś pretekstem i wystawienia go na działanie wściekłości legionistów. Uspokoił się i po raz kolejny uznał, że czas jest po jego stronie i że ostatecznie postąpi z Grekiem równie bezwzględnie jak legioniści z jego krajanem.

Scypiona rozproszyło pojawienie się *contubernium* żołnierzy prowadzonego przez centuriona. Zmrużył oczy z zaciekawieniem na widok długiej drewnianej skrzyni, którą nieśli na ramionach. Centurion stanął przed Scypionem i zasalutował. Wyraz twarzy miał bojaźliwy, a czoło zroszone potem.

– Proszę o pozwolenie na raport, konsulu – zaczął z wahaniem. – Znaleźliśmy tę skrzynię dziś rano w obozie. Na pewno zostawiono ją tu w czasie natarcia.

– Co to? – zapytał niecierpliwie Scypion.

– To... – centurion zająknął się i spojrzał na skrzynię. Nie był w stanie odpowiedzieć.

– Postawcie ją – rozkazał z irytacją konsul.

Żołnierze szybko wypełnili komendę i się cofnęli.



Skrzynia była już wcześniej otwierana – Scypion uznał, że zapewne przez centuriona – ale wieko przytwierdzono na nowo. Scypion usłyszał, że ze środka dobiega słabe bzyczenie, i zmarszczył czoło skonsternowany.

– Otwórz ją – rozkazał, a centurion podszedł bliżej, dobywając miecza. Przykucnął, wsunął klingę pod wieko i odwrócił twarz, a potem nagle przekręcił oręż i podniósł go jednym ruchem ramienia.

Pokrywa spadła, a ze skrzyni wzbiła się chmara much. Scypion odchylił się, dopóki się nie rozproszyły. Pomachał gniewnie ręką przed twarzą i zajrzał do środka. Żołądek podszedł mu do gardła, a całe jego trzewia przebiegł straszliwy skurcz; Scypion odwrócił na chwilę oczy, po czym znów obrzucił wzrokiem gnijące zwłoki leżące w skrzyni. Regulus patrzył na niego pustymi oczodołami: oczy już dawno pożarły gnieźdzące się w nich muchy, których rój zaczął ponownie osiadać na jego ciele.

Scypion opuścił wzrok na miazgę, która została po klatce piersiowej Regulusa, nie pojmując, co mogło zadać tak straszliwą ranę. Tak jakby... Scypion nagle uświadomił sobie, na co patrzy: przy dolnej krawędzi rany wyraźnie rysował się kształt stopy słonia. Zwalczył opanowujące go nudności.

– Przykryć go – rozkazał ostro centurionowi i odszedł w stronę swojego namiotu. Chciał być sam.

Znalazłszy się w środku, podszedł chwiejnie do misy i ochlapał wodą twarz, zaciskając powieki. Widok

Regulusa przemknął mu pod nimi i Scypion ponownie otworzył szeroko oczy, a do jego mdłości nagle dołączył pierwotny strach przed karą. Regulus był jego wrogiem i Scypion chciał go zniszczyć, ale straszliwy los, jaki spotkał prokonsula, wstrząsnął nim. Wysłał Regulusa na taką śmierć i ponownie zobaczył oczami duszy jego puste spojrzenie.

Scypion odpędził od siebie tę wizję, nagle zły na własną słabość i skruchę z powodu Regulusa. Prokonsul sam ściągnął na siebie ten los idiotyczną próbą wynegocjowania rozejmu, a barbarzyńskiej egzekucji dokonali Kartagińczycy, a nie Scypion. A jednak miał nieco poczucia winy. Nalał sobie do kielicha wina z amfory i wychylił spory haust, aby ostry smak zmył resztę mdłości z jego gardła.

Zwrot ciała Regulusa bez wątpienia miał być osobistym ostrzeżeniem pod adresem rzymskiego dowódcy o losie, który go czeka, ale Scypion poczuł, że stał się po nim jeszcze tylko bardziej nieczuły. Kartagińczycy pozbyli się jego wroga i za jakkolwiek bezlitosną uważali swoją metodę egzekucji, Scypion widział, jak podczas grabieży Panormos legionieści posuwają się do nie mniejszej brutalności. Jeśli Kartagińczycy sądzili, że Rzym nie ma odwagi toczyć tej wojny, srodze się mylili. Scypion miał zamiar uświadomić im tę pomyłkę. Ponownie przejdzie do ofensywy i zmaże ze swojego sumienia plamę, jaką była śmierć Regulusa, mszcząc się straszliwie na kartagińskim nieprzyjacielu.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Hamilkar przesunął wzrokiem po całym Drepanum oraz porcie, gdy *Ares* opłynął małe wyspy na skraju zatoki. Stacjonowała tam w zwartych szeregach flota z Gadiru; statki były zacumowane od ruf, dziobami skierowane na zewnątrz, gotowe w każdej chwili oddać cumy. Bryza od lądu przyniosła ostrzegawcze okrzyki, po czym z wewnętrznego portu wyłoniły się dwie kwinkweremy i wykonały jednoczesny zwawy zwrot, aby przechwycić nietypową jednostkę, która bezczelnie wpłynęła prosto w szpony floty.

Hamilkar uśmiechnął się, a gdy okręty się zbliżyły, przeszedł na pokład dziobowy, aby się przedstawić. Czujność dowódców floty zrobiła na nim wrażenie, ale go nie zaskoczyła. Gadir leżał na samym skraju imperium, a stacjonująca tam flota, niezależna i prężna, była jedną z najlepszych: poza zasięgiem względnego bezpieczeństwa dawanego przez Kartaginę, a zimą często od niej odcięta na całe miesiące. Załogi słynęły z surowej dyscypliny, a flotę cechowała zwinność i czas reakcji właściwy o połowę mniejszej sile.

*Ares* minął straż i wpłynął w długie ujście portu, a Hamilkar wrócił na pokład rufowy, chcąc wydać Kalikstowi rozkaz, aby wyminął flotę i przycumował pod murami miasta.

– Imponująca flota, Hamilkarze – powiedział Kalikst,

gdy *Ares* sunął powoli wzdłuż zwartych szeregów.

– Niewiele jest lepszych – odparł Hamilkar z tą samą nieostentacyjną pewnością siebie, którą wykazywał Kalikst, gdy mówił o swojej załodze.

Greki kiwnął głową, pojmując, jak dumny Kartagińczyk jest z ludzi, którymi dowodzi. Rzeczywiście byli rasą utalentowanych żeglarzy – świadczyło o tym ich rozległe imperium – ale Kalikst sądził, że nie mogą przypisywać sobie tytułu najlepszych marynarzy: ten od dawien dawna przysługiwał wyłącznie Grekom, a każde pokolenie uzasadniało ów fakt.

– Masz rację, Hamilkarze – powiedział Kalikst, z dumą rozglądając się po własnej załodze. – Ci nieliczni są tutaj.

Hamilkar uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Musisz tego dalej dowodzić, Kalikście – powiedział. – Potrzebuję otwartego kanału komunikacji z obleżonym garnizonem. Musisz natychmiast wracać do Lilybeum.

Kalikst kiwnął głową. Spodziewał się tego, biorąc pod uwagę, że tylko on był w stanie się przebić przez blokadę.

– Najpierw zapłać mi za przeprawę twoją i twoich ludzi, a potem wynegocjujemy sumę za przepłynięcie przez blokadę z meldunkami – powiedział.

– Zapłacę ci tyle, na ile się umówiliśmy – odparł Hamilkar – i tyle samo za każdym razem, gdy wrócisz tu z Lilybeum.

W oczach Kaliksta załśniła chciwość. Było to więcej, niż się spodziewał, a Hamilkar zaoferował tę sumę bez wahania. Mógł być z tego ogromny zysk, a ponieważ już przechytrzył Rzymian – nawet słynnego greckiego prefekta – zadanie nie było trudne.

Hamilkar dostrzegł pewność siebie na twarzy Kaliksta i poczuł, że jego wątpliwości nieco słabną. Wysyłanie Rodyjczyka z powrotem do Lilybeum było ryzykowne, ponieważ gdyby został złapany, z pewnością wyjawiłby liczebność i lokalizację kartagińskiej floty. Hamilkar wiedział jednak, że musi utrzymać kontakt z garnizonem, choć tylko do momentu, kiedy przygotuje flotę z Gadiru do walki.

Dalsze korzystanie z usług Rodyjczyka załatwiało też jeszcze jeden potencjalny problem. Gdyby Hamilkar zakończył z nim współpracę, Kalikst mógłby sprzedać swoją wiedzę Rzymianom. Alternatywą było przechwycenie jego okrętu, ale biorąc pod uwagę to, w jak znacznym stopniu Hamilkar polegał na najemnikach, tak jawne prześladowanie jednego z nich z pewnością skłoniłoby pozostałych do zakwestionowania jego lojalności względem wiążących ich umów.

– A zatem postanowione – rzekł Hamilkar w odpowiedzi na milczenie Kaliksta. – Kiedy dotrzesz do Lilybeum, staw się przed dowódcą garnizonu.

Greki kiwnął głową. Kiedy opuszczono trap na nabrzeże, Hamilkar wezwał gestem swoich ludzi, aby zeszli wraz z nim.

Kalikst podążył za nim z własną grupą, chcąc jak najszybciej otrzymać należne pieniądze i opuścić wąskie gardło portu. Czuł się osaczony – jako człowiek przyzwyczajony do otwartego morza nie znał tego wrażenia – i rozglądał się ukradkiem, pocieszając się myślą, że wkrótce znów będzie w drodze, skieruje statek na południowy zachód i Wyspy Egadzkie, aby tam poczekać na sprzyjający wiatr, który ponownie zanieśie go na drugą stronę blokady w Lilybeum.

Trirema zbliżała się powoli do *Orcusa*, a jej znajoma linia wywołała uśmiech na twarzy przyglądającego się z zainteresowaniem Attyka. Zerknął na Gajusza i na zazwyczaj surowej twarzy sternika zobaczył tę samą satysfakcję. Była to *Virtus*, niemal dokładna kopia *Aquili*, i obaj mężczyźni, nie bacząc na różnice między nimi, ujrzeli galerę, na której niegdyś z dumą pływali.

*Virtus* zatrzymała się równolegle do *Orcusa* i Attyk zeskokczył na jej niższy główny pokład, a za nim podążył Gajusz i dziesięciu ludzi. Attyk obejrzał się przez ramię i skinął krótko głową Baronowi stojącemu na rufie *Orcusa*, sygnalizując początek jego nominalnego dowodzenia kwinkweremą, która odsunęła się zwawo od mniejszej jednostki. Gajusz natychmiast podszedł do steru, a Attyk przez chwilę rozglądał się po statku i jego zebranej załodze.

Była to doborowa obsada, najlepsi ludzie z każdego okrętu jego oddziału, ogółem dziewięćdziesięciu. Grupa ta

była trzykrotnie większa niż zwykły skład żeglarski triremy, ale na pokładzie *Virtus* nie było legionistów, ponieważ każdy z marynarzy był zaprawiony w dokonywaniu abordażu. Biorąc pod uwagę, że planowali zaatakować większą galere, była to zaleta o kluczowym znaczeniu.

Attyk znał wielu z nich z imienia, a innych polecili ich kapitanowie. Byli to zaufani ludzie, którzy wiedzieli, jak wysoka jest stawka, i którzy dadzą z siebie wszystko, żeby wypełnić zadanie. Przywołał do siebie kapitana *Virtus* i rozkazał mu wyznaczyć wachty, a sam poszedł niżej, na pokład wioślarzy.

Panował tam zbyt wielki ścisk. Ludzie kucali bez słowa w przejściu prowadzącym przez całą długość pokładu, a inni tłoczyli się w kabinach triremy. Było to kłopotliwe, ale Attykowi udało się zwiększyć grupę zapasowych wioślarzy z czterdziestu do stu; ich dodatkowy ciężar zwiększył zanurzenie triremy o stopę, ale wciąż było ono mniejsze niż u tetrery. I ci ludzie zostali starannie wybrani z całego oddziału, ponieważ byli wytrawnymi wioślarzami, którzy przeżyli wiele bitew i dowiedli swojej odwagi. Z konieczności nie skuto ich kajdanami, żeby mogli często i płynnie się wymieniać, więc – chcąc zagwarantować sobie, że zostaną przy wiosłach – Attyk obiecał im wolność, jeśli natarcie się uda. Stratę tę miał zamiar uzupełnić dzięki przyzowi.

Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, Attyk kiwnął głową i wrócił na pokład. Nie miał pojęcia, co lub

kogo Rodyjczyk wwozi i wywozi z Lilybeum, ale był przekonany, że jeszcze wróci, ponieważ bez jego talentów oblężenie było szczelne, a miasto – odcięte od dostaw i komunikacji. Attyk ponownie przemyślał swój plan, usiłując przewidzieć każdy możliwy wariant wydarzeń. Najbardziej polegał na umiejętnościach zebranej przez siebie załogi.

Doszedł do wniosku, że poprzednim razem poniósł porażkę, ponieważ ślepo trzymał się konwenansów, zapominając o tym, czego wraz z załogą nauczył się przez lata toczenia potyczek z pojedynczymi okrętami pirackimi. Manewrował jak dowódca floty, nie kapitan statku, a Rodyjczyk wykorzystał tę przewidywalność.

Attyk zapomniał o sile, jaką dysponował jeden okręt, jedna załoga, i zamiast tego uwierzył w potęgę liczebności. W rezultacie zlekceważył pierwszą ucieczkę Greka jako łut szczęścia ułatwiony efektem zaskoczenia, i był pewien, że ponieważ mają tak wielką przewagę, z łatwością go złapią, jeśli tylko zachowają czujność. Ale Rodyjczyk umknął mu po raz drugi.

Teraz Attyk dowodził możliwie najbardziej zbliżoną jednostką i choć nie znał dokładnego położenia kanałów, dzięki którym Rodyjczyk uciekł, mniej więcej je namierzył. Rozmieścił pozostałe okręty ze swojego oddziału tak, aby skusić Rodyjczyka do użycia tych samych lub pobliskich kanałów podczas kolejnej próby przebicia się przez blokadę.

Baro zapytał wcześniej, czy Attyk sądzi, że zna



zamiary Rodyczyka z powodu swojego pochodzenia. Attyk zdał sobie jednak sprawę, że to dlatego, iż kiedyś był taki sam: polegał wyłącznie na jednym statku i jego załodze, umiejętnie wyszukiwał i wykorzystywał słabe punkty przeciwnika, toczył każdą potyczkę z wybranej przez siebie, silnej pozycji i jeszcze przed bitwą zwiększał swoje szanse, aby zapewnić sobie zwycięstwo. Miał zwyczaj samotnego wilka, który odrzucił ochronę, ale i ograniczenia polowania z watahą, aby stać się skuteczniejszym zabójcą. Na *Virtus* Attyk wrócił do starych zwyczajów i patrząc na zachód, czuł, że jego ofiara jest blisko.

Kalikst podniósł rękę, gdy odległe kontury Lilybeum zarysowały się wyraźniej, a sternik natychmiast wykrzyczał rozkaz, aby zluzować olinowanie ruchome. Grotzgiel utracił kształt, jego rogi zaczęły łopotać na zachodnim wietrze wiejącym znad rufy od sterburty, a *Ares* zwolnił. Sternikowi z ledwością udawało się utrzymać jego dziób prosto na falach. Kalikst podszedł do relingu, obrzucając wzrokiem całą zatokę i zmiany w pozycji rzymskiej blokady.

*Ares* przez trzy dni czekał na sprzyjający wiatr u wybrzeży Wysp Egadzkich i postawił żagle dopiero kilka godzin wcześniej. Tak jak wcześniej, podpłynęli pod żaglami, oszczędzając siły wioślarzy; Kalikst właśnie miał rozkazać, aby je opuszczono, gdy zauważył zmianę w rozmieszczeniu rzymskiej formacji. Galery wroga

ustawione były teraz w szeregu blokującym całą szerokość laguny: ta zmiana taktyki miała uniemożliwić dostęp do ukrytych kanałów. Kalikst uznał, że to chybiona strategia, ponieważ kanałów nie było aż tak wiele, a bariera stworzona przez Rzymian była teraz zbyt cienka, aby dawać jakąkolwiek ochronę. Nawet pośrodku, gdzie znajdowały się kanały, których Kalikst użył podczas poprzedniej ucieczki, szlak nie był ani trochę silniejszy: unoszące się na spokojnych wodach laguny rzymskie galery były oddalone od siebie o co najmniej czterysta kroków.

Ponownie podszedł do steru, wiedząc, że jeśli on widzi Rzymian, oni mogą dostrzec *Aresa* i pospiesznie zebrać się na jego kursie. Wykrzyczał rozkaz „cała naprzód” i grotzagiel znów się napiął; wiatr wykonał lwią część pracy, a wiosłarze poruszali wiosłami z prędkością bojową. Kalikst rozkazał sternikowi skierować się w stronę tego samego zewnętrznego kanału co wcześniej – był to jeden z zaledwie trzech, które miał do dyspozycji, i jedyny pośrodku – po czym wlepił wzrok w rzymskie galery widoczne dokładnie naprzeciwko. Był pewien, że z łatwością uda mu się przebić przez tak cienką zasłonę. Kanał miał ostre zakręty, więc można go było bezpiecznie przepłynąć tylko na wiosłach, ale po znalezieniu się na lagunie Kalikst mógł wybrać jeden z trzech kanałów prowadzących przez wewnętrzne płycizny, zbyt płytkich dla kwinkweremy. Z punktu widzenia Rodyjczyka pionki się przesunęły, ale gra, a także jej nieunikniony rezultat,

pozostały takie same.

– Zbliża się galera.

– Rozpoznać! – krzyknął z ożywieniem Attyk.

– To on, prefekcie – odparł z masztu *Virtus* Korin. – Płynie po kursie prowadzącym o dwa rumby od naszej sterburty, między nami a *Copia*.

To na pewno ten sam kanał co poprzednio, pomyślał z uśmiechem Attyk, ale na głos zaklął, ponieważ nie widział nadciągającego statku zza kadłuba *Orcusa*. Spojrzał na Gajusza.

– Naśladuj wszystkie jego ruchy – powiedział.

Sternik kiwnął głową, utrzymując *Virtus* na pozycji za *Orcusem*, aby nie było go widać z otwartego morza.

Baro wykrzyczał z rufy *Orcusa* rozkaz do prędkości bojowej i kwinkwerema ruszyła. *Virtus* płynęła w jej cieniu, a Gajusz przesuwiał rumpel łagodnymi, zręcznymi dotknięciami, ufając, że Baro utrzyma stały kierunek.

Attyk spojrział na pozostałe okręty w blokadzie: najbliższe już reagowały na to, że Rodyjczyk się zbliżał, zbierając się przy skraju zewnętrznych płycizn, gdzie, jak można było się spodziewać, wyłoni się tetrera. Attyk ponownie przeklął swój punkt widzenia i wiedziony impulsem podbiegł do masztu, aby wspiąć się na szczyt, mocno ściskając szorstkie liny, i wciągnął się na reję grotzagła. Korin uśmiechnął się do niego i przesunął, pozwalając mu stanąć prosto oraz złapać równowagę.

Na szczycie łagodne kołysanie pokładu było

zwielokrotnione i Attyk nagle zdał sobie sprawę, że nie był u góry od lat. Chwycił się masztu mocniej, a jego ruchy były przesadzone w porównaniu z niemal instynktownym poczuciem równowagi Korina. Uspokoił jednak oddech i spojrział poza pokład płynącej przy *Virtus kwinkweremy* na horyzont.

Rodyjczyk zbliżał się tak samo jak wcześniej, pod żaglami i na wiosłach, ale Attyk wiedział, że płynąc przez kanał, będzie musiał zwolnić. Mimo to zbliżające się rzymskie galery nadal nie będą na odpowiedniej pozycji, aby go zatrzymać, gdy dostanie się na lagunę, i Attyk znów poczuł wbrew sobie podziw dla tego, jak świetnie Rodyjczyk robi użytek z żywiołów. Wciąż mocno ścisnął maszt, tyle że teraz była to oznaka jego determinacji, i kiedy najemnik zwinął żagiel, aby rozpocząć natarcie na blokadę, Attyk krzyknął w dół rozkaz, aby załoga zajęła stanowiska bojowe.

Kalikst oglądał się na wszystkie strony, obserwując cztery nadciągające rzymskie kwinkweremy. Tak jak podejrzewał, opuściły swoje pozycje w blokadzie, aby zbliżyć się do *Aresa*, ale ponieważ przebył on już połowę drogi przez zewnętrzne mielizny, dotarłby do laguny, zanim zdążyłyby zablokować kanał.

*Ares* zwinnie pokonał jeden z ostrych zakrętów kanału i Kalikst wydał rozkaz do prędkości ofensywnej, po czym szybko skinął głową sternikowi, bez słowa chwając go za idealne podejście do wirazu. Tetrera sunęła szybko po powierzchni fal, a załoganci pracowali w ciszy,

sprawnie, przygotowując okręt do przemknięcia przez lagunę i uwiązując grotzagiel, ponieważ wielka płachta płótna była zbyt łatwym celem dla płonącej strzały. Pod pokładem wioślarze wykrzykiwali do siebie nawzajem słowa zachęty, na moment przerywając śpiew.

Gdy *Ares* wystrzelił z kanału z prędkością dwunastu węzłów, Kalikst stał twardo przy sterniku, patrząc to na zbliżające się rzymskie galery, to na pozornie przypadkowe punkty położone na wewnętrznych mieliznach, milę przed nim. Sternik rozpoczął serię uników, aby Rzymianie nie poczuli się zbyt pewnie, ale zanim przepłynęli dwieście kroków, Kalikst zdążył podjąć decyzję.

– Środkowy kanał – rozkazał, a sternik potwierdził kurs, przesuwając rumpel o pół rumba i już szukając punktów orientacyjnych, które pozwoliłyby mu dokonać ostatnich korekt.

Kalikst patrzył, jak rzymskie galery skręcają, zdając sobie sprawę, że nie uda im się odciąć mu drogi. Ich dzioby powoli wykonały zwrot, tak że ich kursy zbiegały się jakieś pół mili przed *Aresem*. Najbliższa galera znajdowała się niecałe sto pięćdziesiąt kroków od jego dziobu, od sterburty, i Kalikst rozpoznał w niej kwinkweremę wskazaną przez Hamilkara: jednostkę greckiego prefekta. W kąciku jego ust pojawiły się zaczątki uśmiechu – cieszył się na pościg – ale szybko zniknęły, gdy zauważył pewną anomalię: smukły

dotatkowy maszt, jak dotąd ukryty dzięki odległości i umiejętnościom żeglarskim niewidocznego przeciwnika. Właśnie miał wykrzyknąć ostrzeżenie pod adresem swojej załogi, kiedy rzymska galera wypadła z ukrycia. Była to trirema, niewielki statek o pięknej linii; zwinnie wystrzelił z cienia kwinkweremy.

Kalikst stracił kilka cennych chwil, gapiąc się na triremę, całkowicie wytrącony z równowagi jej nagłym przybyciem. Była mniejsza i wolniejsza niż *Ares*, i właściwie nie powinna stanowić zagrożenia, ale Rzymianie najwyraźniej obmyślili jakiś plan, który opierał się na jej obecności. Sternik zażądał dalszych rozkazów pełnym przerażenia głosem.

- Dwa rumby na bakburtę – zakomenderował Kalikst.
- Utrzymaj nas poza zasięgiem tej triremy.

Sternik kiwnął głową i *Ares* przechylił się, skręcając. Kalikst znów spojrzał na rzymskie okręty, czując, że jego pewność siebie słabnie. Spróbował pojąć zamiary Rzymian, gdy nagle coś sobie uświadomił. Trirema chowała się za kwinkweremą prefekta. To Perennis był twórcą planu; Kalikst zaczął podejrzewać, że dowodzi też triremą.

Odruchowo zacisnął pięści – ta świadomość dodała mu determinacji. Jego umowa z Kartagińczykami oznaczała, że Rzymianie są wrogiem, ale teraz dwaj synowie Grecji mieli walczyć po przeciwnych stronach, a Kalikst wiedział, że będzie to ostateczna próba dla jego umiejętności.

Dobosz wybijał rytm narzucający prędkość bojową, ale Attykowi wydawało się, że *Virtus* rusza się szybciej: kadłub skręcał zwinnie przy każdym ruchu ręki Gajusza na rumplu. *Orcus* wykonywał zwrot za nimi – skręcał po szerszym promieniu i wolniej – ale jego prędkość bojowa była o jeden węzeł większa, więc nie oddalał się od *Virtus* ani trochę.

Okręt Rodyjczyka znajdował się niecałe sto kroków od dziobu *Virtus*, po bakburcie, i zamierzał wyminąć dziób *Copii*, zbliżającej się do niego błyskawicznie od bakburty. Attyk widział, że choć będzie ciasno, Rodyjczyk idealnie dobrał kurs, dając sobie dość miejsca, aby dokonać korekty i przebić się przez blokadę.

– Sygnał dla *Fulgor* i *Honos* – rozkazał Attyk, nawiązując do dwóch kwinkwerem płynących na flankach pościgu. – Każ im wyłamać się z szyku i zablokować kanał, którego właśnie użył Rodyjczyk.

Kwinkweremy odłączyły się po kolei, zostawiając w gonitwie już tylko trzy rzymskie galery.

Galera Rodyjczyka minęła *Copię*, a jej kurs znów zmienił się nieco, gdy nakierowywała się na kanał wiodący przez wewnętrzne mielizny Gajusz wprowadził *Virtus* w jej kilwater, ale trirema już zostawała w tyle za większą, szybszą galera, a odstęp między nimi sięgał ponad stu kroków. Attyk czekał cierpliwie, podczas gdy *Copia* wyminęła go od lewej flanki, aby kontynuować pościg. Za prawym ramieniem słyszał rozbrzmiewający z

wnętrza kadłuba rytm bębna *Orcusa*; i on wyprzedził *Virtus*. Rzymska formacja w kształcie klina zaczęła się odwracać, kiedy dwa pozostałe okręty prześcignęły płynącą dotychczas na czele triremę.

Wszystkie galery poruszały się prędkością ofensywną, oszczędzając energię i czekając na właściwy moment, aby z prędkością do taranowania zaangażować się w natarcie, lub – w wypadku Rodyjczyka – w ucieczkę. Każdy z kapitanów zdawał sobie sprawę, że jego wioślarze dysponują ograniczonymi zapasami sił i że w otoczonej lądem lagunie nie ma miejsca na pomyłkę. Z ich poprzedniego starcia Attyk wyciągnął wniosek, że Rodyjczyk sądzi, iż ma nad kwinkweremami przewagę zarówno pod względem prędkości, jak i zwrotności, ale *Virtus* wniosła do rozgrywki jeszcze jeden czynnik, w którym wyższość miał zdecydowanie Attyk: wytrzymałość.

– Prędkość do taranowania! – krzyknął, a *Virtus* rzuciła się do przodu. Jej taran poderwał się z wody przy pierwszym pociągnięciu wiosł z prędkością trzynastu węzłów.

Szybko zaczęła z powrotem wyprzedzać kwinkweremy, ponownie narzucając formacji kształt grota, aż płynęła dokładnie śladem Rodyjczyka, a *Orcus* i *Copia* odpadły z pościgu, wypełniając rozkaz oszczędzania sił do rozpoczęcia potyczki.

Płycizny znajdowały się wciąż o pół mili od nich, Rodyjczyk – niecałe sto kroków z przodu, a *Virtus* na



dobrze zaangażowała się w starcie.

– Prędkość do taranowania! – krzyknął Kalikst, nie odrywając wzroku od nadciągającej triremy. – Łucznicy na rufę.

Przeniósł spojrzenie na płycizny przed sobą. Pokład *Aresa* przechylił się pod jego stopami przy niewielkiej korekcie kursu, gdy sternik skierował dziób tetrery w stronę ujścia kanału, wciąż odległego o pół mili.

Odstęp od triremy ustalił się, a potem zaczął powiększać, gdy tetrera ponownie nabrała większego tempa. *Ares* dotrze do kanału pierwszy, ale Kalikst zastanawiał się, co potem. Dzięki niewielkiemu zanurzeniu trirema będzie mogła popłynąć za nim. Czy utrzyma większą prędkość i zaryzykuje wszystko, aby schwytać tetrerę, gdy ta zwolni w kanale? Czy podąży za *Aresem* do wewnętrznego portu? Kalikst nie był pewien i próbował przenieść się myślami na pokład rufowy rzymskiej galery, zobaczyć to, co widział Perennis, stworzyć taki plan jak on. Wszystkie jego próby prowadziły do tego samego wniosku: nie mógł pozwolić na to, aby trirema dogoniła jego statek i w jakiś sposób go uszkodziła.

– Sternik! – krzyknął. – Zwrot, sześć rumbów na bakburtę. Popłyniemy kanałem po lewej.

– Ależ, kapitanie – odparł sternik – to ponad milę stąd. Wioślarze...

– Natychmiast! – wrzasnął Kalikst, wciąż patrząc na

okręt wroga. – Jest tylko jeden sposób na zatrzymanie tej triremy: musimy wykończyć jej wioślarzy.

*Ares* przechylił się, skręcając, a sternik napiął mięśnie z wysiłku, jakim było przesunięcie rumpla przy prędkości do taranowania. Rzymskie galery dokonały takiej samej zmiany kursu – smukłej szta linia triremy pozwoliła jej zareagować szybciej – i na odległości równej dwóm długościom statku pościg rozpoczął się na nowo, choć kwinkweremy, wciąż płynące prędkością ofensywną, zostawały coraz bardziej z tyłu za mniejszym, wiodącym okrętem.

Kalikst usłyszał z boku trzeszczenie powoli napinanych cięciw, po czym salwa strzał pofrunęła w stronę ścigającej ich triremy. Patrzył, jak pociski opadają rzadkim, lecz śmiertelnościm gradem, ale gdy łucznicy przygotowywali się do kolejnego ataku, Kalikst nagle uświadomił sobie, że panuje za nim cisza. Pomaszerował do tylnego luku na głównym pokładzie, który prowadził między wioślarzy. Wiosłowali z prędkością do taranowania od trzech minut. Sześć, może siedem minut stanowiło absolutną granicę ich wytrzymałości; Kalikst obejrzał się przez ramię na triremę. *Perennisa* obowiązywały te same ograniczenia i odstęp między statkami wciąż się powiększał. Kalikst wciąż miał przewagę, ale kiedy spojrzął w dół na wioślarzy, poczuł, że budzą się w nim wątpliwości.

Mężczyźni pocili się stoicko przy wiosłach, z twarzami wykrzywionymi w groteskowych grymasach

wysiłku, sapiąc ciężko niczym zdyszane słonie. Tych silnych ludzi niełatwo było wyczerpać, ale brak pewnego zwyczajowego odgłosu przyciągnął uwagę Kaliksta: wiosłarze przestali śpiewać.

Attyk obrzucił rufę tetrery ostatnim spojrzeniem, a potem dał nura w luk. Pokład wiosłarzy sprawiał wrażenie pogrążonego w chaosie; przejście prowadzące przez środek było usłane poległymi, podczas gdy rezerwowi spieszyli przechwycić opuszczone wiosła. Upłynęło już pięć minut przy tej prędkości, a dobosz wciąż uderzał w bęben osiemdziesiąt razy na minutę, narzucając wyczerpujące, straszliwe tempo, które mogli utrzymać tylko najsilniejsi. Attyk naliczył blisko siebie co najmniej dwa tuziny ludzi, którzy jeszcze nie padli. Rzadko zdarzało mu się widzieć taką determinację: wiosłarze byli jak niepokonani legionieści w obliczu natarcia wroga, z prostymi plecami pracując przy wiosłach. Wiedzieli, że stawką jest ich wolność. Na twarzach mieli wyraz dzikusów pogrążonych w transie, zdradzający ich głęboko zakorzenioną nienawiść do zadania, któremu właśnie poświęcali wszystkie swoje siły.

Padł kolejny mężczyzna, potem jeszcze jeden i następny. W pustej skorupie triremy rozbrzmiewały rozpaczliwe krzyki ludzi, których złamało ich jarzmo; siłą woli przekroczyli granice wytrzymałości swoich ciał, aż ich mięśnie przebiegał straszliwie bolesny skurcz, a oni padali na deski i wiosłarze zapasowi odrzucali ich

powykręcane, niemal pozbawione życia ciała na bok. Siła rezerwowych pobudzała ludzi dookoła do większego wysiłku, i słychać było wykrzykiwane w kilku różnych językach słowa zachęty i gniewu, frustracji i bólu, gdy padł kolejny mężczyzna, potem jeszcze jeden i następny.

Dobosz wrzeszczał na całe gardło zgodnie z rytmem bębna, brutalnie nawołując wioślarzy, aby pochyłali plecy, brali na siebie ciężar wiosła i przeciągnęli je przez kolejny ruch, mówiąc im, że wróg jest blisko, że potyczka zaraz się zacznie, że za chwilę będzie koniec, a wioślarze reagowali na jego słowa zdwojoną determinacją.

Attyk wrócił na pokład, czując, że ta demonstracja dzikiej odwagi wioślarzy wyostrza jego determinację niczym klingę miecza. Wrócił zdecydowanym krokiem na pokład rufowy, ignorując strzały, które wbijały się w drewno dookoła niego oraz dające się słyszeć od czasu do czasu okrzyki załogantów ugodzonych bezlitosnymi pociskami. Odwrócił się i ponad pokładem *Virtus* popatrzył na płynącą przed nim tetrerę.

Odległość od niej zwiększyła się do dwustu kroków, ale granicę pięciu minut mieli już za sobą. Prędkość do taranowania na *Virtus* utrzymywała zajadłość najsilniejszych i nieustanny napływ wioślarzy rezerwowych. Ci nie wytrwają bez końca, ale Attyk był pewien, że pozbawiona posiłków załoga Rodyjczyka cierpi bardziej.

Jego plan był prosty: wyczerpać tetrerę. Nie unieruchomić ją na użytek kwinkwerem, lecz dopaść ją

samemu; niewielkie zanurzenie triremy gwarantowało, że tym razem nie będzie odwrotu. Rodyjczyk nie wykonał jeszcze zwrotu w stronę konkretnego kanału – tetrera wciąż płynęła równolegle do wewnętrznych płycizn, odległych od jej sterburty o niecałe sto kroków – ale Attyk czuł, że nastąpi to niedługo. Potwierdzała to desperacja jego wioślarzy, ich wyczuwalne cierpienie, które z pewnością niemal wykańcza załogę Rodyjczyka.

– Na bogów! – krzyknął sternik, oglądając się trwożliwie przez ramię. – Wciąż naciera.

Rodyjczyk poczuł, że wzbiera w nim taka sama panika, i z wysiłkiem ją stłamsił. Ile już upłynęło czasu: siedem, osiem minut? Co za ludzie napędzają tę triremę?

– Sto pięćdziesiąt kroków – jeden z łuczników u jego boku wykrzyczał zasięg następnej salwy strzał.

Odstęp się zmniejszał. *Ares* zwalniał, i to szybko – jego wioślarze przekroczyli już granicę wyczerpania, woli i determinacji, granicę dumy pokładanej we własną siłę, i pracowali dalej tylko z przemożnego strachu przed pojmaniem. Wiedzieli, że jeśli dostaną się w ręce Rzymian, staną się niewolnikami przymuszanymi do tego samego zadania, które teraz wykonywali jako wyzwoleńcy.

– Ile do kanału? – wrzasnął Kalikst gniewnie w stronę sternika, koncentrując się na nowo. Patrzył przed siebie, to na morze, to na ląd.

– Dwieście kroków, kapitanie – odparł mężczyzna.

– Przygotować się – rozkazał Kalikst i jeszcze raz zerknął na triremę. Odległość od niej wciąż spadała; sądził wcześniej, że na tym etapie wyniesie już czterysta lub pięćset kroków, a trirema będzie dryfowała bez celu w kilwaterze *Aresa*, jej wioślarze będą wyczerpani i bez sił. Ale ona parła dalej przed siebie, a Kalikst pozwolił dłoni opaść na rękojeść miecza. Zostało mu już tylko jedno. Widział, jak dwie rzymskie kwinkweremy zajmują pozycję przy kanale przecinającym zewnętrzne mielizny. Tamta trasa była zablokowana, nawet gdyby jego załoga miała siłę z powrotem przeciąć nieprzyjazne wody laguny. Kanał wiodący przed nimi stanowił jedyną drogę ucieczki, a trirema dopadnie go tam, w ciasnym przesmyku, gdzie brak miejsca uniemożliwia wszelkie manewry wymijające.

Nagła jasność sytuacji natchnęła Kaliksta zdwojoną pewnością siebie. Powoli wyciągnął z pochwy miecz. Pościg zakończy się wkrótce, na warunkach Perennisa, ale na płyciznach w kanale pojedynk odbędzie się między dwoma nierównymi sobie okrętami, gdyż rzymskie kwinkweremy nie będą w stanie przybyć na ratunek. *Ares* jeszcze ucieknie do wewnętrznego portu. Ale najpierw Kalikst wraz z załogą będzie musiał przelać krew Rzymian i ich greckiego dowódcy.

– Skręca! – zawołał Korin, uprzedzając zwrot o mgnienie oka, ponieważ dostrzegł, że sternik zapiera się o rumpel.

Galera Rodyjczyka okręciła się mocno na sterburcie, w końcu docierając do kanału.

– Załoga, przygotować się do abordażu! – krzyknął Attyk, a ludzie wznieśli wiwat, chcąc wdać się już w potyczkę. Chwile spędzone w deszczu strzał pobudziły ich ducha walki.

Gajusz przeprowadził *Virtus* przez zakręt, utrzymując taran na linii steru odległej teraz o zaledwie pięćdziesiąt kroków tetrery, która zaczęła zwalniać jeszcze bardziej. Załamujące się fale mielizny spowiły jej dziób, gdy wpłynęła do kanału, a Gajusz narzucił prędkość bojową, większą niż Rodyjczyka; płynąc śladem tetrery, nie musiał wyglądać zakrętów w kanale.

Attyk wyjrzał za burcie, na wody poniżej. Pracowała już tylko połowa wiosel *Virtus*: pozostałe wioślarze wciągnęli na pokład, a potem opadli na nie bez sił. Wszędzie dookoła morze wyglądało, jakby się gotowało, i Attyk widział śmiertelne kły płycizn, które przebijały powierzchnię wody nie dalej jak dwadzieścia kroków od burty.

– Płyn, jak uważasz – powiedział do Gajusza. – Podprowadź nas na wysokość jej rufy.

Sternik kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z ofiary. Pościg się zakończył, ale trzeba było jeszcze zadać śmiertelny cios. Nie dało się zgadnąć, ile będzie wolnego miejsca w kanale, i Gajusz zdawał sobie sprawę, że na podstawie manewrów tetrery sam będzie musiał ocenić, z której strony zaatakować. Było to trudne zadanie, ale

widząc, że prefekt wciąż stoi z wahaniem u jego boku, gotów pomóc, po raz pierwszy oderwał oczy od tetrery.

– Idź – nakazał żarliwie. – Mam ją.

Attyk kiwnął głową i zbiegł z pokładu rufowego, a załoga podążyła falą za nim. Wyciągnął miecz – ludzie poszli jego śladem – a kiedy dotarł na dziób, chwycił porzuconą tam tarczę *hoplon*.

Załogi obu jednostek zaczęły na siebie ryczeć, wyrzaskując okrzyki bojowe i wyzwania, podczas gdy łucznicy szyli strzałami z bliska; groty wbijały się głęboko w tarcze i ciała, podżegając wojowniczość obu załóg. Attyk stał w milczeniu wśród swoich ludzi, przyciskając tarczę do ramienia, i rozglądał się po wodach otaczających rufę tetrery, usiłując dojrzeć, gdzie będzie miejsce, dać Gajuszowi nieco przewagi.

Galery błyskawicznie pokonały kolejny zakręt w kanale, ale podczas gdy tetrera naprostowała kurs, Gajusz odczekał jeszcze moment, a zwrotniejszy kadłub triremy ściał zakręt. Attyk poczuł, że kadłub rzuca się do przodu, kiedy Gajusz zarządził prędkość ofensywną, ostatni wysiłek wyczerpanych wioślarzy, aby dziób triremy od bakburty zrównał się z rufą tetrery.

– Haki! – zawołał odruchowo Attyk. Ktoś rzucił linę, ale z powodu nierównego tempa galer od razu pękła. Po niej poleciało kilkanaście kolejnych; większość się zahaczyła, a załoganci Rodyjczyka od razu zaatakowali je toporami i mieczami.

Rzymianie naciągnęli liny, które ocalały, aż kadłuby



okrętów się zderzyły. Belki zaczęły trzeć o siebie, a statki powoli zaczęły się kołysać w tym samym rytmie. Attyk powiódł swoich ludzi ponad relingami z rykiem, który wyzwolił w nich dzikość; przeskoczyli nad ziejącą otchłanią między walącymi o siebie kadłubami, aby natrzeć na pierwszy szereg obrońców. Stracili nieco rozpęd, ale potem odzyskali go, gdy udało im się zająć pozycję na pokładzie wroga.

Attyk trzymał tarczę na wysokości klatki piersiowej i ciął mieczem, nie odrywając wzroku od swojego przeciwnika, który wytrzeszczał gniewnie oczy. Nagle zerknął w dół, co zapowiedziało pchnięcie mieczem. Attyk opuścił tarczę, żeby odeprzeć cios, a potem pchnął klingę w bok, ale obrońca zareagował niewiarygodnie szybko i odparował cięcie. Natarł ponownie, a Attyk odwrócił blok, aby odepchnąć jego miecz, odsłaniając tors przeciwnika, po czym zaryzykował wszystko i okupił kolejny atak utratą równowagi. Obrońca usiłował odeprzeć niespodziewane uderzenie, ale miał zbyt wolny refleks, żeby uniknąć klingi. Attyk wbił ją w brzuch obrońcy i przekręcił, po czym wyrwał ją, a ciepła krew oraz wnętrzności wylały mu się na rękę. Odepchnął umierającego mężczyznę tarczą, przewracając go na pokład.

Pokład rufowy był pogrążony w chaosie, ale Rzymianie, którzy mieli dwukrotną przewagę liczebną nad ludźmi Rodyjczyka, powoli zaczęli przesuwać się do przodu. Podczas gdy bitwa szalała dalej, sternik ani na

chwile nie odszedł od rumpla ani nie spuścił wzroku z mielizn oraz wąskiego kanału, ale kiedy linia bojowa zaczęła nacierać w jego stronę, padł od ciosu rzymskiego miecza. Pozbawiony kontroli narzucanej przez ster dziób *Aresa* zachwiał się w bok – napór *Virtus* na jego rufę tylko przyspieszył skręt – i kadłub uderzył o płycizny, które wystawały z krawędzi kanału.

Gdy ludzie Rodyczyka poczuli, że ich statek zatrzęsł się pod nimi, bitwa przerodziła się w zażartą potyczkę. Rycząc z gniewu i nienawiści, zatrzymali rzymskie natarcie na skraju pokładu głównego. Rzymianie odparli kontratak, nie okazując litości, i szyk bojowy ustabilizował się, gdy kolejni ludzie zaczęli zasilać obie strony. Walczące ze sobą szeregi były coraz bardziej przemieszane i zapanował całkowity chaos.

Attyk rzucił się przed siebie z frustracją, a w uszach dźwięczała mu wrzawa bitewna i szum jego własnej krwi. Ignorując zdrętwienie prawego ramienia, pchnął miecz w krocze jednego z obrońców i rozplątał jego ciało, po czym, bez chwili oddechu, wyciągnął klingę i zaatakował ponownie. Bolała go stara rana na klatce piersiowej, co tylko podsycalo jego wściekłość. Odepchnął przeciwnika tarczą, aby móc dosięgnąć go mieczem. Rozejrzał się dookoła, szukając na twarzach obrońców jakiejś zapowiedzi kapitulacji, oznak tego, że zbliżają się do granic determinacji, ale każdą twarz wykrzywiał śmiały, waleczny grymas.

Pośrodku starcia zauważył mężczyznę, który

wyciągnął miecz, ale nie wdał się w potyczkę, tylko wykrzykiwał rozkazy pod adresem otaczających go ludzi. Ogoloną głowę miał zaplamioną krwią zabitych i rannych, a poczerwieniała klinga miecza świadczyła o jego umiejętnościach. W chwili przytomności Attyk uświadomił sobie, że to kapitan, Rodyjczyk. Wykrzyczał wyzwanie w rysztockowej grece, swoim rodzimym języku, a Rodyjczyk odwrócił się w jego stronę, dostrzegając wśród szeregów Rzymian naznaczoną blizną twarz rywala. Perennis. Rodyjczyk zaklął i zaczął przeciskać się między toczącymi się dookoła niego pojedynkami, aby zaatakować człowieka, który doprowadził do jego porażki.

Attyk wyszedł szarży Rodyjczyka naprzeciw, pilnując, żeby jego środek ciężkości był nisko, chcąc zachować równowagę na nasiąkniętym krwią i usianym zwłokami pokładzie. Odepchnął jakiegoś człowieka, nie zbaczając z drogi, i napał całym ciężarem ciała na swoją tarczę, a jego żądza walki znalazła ujście w gardłowym ryku, na który Rodyjczyk odpowiedział własnym okrzykiem. Spotkali się pośrodku szalejącej bitwy. Attyk walnął przeciwnika tarczą, żeby ten stracił równowagę, i dźgnął klingą, ale ten natychmiast odparował cios z siłą, od której zaboląły Attyka mięśnie ramienia, i zdał sobie sprawę, że trafił na równego sobie. Opuścił nieco tarczę i wlepił wzrok w twarz drugiego mężczyzny, ignorując straszliwą fasadę wrogości, aby popatrzeć mu w oczy, i przygotował się na natarcie.

Kalikst odsunął się, aby nabrać rozmachu przed uderzeniem. Wykonał mieczem ruch koszący, a klinga przecięła ze świstem powietrze. Attyk zareagował instynktownie, jego ramieniem pokierowały lata szkolenia, i opuścił tarczę, aby przyjąć na nią cięcie, a od siły ciosu stracił równowagę. Odwzajemnił się kontruderzeniem, ale Rodyjczyk niebywale zręcznie odwrócił cios i Attyk tylko dzięki odruchowi odparował śmiertelne uderzenie mieczem, po czym wykręcił nadgarstek, aby wypchnąć klingę przeciwnika poza swoją zasłonę.

Stalowe miecze otarły się o siebie ze zgrzytem i Attyk zrobił krok w tył, odzyskując równowagę i nabierając tchu przed kolejnym natarciem. Kalikst zmierzył się z nim twarzą w twarz – na zatłoczonym pokładzie nie mieli miejsca na uniki – i znów zwarli się piersią w pierś. Ich twarze były tak blisko, że zapach potu i oddechu Rodyjczyka mieszał się w nozdrzach Attyka z jego własnym. Przeniósł ciężar ciała na prawą stopę, a lewą odepchnął się i wyprowadził cios mieczem, ale w tłoku jego klinga trafiła jakiegoś żołnierza. Oczy Rodyjczyka zaśniły triumfalnie: jego przeciwnik się odsłonił. Rzucił się do przodu, a Attyk, który nie mógł się cofnąć na zdradliwie śliskim pokładzie, musiał przejść do desperackiej defensywy.

Zgiął ramię, aby odparować cios, ale Rodyjczyk parł bezlitośnie przed siebie, atakując to z lewej, to z prawej, przełamując własny rytm niespodziewanymi manewrami.

Ból udręczonych mięśni prawego ramienia Attyka i trudności z oddychaniem podsycaly narastającą panikę, która zasnula jego umysl: kazdy cios nieustrzonego ataku przeciwnika nieomal przedzierał się przez jego gorączkową obrone. Walczył dalej, niemal nie zauważajac toczacej się dookoła bitwy, a jego reakcjami na ruchy klingi Rodyjczyka kierowaly refleks i wrodzone umiejetności.

Attyk nie widzial nic poza swoim przeciwnikiem i stalą błyskającą między nimi. Był bliski porażki i ta świadomość wzbudziła w nim furie. To on zmusił Rodyjczyka do walki. To była jego potyczka i toczyła się na jego warunkach; nagle panikę zastapila zimna determinacja.

Rodyjczyk zamachnal się nisko mieczem, a Attyk odepchnal klingę i odwzajemnil cios, zmuszajac go do opuszczenia tarczy. W tym samym momencie uderzyl tarczà nieoslonięte ramie Rodyjczyka, który zatoczył się do tyłu.

Attyk podazyl za nim, uniemozliwiajac mu odzyskanie równowagi, i role błyskawicznie się odwróciły. Attyk czerpal z wszelkich rezerw swoich sil, wiedzac, że jest bliski granic wytrzymałości i musi zakonczyc ten pojedynek. Wykonal powtarzajacą się serie ciec i pchniec, celowo pozwalajac, by jego atak nabral smiercionosnej zazwyczaj przewidywalności, a zarazem obserwowal Rodyjczyka bacznie, czekajac na pierwszą oznakę tego, że przeciwnik zauwazyl, iż jego atak stal się

monotonny.

Nie mogąc ustąpić na zatłoczonym pokładzie, Kalikst trwał w miejscu, zamykając umysł na przeszywający ból w klatce piersiowej i odparowując cios za ciosem. Atak się nie kończył, jakby Perennis dysponował nieograniczoną siłą, i Kalikst zaczął desperacko szukać wyjścia. Miał wiadomości, które mogły się przydać Rzymianom – była to jedyna rzecz, która dawała mu przewagę. Kiedy jednak już miał zawołać, że kapituluje, jego instynkt wojownika podsunął mu na myśl straszliwą wadę w szarży Perennisa. Kalikst przygotował się na cios, który z pewnością miał być ostateczny.

Attyk dostrzegł w oczach Rodyjczyka maleńką iskierkę triumfu i nagle przełamał rytm, który uspił czujność przeciwnika, zmieniając położenie klingi podczas cięcia, aby dostać się wewnątrz zasięgu jego obrony. Rodyjczyk był całkowicie nieprzygotowany, a miecz Attyka wbił się bez trudności w spodnią stronę jego wyciągniętego ramienia, przecinając mięśnie, aż klinga napotkała gładką kość. Rodyjczyk krzyknął z bólu, a miecz wypadł mu z bezwładnych palców. Attyk wyciągnął miecz, aby zadać śmiertelny cios, i odchylił ramię, nie przerywając kontaktu wzrokowego z przeciwnikiem i widząc w jego oczach rozpacz spowodowaną porażką. Rodyjczyk upuścił tarczę i przycisnął dłoń do rany, próbując zatamować upływ krwi, po czym spojrzał swojemu katu w oczy.

– Łaski, Perennis! – krzyknął.

Na dźwięk swojego nazwiska zszokowany Attyk się zawahał. Wykręcił klingę na bok i przytknął jej czubek do szyi Rodyjczyka.

– Twoja flota – zachłysnął się Rodyjczyk, wiedząc, że śmierć wciąż jest blisko. – Twoja flota jest w niebezpieczeństwie...

Attyk nie zmienił pozycji – wciąż był gotów zgładzić Rodyjczyka – a ręka, w której trzymał miecz, drżała od hamowanego szалу bitewnego, ale te słowa go powstrzymały.

– Każ swoim ludziom się poddać! – krzyknął, czując suchość w ustach.

Rodyjczyk szybko usłuchał: zawołał do swoich załogantów, aby opuścili oręż, a najemnicy wypełnili rozkaz i odsunęli się od mających przewagę liczebną napastników, wyciągając przed siebie ręce i rozglądając po zrujnowanym pokładzie *Aresa*.

Attyk oderwał miecz od szyi Rodyjczyka, ale go nie schował, świadom konfliktu szalejącego zazwyczaj w umyśle pokonanego; wstyd mógł nagle opanować człowieka, który zdążył się już poddać, i zmusić go do kontynuowania walki. Jego załoga postąpiła podobnie, po czym ruszyła szybko przed siebie, aby najemnicy musieli oddalić się od oręża, które leżało na pokładzie, rozkazując im porzucić wciąż trzymane miecze.

Attyk zrobił krok w tył. Twarz greckiego najemnika wykrzywił grymas bólu, ale jego oczy wciąż miały buntowniczy wyraz i nie przerywał kontaktu wzrokowego

z Attykiem.

– Mam informacje, które mogą ocalić twoją flotę przed porażką – powiedział powoli, dysząc.

– Jakie informacje? – zapytał niecierpliwie Attyk.

– O lokalizacji i liczebności kartagińskiej floty – odparł Kalikst.

– Gdzie ona jest?

– Będę rozmawiał wyłącznie z konsulem – powiedział Kalikst, wiedząc, że musi do pewnego stopnia odzyskać kontrolę nad własnym losem, jeśli ma przeżyć. Jego kontrakt, a tym samym lojalność względem Hamilkara, zakończył się z chwilą, w której się poddał; unieważniło je to, że nie był w stanie wypełnić swojego zadania. Teraz liczyło się dla niego tylko zapewnienie sobie wolności.

Attyk znów się zbliżył, rozgniewany unikiem najemnika.

– Powiesz mi teraz, Rodyjczyku – syknął – albo każę moim ludziom torturować cię, aż mi to zdradzisz.

– Nie jesteś głupcem, Perennis – odparł spokojnym głosem Kalikst, prostując się i wykrzywając nieco twarz z powodu nieustającego bólu w ramieniu. – Zdajesz sobie sprawę, że moje wieści będą cenniejsze, jeśli przekażę je z własnej woli.

Attyk wiedział, że Rodyjczyk ma rację: torturowany wyznałby wszystko, nawet nieprawdę. Ustąpił i szorstko rozkazał swoim ludziom zabrać jeńca z powrotem na pokład *Virtus*.



Odprowadził ich wzrokiem, a potem obrzucił spojrzeniem pokład i rzeź, która odbyła się w ciągu kilkuminutowej potyczki. Tetrera została opanowana, a blokada ocalona, ale drogo to kosztowało. Attyk naliczył dwudziestu martwych rzymskich marynarzy, którzy nieustraszenie wdali się w potyczkę. Przeszedł między nimi powoli, po czym wrócił na *Virtus*, szybko wydając dyspozycje, według których część załogi miała przejąć kontrolę nad galerą Rodyjczyka.

W ciągu kilku chwil Gajusz ponownie wyprowadził *Virtus* w drogę, a gdy okręt pokonał kanał, skierował go w stronę północnego krańca zatoki. *Orcus* podążył jego śladem. Attyk stał na pokładzie rufowym i przyglądał się bez słowa, jak jeden z żeglarzy opatruje ranę na ramieniu Rodyjczyka. Bitwa zakończyła się zwycięstwem, ale najemnik zwiększył stawkę: przechwycenie tetrery stało się ledwie częścią misji. Wszystko zależało od wiedzy, którą dysponował Rodyjczyk, i Attyk miał zdecydowany zamiar w pełni ją wykorzystać.

Attyk zakaszlał gwałtownie, gdy pył, który wzbiły w powietrze kopyta konia, dostał się do jego wysuszonego gardła. Było mu tak ciężko oddychać, że aż bolała go pierś; spoglądał zmęczonymi oczami na główną bramę obozu legionu. Szał bitewny, który opętał go ledwie godzinę wcześniej, zniknął, i teraz Attyk patrzył ponuro na zwęglone resztki wież oblężniczych widoczne dwieście kroków od niego. Grzebało w nich kilkunastu ubrudzonych sadzą żołnierzy, którzy szukali nadających

się do odratowania resztek żelaza i wyglądali jak mrówki żerujące na padlinie porzuconej przez większego drapieżnika.

Attyk spojrział na własną tunikę, zaplamioną krwią i potem, poczerniałą od ogni bitewnych, po czym zerknął na jadącego u jego boku Owidiusza, rzymskiego prefekta, na jego nieskazitelną togę trybuna. Nie czuł się jednak gorszy: cieszył się, że udało mu się odnaleźć współdowodzącego floty tuż po wylądowaniu na północnym wybrzeżu zatoki, ponieważ wiedział, że i on musi poznać wieści Rodyjczyka z pierwszej ręki. Owidiusz rzucił okiem na podążający za nimi oddział jazdy i znajdującego się pośrodku więźnia, a Attyk pomyślał z satysfakcją o tym, że prefekt uwierzył mu na słowo, gdy mówił mu o znaczeniu Rodyjczyka.

Nikt nie zatrzymał jeźdźców przy bramie, a wielu legionistów patrzyło z nieskrywaną ciekawością na obdartego żeglarza jadącego ramię w ramię z trybunem. Oddział podążył prosto do pawilonu dowództwa pośrodku obozu. Wszyscy zeskoczyli z koni, zanim jeszcze się zatrzymały, a Attyk poczuł nowy zapas energii, patrząc, jak dwaj żołnierze ściągają rannego Rodyjczyka z jego wierzchowca. Do Owidiusza podszedł *optio* i na szorstką prośbę trybuna cofnął się do namiotu i po chwili znów się pojawił, aby wezwać nowo przybyłych. Owidiusz zaprowadził obu Greków do środka.

Wnętrze namiotu było skąpane w sącącym się przez płótno świetle słońca, wytłumionym ciemnymi dywanami.

Mężczyźni zatrzymali się na moment na progu, po czym przeszli dalej. Scypion siedział na drugim końcu namiotu za biurkiem z ciemnego drewna, solidnym meblem zbudowanym na potrzeby kampanii; z bliska dało się jednak dostrzec na nim misterne żłobienia, pracę mistrzów rzemieślniczych. Twarz konsula była ściągnięta irytacją i ledwie zareagował na saluty dwóch prefektów, zerkając tylko na nich, choć jego oczy spoczęły o moment dłużej na Attyku.

– Mów – powiedział do Owidiusza.

– Prefekt Perennis – zaczął Owidiusz, rzucając okiem na Attyka – pojmał tego człowieka i jego załogę, gdy dziś rano próbowali przebić się przez blokadę. To najemnik zwany Rodyjczykiem.

Scypion wzruszył ramionami prawie niezauważalnie i spojrzał na rannego mężczyznę za Owidiuszem.

– 1... ? – zapytał niecierpliwym tonem.

– Twierdzi, że flocie grozi atak Kartagińczyków – wtrącił się Attyk, kryjąc niecierpliwość, jak zawsze nieufny w obliczu wrogości Scypiona.

– Twierdzi? – powtórzył Scypion.

– Zna lokalizację floty wroga, konsulu – ciągnął Attyk.

– Gdzie się znajduje? – zapytał Scypion.

– Nie chce powiedzieć. Zażądał rozmowy z tobą, konsulu – wyjaśnił Attyk. – A biorąc pod uwagę znaczenie tych informacji, uznałem, że najlepiej będzie, jeśli wyjawi je z własnej woli.

– Jesteś głupcem, Perennis – skomentował lekceważąco Scypion. – On się targuje o swoje życie. Mógłby powiedzieć wszystko.

Attyk najeżył się, słysząc tę obelgę.

– Wierzę mu, konsulu – wycedził. – Uciekł z tego portu kilka dni temu, wioząc kartagińskich dowódców, a dziś tych ludzi nie było na pokładzie. Biorąc pod uwagę zmianę kierunku wiatru w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, sądzę, że musieli zejść na ląd w jakimś miejscu leżącym mniej niż dzień żeglugi stąd.

– Mogli przesiąść się na inną galerę – odparł szyderczo Scypion – albo po prostu wylądować gdzieś na wybrzeżu.

– Zawiozłem ich do ich floty. – Kalikst odezwał się po raz pierwszy, dostrzegłszy otwartą wrogość, jaką konsul okazywał greckiemu prefektowi. Przyszła mu do głowy myśl o tożsamości jego pasażera, ale postanowił zachować tę wiadomość dla siebie, wiedząc, że dzięki temu będzie miał silniejszą kartę przetargową.

Scypion mruknął coś w odpowiedzi, ale powstrzymał pogardliwe uwagi; przyszły mu do głowy pierwsze myśli o szczęściu i szansie. Może to była jego okazja na przejście do ofensywy. Przywołał Rodyjczyka skinieniem ręki.

– Czy to, co mówi o tobie Perennis, to prawda? – zapytał.

– Mam na imię Kalikst.

– Ale ludzie nazywają cię Rodyjczykiem? – spytał

Scypion, uśmiechając się zimno w reakcji na pewny ton głosu pojmanego kapitana.

– Pochodzę z tej wyspy – potwierdził Kalikst.

– A zatem i ty jesteś Grekiem – powiedział powoli konsul, a uśmiech zniknął z jego twarzy. – Jak najemnicy, którzy zaatakowali wieże oblężnicze. – Zerknął odruchowo na Attyka.

Kalikst dostrzegł jego szybkie spojrzenie.

– Nic o nich nie wiem – powiedział. – Kartagińczycy zatrudnili mnie, abym wypełnił konkretne zadanie, tak samo jak wcześniej robili to Rzymianie.

Scypion uniósł brwi zaskoczony i pochylił się do przodu, zaintrygowany tą rewelacją.

– Kiedy zatrudnili cię Rzymianie? – zapytał, a Kalikst wyliczył operacje, których dokonał na początku wojny.

Konsul odchylił się na oparcie krzesła, zaintrygowany ewidentną obojętnością najemnika względem obu stron konfliktu i tym, że jego oddanie każdej sprawie było na sprzedaż tylko na czas trwania konkretnego kontraktu. Scypion znał takich ludzi, manipulował nimi w ciągu całej swojej kariery, i wiedział, jak łatwo można kupić ich lojalność.

– Zatem teraz wyjawisz lokalizację kartagińskiej floty w zamian za swoje życie? – zapytał Scypion, a Kalikst przytaknął.

– Gdzie ona jest? – dopytywał się Scypion.

– Uwolnisz mnie?

Scypion kiwnął głową.

– Kartagińska flota stacjonuje w Drepanum.  
– Ile statków? – zapytał Attyk.  
– Ponad sto galer – rzucił przez ramię Kalikst, po czym znów zwrócił się do Scypiona. – Planują atak. Nie wiem, na kiedy.

Scypion znów kiwnął głową.

– Straż! – zawołał.

Weszli czterej legionieści.

– Zabierzcie tego człowieka do wartowni – powiedział.

– A co z naszą umową? – spytał gniewnie Kalikst.

– Dotrzymam jej, kiedy potwierdzimy twoje wiadomości – odparł lekceważąco Scypion i odwzajemnił wrogie spojrzenie wyprowadzanego na zewnątrz Rodyjczyka.

Kalikst poszedł za legionistami po ubitej ziemi pośrodku obozu, czując w gardle ostry smak żółci. Przełknął furie, wiedząc, że musi zachować spokój. Decyzja konsula nie była właściwie niespodziewana i Kalikst skoncentrował się na wiadomościach, którymi wciąż dysponował. Kiedy Rzymianie dotrą do Drepanum, potwierdzą jego raport, a bez względu na to, czy zaatakują, czy pozostaną w defensywie, kluczową informację stanowiła tożsamość kartagińskiego dowódcy.

Kalikst nagle przypomniał sobie wrogość okazaną przez Scypiona Perennisowi. Grecki prefekt odniósł zwycięstwo, zdobył przyz w postaci cennego statku, a jednak konsul go nie pochwalił. Patrzył nawet na

Perennisa, gdy mówił o atakach dokonanych przez greckich najemników. Tak jawny rozłam stanowił sporą słabość i Kalikst postanowił o niej nie zapominać, świadom, że jeśli ma ująć z życiem, będzie potrzebował wszystkiego, co da mu przewagę.

Scypion spojrział na Attyka i Owidiusza w ciszy, jaka zapadła po odejściu Rodyjczyka. W myślach już tworzył plan, śmiertelny cios dla kartagińskiej floty.

– Jak daleko stąd jest Drepanum? – spytał stojących przed nim mężczyzn.

– Nie więcej niż cztery godziny żeglugi – odparł Attyk. – Musimy zaplanować obronę, żebyśmy byli gotowi w każdej chwili.

– Obronę? – powtórzył z niedowierzaniem Scypion. – Na bogów, Perennis, wy, Grecy, jesteście tchórzliwą rasą. Zaatakujemy, i to natychmiast.

– Nie możemy, konsulu – powiedział Attyk, usiłując powstrzymać gniew spowodowany wrogością i pogardą okazywaną mu przez Scypiona. – Ludzie z nowej floty nie są gotowi na otwartą, ofensywną bitwę.

– Mamy po naszej stronie efekt zaskoczenia i liczebność, Perennis – odparł zimnym tonem Scypion. – Jeśli boisz się walczyć nawet przy tak korzystnych warunkach, odbiorę ci dowództwo.

Attyk ruszył w jego stronę, już chcąc się odciąć, ale Owidiusz odezwał się pierwszy.

– Możemy być gotowi do wypłynięcia przed

zmrokiem, konsulu – spróbował przerwać rozmowę między dwoma pozostałymi. Nie znał przyczyny antagonizmu między konsulem a prefektem, ale chciał go złagodzić, pewny swojej opinii na temat Greka, którą wyrobił sobie od czasu przybycia do Lilybeum.

Dla Owidiusza było to pierwsze stanowisko dowódcy we flocie; otrzymał je kilka tygodni wcześniej, w Rzymie, gdzie obarczono go zadaniem przyplłynięcia z pierwszą częścią nowej floty na południe, na Wyspy Egadzkie, w przygotowaniu na oblężenie Lilybeum. Ponieważ nie był zaznajomiony z toczeniem bitew morskich, w znacznym stopniu polegał na doświadczonych kapitanach ze swojego oddziału, a podczas monotonnych tygodni spędzonych w blokadzie z każdym z nich długo rozmawiał. Wielokrotnie wspominali nazwisko greckiego prefekta i Owidiusz szybko uświadomił sobie, jak bardzo go szanują.

Nie rozumiał wahania Greka i zgadzał się z osądem konsula, ale wiedział też, że w najlepszym interesie floty jest, aby Perennis utrzymał stanowisko dowódcy oddziału.

– Przed zmrokiem – powtórzył Scypion, patrząc na Owidiusza. To, że trybun rozproszył jego uwagę, pomogło mu ponownie skupić się na niezwyklej sposobności, którą umożliwiły mu wiadomości Rodyjczyka. Odepchnął od siebie gniew.

– Tak jest, konsulu – odparł Owidiusz. – Możemy popłynąć w górę wybrzeża nocą i zaatakować o świcie, dzięki czemu nikt nie ostrzeże Kartagińczyków drogą



ładową.

Scypion wstał, pełen wyczekiwania.

– Przygotuj flotę, Owidiuszu – powiedział, obchodząc stół. – Wypływamy o zmierzchu.

Owidiusz zasalutował, a kiedy już miał się odwrócić, zauważył, że Grek chce się dalej wyklócać. Chwycił go za ramię, uciszając go, i wyprowadził z namiotu.

Na zewnątrz Attyk gniewnie strząsnął z siebie dłoń Owidiusza.

– To obłąd, Owidiuszu – powiedział. – Nie możemy walczyć z Kartagińczykami na ich warunkach, jeszcze nie.

Owidiusz nie spuścił oczu pod wrogim spojrzeniem Attyka.

– Ta bitwa nie odbędzie się na ich warunkach, Perennis – odparł. – Zaskoczemy ich.

– To nie wystarczy – powiedział Attyk, nieprzekonany nawet o tym, czy rzymskiej flocie w ogóle uda się wykonać nocne natarcie. Ponownie spojrzał na namiot Scypiona. Zżerała go frustracja, wiedział bowiem, że jego opinia ani trochę się nie liczy. Widział w Scypionie podobieństwo do aroganckiego zachowania Paulusa przed sztormem.

Owidiusz przyglądał się uważnie Attykowi, po czym ponownie zbliżył się do niego.

– Nie znasz mnie, Perennis – powiedział spokojnym tonem. – Ale ja o tobie słyszałem. Obierz dowództwo nad awangardą. Ten zaszczyt jest twój.

Attyk odwrócił się do Owidiusza i zauważył na jego twarzy tę samą niezachwianą pewność, którą tak wiele razy widział już u innych rzymskich dowódców. Owidiusz klepnął go w ramię i dosiadł swojego ogiera, po czym zawrócił ciasnym kółkiem i pogalopował w stronę bramy. Attyk odprowadził go wzrokiem, a potem sam wspiął się na wierzchowca. Spojrzał na słońce, które minęło już zenit, i spiął konia, po czym popędził śladem prefekta.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dzień wstał pod niebem koloru ołowiu, przedłużając długie, ciemne godziny nocy. Morze było niespokojne, a fale chaotyczne i szare niczym poskręcany, zimny metal, dawno już odrzucony z pieca kowalskiego. Rzymską flotę przez całą noc dręczył wiatr z południowego zachodu, dodatkowo utrudniając już niełatwe zadanie utrzymania zwartej formacji ofensywnej, i światło brzasku ukazało morski krajobraz usiany pojedynczymi galerami.

Scypion stał samotnie na pokładzie dziobowym swojego okrętu flagowego, *Poeny*, pełen wyczekiwania wyostrego ponad wszelką możliwość długimi godzinami zwłoki, a umysł podsuwał mu wyobrażenia o przyszłości. Wdychał przesycone wilgocią powietrze tak głęboko, że paski zbroi zaczęły mu uciskać klatkę piersiową. Spędził młodość w legionach, podążając ścieżką, która była pisana wszystkim ambitnym Rzymianom; jego wiarygodność w senacie jako wojskowego dowódcy opierała się na fundamencie tej służby. Teraz napierśnik wydawał mu się lekki, był jak druga skóra, do której już dawno przywykł.

Te lata spędzone w legionach wyrobiły w nim wiele cech charakteru, szczególnie cierpliwość, którą wyćwiczył podczas urzędowania w senacie, aż stała się niemal niemożliwą do przebicia zbroją samodyscypliny. Przeszyć ją mogła tylko nienawiść do jego wrogów, i nie po raz

pierwszy, od kiedy cztery godziny wcześniej wypłynęli z Lilybeum, Scypion poczuł, że owładnął nim biały żar furii; w jego myślach przepływały wizje jednego człowieka, którego miał zamiar zniszczyć przy jakiejś nadarzającej się okazji. Jednak teraz sam fakt, że ów człowiek dalej żył, stawał się nie do zniesienia.

Zszedł pospiesznie z pokładu dziobowego, a czujna załoga *Poeny* ustępowała mu drogi, aby nie zderzyć się niechcący z konsulem, co z pewnością skończyłoby się natychmiastową karą. Scypion stanął na pokładzie głównym i obrzucił wzrokiem załogę, a potem bezładny szyk rzymskiej floty na otaczających go wodach. Poczuł, że jego wcześniejsza pewność siebie słabnie, i przeklął narastające wątpliwości, którymi zaraził go Grek. Bitwa miała zacząć się niedługo, wróg znajdował się tuż za horyzontem, niczego nieświadom, Rzymianie mieli przewagę liczebną, a mimo to Scypion nie potrafił opędzić się od myśli o ostrzeżeniu Perennisa.

Dotarł na rufę i przywołał do siebie kapłana. Starszy mężczyzna podszedł do niego z szacunkiem. Scypion zerknął przez ramię i zauważył, że wielu załogantów przygląda się temu ukradkiem. Kiwnął głową. Będą świadkami tej prostej ceremonii, której rezultat doda im determinacji, a potem Scypion każe sygnalistom zawiadomić resztę floty.

Konsul widział ten tajemny i prastary rytuał już wielokrotnie, ale nigdy nie darzył go szacunkiem – sądził, że jego los kontroluje siła wyższa niż stworzenia, które

trzymał w ręce kapłan. Jednak tego dnia, przed swoim największym zwycięstwem, Scypion musiał przepędzić widmo wahania, tę niewielką rysę w swojej pewności siebie, do której nawet sam przed sobą prawie nie był w stanie się przyznać. Ten rytuał go oczyści. Obserwując, jak kapłan szykował się do trącej farsą ceremonii, Scypion poprzysiągł sobie w duchu, że Perennis już nigdy nie stanie w jego obecności z podniesioną głową. Po dzisiejszym dniu miał zamiar w końcu go zniszczyć. Bez względu na to, czy Grek zginie od miecza, czy trafi w kajdanach za wiosło galery, Scypion chciał się go pozbyć.

Kapłan zaczął powolną deklamację, wzywając boga Marsa, aby obudził się ze snu i stanął na polu bitwy ponad rzymskimi szeregami, aby patrzył na wroga znad ramienia każdego legionisty, aby dodał sił ramionom wszystkich synów Rzymu i mogli oni zgładzić wroga, który śmiał stanąć z nimi do walki. Scypion słuchał monotonnego głosu, nie pozwalając słowom przesłonić subtelnej wymowy inwokacji i biorąc ją sobie do serca. Cała stojąca za nim załoga *Poeny* przerwała wykonywanie swoich zadań i przyglądała się ceremonii.

Kapłan wyciągnął lewą rękę i rozrzucił ziarno po pokładzie; jego głos nabrał mocy, gdy mężczyzna kucnął, aby wypuścić trzy kurczaki, które trzymał w prawej. Ptaki zagdakały głośno, machając podciętymi skrzydłami i usiłując odzyskać równowagę. Święte ptaki chowano specjalnie do udziału w tej prostej ceremonii, podczas której miały wypełnić jedno zadanie, oznaczające, że

bogowie są po stronie Rzymian w nadciągającej bitwie: zjeść podane im ziarno.

Scypion w milczeniu patrzył, jak kurczaki okrążają rozrzucone ziarna, a oficjalność i uroczystość ceremonii już rozwiały jego wątpliwości. Czując, że wzbiera w nim pewność, wstrzymał oddech w oczekiwaniu na pierwsze dziobnięcie kurcząt, gotów użyć tej kulminacji ceremonii do pobudzenia załogi *Poeny* i całej floty do działania.

Minęła długa chwila, a ptaki wciąż nie jadły. Ich pozornie bezcelowe kroki po rozsypanym na pokładzie ziarnie sprawiły, że czar rytuału prysł. Scypion spojrzał na kapłana z furją, a ten natychmiast przykucnął, aby zagonić ptaki z powrotem w stronę ziarna. Konsul poczuł, że wśród tłumu narasta zabobonny strach – pomruki załogantów przerodziły się w kakofonię nieskrywanego niepokoju.

Scypion rzucił wściekle spojrzenie ludziom stojącym najbliżej, ale oni patrzyli na kurczęta. Ponownie obrócił się i ruszył w stronę kapłana, po czym odepchnął go, gdy całkiem już stracił kontrolę nad gniewem. Podniósł jednego z ptaków, ściskając go za szyję i prowokując jeszcze głośniejsze gdakanie. Uniósł kurczaka wysoko i odwrócił się do załogi.

– Jeśli nie chcą jeść, niech piją – krzyknął i wyrzucił ptaka za burtę. Szybko sięgnął po dwa pozostałe kurczęta i z taką samą furją powtórzył gest.

Załoganci oniemieli na widok tego świętokradztwa. Ponownie rozgniewany Scypion krzyknął na nich, aby

wrócili do przedbitewnych przygotowań; jego głos i wściekłość wyrwały ich z szoku, ale odwracali się ze strachem w sercach. Bogowie przemówili. Jeśli Rzymianie zaangażują się w bitwę, będą sami, a Mars im nie pomoże.

Scypion przyglądał się zza zasłony gniewu, jak ostatni z rozczarowanych załogantów wracają do pracy. Podszedł do relingu, wymijając skulonego kapłana, który usiłował uniknąć złości konsula. Ptaki zniknęły gdzieś za *Poeną*, a Scypion znów poczuł, jak jego serce ściska zimna ręka zwątpienia. Stłamsił tę myśl bezlitośnie, opędzając się od myśli o złym omenie; zawsze uważał takie ceremonie za zabobon rodem ze starych, nieoświeconych czasów. Pozwolił, by furia wypełniła pustkę po utraconej pewności siebie i dodała mu determinacji. Do owej słabości doprowadził Perennis, ten grecki sukinsyn, którego – Scypion już to wiedział – trzeba było pozbyć się wiele miesięcy wcześniej, mimo jego przydatności.

Spojrzał na coraz jaśniejszy horyzont i długi szereg rzymskich galer płynących na północ, w stronę stacjonującego w Drepanum wroga. Bitwa była nieunikniona, rozkład sił się nie zmienił, a Scypion miał zwycięstwo w zasięgu ręki. Tego dnia zatriumfuje. Poprzysiągł sobie, że kiedy rzymski miecz dosięgnie już ciała ostatniego Kartagińczyka, skieruje tę stal w stronę Perennisa.

Drepanum spało, niczego nieświadome, a spora część miasta wciąż była pogrążona w rozpraszającym się mroku wczesnego świtu. Cienie powoli ustępowały w obliczu światła brzasku, które usiłowało się przebić przez grube chmury. Miasto było usytuowane na cyplu ciągnącym się na zachód, w morze; Attyk powoli przesunął wzrokiem po całej jego długości, a potem po smugach dymu znaczących pierwsze rozniecone paleniska oraz gasnące pochodnie na murach miejskich. Panowała całkowita cisza i Grek skinął głową z ponurą satysfakcją. Nocne natarcie się udało, nikt nie ostrzegł Drepanum drogą lądową, ale oglądając się za siebie, Attyk przyznał, że cena za to była wysoka.

Rzymska flota była rozrzucona w luźnej formacji, która sięgała horyzontu na południu, i choć kapitanowie z oddziału Attyka już zwierali szyki, za tą awangardą panował całkowity chaos. Wewnętrzny port Drepanum znajdował się zaledwie trzy mile dalej, a jeśli Rzymianie mieli zablokować Kartagińczyków w wąskiej zatoczce u podstawy półwyspu, musieli zaatakować z siłą ciosu zaciśniętej pięści, a nie otwartej dłoni. Rozejrzał się na wszystkie strony. Wybór był prosty: zwolnić, aby flota zwarła szeregi i skoncentrowała swoje siły, zarazem ryzykując, że stracą element zaskoczenia, albo uderzyć teraz, z samą awangardą, która mogła nie podołać zadaniu.

– Galery wroga od bakburty. Dwie mile.

Attyk spojrział we wskazanym kierunku i dostrzegł



ciemne kadłuby dwóch galer patrolowych. Płynęły po zawietrznej dwóch podłużnych wysp położonych za czubkiem półwyspu. Na oczach Attyka galery skręciły na wschód, w stronę wewnętrznego portu, i stały się niemal niewidoczne, gdy wpłynęły w cień murów miasta.

Attyk zaklął. Fortuna odebrała mu możliwość wyboru i zmusiła do działania.

– Prędkość bojowa! – krzyknął.

Załoganci pospieszyli uwiązać grotzagiel przed bitwą. Druzus rozkazał legionistom ustawić się w szeregach. Niepokój wywołany nocnym żeglowaniem zniknął. Wysłano sygnał do oddziału i milę dalej *Orcus* płynął już na czubku tworzącej się powoli formacji grotu.

Attyk podszedł do relingu i wychylił nad wodę. Wiatr osłabł, ale na mknącej galerze jego twarz i tak omiatało zimne powietrze poranka. Taran rozcinał wodę koloru ołowiu, a kapitan przyjrzał się falom, oceniając siłę pływu. Właśnie się zmieniał, nie dając przewagi żadnej ze stron. Jeszcze dalej galery patrolowe wpływały do wewnętrznego portu prędkością co najmniej ofensywną, co były ryzykowne w tak wąskim kanale.

Attyk uświadomił sobie, że teraz wszystko zależało od kartagińskiego dowódcy. Jeśli był kompetentny, flota wroga z pewnością była gotowa w każdej chwili podnieść kotwice, a jeśli nie, Attyk miał sporą szansę zakończyć bitwę, zanim się jeszcze zacznie. Obejrzał się przez ramię: awangarda wciąż jeszcze nie zajęła ostatecznych pozycji, a flota widoczna za nią była zbyt daleko, żeby pomóc.

Jego oddział będzie musiał sam się zmierzyć z wrogiem. Uśmiechnął się ponuro. Bywało, że miał jeszcze mniejsze szanse.

– Okręty patrolowe wracają z prędkością ofensywną!  
– zawołał obserwator. Hamilkar pobiegł na dziób *Alissar* i wychylił się nad relingiem, obserwując ujście wewnętrznego portu.

– Wszyscy na stanowiska bojowe! – krzyknął bez wahania, nie odrywając wzroku od nadciągających galer. Ich brawurowe tempo oznaczało jakieś niewidoczne zagrożenie.

Kartagińskie załogi zareagowały szybko i rozkaz poniósł się po całej zakotwiczonej dookoła flocie. *Alissar* oddała cumę z rufy i ruszyła w drogę, a jej wiosła wbiły się mocno w głębokie wody zatoczki. Jej dziób wysunął się z formacji, a okręty patrolowe zmieniły kurs, gdy ich załoganci dostrzegli, że okręt flagowy wyłania się z szeregów.

Hamilkar spoglądał krytycznie na ożywającą flotę, po kolei obserwując każdą galerę. Flota z Gadiru była gotowa do wypłynięcia od dwóch dni i czekała tylko na sprzyjający wiatr, aby udać się na Wyspy Egadzkie, gdzie miała dokonać ostatecznych przygotowań przed przeprawą do Lilybeum, stamtąd zaś natrzeć z zaskoczenia na rzymską blokadę. Ludzie spodziewali się potyczki w odległym porcie, nie w wąskiej zatoce w Drepanum, ale reagowali na niespodziewaną komendę bez

paniki. Trzymali nerwy mocno na wodzy i wszystkie galery przemieniły się w napięte łuki, gotowe do zaatakowania wroga.

Gdy *Alissar* wymijała flotę, wielu załogantów wznosiło wiwaty, ale Hamilkar nie zwracał na nich uwagi i wbijał wzrok w nadciągające statki patrolowe. Przeszedł na pokład dziobowy, kiedy tylko wydano na wszystkich trzech zbliżających się jednostkach rozkaz „cała stop”, po czym z napięciem wysłuchał doniesień kapitanów, od razu podejmując decyzje. Ignorował głos, który przeklinał w jego duszy zmienność Tanit, kapryśnej bogini losu, która jakimś sposobem odwróciła jego plany, aby zaatakować Rzymian z zaskoczenia.

Spojrzał na ujście zatoczki. Ucieczka była najważniejsza, rozkazał więc *Alissar* ruszyć ponownie, tym razem z prędkością bojową. Komenda pomknęła po reszcie floty, a meldunek o spostrzeżeniu wroga oraz przykład okrętu flagowego zmusił ludzi do większego pośpiechu.

*Alissar* zbliżyła się do ujścia, a Hamilkar z niepokojem szacował pozostającą przed nią odległość, zerkając przez ramię na flotę, która pospiesznie tworzyła formację za jego okrętem. Zatoczka mierzyła w najszerszym miejscu nie więcej niż dwieście kroków i podczas sztormowej pogody było to bezpieczne kotwicowisko, ale w bitwie – śmiertelna pułapka. Hamilkar wyszeptał modlitwę do Anat, aby dała mu dość czasu na ocalenie floty przed widmem niewoli.

Gdy *Alissar* pokonała ujście zatoczki, Barkas podbiegł do relingu i w mgnieniu oka objął wzrokiem całą panoramę południowych szlaków prowadzących do Drepanum. Grot rzymskich galer znajdował się ledwie pół mili dalej i nadciągał z prędkością ofensywną – galery miały zwinięte ożaglowanie w przygotowaniu do potyczki. Hamilkar zaklął na ten widok i uderzył pięścią o reling. Flota zdąży uciec z zatoczki, ale odebrano jej inicjatywę, a wraz z tą utratą los Drepanum stał się niepewny. Hamilkar myślał gorączkowo, szukając strategii na unieszkodliwienie przewagi wrogów, ale dostrzegłszy rzymską flotę rysującą się za grotem awangardy, zamarł. Z każdym ruchem wiosł *Alissar* miał na nią coraz lepszy widok.

Okręty wroga były porzucane po południowych szlakach. Hamilkar przez długą chwilę nie mógł pojąć tego chaotycznego rozmieszczenia, aż zdał sobie sprawę, że jest ono przypadkowe – Rzymianie nie byli w stanie utrzymać szyku podczas nocnego natarcia. Uśmiechnął się okrutnie i obejrzał na zwartą formację floty z Gadiru. Choć galery płynęły z prędkością ofensywną, odstęp między nimi wynosił zaledwie kilka kroków, a wszyscy sternicy wykazywali niewiarygodne umiejętności.

Rzymska awangarda znajdowała się teraz niecałe sto kroków od ujścia wewnętrznego portu. W jej skład wchodziło nie więcej niż czterdzieści okrętów, za mało, aby powstrzymać ucieczkę Kartagińczyków, i Hamilkar ze skruchą wycofał się ze swojego potępienia względem

Tanit, wiedząc, że gdyby cała rzymska flota utrzymała tempo przedniej straży, jego statki zostałyby zdziesiątkowane w ujściu zatoczki. Już miał zlekceważyć awangardę, kiedy nagle rozpoznał okręt płynący na czele, i natychmiast poczuł furję tak silną, że odruchowo chwycił rękojeść miecza. Był to statek Perennisa. Ten przeklęty Grek dowodził awangardą. Hamilkar odwrócił się błyskawicznie do sternika; kusiło go, żeby skierować *Alissar* prosto na czoło rzymskiej floty.

Zaklął głośno i na powrót spojrział na nieprzyjaciela. Zaatakowanie jego straży przedniej oznaczałoby rezygnację z szansy, jaką dawało mu bezładne rozmieszczenie okrętów wroga. Ich zniszczenie było dla niego najważniejsze, a aby tego dokonać, musiał wyprowadzić całą swoją siłę z wewnętrznego portu. Wywiąże się walka, a flota z Gadiru dopadnie wroga, ale Hamilkar miał teraz jeszcze jeden cel. Gdy *Alissar* podążała na zachód w cieniu Drepanum, nie odrywał oczu od swojego zaprzysięgłego wroga.

Attyk podszedł zdecydowanym krokiem do steru, gdy *Orcus* dotarł do południowego skraju wewnętrznego portu. Przebierał palcami po rękojeści miecza, a jego frustracja sprzed zaledwie chwili – poczuł ją, widząc, że pierwsze kartagińskie galery wyłaniają się z zatoczki – powoli ustępowała uldze. Wyglądało na to, że wróg ma zamiar uciec: okręty płynęły gęsiego zaledwie dwieście kroków dalej, po drugiej stronie zatoczki. Poza granice

wewnętrznego portu wydostało się już ponad czterdzieści okrętów i choć Attyk znajdował się na pozycji, z której mógł zaatakować flankę wroga, wiedział, że galery płynące na czele natychmiast zwrócą się w stronę potyczki i złapią go w potrzask.

Attyk nie miał zbyt wielu złudzeń co do szans Rzymian – nawet jako zwartej siły – w starciu ze zdeterminowaną kartagińską flotą. Blokada z zaskoczenia była jedyną możliwością i biorąc pod uwagę, że brak koordynacji w rzymskiej flocie jeszcze osłabił i tak nieprzemyślany plan ataku Scypiona, wycofanie się wroga było darem od bogów. Zerkając na wiodący statek floty nieprzyjaciela, przypomniał sobie swoje wcześniejsze rozważania na temat kartagińskiego dowódcy. Zszokowany puścił miecz, a stopy same zawiodły go do relingu. Oparł się o niego i wbił wzrok w odległą galerę, charakterystyczne bandery na jej maszcie. Okręt Barkasa.

Obejrzał się na rozproszoną rzymską flotę i poczuł, że przerażenie szarpie mu trzewia. Zbyt dobrze znał Barkasa: wiedział, że nie wycofa się w obliczu tak zdezorganizowanego i wystawionego na ciosy wroga. Kartagińska flota nie uciekała, lecz robiła sobie więcej miejsca, aby się przegrupować.

– Prefekcie... – Gajusza zaniepokoiła mina dowódcy.

Na głos sternika Attyk oprzytomniał.

– Zwrot! – krzyknął, a Gajusz zareagował bez wahania.

*Orcus* i cała awangarda zawróciły przy ujściu

wewnętrznego portu.

Załoganci wrogich flotylli mierzyli się wzrokiem ponad szarym jak żelazo morzem. Wielu milczało, podczas gdy inni od czasu do czasu wykrzykiwali przekleństwa i groźby, nie mogąc się doczekać starcia. Ci doświadczeni żeglarze nie znali zamiarów swoich dowódców i wiedzieli, że nie mają kontroli nad własnym życiem; zdani na rozkazy przełożonych byli niewolnikami ich decyzji, lecz nie mieli pojęcia, że oni też podlegają wyrokowi burzliwego losu.

– Potwierdzić! – krzyknął Scypion niecierpliwie w stronę marynarza na „oku”, krocząc po pokładzie rufowym. Przy relingach zatrzymywał się i wlepił wzrok przed siebie. Po jego rozkazie na chwilę zapadła cisza, więc kapitan wysłał na maszt jeszcze dwóch żeglarzy, chcąc jak najszybciej zaspokoić ciekawość konsula. *Poenę* wciąż dzieliły od Drepanum dwie mile; z tej odległości Scypion nie widział, co się dzieje, a jego frustracja szybko przerodziła się w gniew.

Obserwator doniósł, że awangarda zbiła się w grupę i zbliżyła do wewnętrznego portu, ale zaledwie chwilę później ogłosił, że kartagińska flota ucieka z zamkniętej zatoczki i płynie na zachód, po zawietrznej stronie miasta. Okazja na atak z zaskoczenia przepadła i Scypiona natychmiast ogarnęła desperacja i bezsilność, ponieważ ze swojej pozycji na tyłach floty nie był w stanie związać Kartagińczyków walką.

– Potwierdzam, konsulu – krzyknął jeden z nowych obserwatorów. – Kartagińska flota ucieka. Awangarda nie dotarła do wewnętrznego portu na czas.

Scypion zatrzymał się przy relingu od bakburty i obrzucił wzrokiem długi szyk kartagińskich galer, ciągnący się do skraju półwyspu. Statki wroga bez przeszkód stworzyły zwartą formację, przy której chaotyczne rozmieszczenie rzymskiej floty wyglądało żałośnie.

– Czy mam rozkazać zajęcie stanowisk bojowych, konsulu? – zapytał kapitan, czujny w obliczu bliskości tak wielkiego oddziału wroga.

Wyglądało na to, że Scypion go nie słyszy i zwraca całą uwagę w stronę miasta.

– Konsulu?

Scypion odwrócił się z irytacją, a pytanie kapitana dopiero teraz do niego dotarło. Machnął lekceważąco ręką.

– Nie, to beznadziejne – powiedział. – Jesteśmy za daleko, aby powstrzymać ich przed ucieczką. Wpłyniemy do wewnętrznego portu i przejmiemy kontrolę nad miastem.

Kapitan zawahał się, ale postanowił nie sprzeciwiać się konsulowi. Skinął głową i zarządził niewielką zmianę kursu.

Biorąc pod uwagę jego pierwotne plany, Drepanum było dla Scypiona niewielkim pocieszeniem i wiedział, że będzie musiał podkoloryzować raport z jego zdobycia,



jeśli ma zyskać jakiegokolwiek uznanie za tak mało znaczące zwycięstwo. Kartagińska flota uciekła, atak z zaskoczenia się nie powiódł, a Scypion przeklinał bóstwa za to, że odebrały mu jego triumf.

– Ster na bakburkę, prędkość standardowa – rozkazał Hamilkar, a *Alissar* wykonała ciasny zwrot dookoła wysuniętego w stronę morza krańca wąskiej wyspy. Panorama przed okrętem flagowym zmieniła się z pustego zachodniego horyzontu na tętniące życiem południowe szlaki prowadzące do Drepanum. Dotarwszy do tego samego miejsca, galery za *Alissar* zaczęły odpadać o ułamek rumba, aby utrzymać pozycję za nią. Płynęły prędkością bojową, dopóki nie znalazły się na wysokości jej sterburty, a wtedy zwolniły do standardowej. Formacja szybko zmieniła się w szyk czołowy i Kartagińczycy wycelowali tarany w Rzymian.

Nisko wiszące chmury i słabe światło słońca zmniejszyły widoczność do niecałych pięciu mil, ale Hamilkar widział, że cała rzymska flota mieści się w tym promieniu. Przesunął po niej wzrokiem, wprawnie przeliczając okręty. Rzymianie dysponowali co najmniej trzydziestoma jednostkami więcej, ale zajmowali nader słabą pozycję.

Hamilkar podszedł do sternika i wskazując rzymską awangardę pod komendą Perennisa, wydał krótki rozkaz. Grek wywiódł swoje galery z wewnętrznego portu w czasie, który statkom Hamilkara zajęło przepłynięcie

wzdłuż Drepanum, i teraz był zajęty tworzeniem szyku obronnego. Barkas skinął ponuro głową. Perennis przewidział jego zwrot. Można się było tego spodziewać: wiedział, że Grek jest godnym przeciwnikiem. Jednak tylko on przewidział ten kontratak. Hamilkar z uśmiechem spojrział na rozproszone okręty ze środka rzymskiego szyku oraz jego południowej flanki, które wciąż zmierzały w stronę Drepanum. Poczł, że *Alissar* przechyla się lekko; sternik wypełniał jego rozkazy co do joty, utrzymując ją na kursie zbieżnym ze statkiem przewodzącym awangardzie. Klepnął go w ramię i odszedł sprawdzić, co z flotą z Gadiru. Szyk bojowy był niemal gotów, a galery poruszały się z prędkością standardową, gotowe przyspieszyć.

Barkas skoncentrował się na okręcie Greka. Czeką go tylko jedna szansa na atak, zanim będzie się musiał wycofać i przejąć dowodzenie nad całą potyczką. Nie było czasu na abordaż: bitwa była zbyt ważna, żeby nie dowodził osobiście. Jedno podejście do taranowania dostatecznie go zbliży. Wtedy uderzy.

– Niech to szlag, Baro! – krzyknął Attyk. – Daj im sygnał, niech zewrą szyk.

Baro skinął głową i pobiegł do sygnalistów stojących na dziobie, wymijając formację legionistów na głównym pokładzie. Attyk spojrział na szlaki prowadzące na zachód oraz szybko tworzący się szyk bojowy Kartagińczyków.

– Korinie, raportuj! – rzucił w stronę szczytu masztu.

Obserwator odwrócił się i obejrzał na pokład rufowy.

– Trzydzieści galer wciąż płynie za szykiem! – odkrzyknął. – Najwyżej pięć minut.

Attyk machnął ręką na znak, że przyjął raport, i z niepokojem zerknął na resztę rzymskiej floty na południe od awangardy. Szereg okrętów przedłużały wzdłuż wybrzeża jednostki Owidiusza, a dalej Scypiona; bezładna defensywa nabierała kształtu powoli, rzymscy kapitanowie szli za przykładem awangardy, podczas gdy zaledwie milę dalej Kartagińczycy tworzyli szyk bojowy ze straszliwą skutecznością. Attyk odwrócił się do sternika.

– Gajuszu? – powiedział, tym samym prosząc o jego wyważony osąd.

Sternik rozejrzał się na wszystkie strony, a jednocześnie manipulował rumplem, dokonując minimalnych korekt własnego natarcia. Popatrzył na Attyka.

– Naszą jedyną szansą jest ciasny szyk obronny – orzekł. – Kartagińczycy będą próbowali taranować i mają miejsce na to, żeby się wycofać, jeśli spróbujemy schwytać ich na haki i dokonać abordażu.

Attyk przytaknął. Nie widział alternatywy, a jego pierwszy rozkaz – aby utworzyć szyk wzdłuż wybrzeża – wciąż był w tej sytuacji najlepszy.

Wymienił z Gajuszem spokojne spojrzenia. Miarą lojalności sternika było to, że nie podał w wątpliwość ogólnej strategii ataku ani roli, jaką Attyk odegrał w jej

rozplanowaniu. Attyk nie rozmawiał o swoich zastrzeżeniach z żadnym z załogantów, ale wiedział, że Gajusz jest tego samego zdania. Rzymska flota po prostu nie była gotowa, a niekorzystna pozycja w nieuchronnej walce tylko pogłębi dysproporcję umiejętności dwóch stron.

Attyk czerpał siłę z wiary Gajusza i dzięki niej powściągnął narastający strach. Sztorm u południowego wybrzeża Sycylii kosztował flotę wiele statków i niezliczonych ludzi. Teraz na horyzoncie, w odległości niecałej mili, rysował się kolejny sztorm, burza stali i ludzi z linią szkwału złożoną z brązowych taranów, które nacierały na odsłoniętą i bezbronną rzymską flotę.

– Zbliżają się! – zawołał Korin ze szczytu masztu. – Oceniam, że z prędkością bojową.

– Załoga, przygotować się! – krzyknął Attyk. Wszyscy wydali z siebie ryk bojowy, patrząc na swojego dowódcę, który stał nieugięcie na pokładzie rufowym, a potem przenieśli uwagę na nadciągającego wroga. Attyk dostrzegł na głównym pokładzie Barona i przywołał go do siebie: w obliczu niebezpieczeństwa chciał puścić w niepamięć ich niedawną wrogość.

– Przechodzą do prędkości ofensywnej – krzyknął Korin – płyną w zwartej formacji.

– W zwartej formacji... – powtórzył pod nosem Baro.  
– Chcą dopilnować, żebyśmy się przez nią nie przebili.

Attyk kiwnął głową.

– Kto powiedział, że chcemy uciec? – zwrócił się do

zastępcy z krzywym śmiechem.

Baro nie odpowiedział, zirytowany bezczelną uwagą prefekta. Nie odrywał oczu od płynących w ich stronę statków wroga.

Przez nisko zawieszony chmury przebiły się włócznie światła, które sięgały morza, zmieniając kolor ogromnych połaci wody z szarego na niebieski. *Alissar* wpłynęła w jeden z takich promieni, a jej kadłub mknął po spokojnych wodach z prędkością ofensywną, nieco przewyższającą dwanaście węzłów. Był to dobry omen: spływał na nich blask Szapasz, bogini słońca, a Hamilkar wyszeptał krótką modlitwę dziękczynną, unosząc twarz, by poczuć na niej ciepło.

Na pokładzie głównym zbита grupa ludzi słuchała poleceń kapitana Himilkona. Wielu z nich kiwało ponuro głowami, zerkając na rzymski szyk, a na dźwięk ostatniej komendy rozeszli się na wyznaczone stanowiska. Himilko wrócił na pokład rufowy i zasalutował dowódcy.

– Przekazałem im twoje instrukcje – oznajmił.

Hamilkar kiwnął głową w odpowiedzi. Popatrzył w stronę dziobu i zobaczył, jak po pokładzie *Alissar* sunie w jego stronę linia cienia, gdy kwinkwerema wypływała poza promień słońca. Szapasz obdarzyła ich swoim błogosławieństwem. Odległe o niecałe trzysta kroków rzymskie statki kołysały się na szarych falach, a ich formacja wciąż była bezładna, nawet wśród galer dowodzonych przez Greka.

Hamilkar po raz ostatni przeanalizował swoją decyzję – wiedział, że wiele ryzykuje, aby zadać Perennisowi ten jeden cios, i martwił się, że osobista chęć zemsty odbiera mu zdrowy rozsądek – i szybko ją uzasadnił: Grek był jednym z najskuteczniejszych dowódców w rzymskiej flocie i jego utrata będzie miała spore znaczenie. Atak Hamilkara będzie szybki i brutalny, przypuszczony specjalnie po to, żeby zabić Greka, i Barkas mógł ufać Himilkonowi, że sprowadzi *Alissar* z powrotem na czołową pozycję, zanim potyczka na dobre się zacznie. Jego ostatnie wątpliwości się rozwiały i Hamilkar zwrócił się do kapitana, aby wydać komendę do związania wroga walką.

– Prędkość do taranowania.

Attyk przesunął wzrokiem po nadciągającej kartagińskiej formacji. Dzioby galer podnosiły się i opadały raz po raz, jak łby szarżujących w szeregu koni z oddziału jazdy. Wiedział, że rzymska flota powinna była wypłynąć do przodu, aby zetrzeć się z Kartagińczykami pośrodku zatoki i mieć więcej miejsca, ale wydanie tej komendy było niemożliwe. Wiele galer wciąż jeszcze nie zajęło pozycji, a szarża bezładnego szyku doprowadziłaby do całkowitego chaosu. Jakkolwiek było to niekorzystne, teraz ich jedyną szansę stanowił defensywny plan bitwy, w którym rzymskie galery pozostawały blisko siebie.

– Galera wroga na kursie taranującym!

– Prędkość bojowa, cała naprzód – Attyk zareagował

odruchowo na ostrzeżenie Korina.

Wioślarze utrzymywali *Orcusa* na pozycji – większość wiosł była zanurzona w wodzie – ale na rozkaz Attyka błyskawicznie zabrali się do pracy. Wszyscy słyszeli okrzyk Korina z masztu i wiedzieli, że jeśli wróg przedziurawi kadłub *Orcusa*, wszyscy przepadną razem z nim.

Attyk podbiegł do relingu. Natychmiast rozpoznał nadciągającą galerę.

– Barkas – mruknął. Wiedział, że ten celowy atak nie mógł być jedynie zbiegiem okoliczności, że dowódca wroga też zidentyfikował *Orcusa*. Jego dłoń opadła na rękojeść miecza. Rzymską flotę czekały ogromne przeciwności, ale oto nadeszła szansa na odcięcie wężowi głowy. Ta świadomość umocniła jego decyzję o zgładzeniu kartagińskiego dowódcy, z którym walczył już zbyt wiele razy.

Ważący sto ton kadłub *Orcusa* ruszył przed siebie straszliwie powoli; jego wcześniejszy bezwład stawiał opór wioślarzom.

– Steruj, jak uważasz, Gajuszu – rzucił przez ramię Attyk. – Poczekaj na zakręt.

Gajusz kiwnął głową i delikatniej ujął rumpel, ruszając lekko dłonią na boki i czekając na moment, aż impet kadłuba pozwoli mu kontrolować ster na tyle, żeby mógł szybko skrócić. W czasie, jaki zajmie kartagińskiej galerze pokonanie reszty odległości, *Orcus* mógł przesunąć się tylko o jedną długość, a Gajusz wiedział, że

na tak ograniczonej przestrzeni będzie miał tylko jedną szansę na to, żeby udaremnić próbę taranowania.

– Sto kroków! – zawołał Korin.

– Spokojnie... – powiedział Attyk właściwie do samego siebie, gdy wracał do steru. Całkowicie ufał Gajuszowi.

– Przygotować się do odparcia abordażu! – krzyknął Baro.

Załoga dobyła mieczy. Na komendę Druzusa legioniści poszli ich śladem.

– Pięćdziesiąt kroków...

*Hastati* unieśli swoje *pila*, gotowi do ataku.

– Skręca na sterburtę! – krzyknął gorączkowo Korin. Gajusz zareagował, zanim Attyk zdążył wypowiedzieć rozkaz, mocno przesuając rumpel, a *Orcus* skręcił na bakburtę, aby skontrolować natarcie. Attyk kiwnął głową. Gajuszowi się udało. Kartagińczycy nie będą już w stanie ściąć zakrętu i staranować ich. Będą musieli dokonać abordażu nad relingiem na dziobie i zdobyć całą długość pokładu, co dawało obrońcom większe szanse. Attyk dobył miecza i zaparł się nogami w przygotowaniu na zderzenie – stojący obok Baro zrobił to samo – Gajusz trzymał rumpel obiema rękami, a odstęp zmniejszył się do trzydziestu kroków, dwudziestu...

– Wciągają wiosła na pokład! – krzyknął nagle Korin z paniką w głosie. – Od sterburty... Chcą złamać nasze wiosła!

Gajusz i tym razem się nie zawahał, ale ponieważ



płynęli z prędkością bojową, nie mógł skręcić szybciej niż okręt nadciągający z prędkością do taranowania; jednostka Kartagińczyków wychyliła się na sterburtę na odcinku ostatnich dziesięciu kroków.

Przyglądając się temu zakrętowi, Attyk miał wrażenie, że czas płynie wolniej. Jego serce jakby przestało bić, ogarnięte falą przerażenia i furii. Idealny zwód Barkasa sprawił, że Attykowi wyrwał się na usta ryk wściekłego buntu, który przerodził się w rozpaczliwą komendę.

– Wycofać wiosła na sterburcie! Załoga, przygotować się na zderzenie!

Kartagiński taran uderzył dziób *Orcusa* od sterburty z taką siłą, że okręt niemal położył się na falach. Wszyscy załoganci upadli na pokład, maszt przechylił się o ponad trzydzieści stopni, a Korin zleciał ze szczytu; jego okrzyk urwał się, kiedy młodzieniec uderzył o wodę od sterburty.

Attyk podniósł się na nogi i podbiegł do relingu. Korin wyłonił się na powierzchnię wraz z dwoma innymi ludźmi, którzy wypadli za burtę, a Attyk z przerażeniem spojrzał na nadciągającą prosto na nich kartagińską galeryę. Pokład znów się zatrzęsł, tym razem dlatego, że dziobnica galery wroga uderzyła o wiosła na sterburcie. Trzask czteroipółmetrowych drzewc zagłuszyły okrzyki umierających wiosłarzy: uwięzione w dulkach kikuty kosiły skutych ludzi, zabijając wszystkich w swoim zasięgu.

Attyk wrócił biegiem do steru, desperacko chcąc

uratować Korina, jakoś skrócić zdewastowanym statkiem i zyskać cenną odległość po sterburcie. Gajusz już przesunął ster na burtę – wiosła po bakburcie ułatwiły wiraż – ale przy prędkości do taranowania kartagińska galera poruszała się zbyt szybko. Attyk ponownie spojrzął za reling, słysząc rozpaczliwe okrzyki Korina i pozostałych. Odwrócił się do Gajusza z desperacją w oczach, czując, że ogarnia go bezsilność. Całym sobą był skoncentrowany na tym, żeby uratować swój okręt oraz załogę, i nie zwrócił uwagi na nadciągające niebezpieczeństwo na pokładzie dziobowym kartagińskiej galery.

Hamilkar zatoczył się, biegnąc po pokładzie, gdy zderzenie z wiosłami rzymskiej galery zarzuciło *Alissar*. Panował ogłuszający hałas: krzyki umierających ludzi, trzask pękających drzewc, sporadyczne głuchoe odgłosy zderzających się kadłubów, które nie uspokoiły się jeszcze po pierwszej kolizji. W mgnieniu oka dotarł na dziób i obejrzał się na kapitana. Himilko stał przy sterze, wlepiając oczy w dowódcę i czekając na rozkaz, aby oddalić się od unieruchomionej rzymskiej galery i dołączyć do potyczki.

Pokład był usiany odłamkami roztrzaskanych wiosel, a kolejne opadły na Hamilkara, gdy znalazł się za grupą ludzi, którą ustawił na pokładzie dziobowym. Stali nieruchomo, z orężem gotowym do ciosu. Hamilkar przeniósł wzrok na rzymską galerę, której maszt rysował

się to dokładnie naprzeciw niego, to za nim. Na rufie wroga stali trzej mężczyźni. Hamilkar od razu rozpoznał wśród nich Perennisa: wydawał sternikowi rozkazy i spoglądał gorączkowo za reling od sterburty. Barkas uśmiechnął się zimno.

– Przygotować się! – przekrzyczał kakofonię.  
Jego ludzie podnieśli oręż.

Druzus stał niewzruszenie na drżącym pokładzie *Orcusa* na czele swojego oddziału, zapierał się nogami, żeby nie stracić równowagi, i zza podniesionej tarczy przyglądał się z morderczą miną przepływającej kartagińskiej galerze. Dla niego – żołnierza wyszkolonego i zaprawionego w walce twarzą w twarz, w której można było czuć zapach oddechu przeciwnika, a śmierć kładła się cieniem na każdego – bezkarne atakowanie wroga było wstrętne.

W wykorzystywanych podczas bitew morskich taktykach taranowania lub łamania wiosł nie było żadnego honoru: zadawało się wrogowi poważny, a nawet śmiertelny cios tylko po to, żeby odpłynąć, nie mierząc się z nim. Legiony postępowały inaczej i Druzus marzył o szansie związania Kartagińczyków walką, żywiąc nadzieję, że jeszcze dokonają abordażu i poznają smak oręża stojących za nim ludzi.

O jego tarczę uderzył odłamek wiosła. Dziób kartagińskiej galery minął go z prędkością biegnącego człowieka, a uwagę Druzusa natychmiast przyciągnęła

grupka ludzi na jej przednim pokładzie. Koncentrowali się na rufie *Orcusa*, a ich zamiary były jasne. Druzus się nie zawahał. Ruszył biegiem, krzycząc do swoich ludzi, aby za nim podążyli. Co bardziej czujni zareagowali błyskawicznie, a gdy puścili się pędem na rufę, kartagińska galera wyprzedziła ich wszystkich.

Mimo ogłuszającego hałasu Attyk usłyszał, że ktoś woła jego imię, i odwrócił się w stronę głównego pokładu. Druzus biegł w jego stronę z kilkoma ludźmi, a widoczna za nim reszta manipułu wyglądała na pogrążoną w chaosie, choć wielu już odwracało się, aby dołączyć do pędu na rufę. *Optio* wykrzykiwał jego imię, gorączkowo wskazując ręką coś po prawej Attyka, więc kapitan obrócił się błyskawicznie.

Pokład dziobowy kartagińskiej galery prawie zrównał się z jego pozycją i Attyk natychmiast zauważył zagrożenie, ciasną grupkę łuczników z napiętymi cięciwami i strzałami celującymi prosto w niego, Barona i Gajusza. Stojący za nimi Hamilkar już wlepił wzrok w Attyka. Zza gradu roztrzaskanych wiosł i ściany okrzyków dobiegających spod pokładu Attyk dostrzegł nienawiść emanującą z oczu Hamilkara i jego triumfalny, przewrotny uśmiech.

Attyk zareagował odruchowo: lewą ręką pchnął Barona na pokład, a z prawej wypuścił miecz i zwrócił się w stronę Gajusza, nie odrywając wzroku od Hamilkara. Dostrzegł otwarte usta wroga, wykrzykujące jeden rozkaz:

teraz.

Kartagińczycy jednocześnie wypuścili strzały, które z tak niewielkiej odległości pomknęły niemal płaską trajektorią, i Attyk natychmiast poczuł uderzenia w prawe ramię i nogę. Świadomość, że jest ranny, wywołała u niego przyływ przerażenia i stępiła jego zmysły, gdy pokład wywinął pod nim fikołka, a jego spojrzenie utkwilo w niebie koloru żelaza.

Kiedy uderzył o pokład, zabrakło mu tchu. Odczucia natarły na niego niczym fale rozbijające się nieustannie o staranowany kadłub: kłopoty z oddychaniem, odrętwienie ramienia i nogi, które ustąpiło przeszywającemu bólowi, narastającemu jak żar w piecu, okrzyki niepokoju, gdy niewidoczni ludzie podnieśli dookoła niego wrzawę, głuchoe odgłosy strzał uderzających o podniesione tarcze, które wdzierały się w nieprzerwany hałas.

Attyk przetoczył się na bok i krzyknął z bólu, kiedy drzewce strzały tkwiącej w jego ramieniu złamało się pod ciężarem jego ciała. Błyskawicznie podniósł dłoń do rany – krew pociekła mu między palcami – i zaczęło mu się robić ciemno przed oczami. Wydał z trzewi ryk sprzeciwu, odpychając od siebie mrok; wiedział, że musi przeżyć, że jego statek i załoga są w niebezpieczeństwie.

Uderzył zakrwawioną ręką o pokład i podparł się. Od razu zobaczył, jak Baro chowa się za ścianą tarcz ludzi Druzusa, a *optio* krzyczy, żeby *hastati* atakowali włóczyniami uciekającą galerę. Ten wściekły, beznadziejny rozkaz miał pozwolić im do pewnego stopnia się zemścić.

Attyk odwrócił głowę i poczuł falę nudności, którą też bezwzględnie stłumił. Spojrzał na rumpel, który huśtał się miarowo na tle szarego nieba, a potem opuścił wzrok na pokład i z pękającym sercem dostrzegł Gajusza najwyżej pięć kroków dalej. Sternik wytrzeszczał oczy z przerażenia i zakrwawionymi rękami ścisnął strzałę wystającą z jego szyi.

Zapominając o własnym bólu, Attyk przeczołgał się po pokładzie, patrząc tylko na Gajusza. Chwycił jego tunikę właśnie wtedy, kiedy sternik zaczął osuwać się na deski, i złagodził jego upadek. Gajusz utkwiał wzrok w Attyku. Otworzył usta, z których trysnęła krew. Spróbował coś powiedzieć, a jego oczy otworzyły się jeszcze szerzej, błagalnie, gdy słowa zamarły mu na wargach, zduszone krwią i straszliwą raną. Attyk położył dłoń na policzku Gajusza, kiwając lekko głową, jakby ze zrozumieniem, i sternik uspokoił się, a błagalny wyraz jego oczu zmienił się we wdzięczność, zanim śmierć odebrała im życie.

Hamilkar oglądał się przez ramię, gdy *Alissar* skręcała na pustych wodach za najbardziej wysuniętą na północ flanką rzymskich sił. Statek Greka dryfował bez celu; na sterburcie widać było kikuty połamanych wiosł, a przy relingu – ludzi machających dziko do *Alissar*, aby wróciła i wdała się w walkę. Ich zaczepki ucichły wraz ze zwiększającą się odległością, ale wciąż bolały Hamilkara. Jakaś część jego duszy chciała uderzyć jeszcze raz i

wedrzeć się na pokład statku Perennisa, zdobyć go jako przyz, zostać kapitanem, jak dawniej.

Odwrócił się i z powrotem przeciął pokład, rozmyślając o gorączkowych chwilach ataku, o momencie jasności tuż przed rozkazem do natarcia, kiedy Perennis spojrział mu w oczy. Przypomniwał sobie, jak strzały uderzyły Greka, przewracając go na pokład, oraz nagłe pojawienie się legionistów, których ściana tarcz uniemożliwiła Hamilkarowi potwierdzenie tego, czy Greka udało się zabić. Powtarzał ten moment w myślach raz po raz, za każdym razem coraz bardziej przekonany, że natarcie się powiodło, i z satysfakcją pozbył się wątpliwości dotyczących tej sprawy, wiedząc, że musi się skoncentrować na walce na większą skalę.

*Alissar* wykonała zwrot za kartagińskim szykiem bojowym, dając Hamilkarowi dogodny widok na potyczkę. Ani jeden rzymski statek jeszcze się nie przebił: zdyscyplinowane szeregi floty z Gadiru blokowały im drogę ucieczki. Południowa flanką była bardziej wystawiona na atak, ponieważ dysproporcja w liczebności pozwoliła niektórym rzymskim galerom pozostać poza siecią, ale Hamilkar zlekceważył tę stratę, uznając ją za nieistotną. Był pewien, że środek rzymskiego szyku jest uwięziony, a jego los nieodwracalny.

Miał zamiar nakazać swoim zastępom dalej ścisnąć środek szyku, aż się ugnie, wymusić kapitulację, która da mu łup w postaci przejętych galer, replik jego własnych pod każdym względem poza umiejętnościami załogi. Pod

Drepanum synowie Kartaginy dowiodą swojej wartości i przypieczetują swój tytuł do władzy nad morzami rzymską krwią.



## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Baro spojrział z niepokojem za kilwater *Orcusa*, gdy blask świtu rozjarzył morski krajobraz. Na północy nie widać było oznak kartagińskiego pościgu, a chmury rozpraszają się nad pustymi wodami. Strach jednak pozostał – nieprzerwane napięcie ostatnich dwudziestu czterech godzin nadszarpięło jego nerwy niemal do załamania. Baro mimowolnie ścisnął rumpel mocniej, zirytowany wolnym rytmem bębna dobiegającym spod pokładu. Mimo wyczerpania niedobitków wioślarzy żałował, że nie może narzucić większej prędkości.

Wrócił myślą do rozpaczliwej godziny po tym, jak kartagińska galera złamała wiosła na sterburcie *Orcusa*. Prefekt był poważnie ranny, sternik nie żył, więc Baro sam przejął dowodzenie: ponownie rozmieścił wioślarzy oraz wiosła pod pokładem i wyprowadził *Orcusa* na nowo w drogę, mając na celu tylko jedno – ucieczkę. Wyłamał się z północnej flanki, a za nim podążyły trzy inne rzymskie galery, z których jedna została wcześniej staranowana i nabierała wody. Przeklinał to towarzystwo, przekonany, że podczas gdy jeden okręt mógł się wymknąć, za grupą puści się pogoń, ale Kartagińczycy koncentrowali ataki na środku szyku i mała flotylla bez przeszkód oddaliła się od rzezi bitewnej, na zachód.

Teraz grupka w końcu zbliżała się do Lilybeum i Baro jeszcze raz rzucił okiem na pozostałe okręty.

Uszkodzona galera płynęła od sterburty. Załoganci uwiązali na kadłubie płócienny żagiel, spowalniając napływ wody, ale statek wciąż był mocno przechylony, a ludzie toczyli bezustanną walkę z oceanem: dwa łańcuchy żeglarzy wybierały wodę z ładowni. Inne okręty były nienaruszone, lecz poruszały się w tym samym tempie co ranne siostry, utrzymując pozycje na flankach. Osłona przeciwko wrogowi, który mógłby pokonać je w kilka chwil, pomyślał sardonicznie Baro.

Jego narastająca pewność siebie sprawiła, że nieświadomie zerknął na pokład pod rumplem, na los, który mógł spotkać i jego. Widniejąca tam plama krwi już czerniała, na stałe barwiąc deski, jakby *Orcus* chciał pamiętać swojego sternika. Baro wyrzucił ciało Gajusza za burtę w nocy; wciąż wtedy obecne niebezpieczeństwo pościgu zmusiło go do wyprawienia sternikowi jedynie symbolicznego pogrzebu. Odwrócił wzrok od naznaczonego krwią drewna, przypominając sobie atak i czując głęboko zakorzeniony gniew.

Greki uratował mu życie, pchnął go na pokład przed pierwszą salwą strzał, a ta myśl jeszcze pogłębiła jego furję. Baro uważał, że Perennis, dowódca statku, był oczywistym celem ataku, a on i Gajusz byli tylko pechowymi świadkami; sternik zapłacił za ten przypadek życiem.

– Lilybeum na kursie – zawołał obserwator, a załoga wzniosła wiwat. Ludzie na pozostałych galerach podchwycili okrzyk.

Baro jednak nadal kipiał wściekłością i wlepił wzrok w morze, mocno ściskając rumpel. Wciąż uważał Greka za swojego wroga, ale teraz zawdzięczał temu sukinsynowi życie, a ów dług był mu wstrętny. Gdy *Orcus* podpływał coraz bliżej do portu, Baro zaczął żywić nadzieję, że masakrę pod Drepanum przeżył jeszcze jeden człowiek.

Scypion dobył miecza płynnym ruchem i z furją ciął nim w dół, uderzając drewno grodzi z taką siłą, że klinga wbiła się w zahartowane belki na głębokość palca. Odgiął oręż na bok, usiłując go uwolnić, a kiedy już zupełnie stracił panowanie nad sobą, zaczął krzyczeć gniewnie. Nagle ostrze się złamało, a Scypion padł w tył. Odzyskał równowagę pośrodku kajuty, spojrzął z bezgranicznym gniewem na odłamana rękonoż i cisnął nią przed siebie. Metal odbił się z brzękiem od drewnianej grodzi i spadł na pokład.

Scypion wypadł z kajuty i pomaszerował na główny pokład *Poeny*, gdzie załoga zeszła mu pospiesznie z drogi, nie mając odwagi nawet spojrzeć na rozjuszonego konsula. Słońce, jakby kpiąc z niego, zdążyło wzejść i oświetliło żalosne niedobitki rzymskiej floty. *Poenę* otaczały dwadzieścia trzy statki z południowej flanki, która uciekła pod wodzą konsula, gdy bitwa pod Drepanum przemieniła się w całkowitą katastrofę.

*Poena* zajęła miejsce w szyku obronnym jako jedna z ostatnich galer. Kartagińczycy już zaangażowali się w

walkę, a Scypion szybko uświadomił sobie, że sytuacja jest beznadziejna: środek szyku był otoczony, a galery Owidiusza nigdzie nie było widać – rzymski prefekt uwiązał między brzegiem a niemożliwą do pokonania ścianą drewna i żelaza kartagińskiego szyku bojowego. Z czasem flanki Scypiona znalazłaby się w takim samym potrzasku, więc zarządził odwrót i porzucił straconych, aby ocalić tych, których mógł. Następnie rzucił się do ucieczki, która zakończyła się w środku nocy w Lilybeum. Dopiero wtedy Scypion zatrzymał się, aby ocenić straty. W ciszy poprzedzającego świt półmroku kajuty jego plany na przyszłość oraz myśli o chwale i sławie powoli się rozwiały.

Przeszedł na pokład dziobowy i przesunął wzrokiem po pozostałych galerach, a chłodny wiatr od morza uśmierzył nieco jego gniew, co pozwoliło mu się zastanowić. Popłynie do Rzymu. Był to jedyny wybór, jeśli chciał ograniczyć reperkusje klęski pod Drepanum. Zaczął rozmyślać nad tym, jak sformułować argument, który pozwoliłby mu zachować stanowisko konsula; wiedział, że z czasem może uda mu się uratować choćby pozory godności.

Bazując na latach doświadczenia, zdawał sobie sprawę, że sednem tego argumentu będzie rozdzielenie winy. Porażce towarzyszyła kara, a jeśli uda mu się przenieść odpowiedzialność za stratę na kogoś innego, być może spadnie na niego tylko część gniewu senatu. Zacznie od kolejnego przesłuchania Rodyjczyka.

Najemnik wielokrotnie był na płatnej służbie Rzymu. Wspominał, że Kartagińczycy przygotowują się do ataku. Te zeznania uzasadnią decyzję Scypiona o dokonaniu wyprzedzającego natarcia.

Ale co z potyczką? Rzymianie mieli przewagę liczebną nad Kartagińczykami. W czym zawiódł? Mógł obarczyć Owidiusza winą za utratę środka szyku albo Perennisa za to, że nie uwięził kartagińskiej floty w wewnętrznym porcie, ale obaj ci ludzie nie żyli i Scypion wiedział, że takie podejście zostałoby uznane za tchórzostwo: zrzuciłyby odpowiedzialność na ludzi, którzy nie mogli się bronić i oddali życie za Rzym. Musiał w jakiś sposób zdystansować się od winy.

Rozproszony okrzykiem ze szczytu masztu spojrział na północne szlaki prowadzące do zatoki. Galery opływały cypel i wielu załogantów wykrzykiwało ostrzeżenia o kartagińskim ataku; ich rozgorączkowane głosy rozdarły cienką zasłonę spokoju, ukazując ukrytą tuż za nią panikę. Scypion podszedł do relingu z obawą, ale dostrzegł, że to zaledwie cztery statki, a jego niepokój zamienił się we wstyd, gdy obserwator zidentyfikował je jako rzymskie jednostki.

Scypion patrzył, jak nadpływają powoli. Przedstawiały rozpaczliwy widok. Tylko dwa z nich były nienaruszone. Jeden z pozostałych przechylał się mocno na bakburkę, a ostatni... Rozpoznawszy bandery na szczycie jego masztu, Scypion zacisnął ręce na relingu. Uśmiechnął się zimno, czując w duszy pierwszą iskrę

pewności siebie po wielu godzinach rozpacz. Grek żył, a wraz z nim mogła przetrwać polityczna kariera Scypiona.

Gdy łódka zbliżyła się do *Orcusa*, Septymus podniósł wzrok na znajomą sylwetkę kwinkweremy. Sterburte znaczyły głębokie rysy, a wiele otworów na wiosła było uszkodzonych; odsłonięte drewno spod spodu kontrastowało z pociemniałym od morskiej wody kadłubem. Zajrzał w te otwarte rany i mignęły mu cienie oraz jaśniejsze tony nagich ciał wioślarzy, którzy ruszali się powoli, najwyraźniej wciąż zszokowani miazdzącym atakiem.

Septymus pokręcił głową i odwrócił wzrok. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zabierając ze sobą żar dnia, a Rzymianin rozkoszował się lekką bryzą mknącą po grzbietach fal. Zerknął na Druzusa, który siedział na dziobie niewielkiej łódki. Zgodnie ze swoją pełną rezerwy naturą centurion spoglądał obojętnie na brzeg. Septymus musiał powstrzymać lawinę niecierpliwych pytań, wiedząc, że zwięzłe odpowiedzi Druzusa tylko pogłębiłyby jego frustrację.

Druzus pojawił się w obozie legionistów godzinę wcześniej, oficjalnie zawiadamiając Septymusa, że Attyk został ranny w bitwie. Przybył osobiście, z własnej woli, a jednak poza tym, że powtórzył swój krótki raport, nie dał się wciągnąć w odpowiadanie na żadne z pytań, którymi natychmiast zasypał go Septymus. Skończyło się na tym, że Septymus porzucił wszelkie próby i czym prędzej

wyruszył na *Orcusa*.

Łódka trąciła kadłub, a Septymus wdrapał się na główny pokład. Galera była pogrążona w ciszy, która robiła wrażenie nienaturalnej, biorąc pod uwagę porę i liczbę ludzi na pokładzie. Pomaszerował szybko do głównej kajuty, przyjmując po drodze saluty legionistów i bez słowa kiwając głową tym, których rozpoznawał.

Wszedł do ciemnego, dusznego pomieszczenia, i natychmiast poczuł ulgę na widok Attyka leżącego na koi. Jego ramię i noga były zabandażowane, a skóra – blada i lśniąca od potu, ale wzrok miał przytomny i uśmiechnął się na widok Septymusa. Zmienił nieco pozycję, chcąc usiąść, ale czując mocny ból, syknął i znieruchomiał. Septymus przeciął kajutę, żeby mu pomóc.

– Spokojnie – powiedział z uśmiechem, pomagając Attykowi podeprzeć się wyżej na koi.

– Skąd... ? – zaczął Attyk.

– Druzus mi powiedział – odparł Septymus i cofnął się, żeby usiąść na jedynym krześle w kajucie.

Zapadła między nimi cisza; obaj nagle poczuli się niepewnie w swoim towarzystwie, myśląc o dzielącym ich konflikcie. Attyk odezwał się pierwszy, a minę miał zrozpaczoną.

– Gajusz i Korin nie żyją – powiedział.

– Jak to się stało? – zapytał Septymus.

Attyk zrelacjonował mu całą bitwę. Na to wspomnienie nerwowo zmienił pozycję na pryczy. Gdy walczył z bólem ran, coraz trudniej było mu oddychać.

– Barkas... – wycedził jadowicie Septymus, gdy Attyk skończył.

– Po prostu nie byliśmy gotowi – odparł Attyk i opowiedział Septymusowi o tym, jak ostrzegał Scypiona. Na dźwięk nazwiska konsula Septymus zmarszczył brwi.

– Jego kampania w Lilybeum zakończyła się całkowitą porażką, i na lądzie, i teraz na morzu. Z pewnością zostanie wezwany do Rzymu, aby odpowiedzieć za tę katastrofę.

– Już wydał rozkaz – odparł Attyk. – Niedobitki floty ruszają do Rzymu jutro z odpływem.

Septymus zastanowił się przez chwilę.

– Chce przedstawić porażkę w korzystnym dla siebie świetle – stwierdził. – W przeciwnym razie dlaczego z własnej woli stawałby przed senatem?

Attyk kiwnął głową; po otrzymaniu rozkazu Scypiona o powrocie do Rzymu sam doszedł do tego wniosku. Septymus wstał i zaczął krążyć po kajucie. Po chwili zatrzymał się i spojrzał na Attyka.

– Musisz na siebie uważać – oznajmił, a Attyk uniósł pytająco brwi. – Atak na wieże oblężnicze...

– Widziałem pożary z zatoki – powiedział Attyk, prostując plecy.

Septymus kiwnął głową.

– Ale być może nie słyszałeś, że Kartagińczycy zatrudnili do tego natarcia greckich najemników.

– Greków? – powtórzył zdumiony Attyk.

Septymus znów przytaknął i dokładnie zrelacjonował



Attykowi tę potyczkę, szczególnie to, że świetnie wyszkoleni greccy wojownicy całkowicie wytrzebili drugi manipuł. Potem opisał gniew legionistów Dziewiątego i to, jak wypędzili greckiego kupca z obozu.

Gdy Septymus zdawał mu sprawę z tego, co się stało, coraz bardziej rozgniewany Attyk przyglądał się centurionowi uważnie, szukając jakichś oznak, że aprobejuje on postępowanie swoich krajan. Nie zauważył żadnych i nagle zrobiło mu się wstyd, że tak nisko go ocenił.

– Obaj wiemy, jakim człowiekiem jest Scypion – powiedział Septymus. – Nie weźmie na siebie odpowiedzialności za porażkę. Z pewnością poszuka gdzie indziej, a ponieważ byłeś jednym z dowódców pod Drepanum, może próbować cię w to wplątać.

Attyk kiwnął głową z namysłem. Szczegółowo omówili porażkę pod Drepanum i ostatecznie doszli do wniosku, że Attyk w żadnym stopniu za nią nie odpowiadał.

– Ale zachowaj czujność – rzekł w końcu Septymus.  
– Scypion nie ustąpi bez walki.

– Bywaliśmy już w trudniejszych sytuacjach – stwierdził Attyk z krzywym uśmiechem i znów wdali się w długą rozmowę, tym razem wspominając bitwy, które stoczyli przez lata, i wspólnie pokonanych wrogów. Kiedy rozmawiali, smugi światła wpadające do kajuty powoli zmieniły kolor z białego na czerwony, a gdy Septymus znów się podniósł, było prawie ciemno.

– Muszę wracać do obozu – powiedział i klepnął Attyka po zdrowym ramieniu, ciesząc się, że przyjaciel nie jest poważnie ranny.

– Czy legiony utrzymają oblężenie? – zapytał Attyk.

– Wątpię, biorąc pod uwagę, że blokadę zakończono. Okolice za miastem są zakażone i nasi ludzie już zaczynają zapadać na gorączkę. Podejrzewam, że wycofamy się na wyższe tereny.

Attyk kiwnął głową i znów zapadła cisza; obaj przypomnieli sobie swoją poprzednią rozmowę i niemożliwy do rozwiązania konflikt, który spowodował przeniesienie się Septymusa do Dziewiątego. Attyk pomyślał o tym, że Septymus natychmiast przybył się z nim zobaczyć, kiedy dowiedział się o jego ranach, o bitwach i próbach, które razem przeszli, o braterstwie łączącym centuriona z Gajuszem i Korinem, z całą załogą *Orcusa* i z samym Attykiem.

Wyciągnął rękę, a Septymus bez wahania mocno ją uścisnął. Potem skinął lekko głową Attykowi i bez słowa opuścił kajutę.

Hamilkar poczuł dreszcz radości z nieuniknionego zwycięstwa, gdy *Alissar* opłynęła cypel na czele flotyli siedemdziesięciu okrętów, poruszając się narzucaną przez bęben prędkością ofensywną. Barkas wykrzyczał rozkaz do utworzenia szyku, sygnaliści przekazali komendę, a flanki szybko wysunęły się do przodu, aby formacja zajęła całą szerokość zatoki w Panormos i uwięziła zakotwiczony wewnątrz żałośnie mały oddział rzymskich

okrętów.

Poprzedniego dnia pod Drepanum Hamilkar schwytał dziewięćdziesiąt trzy galery. Tylko kilka umknęło na południe w wirze walki, ale Barkas pozwolił im uciec. Wiedział, dokąd płyną. Po potyczce pospiesznie zgromadził niedobitki rzymskiej floty, po czym zebrał niewielką grupę galer i zaciągnął dodatkowych żołnierzy ze swoich pozostałych statków w Drepanum, aby uzupełnić załogi wybranych statków; rwał się do dalszej walki, chciał utrzymać impet, który dało mu zwycięstwo. Ruszył na morze, biorąc ze sobą dwóch rzymskich kapitanów z zatrzymanej floty wroga w Drepanum, i skierował całą grupę na północ. Opłynął północno-zachodni skraj Sycylii w głębi nocy, pewien, że żadne ostrzeżenie nie przybędzie na ląd przed nim.

Ta pewność siebie była uzasadniona. Omiatając wzrokiem port, Hamilkar wiedział, że zaskoczył Rzymian w Panormos: dziesięć galer, które wypłynęły jego flocie na spotkanie, było w beznadziejnej sytuacji. Rozkazał lewej flance skrócić w stronę rzymskiej obrony i zająć się nią, dzięki czemu środek szyku i prawe skrzydło mogły ruszyć w kierunku brzegu za murami Panormos. Po dotarciu na miejsce miał zamiar wysłać swoich żołnierzy, aby rozpoczęli oblężenie miasta, a statki rozmieścić tak, aby zablokowały port. Chciał też uwolnić dwóch rzymskich kapitanów i przekazać ich garnizonowi, dzięki czemu obrońcy otrzymają wieści o całkowitej porażce Rzymu pod Drepanum z pierwszej ręki – Hamilkar

wiedział, że to osłabi ich determinację.

*Alissar* mknęła przed siebie, gdy lewa flanka starła się z Rzymianami. Barkas przyglądał się potyczce z poczuciem, że sprawiedliwości stało się zadość. Podczas nocnej podróży nie zmrużył oka: wolał otwartą przestrzeń pokładu rufowego niż ciasną kajutę. Szukał wśród gwiazd konstelacji przedstawiających kartagińskie bóstwa. Wyszeptał modlitwę dziękczynną pod adresem każdego z nich i miał wrażenie, że wyczuwa ich zadowolenie wywołane triumfem Kartaginy nad nieprzyjacielem, że to dzięki ich wstawiennictwu odniósł tak całkowite zwycięstwo. Była to boska kara za aroganckie lekceważenie, którym Rzym przywitał jego propozycję rozejmu.

Pierwsze galery floty Hamilkara dotarły do brzegu, a żołnierze zaczęli schodzić na ląd i tworzyć równe szeregi. Barkas spodziewał się, że będzie mógł wrócić do Drepanum w ciągu dwóch dni, zostawiwszy oblężenie pod nadzorem jednego ze swoich dowódców. Część rzymskiej floty uciekła do Lilybeum i być może już płynęła na dalsze, bezpieczniejsze rzymskie wody, ale Hamilkar uważał, że nie ma to większego znaczenia. Niezależnie od tego, czy flotę uda się przechwycić, czy już zdążyła ona umknąć, była zbyt słaba, aby stanowić zagrożenie. Lilybeum zatem znów było wolne i mogło przyjmować dostawy z Drepanum, aż Hamilkar będzie miał możliwość zaatakowania oddziałów oblegających je od lądu.

W tym celu, a także aby osobiście przekazać

wiadomość o swoim zwycięstwie Stu Czterem i Radzie Najwyższej, miał zamiar wrócić do Kartaginy. Przebieg wojny na Sycylii zdecydowanie obrócił się na jego korzyść. Kartagińczycy uratowali Lilybeum, wkrótce na powrót zajmą Panormos, i unicestwili rzymską flotę. Teraz nadszedł czas, aby w końcu odzyskać Agrigentum i wypędzić Rzymian z zachodniej Sycylii.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tłum rzucił się przed siebie, napierając na ustawionych u podnóża schodów legionistów, którzy trzymali *pila* równolegle do ziemi, tworząc solidną barierę. Centurionowie zaczęli krzyczeć na ludzi, aby się cofnęli, gdy grupa senatorów przeszła wszerz szczytu schodów w stronę wejścia do kurii. Nad cizbą poniósł się ryk, huragan wyzwisk i gniewu.

Niedobitki floty wróciły do Ostii ponad tydzień wcześniej, niosąc wieści, po których całe miasto wpadło w żałobę; porażka pod Drepanum nastąpiła tak szybko po stracie tak wielu podczas sztormu. Smutek szybko przemienił się w gniew na Kartagińczyków, którzy dopuścili się takiej rzezi, ale potem lud ogarnęła bardziej podstępna furia wobec dowódców Rzymu, którzy pozwolili, aby po katastrofie nastąpiła porażka. Senat wyczuł nastrój ludu i bojąc się jego gniewu, zadziałał: Scypion, starszy konsul i dowódca floty, miał zostać osądzony za *perduellio*, zdradę.

Proces ten przyciągnął tysiące na Forum, pod schody senatu, i kiedy do komnaty weszli kolejni senatorowie, znów podniosła się wrzawa. Ludzie byli niespokojni i zagniewani. Rzym nie ponosił porażek, nie tracił odwagi w obliczu wroga. Był pozbawiony skazy. Skazy mieli tylko ludzie, i z winy jednego z nich nad Rzymem zawisł cień zagrożenia. Lud domagał się za to wymierzenia

sprawiedliwości, kary. W ciszy, jaka zapadła potem, z senatu wyszedł mężczyzna i donośnym głosem przekazał stojącemu poniżej tłumowi ludzi wiadomość, która poniosła się po całym Forum. Proces się rozpoczął.

Scypion sięgnął do najgłębszych pokładów swojej samokontroli, żeby zachować obojętny wyraz twarzy, upokorzenie bowiem, jakim był dla niego proces, przekraczało wszelkie granice wstydu. Stał przed senatem niecały tydzień wcześniej, aby ogłosić porażkę poniesioną pod Drepanum, ale musiał przerwać zaplanowane przemówienie, ponieważ cały senat zaatakował go, kipiąc furią i zdumieniem. Opuścił siedzibę na fali wykrzykiwanych potwarzy, po czym następnego dnia otrzymał wiadomość, że czeka go proces za *perduellio*, za „szkodzenie potędze Rzymu”. Teraz zatem siedział samotnie na krześle przy mównicy, a na tej centralnej pozycji był całkowicie wystawiony na nienawistne spojrzenia trzystu senatorów.

Sytuację pogarszało to, że władzę przysługującą Scypionowi tymczasowo otrzymał młodszy konsul, Aulus Acyliusz Kajatynus. Na głównego oskarżyciela mianował on swojego patrona, Duiliusza, wystawiając Scypiona do walki przeciwko jego najbardziej zajadłemu wrogowi. Starożytni skazywali zdrajców na śmierć, ale Scypiona – jeśli zostanie uznany za winnego – czekało wygnanie, śmierć za życia, która położyłaby kres każdej jego ambicji i zniszczyłaby jego karierę polityczną. Senat był żądny

krwi i zemsty, a Scypion nie ufał nikomu innemu na tyle, żeby pozwolić mu mówić za siebie. Chciał sam siebie bronić, pokładając wiarę w swoje umiejętności oratorskie, w swoją pozycję przedstawiciela starożytnego patrycjuszowskiego rodu oraz w jedyny argument, który mógł go uratować: wyjawienie, kto był zdrajcą.

– Senatorowie Rzymu – zawołał ktoś. Scypion zobaczył, że Duiliusz opuścił swoje miejsce w pierwszym rzędzie. – Otrzymałem dziś doniosłe zadanie. Obarczył mnie nim mój konsul – Duiliusz skinął głową Kajatynusowi – oraz moje miasto, którego potęgę i bezpieczeństwo nieodwracalnie osłabił jeden człowiek, Gajusz Korneliusz Scypion Azyna.

Po senacie potoczył się gniewny pomruk i mówca uderzył o mównicę młotkiem, aby ponownie zaprowadzić spokój.

Duiliusz napotkał wrogie spojrzenie Scypiona; mimo jednoznacznych dowodów jego winy zachowywał czujność. Pomyślał o doniosłości swojego zadania jako oskarżyciela. To była jego szansa, aby w końcu usunąć ze swojego życia i z Rzymu człowieka, który nie myślał o niczym poza swoimi ambicjami, który dla własnych celów wielokrotnie naraził bezpieczeństwo miasta na szwank, którego występki były tak starannie ukryte, że nawet Duiliusz nie znał ich pełnej skali, a już z pewnością nie był w stanie przedstawić na nie żadnych dowodów. Przeciwno Scypionowi przemawiał tylko jego lekkomyślny atak pod Drepanum, a skazując go za tę



zbrodnię, Duiliusz przekreśli wszystkie wcześniejsze przestępstwa konsula i na zawsze wymaże je z historii Rzymu.

Duiliusz wezwał na pierwszego świadka kapitana *Poeny*. Człowiek ten nieustraszenie dowodził okrętem flagowym, ale składając zeznania, jękał się pod gniewnym spojrzeniem najpotężniejszego człowieka w Rzymie. Opowiedział, jak Scypion zbezcześcił prastary rytuał mający na celu potwierdzenie boskiej przychylności, a wielu starszych senatorów zachłysnęło się z niedowierzaniem, słysząc o tym jawnym i bezczelnym zlekceważeniu woli bogów. Samo to było występkiem zasługującym na skrajnie surową karę.

Duiliusz wezwał następnie pozostałych kapitanów, aby wypowiedzieli się na temat decyzji o wycofaniu południowej flanki i odwróceniu do Lilybeum, gdy szalała bitwa, ale Scypion wziął ich w krzyżowy ogień pytań i zmusił wszystkich do przyznania, że kiedy wydał ten rozkaz, sytuacja była już absolutnie beznadziejna. Duiliusz skinął mu głową na znak zgody, chcąc nieco uspić jego czujność, a konsul odpowiedział na ten gest zimnym uśmiechem. Duiliusz dopiero wtedy wezwał swojego ostatniego świadka.

Attyk pokuśtykał na miejsce, ignorując spojrzenia i szepty wszystkich zgromadzonych. Wzrok i uwagę koncentrował na Scypionie, ponieważ wiedział, że to najbardziej jadowity wąż w tym gnieździe.

Doskonale pamiętał ich ostatnie spotkanie w tym

samym pomieszczeniu, to, jak Scypion pokonał go w dyskusji, i teraz zerknął kątem oka na Duiliusza, czerpiąc siłę z jego obecności. On i Duiliusz gruntownie się przygotowali, przewidzieli każdy kontrargument Scypiona i każdą jego potencjalną linię obrony. Attykowi pozostało teraz jedynie zadać ostatni, śmiertelny cios; kiedy senatorowie się uspokoili, pozbył się ostatnich wątpliwości.

Duiliusz szczegółowo opisał czyny Attyka podczas wojny z Kartaginą, jego dowodzenie okrętem flagowym pod Myle, awans na prefekta w nagrodę za waleczność pod Eknomos, udział w zwycięstwie pod Przylądkiem Hermajskim. Senatorowie słuchali w milczeniu, a wielu z nich nadstawiło ucha dopiero wtedy, gdy Duiliusz zakończył wprowadzenie i przystąpił do przepytywania Attyka.

– Prefekcie, czy możesz odtworzyć rozmowę, którą odbyłeś z konsulem w wieczór poprzedzający bitwę?

– Ostrzegłem go, że flota nie jest jeszcze gotowa na otwartą, ofensywną potyczkę.

– Nie jest gotowa? – powtórzył Duiliusz, podnosząc głos ponad pomruki zaskoczenia.

– Po utracie kruka wróg ma nad nami przewagę w kwestii umiejętności żeglarskich. Jediną szansą jest dla nas wyszkolenie żeglarzy w taranowaniu, a legionistów w abordażu.

– Nasza flota nie zna jeszcze tych taktyk? – zapytał Duiliusz. Zerknął na Scypiona, zastanawiając się,

dlaczego nie przerwał im i nie zakwestionował opinii Attyka na temat taktyki na morzach. Nie była ona popularna i stanowiła jedyny słaby punkt ich ataku.

– Nie – odparł spokojnym tonem Attyk, też zdumiony, że jego starannie przygotowana odpowiedź na sprzeciw, którego spodziewali się po Scypionie, nie była potrzebna. – Flota nie była gotowa, a ja jasno dałem to konsulowi do zrozumienia.

– Dziękuję, prefekcie – odpowiedział Duiliusz i rzucił senatorom spojrzenie pełne milczącej, lecz wyraźnej krytyki tego, jak lekkomyślnie Scypion odrzucił ostrzeżenie Attyka. Wielu z obecnych pokiwało głowami, zerkając na konsula z potępieniem, już podjąwszy decyzję co do jego winy.

Scypion wstał wśród narastającej wrzawy i spojrzał na przewodniczącego. Starszy mężczyzna uderzył młotkiem o mównicę i na powrót zapadła cisza, choć wciąż dały się słyszeć szepty: senatorowie omawiali między sobą dowody.

– Prefekcie – zaczął bezceremonialnym tonem Scypion – kto według ciebie był obecny, gdy rzekomo wystosowywałeś to ostrzeżenie?

Zgodnie z radą Duiliusza Attyk zignorował sceptyczny podtekst pytania Scypiona.

– Ty i prefekt Owidiusz – odpowiedział.

– A skoro Owidiusz nie żyje – rzekł Scypion – senat ma tylko twoje słowo na to, że kiedykolwiek mówiłeś coś takiego.

Na to oskarżenie o krzywoprzysięstwo wiele głosów podniosło się z gniewem, a Duiliusz podszedł do przodu.

– Prawdomówność prefekta jest poza wszelką wątpliwością – powiedział.

Scypion uśmiechnął się zimno.

– Doprawdy? – zapytał i odwrócił się plecami do Attyka. – Gdzie się urodziłeś, Perennis?

– W Lokrach.

– A zatem twoi przodkowie nie pochodzą z Rzymu – skomentował Scypion cokolwiek oskarżycielskim tonem.

– Są Grekami – powiedział z dumą Attyk. Nie miał zamiaru dać się sprowokować tej próbie oczernienia go, wciąż zdumiony tym, jak bezpodstawny jest atak konsula.

Duiliusz znów się zbliżył.

– Lojalności prefekta względem Rzymu także nie można zakwestionować. Sądzę, senatorowie, że konsul podjął daremną próbę splamienia w jakiś sposób honoru prefekta w nadziei, że umniejszy to znaczenie jego obciążających zeznań.

W komnacie rozbrzmiały pomruki zgody, ale Scypion nie zwrócił na nie uwagi. Był gotów do zadania decydującego ciosu: do wezwania własnych świadków, dwóch ludzi, których dokładnie przepytął po Drepanum. Dzięki łasce Fortuny ujawnili oni pomyślne wiadomości, które mogły go jeszcze uratować.

– Mówisz, że lojalności prefekta nie można zakwestionować? – rzucił pytanie pod adresem senatu, a potem skinął głową w stronę wejścia do siedziby.

Kalikst i Baro weszli i stanęli tak, żeby wszyscy mogli ich zobaczyć. Scypion przedstawił Barona, a potem Kaliksta, nazywając go Rodyjczykiem; wspomniał, że jest on najemnikiem na płatnych usługach Kartaginy w Lilybeum, ale w przeszłości zasłużył się także Rzymowi. Attyk nie odrywał wzroku od swojego zastępcy, a jego początkowy szok szybko ustąpił podejrzliwości, a potem urazie, że spotykają się w takich okolicznościach.

– Baro – zaczął Scypion, a cały senat słuchał teraz z zainteresowaniem. – Opowiedz nam, jak ten człowiek, Rodyjczyk, przełamał się przez blokadę w Lilybeum.

Baro szczegółowo opisał to wydarzenie, wspominając, jak Rodyjczyk prześlizgnął się przez blokadę po raz pierwszy, oraz że spodziewali się, iż ostatecznie spróbuje uciec. Zrelacjonował końcową pogoń, której przewodził *Orcus* wyprzedzany przez galerę Rodyjczyka tylko o jedną długość okrętu, po czym zakończył starannie przygotowanym potępieniem.

– Toczyliśmy pościg przy pełnej prędkości i właśnie mieliśmy dopaść jego statek, kiedy prefekt rozkazał nam się wycofać – podsumował.

– Bo nie mogliśmy wpłynąć za nim na mielizny – zaprotestował gniewnie Attyk, nie spuszczając wzroku z zastępcy.

– Tak przynajmniej powiedziałaś wtedy swojej załodze – wtrącił Scypion.

– Stoi tu teraz – powiedział Duiliusz, wskazując Rodyjczyka. Usiłował uniknąć pułapki, której nie był w

stanie przewidzieć. – Możemy go zapytać, czy Perennis miał rację.

– Mam do tego człowieka tylko dwa pytania – skwitował Scypion i zwrócił się do Kaliksta. – Kto był na pokładzie twojego statku, kiedy uciekłeś?

– Hamilkar Barkas – odparł Kalikst. – Głównodowodzący Kartagińczyków.

– Dokąd go zabrałeś?

– Do Drepanum.

Senatorowie zachłysnęli się jak jeden mąż, a Scypion odwrócił się do nich szybko.

– A stało się to ledwie kilka godzin przed tym, jak grecki oddział zaatakował nasze wieże oblężnicze, mordując wielu naszych walecznych legionistów... co więcej, Grecy ci byli na usługach Kartagińczyków.

Wielu senatorów odruchowo spojrzało na Attyka, jedyne go obecnego Greka.

– Następnie głównodowodzący Kartagińczyków, człowiek, który później przewodził ich flotą pod Drepanum, prześlizgnął się przez naszą blokadę – ciągnął Scypion. – Do jego ucieczki przyczynili się inni Grecy, którzy mieli w sakwach złoto wroga. Sam zastępca Perennisa potwierdza, że Hamilkara Barkasa można było pojmać, gdyby Perennis nie przerwał pościgu, w który podobno się puścił.

– Nikt nie wiedział, że Barkas był na tym statku! – krzyknął Attyk, spoglądając na Duiliusza, który robił wrażenie oniemiałego rozumowaniem Scypiona.

– A kiedy Perennis dowodził awangardą pod Drepanum – mówił dalej Scypion, jeszcze głośniejszym głosem, jakby Attyk się nie odezwał – nie udało mu się uwięzić kartagińskiej floty w wewnętrznym porcie, co pozwoliło jej uciec i nas pokonać.

– Ten atak był od początku skazany na porażkę! – zawołał Attyk i podszedł bliżej, aby stanąć twarzą w twarz ze Scypionem, nie mogąc pohamować gniewu.

– Ponieważ byłeś w zмовie z wrogiem! – wrzasnął Scypion.

W senacie wybuchła kakofonia gniewnych głosów, a tym razem nie wszystkie skierowane były pod adresem konsula.

Attyk odwrócił się do senatorów, ogarnięty obrzydzeniem, spowodowanym nie tylko bezpodstawnymi oskarżeniami Scypiona, ale też tym, że znalazł wśród nich chętnych słuchaczy.

– Dosyć! – Duiliusz odzyskał rezon. – Te oskarżenia są całkowicie nieuzasadnione.

– Mamy na to słowo Barona – wytknął mu Scypion.

– Słowo podwładnego przeciwko słowu zwierzchnika – odparł Duiliusz.

– Słowo Rzymianina przeciwko słowu cudzoziemca, Greka, którego lud Rzymianie pokonali zaledwie pokolenie temu. Czy mamy teraz wierzyć, że ten sam lud jest lojalny względem tych, którzy podbili ich ziemię?

– A co z odwagą, którą prefekt wykazał się pod Eknomos, albo ranami, które odniósł pod Drepanum z ręki

samego Barkasa? – zapytał Duiliusz.

– Odważny czyn pod Eknomos, z którego uszedł bez szwanku – odciął się Scypion. – A kiedy Barkas zaatakował Perennisa pod Drepanum, nie był mu już potrzebny. Zwycięstwo Kartagińczyków było już wtedy pewne. Ta rasa nie zna honoru: dlaczego Barkas nie miałby zabić Perennisa i zaoszczędzić brudne pieniądze, które obiecał mu zapłacić?

Duiliusz już miał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język. Scypion miał odpowiedź na każde stawiane mu pytanie, a wszystkie one były spowite w półprawdy i insynuacje, i coraz bardziej ich pogrążały. Dostrzegł, że senatorowie się wahają, a co gorsza, wielu z nich patrzyło na Attyka z jawną wrogością. Pozostał mu jedynie atak; musiał skierować ich uwagę z powrotem na Scypiona i zakończyć proces.

– Senatorowie – krzyknął, zerkając na Attyka – jesteście właśnie świadkami niehonorowego ataku na człowieka, który znakomicie przysłużył się temu miastu, którego lojalność jak dotąd nie tylko nie była kwestionowana, ale wręcz wielokrotnie nagradzana przez jego zwierzchników. Może i nie jest z Rzymu, ale z pewnością jest bardziej Rzymianinem niż Scypion Azyna, który sprowadził klęskę na to miasto nie raz, lecz dwa razy. Dalsze wysłuchiwanie tych podłych zarzutów przynosi wstyd nam wszystkim, więc wzywam senat, aby przeprowadził teraz głosowanie w sprawie jego winy, zanim jego zdrada nas splami.



Po słowach Duiliusza wybuchła wrzawa: senatorowie dalej spierali się między sobą, a wielu wykrzykiwało pod adresem głównych bohaterów wydarzeń, stojących pośrodku komnaty. Przewodniczący zaczął walić młotkiem i powoli udało mu się zaprowadzić namiastkę spokoju. Szybko zarządził głosowanie, kładąc tym, którzy uważali oskarżonego za winnego, podnieść ręce. Dwie trzecie z trzystu senatorów tak zrobiło, skazując Scypiona przewagą głosów, a hałas wzmógł się na nowo, gdy przewodniczący szykował się do ogłoszenia wyniku.

Czując się tak, jakby stał w oku cyklonu, Attyk przesuwając wzrokiem po tłumie, wyłapując w nim liczne wrogie twarze skierowane w jego stronę. Scypiona skazano, ale nie jednomyślnie, a Attyk wiedział, że każdy głos w obronie Scypiona oznaczał senatora, który wierzył w jego oskarżenia. Ta myśl wzbudziła w nim odrazę i mimo jego woli obudziła się w nim zajadła nienawiść – nie do Scypiona, nie do senatorów, nie wobec uprzedzeń otaczającego go społeczeństwa, ale względem wszechogarniającego zła, jakim był sam Rzym.

Podszedł do przodu, bez słowa wymijając Duiliusza, który też wyglądał na pogrążonego w myślach; podzielone zdania senatorów zepsuły mu radość ze zwycięstwa. Spojrzał na Barona, który gapił się na niego wzrokiem pełnym w końcu ujawnionej nienawiści, a na jego miejscu zobaczył niezliczonych – jak się wydawało – Rzymian, którzy patrzyli na niego w ten sam sposób, aż w końcu odwrócił się do człowieka, do którego się zbliżał:

Scypiona.

Konsul, podobnie jak Duiliusz, wlepił wzrok w senatorów, a jego niemal pozbawiona wyrazu twarz zdradzała zaledwie cień pewnej emocji, która, jak miał nadzieję Attyk, była rozpaczą. Attyk stanął obok niego, niezauważony w całym tym zamieszaniu, a jego nienawiść do Rzymu skupiła się na stojącym obok niego potomku tego miasta. Scypion uświadomił sobie jego obecność i odwrócił się do niego, całkowicie tracąc już panowanie nad swoją mimiką.

– Zakwestionuj mój honor jeszcze raz, a cię zniszczę – powiedział Attyk, odwzajemniając wrogie spojrzenie Scypiona, po czym ruszył do wyjścia.

– Ta walka jeszcze się nie skończyła, Greku. – Scypion wycedził ostatnie słowo z obrzydzeniem.

Attyk dopadł Scypiona i chwycił go za szyję, dusząc go powoli i patrząc mu prosto w oczy. Twarz konsula poczerwieniała pod żelaznym uściskiem Attyka. Ktoś bezceremonialnie chwycił Greka od tyłu, odrywając go od konsula, który się zatoczył, a Attyk okręcił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z Baronem. Uderzył go przedramieniem w twarz i zaboląła go od tego rana na piersi, ale Baro upadł na podłogę; Grek ponownie odwrócił się do Scypiona, który stał z ręką przy gardle, a twarz miał poczerwieniałą z gniewu.

– Śmiałeś uderzyć konsula Rzymu? – zapytał zachrypniętym głosem.

– Nie jesteś już konsulem. – Attyk zrobił krok do

przodu, na co Scypion odruchowo się cofnął. – Jesteś niczym, wygnańcem... i zostałeś pokonany.

Ruszył w stronę wyjścia, przyciskając dłoń do rany na piersi i ignorując nieprzerwaną wrzawę panującą w siedzibie senatu.

– A kim ty jesteś, Perennis? – krzyknął kpiąco Scypion, utrzymując widmo całkowitej porażki z dala rozpaczliwymi szyderstwami. – Co ty nazywasz domem? Kim jesteś, jeśli nie wygnańcem?

Attyk usiłował nie zwracać na niego uwagi, zmęczony do głębi duszy, ale kiedy wydostał się poza kolumnadę przy odrzwiach kurii, te pytania zaczęły drażnić jego umysł. W obliczu jego coraz większej pogardy wobec Rzymu odpowiedzi na nie były aż nadto oczywiste.

Duiliusz wyszedł pospiesznie z senatu za Attykiem. Widział przepychankę kątem oka – odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć, jak Grek wymierza cios swojemu zastępcy i konfrontuje się ze Scypionem, po czym wychodzi. Duiliusz zareagował szybko, wiedząc, że zażarta debata będzie trwała dalej. Fakt, że głosowanie się już odbyło, a jego rezultat nie mógł być zakwestionowany, nie złagodził gniewu po obu stronach konfliktu. Scypiona skazano: był skończony. Duiliusz ledwo rzucił na niego okiem, kiedy go wymijał, zlekceważył też Barona, który siedział na podłodze i obejmował dłonią zakrwawiony, złamany nos.

Zatrzymawszy się na zewnątrz, szybko dostrzegł Attyka kuśtykającego po schodach. Zgromadzeni ludzie witali werdykt wiwatami, podnosząc twarze z radością, a Duiliusz obrzucił ich pogardliwym spojrzeniem. Była to tłuszcza, niezdyscyplinowana horda, której kapryśny gniew łatwo rozpraszał się w obliczu iluzji sprawiedliwości. Niezależnie od tego, jak bardzo cieszył on Duiliusza, wyrok skazujący Scypiona nie unieważniał ogromnej straty galer i ludzi poniesionej pod Drepanum. Według Duiliusza sprawiedliwości stałoby się zadość wyłącznie, gdyby Scypiona nieodwołalnie zniszczono po jego porażce pod Liparą, tak aby nigdy potem nie objął dowodzenia nad flotą na stanowisku konsula Rzymu. Teraz było już zbyt późno, straty były nieodwracalne. Duiliusz oderwał wzrok od tłumu i pobiegł za Attykiem do podnóża schodów.

Greki będzie musiał opuścić Rzym, pomyślał Duiliusz, przynajmniej na kilka miesięcy, aż echo oskarżeń Scypiona ucichnie. Jego argumenty przekonały zbyt wielu senatorów i Duiliusz musiał przyznać, że nawet on przez moment miał wątpliwości, a dostarczone nagle przez Scypiona dowody – choć fałszywe – brzmiały przekonująco. Attyk był w niebezpieczeństwie. Udział greckich najemników w ataku na Lilybeum stanowił obciążający związek, który rzucał na niego cień i mógł doprowadzić do osobnego procesu o zdradę, a choć Duiliusz był pewien niewinności Greka, dobrze wiedział, że nie wszyscy podzielają jego opinię.

Duiliusz mógł zapewnić Attykowi ochronę przed reperkusjami tylko z dala od Rzymu, poza bezpośrednim zasięgiem senatu. Chciał namówić Kajatynusa, obecnego starszego konsula, aby tłumiał wszelkie debaty na ten temat, wiedząc, że z czasem senatorowie o wszystkim zapomną i zajmą się innymi sprawami. Wojna trwała, a zwycięstwo było teraz dalej niż kiedykolwiek. Potrzebował jeszcze tylko zgody Attyka. Przepchnął się przez resztę tłumu, nie odrywając wzroku od idącego kilka kroków przed nim Greka. Zawołał go, a Attyk się odwrócił.

Duiliusza całkowicie zbił z tropu morderczy wyraz jego twarzy. Gniew był zrozumiały, ale Duiliusz dostrzegł coś jeszcze, coś głębiej zakorzenionego: Attyk wyglądał, jakby wszystko, na co patrzył, było mu wstrętne.

– Attyku – zaczął powoli, strapiiony miną prefekta – wiem, że jesteś wściekły, ale nie mogliśmy przewidzieć ataku Scypiona na ciebie.

– To nie o jego atak chodzi – odparł zajadle Attyk – ale o to, jak szybko i łatwo przekonał wielu senatorów, że jestem zdrajcą.

– Porażka pod Drepanum wytrąciła ich z równowagi – powiedział Duiliusz. – Stanowili łatwy cel dla kłamstw Scypiona. Wkrótce o tym zapomną, ale tymczasem powinieneś opuścić Rzym. Zawiadomię cię, kiedy bezpiecznie będzie wrócić.

– Wraz z odpływem ruszam do Brolium – odparł zimnym tonem Attyk. – Ale...

Powstrzymał się przed wyznaniem, że nie wróci: nie chciał wysłuchiwać tego, co Duiliusz miałby do powiedzenia w obronie Rzymu. Te puste argumenty nie załagodziłyby jego nienawiści. Twarz Duiliusza zdradzała lekkie zaskoczenie, jakby senator spodziewał się, że Attyk odrzuci jego prośbę o opuszczenie miasta. Duiliusz wyciągnął rękę, a Attyk uściśnął ją zdawkowo, nie słysząc ostatnich słów pożegnania senatora. Odwrócił się i odszedł, myśląc już tylko o swoim statku oraz pustym horyzoncie na południu; podjął postanowienie, że jeśli los na to pozwoli, jego noga więcej nie postanie w Rzymie.

Hamilkar krążył po małym przedsionku przed wejściem do komnaty spotkań Rady Najwyższej, z niecierpliwością nieustannie odwracając się w stronę drzwi. Wezwano go niespodziewanie godzinę wcześniej tylko po to, aby kazać mu czekać, ale ponieważ nie wiedział, o co chodzi, był coraz bardziej niespokojny. Zatrzymał się i znów zaczął nasłuchiwać, wstrzymując oddech w ciszy przedsionka. Docierały do niego podniesione gniewnie głosy, ale ponieważ tłumili je ciężkie dębowe drzwi, nie rozumiał pojedynczych słów ani nie wiedział, kto je wypowiada.

Przybył do Kartaginy pięć dni wcześniej i ogłosił swoje zwycięstwo – przy burzliwym aplauzie – Stu Czterem, a także Radzie Najwyższej, u której jego słowa wywołały mieszaną reakcję. Nowo wybrany sufet Hannon wraz ze swoją facją zachował się powściągliwie, podczas

gdy Hazdrubal i jego stronnicy wysłali na ulice heroldów, aby rozgłosili jego triumf i dopilnowali, żeby każdy Kartagińczyk wypowiadał imię Hamilkara z dumą i radością.

Nagle w komnacie spotkań rozległ się donośniejszy głos i zapadła cisza, a Hamilkar wlepił wzrok w drzwi. Otworzył je Hazdrubal i wezwał syna gestem do środka; minę miał przybitą i nie był w stanie spojrzeć Hamilkarowi w oczy. Młodzieniec wszedł do pomieszczenia i stanął na środku, twarzą do rady. Hannon siedział na tronie sufeta dokładnie przed nim.

– Rada postanowiła – zaczął Hannon, nie wyświadczając Hamilkarowi uprzejmości przywitania go – że flota z Gadiru ma natychmiast wrócić do Iberii, natomiast greccy najemnicy zostaną wycofani, a kontrakt z nimi zakończony.

Hamilkar zaniemówił. Zerknął na ojca, ale Hazdrubal mógł jedynie obojętnie odwzajemnić jego spojrzenie, ponieważ jego własne argumenty już trafiły w próżnię.

– Ale co z kampanią? – zapytał Hamilkar. – Czy te siły zostaną zastąpione innymi?

– Nie – odparł drwiąco Hannon. – Kampania jest zakończona. Rzymianie przegrali, a szlaki morskie dookoła Sycylii są bezpieczne. Nie ma powodu, aby przeznaczać jakiegokolwiek jeszcze środki na tę zapomnianą przez bogów wyspę.

– Ale mamy szansę odzyskać utracone terytoria, odzyskać Agrigentum – zaprotestował Hamilkar. –

Gdybyś dał mi ludzi i galery...

Hannon podniósł rękę, żeby go uciszyć, a jego twarz nabrała nagle wrogiego wyrazu.

– Rada podjęła decyzję, Barkas – powiedział. – Ta sprawa jest zakończona, a ja zamykam obrady.

Wielu radnych wstało natychmiast. Część podeszła do Hannona, który wciąż siedział, a inni od razu wyszli z komnaty, wymijając Hamilkara i nawet na niego nie zerkając. Hazdrubal podszedł do syna, wziął go za ramię i poprowadził pod ścianę.

– To koniec, Hamilkarze – powiedział. – Wiedzieliśmy, że ten dzień nadejdzie.

– Ale co z pozostałymi radnymi? – zapytał Hamilkar.  
– Co z ich poparciem dla sycylijskiej kampanii?

– Dziewięciu z dwunastu zagłosowało przeciwko kontynuowaniu wojny z Rzymianami. Jestem odosobniony w swoich poglądach, a Hannon zastraszył tych, których można byłoby przekonać. Władza sufeta jest zbyt wielka, aby ją podważyć.

Hazdrubal zerknął przez ramię na Hannona.

– Chodź – powiedział do Hamilkara. – Musimy iść.

Hamilkar strząsnął rękę ojca.

– Chcę sam porozmawiać z Hannonem – oznajmił, patrząc na sufeta.

Ostatni z radnych już wychodzili i pomieszczenie było prawie puste. U boku Hannona został tylko jeden mężczyzna, który rozmawiał z nim przyciszonym głosem.

– Nie – odparł Hazdrubal. – Nie możesz doprowadzić



do konfrontacji z nim.

– Muszę – syknął Hamilkar i wrócił na środek komnaty, znów stając przed tronem sufeta.

Hannon dostrzegł go i odprawił ostatniego radnego ruchem ręki, a ten szybko wyszedł. Hazdrubal zamarł na chwilę, patrząc na plecy syna. Nie mógł go odciągnąć – Hamilkar był panem samego siebie – więc i on opuścił salę, zamykając drzwi i zostawiając syna sam na sam z najpotężniejszym człowiekiem w Kartaginie.

– Dlaczego? – zapytał Hamilkar.

– Ponieważ leży to w mojej gestii – powiedział z prostotą Hannon, rozkoszując się spełnieniem swojej żywionej od dawna ambicji.

– Ale jeśli uderzymy teraz, możemy ostatecznie odebrać Rzymowi Sycylię – zaprotestował Hamilkar.

– Już ci mówiłem, Barkas, nie dbam o Sycylię – odparł Hannon. – Przyznaję, że Lilybeum jest ważnym ośrodkiem handlowym dla Kartaginy, i dla jego obrony zgodziłem się na użycie floty z Gadiru, ale nie chcę od tej wyspy niczego więcej. Wojna z Rzymem nadszarpuje nasze zasoby już od zbyt dawna, i w jakim celu? – Urwał i obrzucił Hamilkara ostrzejszym spojrzeniem, po czym uśmiechnął się kpiąco. – Żebyś mógł zapisać swoje nazwisko w annałach?

– Sądzisz, że chcę Sycylii dla własnej chwały? – zapytał z niedowierzaniem i gniewem Barkas. – I chcesz zakończyć kampanię tylko po to, żeby udaremnić te aspiracje?

Hannon zaśmiał się z drwiną.

– To nie było nic osobistego, ty młody głupcze. Może i gardzę tobą za twoją lekkomyślną ambicję i tępy opór, ale nie dlatego kończę kampanię na Sycylii. Lilybeum jest bezpieczne, a Panormos wkrótce trafi w nasze ręce. Na tej wyspie liczą się porty, a gdy te dwa znajdą się pod naszą kontrolą, szlak handlowy wzdłuż północnego zachodu wyspy będzie bezpieczny. Nie pozostaje nam nic do osiągnięcia. – Wstał i podszedł do Hamilkara, a jego twarz znów spoważniała. – Moja lojalność względem Kartaginy jest równie głęboko zakorzeniona jak twoja, Barkas, może nawet głębiej, wbrew temu, co myślisz. Sądzę, że przyszłość tego miasta leży w Afryce, nie na jakiejś wyspie na północy. Nie jesteśmy podłymi zdobywcami jak Rzymianie, lecz kupcami, i to w Afryce będziemy powiększać nasze imperium oraz bogactwo. Rozszerzymy na nią wpływy ze świętej ziemi tego miasta. Nie osiągnęlibyśmy tego, walcząc na dwóch frontach.

– A zatem pozwól mi ostatecznie zakończyć konflikt z Rzymem – przekonywał Hamilkar, bojąc się, że wróg odzyska siły. – Musisz dać mi zastępy, które to umożliwią.

– Nie odpowiadam przed tobą, młody Barkasie – odparł znów rozgniewany Hannon.

– Odpowiesz więc przed dziećmi Kartaginy – odciął się zaciekle Hamilkar. – Rzym odzyska potęgę. Nie zrezygnuje z misji zyskiwania nowych terytoriów. Jeśli nie zablokujemy go na jego półwyspie, znów zagrozi

Kartaginie. Mając kontrolę nad Sycylią, możemy temu zapobiec. W przeciwnym razie nasze dzieci będą musiały walczyć z Rzymianami tak jak my.

– Przecenisz ich, Barkas – odparł kpiąco Hannon. – Ich straty w sztormie i pod Drepanum położyły kres ich aspiracjom do kontrolowania szlaków morskich.

Hamilkar chciał się odciąć, ale Hannon tak jak wcześniej podniósł rękę, żeby go powstrzymać. Nie miał zamiaru tłumaczyć się młodemu dowódcy – wciąż go nie lubił – ale po swoim zwycięstwie poczuł się wielkodusznie. Zmusił się do powściągnięcia gniewu i skoncentrował na tym, co Barkas osiągnął pod Drepanum.

– Pozwolę ci zatrzymać galery, które zdobyłeś pod Drepanum i Panormos – powiedział spokojnym tonem. – Użyj ich, aby dostarczać do Lilybeum zapasy drogą morską, dopóki Rzymianie nie zakończą swojego daremnego oblężenia, co na pewno z czasem się stanie. A teraz idź, znużyła mnie już ta kłótnia. Podjąłem decyzję, a rada ją przegłosowała. Od dziś armie Kartaginy będą walczyć wyłącznie na afrykańskiej ziemi.

Hamilkar wlepił wzrok w Hannona jeszcze przez chwilę, a potem wyszedł z komnaty. Dalsze spieranie się nie miało sensu, i choć każde słowo, które wypowiedział na próżno, raniło jego honor, w głębi serca wiedział, że Hannon się myli. Rzym był bezwzględny przeciwnikiem, znacznie bardziej niebezpiecznym niż Numidyjczycy na południu. Nie został pokonany i znów urośnie w siłę. Gdy Hamilkar oddalał się korytarzami od

serca władzy Kartaginy, czuł, jak w całym jego ciele kipi  
czarna żółć straszliwej frustracji.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Statek handlowy sunął po ciemnym morzu, a jego kilwater ledwie mącił delikatnie zmarszczoną powierzchnię. Dziób od czasu do czasu wzbijał fale, które odbijały zimne światło półksiężyca. Ciszę przerwała stłumiona komenda i ostry zarys trójkątnego żagla łacińskiego opadł, w pełni ukazując kapitanowi samotne światło pozycyjne płynącej przed nimi galery. Podeszedł do relingu, czujny mimo wcześniej zaplanowanego spotkania przy północnym wybrzeżu Sycylii, i rozejrzał się na wszystkie strony, kiedy jego statek powoli się zatrzymał.

Galera z przodu płynęła na połowie wiosła, a rytm bębna rozbrzmiewał miarowo w nocnym powietrzu. Była to standardowa kwinkwerema, nie do odróżnienia od tuzinów jednostek handlowych, które widział w poprzednich tygodniach, i na próżno wlepił wzrok w ciemność, usiłując rozpoznać bandery łopoczące u szczytu masztu. Mijając szeregi załogantów – wszyscy obserwowali zbliżającą się galeryę – przeszedł na dziób statku.

Statki zrównały się, a gdy z ciemności nadleciała cuma, uwiązano ją. Dwaj mężczyźni podeszli do relingu dziobowego kwinkweremy. Rozpoznavszy ich, kapitan uśmiechnął się, uspokojony.

– Witaj, Attyku – powiedział.

– Dobrze cię widzieć, Dariuszu – odparł Attyk.

Kapitan statku handlowego skinął głową i krótko przywitał się z drugim mężczyzną stojącym naprzeciwko niego, małomównym centurionem, który zgodnie ze swoim zwyczajem nie odpowiedział.

– Jakie wieści? – zapytał Attyk, zwracając na siebie uwagę Dariusza.

– Takie jak wcześniej – odparł kapitan. – Kartagińska flota zniknęła. Zostały tylko rzymskie galery, które przechwycono pod Drepanum. Przeniesiono je do wewnętrznego portu w Lilybeum.

– A Panormos? – zapytał Attyk, marszcząc czoło ze zdumienia.

– Z tego, co widziałem ze szlaku, zacumowane tam jest może dwadzieścia galer, nie więcej, choć nie znam ich pochodzenia. Kartagińczycy zamknęli port.

Attyk *kiwnął głową i spojrział w ciemności, zastanawiając się* ze zmrużonymi oczami.

– Dotarły do ciebie jakieś pogłoski o zamiarach wroga? – zapytał po chwili.

Dariusz uśmiechnął się lekko. Był obywatelem republiki rzymskiej, ale pochodził z Siderno na wybrzeżu Kalabrii i uważał się przede wszystkim za Greka. Kartagińczycy nie byli jego wrogami. Był kupcem, więc większość granic nie miała dla niego znaczenia. Ryzyko szpiegowania dla Rzymu podejmował nie dlatego, że Kartagina była wrogiem, ale dlatego, że Attyk go o to poprosił. Znał go od wielu lat, od kiedy kapitan z Lokr

dowodził triemą na Morzu Jońskim. Jako łowca piratów Attyk umożliwiał kupcom bezpieczne korzystanie ze szlaków morskich i Dariusz uważał się za dłużnika swojego krajana.

– Nie słyszałem nic poza tym, co sam zaobserwowałem – odparł szczerze. Dostrzegłszy przygnębienie na twarzy Attyka, dodał: – Ale będę uważnie nasłuchiwał, przyjacielu.

– Dziękuję, Dariuszu – powiedział Attyk, rozczarowany skąpym raportem. – Czy możesz spotkać się tu ze mną znowu, gdy Arktur będzie w zenicie?

Dariusz przytaknął i rzucił przez ramię rozkaz podniesienia grotzagli. Cuma łącząca dwa statki opadła i okręt handlowy odsunął się od *Orcusa* – wiatr od lądu przyspieszył jego zwrot – a po chwili zniknął w ciemnościach.

Attyk odwrócił się od relingu i wrócił na rufę. Druzus podążył za nim, zatrzymując się na moment na głównym pokładzie, aby wydać ludziom komendę do udania się na spoczynek.

– Nie podoba mi się to, Druzusie – powiedział cicho Attyk. – Od Drepanum minęły prawie cztery miesiące, a Kartagińczycy wciąż nie zaatakowali. Naszej obrony na Sycylii prawie nie ma. Wróg bez wątpienia to wie. Na pewno obserwują nasze porty równie pilnie jak my ich.

Druzus pokręcił głową z konsternacją, po czym obaj zamilkli. To, że Kartagińczycy postanowili nie kontynuować starcia, było niezrozumiałą tajemnicą.

Attyk spojrział w kierunku, który obrał Dariusz. Grecki kupiec był jednym z czterech, którzy szpiegowali dla niego Kartagińczyków, i stanowił część złożonej sieci, którą Attyk stworzył w ciągu trzech miesięcy od powrotu na Sycylię. Aulus, kapitan portu w Brolium, był sercem tej sieci, stałym punktem, który pozwalał Attykowi koordynować zbieranie wiadomości, ale jak dotąd Grecy rzucili niewiele światła na niezrozumiałe postępowanie Kartagińczyków.

Attyk znał całą czwórkę od lat: ich drogi wielokrotnie zeszły się z jego własną, gdy dowodził *Aquilą* na niewielkim Morzu Jońskim. Zaliczali się do najlepszych, najbardziej umiejętnych żeglarzy i byli bystrymi kupcami, więc Attyk wiedział, że nic nie ujdzie ich uwagi. Jeśli według nich Kartagińczycy wycofali swoją flotę z Sycylii, z pewnością tak było.

Panormos przepadło, a wraz z nim linie zaopatrzenia dla legionów stacjonujących wzdłuż szlaków prowadzących do Lilybeum. Ta dalsza komplikacja po Drepanum już zmusiła Rzym do wycofania z Sycylii Dziewiątego legionu, Drugi więc musiał sam utrzymywać oblężenie na lądzie i polegać wyłącznie na niepewnej linii dostawczej do Agrigentum na południu.

Lilybeum nie było już zagrożone. Drepanum i Panormos były bezpieczne. Wróg zajmował mocną pozycję na wszystkich frontach, podczas gdy kontrolowane przez Rzymian porty, Brolium i Agrigentum, znajdowały się na granicy upadku. Attyk



poczuł w brzuchu jeszcze silniejszy skurcz frustracji. Zrobił na Sycylii wszystko, co było w jego mocy, aby przewidzieć plany nieprzyjaciela. Pozostawało mu jeszcze jedno potencjalne źródło informacji, jeden człowiek, który mógł wiedzieć coś na temat zamiarów Kartagińczyków.

– Jakie rozkazy, prefekcie? – zapytał Druzus, na co Attyk odwrócił się do niego.

– Najpierw płyniemy na wschód, do Brolium – powiedział bez wahania, podjąwszy decyzję. – Poproszę Aulusa, żeby mnie powiadomił, jeśli kapitanowie statków handlowych doniosą o jakichkolwiek posunięciach wroga, ale nic więcej tu nie zdziałamy. W południe ruszymy do Ostii.

Druzus kiwnął głową i zszedł z rufy. Attyk wydał sternikowi komendę, a *Orcus* skręcił zwinnie w stronę pasa światła biegnącego wzdłuż horyzontu na wschodzie. Brolium znajdowało się o niecałą godzinę drogi od nich; *Orcus* dotrze tam o świcie. Attyk zaczął rozmyślać o następnych dniach i tygodniach. Rzym wciąż miał flotę, sto kwinkwerem, drugą połowę *classis Romana*, teraz zakotwiczoną na płyciznach Ostii. Kartagińczycy dawali mu czas, a Attyk wiedział, że musi zrobić z niego dobry użytek.

Morale rzymskiej floty straszliwie ucierpiało. Musiał zrodzić się nowy duch, wykuty w wierze, że może ona dorównać potędze Kartaginy. Nawet po rzezi pod Drepanum oraz sztormie we flocie wciąż była grupka doświadczonych kapitanów, którzy mogli wyszkolić

następnych.

Gdy *Orcus* osiągnął prędkość standardową, Attyk odwrócił się plecami do zachodu i kontrolowanej przez Kartagińczyków Sycylii. Zagrożenie wciąż istniało i nie można go było zignorować, ale podczas gdy wróg był uśpiony, Attyk miał zamiar przygotować się do nieuniknionej walki.

Septymus wyplątał się z pojedynku; dyszał ciężko, a pot ciekł mu po twarzy, ale wciąż nie opuszczał drewnianego miecza używanego do musztry. Jego zgięty w pół przeciwnik masował sobie posiniaczone żebra, a Septymus podszedł do niego, położył mu dłoń na ramieniu i pomógł mu się wyprostować, a potem zająć na powrót miejsce w szeregach. To zjadłe starcie świadczyło o tym, jak wiele legionistów nauczyli się w ciągu miesięcy, które upłynęły od ich przybycia do obozu w Ostii.

Septymus stanął przed swoimi ludźmi i zademonstrował pchnięcie mieczem, którym zakończył potyczkę, po czym rozkazał im podzielić się na dwójki i przećwiczyć tę technikę. Ludzie ruszyli szybko, a powietrze rozbrzmiało głuchymi uderzeniami drewnianych kling. Przez moment obserwował ich krytycznym wzrokiem, a potem odsunął się, ocierając pot z czoła i odruchowo powtarzając sekwencję pchnięć trzymanym luźno mieczem.

Był zadowolony z postępów swoich ludzi. Plan

musztry był bezlitosny, a używane techniki i tarcze obce dla świeżych rekrutów z Dziewiątego, ale zabrali się do pracy bez narzekania, chcąc pomścić porażkę pod Lilybeum i zmierzyć się na morzach z Kartagińczykami.

Ta sama determinacja przepełniała wszystkie manipuły legionu; idąc przez obóz, Septymus rozpoznawał innych byłych dowódców z floty, którzy szkolili ludzi w technikach koniecznych przy abordażu i walce twarzą w twarz. Każdy żołnierz Dziewiątego wiedział, że *corvus* zniknął, a wraz z nim przewaga, którą tradycyjny legion miał w walce na niewielkiej przestrzeni: mocna ściana tarcz, zbudowana na wzajemnym wsparciu. W nadciągającej walce nie będzie szansy na stworzenie szeregów. Walka toczyć się będzie między pojedynczymi ludźmi, a o wyniku zadecyduje szybkość, a nie siła.

Septymus dotarł do skraju obozu i na szczyt wydm prowadzących w stronę plaży, gdzie zatrzymał się na chwilę. Otoczone rusztowaniami galery były już prawie ukończone, a po pokładach i olinowaniu uwijali się robotnicy. Pracowali nieprzerwanie od świtu do zmierzchu, a pozostałe galery były ostatnimi statkami nowej *classis Romana*, która wraz z nimi liczyła teraz dwieście kwinkwerem.

Wybory na stanowisko konsula odbyły się miesiąc wcześniej i dwaj nowi urzędnicy – Aulus Postumiusz Albin oraz Gajusz Lutacjusz Katulus – wydali proklamację dla obywateli Rzymu. Po stratach poniesionych pod Drepanum flota będzie musiała zostać

odbudowana, ale skarbiec republiki był pusty. Konsulowie wezwali zamożnych obywateli, aby zdeponowali pożyczkę dla miasta, która miała zostać im zwrócona po pokonaniu Kartagińczyków. Wywołało to niezwykle entuzjastyczną reakcję i w ciągu kilku dni na twardym piasku powstały kadłuby nowej floty, z których każdy był symbolem lojalności i determinacji obywateli Rzymu.

Septymus przesunął wzrokiem po morzu. Roiło się na nim od galer, tak wielu, że wypływały poza umowne granice prowadzącego z północy na południe szlaku handlowego wiodącego niedaleko. Załogi przechodziły szkolenie o programie równie wyczerpującym jak musztra Dziewiątego. Okręty poruszały się w niewielkich grupach, które zmieniały kurs jednocześnie, niczym stado ptaków uciekające przed drapieżnikiem, albo – przy prędkości do taranowania – jak wataha wilków ścigająca ofiarę.

Septymus wrócił do swoich ludzi, rozmyślając o następnych dniach. Jako legionista nauczył się nie sięgać myślą dalej niż w najbliższą przyszłość: jego los znajdował się w rękach dowódców i senatu rzymskiego. Tak samo jak załogi statków żołnierze nie wiedzieli, jak potoczy się wojna z Kartaginą, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że dostali więcej cennego czasu, w którym mogli się dalej szkolić. Gdy Septymus wrócił do swojego manipułu, mocniej ścisnął rękojeść drewnianego miecza zdecydowany, że czwarty będzie gotów.

Attyk stanął na chwilę u stóp schodów wiodących do

kurii, a od żaru słońca pot wystąpił mu na plecy. Zmrużył oczy w blasku odbijającym się od kamiennych płyt i podniósł wzrok na obstawione kolumnami wejście, uzmysławiając sobie, jak łatwo było mu przerwać dobrowolne wygnanie z Rzymu. Przybył do miasta poprzedniego dnia i szybko dowiedział się wszystkiego o losie człowieka, którego chciał przesłuchać. Odwrócił się, aby obrzucić spojrzeniem Forum, prawie puste pod stojącym w zenicie słońcem, po czym ruszył do celu; chciał jak najszybciej wykonać zadanie i ponownie opuścić miasto.

Więzienie znajdowało się obok kurii. Był to niski budynek o prostej, imponującej fasadzie, za którym Kapitol wznosił się w stronę świątyn Jowisza, Marsa i Kwiryna. Przed drzwiami pełnił wartę samotny strażnik z *pilum* w ręce i nieprzeniknionym wyrazem twarzy pod skrajem hełmu. Attyk podszedł powoli, zbierając myśli, świadom, że człowiek, z którym wkrótce się zobaczy, nie ma raczej żadnego powodu, żeby z nim współpracować. Stał przed strażnikiem.

– Jestem Attyk Miloniusz Perennis, prefekt *classis Romana*, i chcę się zobaczyć z więźniem Kalikstem.

– Tak jest, prefekcie. – Wartownik stanął na baczność, po czym uderzył końcem włóczni o odrzwia.

Na wysokości oczu otworzyło się okienko i legionista wezwał Attyka gestem, żeby podszedł bliżej. Kiedy Grek powtórzył swoją prośbę, okienko się zamknęło i dał się słyszeć odgłos odsuwania wielu rygli. Drzwi otworzyły

się na zewnątrz, a Attyk przekroczył próg.

Niemal nieprzenikniona ciemność zastąpiła oślepiający blask i Attyk zamknął oczy, żeby łatwiej się przyzwyczaiły, gdy zamykano za nim drzwi. Uniósł powieki i rozejrzał się po oświetlonym świecami wnętrzu. Jedyne drzwi małego, pozbawionego okien pomieszczenia prowadziły na zewnątrz, a wzrok przybysza natychmiast przyciągnęła okrągła dziura pośrodku. Dokoła niej stali czterej legionieści oraz *optio*. Dowódca podszedł do Attyka.

– Chcesz rozmawiać z Rodyjczykiem, prefekcie? – zapytał.

Attyk kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z dziury, i usłyszał, że legionieści uwijają się, żeby opuścić do jej wnętrza drabinę.

– Twój oręż, prefekcie – powiedział *optio*, wyciągając rękę.

Attyk bez słowa oddał mu miecz i sztylet. Podszedł do przodu i przygotował się do zejścia.

– Czy jest ich więcej? – zapytał dowódcę.

– Jest sam – odparł *optio*, a Attyk znów kiwnął głową.

Rzymianie nieczęsto używali więzień. Podejrzewanych o zbrodnie wysoko urodzonych przetrzymywano w areszcie domowym, a jeśli uznano ich za winnych, karano ich grzywną, wygnaniem lub śmiercią. W wypadku zwykłych obywateli republiki wymiar sprawiedliwości działał szybciej, a wyroki

wykonywano natychmiast. Więziono wyłącznie dowódców nieprzyjaciół pojmanych w bitwie, dopóki nie zdecydowano o ich losie.

Attyk opuścił stopy na szczeble drabiny i zaczął schodzić. Zwolnił, gdy jego głowa znalazła się pod poziomem podłogi, i rozejrzał się po prawie całkowitej ciemności panującej w niższej komorze. W odległym rogu płonęła jedna świeca i schodząc dalej, Attyk nie odrywał od niej wzroku. Powietrze przesycił nieznośny smród ludzkich odchodów i stęchłego potu, woń rozpaczy i rozkładu. Attykowi przypomniały się zęzy galery pod pokładem dla wioślarzy, gdzie spali niewolnicy, ale tutaj, w trzewiach więzienia, powietrze nie miało dokąd uciec i Attyk z trudem nabierał tchu.

Staął na ziemi i spróbował znaleźć Rodyjczyka; spodziewał się, że zobaczy go w poświacie otaczającej świeczkę.

- Perennis – usłyszał Attyk i się odwrócił.
- Witaj, Kalikście – odparł w ciemności.
- Po co przyszedłeś? – zapytał głos.
- Potrzebuję twojej pomocy – odparł Attyk.

Kalikst prychnął drwiąco, wyszedł z ciemności i wyminął Greka, zasłaniając płomień świecy, aż do niej dotarł i usiadł obok. Attyk poszedł za nim, zerkając przez ramię, gdy drabinę na powrót wciągnięto do górnej części pomieszczenia.

Attyk usiadł i przyjrzał się wynędzniałej twarzy Rodyjczyka. Skórę miał ziemistą, ale jego oczy nie

straciły przenikliwości. Odwzajemnił spojrzenie Greka nad płomieniem świecy. Minę miał hardą, ale Attyk odniósł wrażenie, że widzi w jego wzroku też desperację.

– Właśnie wróciłem do Rzymu z Sycylii – zaczął Attyk i opisał Kalikstowi niewytłumaczalne wahanie Kartagińczyków w kwestii dalszego toczenia wojny.

– I jak mogę pomóc? – zapytał czujnie Kalikst, gdy Attyk skończył.

– Wywiozłeś Barkasa z Lilybeum – powiedział Attyk. – Może wiesz coś o jego planach, może powierzył ci jakiś sekret albo podsłuchałeś coś, co wyjaśniałoby jego strategię.

Kalikst kiwnął głową, nie spuszczając wzroku z Attyka.

– Dlaczego miałbym pomóc akurat tobie? – zapytał pogardliwie.

– Ponieważ jeśli to zrobisz, wstawię się za tobą u jednego z senatorów. Jest wpływowym człowiekiem i może sprawić, że senat wyda ci pobłażliwy wyrok.

– Ostatnia umowa, którą zawarłem z Rzymianinem, była z tym sukinsynem Scypionem – odparł Kalikst. – Moje zeznania za wolność... a jednak jestem tutaj.

– Nie jestem Rzymianinem – oznajmił Attyk – i dotrzymam słowa.

– Żaden z ciebie Grek, Perennis – warknął Kalikst. – Gdybyś nim był, nie darzyłbyś lojalnością Rzymu, miasta, które zrobiło z naszych krajan niewolników.

– Nie jestem lojalny wobec Rzymu – odciął się



buntowniczo Attyk. Wstał i wyszedł z plamy światła, nagle owładnięty gniewem; słowa Rodyjczyka obudziły w nim konflikt.

– Ależ jesteś. Walczysz w imieniu Rzymu i ludzi, którzy mają cię za nic – ciągnął Kalikst. Przypomniawsobie, jaką pogardę okazał Attykowi Scypion i to, że podczas procesu jako argumentu użył greckiego pochodzenia Perennisa, żeby podważyć jego oddanie sprawie. Kalikst uważał Perennisa za zaślepionego głupca i uśmiechnął się z pogardą, widząc, jaki efekt wywierają te słowa na jego wrogu.

Attyk krążył w ciemnościach, potykając się o odpadki leżące pod jego stopami. Powiedział, że nie jest lojalny wobec Rzymu, bez zastanowienia, ale rozmyślając nad tymi słowami, uznał, że są prawdziwe.

„Za co więc walczę?”, pomyślał i spojrzał na Rodyjczyka. Kalikst był jego krajanem, ale zależało mu wyłącznie na pieniądzach, nie na ojczyźnie. Jeśli chodziło o Attyka, Lokry przestały być jego domem w dniu, kiedy jako czternastolatek opuścił je na statku. Wielka Grecja z czasów jego dziadka już nie istniała.

Jako łowca piratów Attyk walczył w rzymskiej flocie, aby chronić swój lud, rybaków i kupców z wybrzeża Kalabrii, których znał całe życie. To wobec nich był lojalny. Jednak podczas wojny z Kartaginą był po stronie miasta, gdzie często traktowano go jako kogoś gorszego, człowieka z zewnątrz. A jednak dalej ścierał się z wrogiem, nigdy nie unikał potyczek i zawsze pamiętał o

ludziach stojących u jego boku. W tym momencie Attyk nagle zdał sobie sprawę, komu jest oddany. Zatrzymał się i stał nieruchomo długą chwilę, powtarzając sobie ten wniosek w myślach i czerpiąc z niego siłę. Znow podszedł do Rodyjczyka.

– Pomożesz mi? – spytał szorstko.

– Nie mogę – odparł z szyderczym uśmiechem Kalikst. – Barkas nie wspomniał mi nic o swoich planach. Przyszedłeś tu na próżno, Perennis.

Attyk kiwnął głową i zawołał, żeby opuszczono drabinę.

– I co teraz? – Kalikst chciał zadać ostatni cios. – Dalej będziesz walczył za to przeklęte miasto?

Attyk zatrzymał się i odwrócił do Rodyjczyka.

– Nie walczę za to miasto, Kalikście – odpowiedział. – Walczę za ludzi, którzy stoją u mojego boku podczas bitwy. To im jestem oddany, nie Rzymowi.

Drabina dotknęła ziemi przy Attyku, więc wspiał się na nią, zostawiając Rodyjczyka jego samotności.

W górnej części pomieszczenia zwrócono mu oręż. Opuścił więzienie i wrócił pod kurię. Obrzucił wzrokiem siedzibę senatu, symbol Rzymu. Z tego budynku wywodziło się wielu jego wrogów, z których część przeniosła ich konflikt na pole bitwy. Ale na każdego z nich przypadał inny Rzymianin, który stał w boju przy Attyku: Duiliusz, jego stronnik w senacie; Gajusz, zawsze oddany przede wszystkim swojemu okrętowi i towarzyszom z załogi, lojalny ponad wszelką wątpliwość;

poległy w bitwie pod Tunesem szpakowaty weteran Marek z Dziewiątego legionu, który polegał na Attyku, że będzie strzegł każdego rzymskiego legionisty walczącego na lądzie; oraz Lucjusz, który oddał życie, aby ocalić swojego greckiego kapitana.

Attyk opuścił głowę, kiedy przyszło mu na myśl jeszcze jedno imię. Człowiek, który z własnej woli podał mu dłoń w geście przyjaźni, kiedy widzieli się po raz ostatni. Wśród Rzymian to przede wszystkim on stał ramię w ramię z Attykiem podczas bitew z wszystkimi wrogami.

Attyk zerknął na kurię po raz ostatni i ruszył wzdłuż Forum, chcąc już wrócić do portu. Jak na razie plany Kartagińczyków pozostaną tajemnicą, ale jedno było pewne: wojna się jeszcze nie zakończyła. Wciąż jeszcze mieli bitwy do stoczenia, a Attyk przysiągł sobie, że stanie do nich ze swoimi rzymskimi towarzyszami i będzie walczył za tych, którzy honorowo zginęli i wobec których był lojalny.

Hamilkar krążył po komnacie i niecierpliwie czekał na powrót ojca, z niepokoju mamrocząc pod nosem przekleństwa. Rozproszyły go odgłosy żywiołowej zabawy dobiegające z podwórza, więc podszedł do okna i spojrzał w dół, na swoich trzech synów. Najstarszy, siedmioletni Hannibal, toczył z pięciolatkiem Hazdrubalem pojedynek na miecze, a Mago, który miał ledwie dwa lata, dokazywał dookoła i kibicował im, gdy

zamierzali się na siebie. Dziecięcą agresję starszych chłopców hamował niekontrolowany śmiech wywołany tym, jak Mago przekręcał ich imiona.

Hamilkar już miał krzyknąć na nich, żeby ich uciszyć, ale uświadomił sobie, że pozwolili mu przez chwilę nie myśleć o kampanii na Sycylii, więc dalej przyglądał im się ukradkiem. Wiedział, że jeśli którykolwiek go dostrzeże – a szczególnie Hannibal – zaczną walczyć bardziej zajadle, żeby zrobić na nim wrażenie, co zawsze prowadziło do obrażeń i łez.

Wrócił do Kartaginy zaledwie dwa dni wcześniej, na wezwanie ojca, dowodzeniem w Lilybeum obarczywszy Himilkona. Po wielu miesiącach frustrującej bezczynności ta wiadomość o gromadzeniu się rzymskich sił miała nietypowy wpływ na Hamilkara: to, co powinno być niepokojącym raportem, tak naprawdę wzbudziło w nim radosne podniecenie, ponieważ jeśli Rzymianie faktycznie podejmowali takie działania, oznaczało to ponowną eskalację konfliktu.

Przez poprzednie dwie noce roztrząsał z ojcem te niepotwierdzone meldunki, aż zaczęli się powtarzać, za każdym razem dochodząc do tych samych wniosków. Hannon stwierdził, że rozważyłby wysłanie dodatkowych sił na Sycylię tylko w razie bezpośredniego zagrożenia Lilybeum. Teraz było możliwe, że takie niebezpieczeństwo się urzeczywistni, i Hamilkar oraz jego ojciec po raz pierwszy od czasu Drepanum mieli powód, aby wymusić na radzie zasilenie kartagińskich oddziałów

na Sycylii i doprowadzenie wojny do końca.

Podeksycytowane głosy synów znów zdekoncentrowały Hamilkara. Zobaczył przez okno, że podwórzec przecina Hazdrubal, otoczony wnukami, z których każdy krzyczał, żeby to jego było słycać. Hazdrubal wracał z siedziby rady, a jego zdecydowany krok mówił Hamilkarowi, że ojciec przynosi wiadomości.

Odwrócił się od okna i otworzył drzwi w chwili, gdy Hazdrubal wszedł do holu poniżej; krzyki chłopców rozbrzmiewały głośnie w zamkniętej przestrzeni domu, dopóki Hazdrubal ich nie przegonił. Wspiął się po schodach i zobaczył, że syn patrzy na niego z progu pokoju.

– I co? – zapytał Hamilkar.

– Raporty potwierdzono. – Hazdrubal podszedł, kiwając głową. – Rzymianie zbierają flotę około dwustu galer na północ od Ostii. Wiemy to z trzech różnych źródeł, od kupców, którzy widzieli galery na własne oczy.

– Ale jeszcze nie wypłynęły? – zapytał Hamilkar. Znów zaczął krążyć po pokoju, a jego myśli gnały.

– Cztery dni temu wciąż były w porcie – powiedział Hazdrubal.

– Nie wiemy nic o ich planach? – upewnił się Hamilkar.

Hazdrubal pokręcił głową.

– Nie, ale przedstawiłem Radzie Najwyższej twój argument, że najbardziej oczywistym celem jest Lilybeum, biorąc pod uwagę, że niedaleko wciąż ma obóz

jeden legion Rzymian.

– 1... ? – dopytywał się Hamilkar.

– Rada przystała na twoją propozycję – odparł z uśmiechem Hazdrubal. – W Kartaginie zbierze się flota w przygotowaniu na jakiegokolwiek dokonane przez Rzymian przesunięcie frontu.

Hamilkar triumfalnie uderzył pięścią o otwartą dłoń. Upłynęło trochę czasu, ale nic się nie zmieniło, i Hamilkar podziękował Anat, bogini wojny, że Rzymianie nie stracili swojej arogancji. Z pewnością wypłyną na morza, kiedy tylko miną zimowe sztormy, być może wnioskując z bezczynności jego sił, iż Lilybeum można ponownie zdobyć. Uśmiechnął się zimno. To przekonanie, albo jakąkolwiek mieli teraz fanaberię, ich zniszczy. Kartagińskie siły na Sycylii może i były uśpione, ale bynajmniej nie bezczynne. Na jego rozkaz będą gotowe do potyczki w ciągu kilku dni, podczas gdy dodatkowa flota wkrótce zbierze się w porcie w Kartaginie, aby mógł poprowadzić ją do walki.

Drepanum było zaledwie wstępem. Jego następne zwycięstwo będzie ni mniej, ni więcej, tylko zagładą. Hamilkar powziął ponadto postanowienie, że nie postąpi już tak naiwnie jak wcześniej. Nie wróci do Kartaginy, aby rozgłosić zwycięstwo, ani nie zrzeknie się swoich sił. Zatrzyma je, i gdy Rzymianie zostaną pokonani w walce pozycyjnej, puści się za nimi w bezlitosny pościg, choćby do wybrzeży Rzymu, aby zniszczyć absolutnie wszystkie ich galery i na zawsze stłamsić ich ambicję podbicia

Sycylii.

Septymus siedział na dziobie łodzi z zaokrągloną tarczą *hoplon* na kolanach i wzrokiem wlepionym w kwinkweremę przed sobą. *Orcus* znajdował się w porcie od ponad trzech tygodni, ale Septymus nie był w stanie wcześniej się na nim pojawić; obowiązki związane z jego rangą zatrzymały go w obozie. Poprosił o pozwolenie na wejście na pokład i szybko wspiał się po drabinie; swojskość galery sprawiła, że uśmiechnął się szorstko.

Poszedł w stronę rufy i zobaczył, że idzie mu na spotkanie Attyk, wyciągając przyjaźnie rękę. Septymus ją uścisnął – Dobrze cię widzieć, Attyku.

– Ciebie też – odparł Attyk, nie przerywając powitania.

– Jakie wieści z Sycylii? – zapytał Septymus, a Attyk zrelacjonował mu swoje działania z poprzednich miesięcy. Pograżyli się w rozmowie, w której Attyk spróbował po raz kolejny zgłębić zamiary Kartagińczyków. Razem podeszli do relingu.

– Słyszałem o Scypionie – powiedział Septymus z krzywym uśmiechem.

Attyk kiwnął głową. Jego satysfakcję z zakończenia kariery wroga wciąż psuła aprobata, jaką wśród senatorów wzbudziły oskarżenia Scypiona pod jego adresem. Opowiedział Septymusowi o przebiegu procesu.

– A gdzie teraz jest Baro? – zapytał centurion.

– Nie wiem. Wiem tylko, że od tamtej pory go nie

widziano.

Na myśl o Baronie i Scypionie Septymus mocniej ścisnął rękojeść miecza, żałując, że nie stał u boku Attyka, tak jak wtedy, kiedy przyjaciel po raz pierwszy starł się z senatorem w kurii. Dowodzenie nad czwartym manipulem Dziewiątego uniemożliwiło mu opuszczenie Sycylii.

Obrzucił spojrzeniem naznaczoną blizną twarz Attyka. Tyle się między nimi zdarzyło, od kiedy wiele lat wcześniej przydzielono go na *Aquilę*. Wielokrotnie walczyli razem, a także między sobą o Hadrię, ale zawsze byli po tej samej stronie w starciu z wrogiem. Pomyślał o całkowitym zaufaniu, jakie zawsze żywili do siebie nawzajem podczas potyczek, i obopólnym przekonaniu, żeby zostać i walczyć, ramię w ramię, ze wszystkimi nieprzyjaciółmi. Wojna nie została jeszcze wygrana i Septymus wiedział, że powinien uszanować przyjaźń wykutą w ogniu bitwy. Podjąwszy decyzję, odwrócił się do Attyka.

– Kiedy flota wypłynie, Dziewiąty będzie jej towarzyszył, a ja poproszę, żeby przydzielono mnie na *Orcusa*. Biorąc pod uwagę moją wcześniejszą rezygnację, jako prefekt możesz odrzucić tę prośbę...

Nie wahając się ani przez chwilę, Attyk uśmiechnął się szeroko.

– Dowodzenie jest twoje – powiedział, a wraz z tą akceptacją zniknęły resztki ich wcześniejszego konfliktu.

– Duiliusz opowiedział mi o szkoleniu Dziewiątego – dodał po chwili. – Jak je oceniasz?



– Z czasem będą gotowi, Attyku – powiedział Septymus z całkowitym przekonaniem. – Ich umiejętności będą na poziomie każdego żeglarza z *Aquili* sprzed wojny.

Attyk pokiwał głową.

– Już widziałem, jak radzi sobie flota. Pozostali doświadczeni kapitanowie i ja wciąż mamy dużo pracy, ale po zimowych sztormach nowe załogi będą gotowe do drogi na południe.

– A więc wrócimy na wojnę – powiedział Septymus. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy Dziewiąty znów będzie walczył na froncie.

– Wrócimy – potwierdził Attyk. – Ale tym razem zmierzmy się z Kartagińczykami jak równy z równym, na ich warunkach.

– Rzym zwycięski – rzucił Septymus.

– Rzym zwycięski – powtórzył Attyk. Wyrażenie to nabrało dla niego nowego znaczenia, naznaczonego więzią lojalności dla jego towarzyszy, która, jak teraz już wiedział, nigdy nie zostanie zerwana.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Hamilkar powiódł wzrokiem po zielonych zboczach góry wznoszącej się nad brzegami „świętej wyspy”, a potem po pędzących nad nią chmurach. Niebo wyglądało jak lustrzane odbicie morza: spore fale pędziły śladem chmur, aby dotrzymać im tempa, pchane silnym wiatrem z zachodu. Położył dłoń na relingu i zacisnął palce, gdy *Alissar* kołysała się pod jego stopami, po czym rozejrzał się po kartagińskiej flocie stacjonującej po zawietrznej wyspy.

Przez zimę Barkas powoli zebrał w Kartaginie sto sześćdziesiąt galer. Hannon odmówił ponownego udostępnienia mu floty z Gadiru, więc Hamilkar był zmuszony zgromadzić siły wśród pomniejszych flotylli strzegących afrykańskiego wybrzeża i szlaków handlowych. Ich załogi były kompetentne, ale Hamilkar musiał przyznać, że nie są tak zaprawione w boju jak ludzie z Gadiru. Zimowe miesiące trzeba było spędzić na dalszym ich szkoleniu, a także czekaniu na wieści z Rzymu o tym, że flota wroga wyruszyła.

Doniesienia pojawiły się cztery dni wcześniej, nie z Rzymu, lecz z Lilybeum – straszliwe meldunki o tym, że podczas niespodziewanego ataku z północy Rzymianie wraz z dwustoma statkami zajęli niebronione Drepanum. Hamilkar pospiesznie rozkazał flocie podnieść żagle i obrać kurs prosto na Hierę, święte miejsce na Wyspach

Egadzkich. Himilko już czekał tam na niego z liczącą dziewięćdziesiąt jednostek flotą z Lilybeum, statkami, które ponad rok wcześniej odebrali Rzymianom po bitwie pod Drepanum.

Himilko porzucił port, bojąc się, że zostanie on zablokowany, i – wiedząc, że bitwa z Rzymianami jest nieunikniona – wziął ze sobą cały garnizon tysiąca ludzi. Było to śmiałe, zdecydowane posunięcie, które Hamilkar pochwalał, choć wiedział, że Lilybeum znajduje się na skraju upadku. Gdyby Rzymianie zaatakowali od lądu, mieszkańcy mogliby spanikować, a w obliczu braku garnizonu, który by ich kontrolował, otworzyliby bramę, aby się uratować. Było zatem konieczne, żeby jego flota dotarła do Lilybeum jak najszybciej, ale Hamilkar mimo to czekał na sprzyjający wiatr, aby jeszcze bardziej wzmocnić swoje natarcie na kłębiących się teraz od jednostek wroga wodach.

Mając do dyspozycji flotę złożoną z dwustu pięćdziesięciu galer, Hamilkar był pewien, że mógłby zakończyć każdą blokadę nękającą Lilybeum, biorąc jednak pod uwagę śmiałość, z jaką Rzymianie wyminęli Panormos i zajęli Drepanum, wiedział, że ta blokada nie nastąpi. Rzymianie chcieli walczyć. Z pewnością dlatego zaatakowali Drepanum bez uprzedzenia – spodziewali się tam znaleźć kartagińską flotę.

Hamilkar zawsze wiedział, że jego wrogowie są arogancy, ale w obliczu tego, że ponad rok wcześniej ponieśli porażkę na tych samych wodach, ich powrót i

ryzykancki atak miały w sobie oszałamiającą pychę. Flota Barkasa była niedoświadczona, ale jednak składała się z Kartagińczyków i miała nad Rzymianami przewagę liczebną co najmniej pięćdziesięciu statków.

Po Drepanum Hamilkar chciał doprowadzić wojnę do ostatecznego końca. Teraz Rzymianie sami dawali mu szansę na to: stawiali mu czoło jak umierający wojownik po raz ostatni sięgający po oręż i zbierający się w sobie przed jeszcze jednym wielkim wysiłkiem. Nie uda im się, pomyślał triumfalnie Hamilkar: wykończy ich tutaj, na zimnych, szarych wodach u wybrzeży Wysp Egadzkich. Wykrzyczanym rozkazem, który poniósł się na wietrze, wezwał swoją flotę do zajęcia stanowisk bojowych, wiedząc, że między świętą wyspą a Lilybeum napotka i w końcu zniszczy najpotężniejszego wroga, z którym kiedykolwiek się zmierzył.

Attyk stał na dziobie *Orcusa*, który rozcinał niezliczone gnane wiatrem fale, a tunikę miał przemoczoną od wody morskiej wdzierającej się na pokład nad relingiem. Dobosz walił w bęben, narzucając prędkość standardową, ale kwinkwerema ledwie się ruszała. Attyk mrużył oczy od wiatru, wlepiając wzrok w szary horyzont i daleki zarys wyspy Hiery.

Obejrzał się przez ramię na resztę floty, która schroniła się dookoła najbardziej wysuniętego na południe cypla Eguzy, największej z Wysp Egadzkich i położonej najbliżej Lilybeum, odległego o pięć mil na wschód. Startł

z oczu kropelki wody morskiej i ponownie rozejrzał się za jakimś mgnieniem ruchu czy koloru, czymkolwiek, co zdradziłoby mu dokładną pozycję kartagińskiej floty w cieniu Hiery.

Odwrócił się i obrzucił wzrokiem pokład *Orcusa*. Katulus, młodszy konsul, stał na rufie, przy sterze, w towarzystwie swojej osobistej straży. Zapierał się nogami, żeby nie stracić równowagi na kołyszącym się pokładzie, a jego spojrzenie sięgało za Attyka, na zachodni horyzont; emanował pewnością siebie. Starszy konsul, Aulus Postumiusz Albin, należał także do stanu kapłańskiego, i religijne zakazy uniemożliwiały mu opuszczenie miasta. Pozycja głównodowodzącego przypadła w związku z tym Katulusowi.

Młodszy konsul szybko wybrał *Orcusa* na okręt flagowy, ponieważ chciał płynąć z najbardziej doświadczonym prefektem, i od początku na każdym kroku konsultował się z Attykiem, w czym przypominał Grekowi innego młodszego konsula z przedednia bitwy pod Myle. Katulus wiedział, w jakich kwestiach brakuje mu doświadczenia, i chętnie pozwalał Attykowi podejmować decyzje związane z linią frontu, praktycznie przekazując mu dowodzenie flotą.

Attyk spojrział w niebo, wiedząc, że Fortuna znów się z nim droczy. Przeprowa z Rzymu przebiegła bez zarzutu: taktyka utrzymania głównej części floty z dala od Panormos oraz zwyczajowych szlaków handlowych, a także poza zasięgiem wzroku od lądu, pozwoliła mu zająć

Drepanum z całkowitego zaskoczenia. Jednak Fortuna dopiero wtedy ujawniła swoją obecność. Kartagińska flota zdążyła porzucić Drepanum, więc choć Attykowi trafił się bezpieczny port, jego ostateczny plan wciągnięcia wroga do walki spalił na panewce.

Wysłane przez niego okręty patrolowe dostarczyły mu wieści, że jedyne statki, które Kartagińczycy zostawili w tej okolicy, uciekły z Lilybeum i pożeglowały na zachód. Ta kolejna pechowa okoliczność wkrótce przemieniła się w korzyść, kiedy zaobserwowano, że flota wroga nadciąga od południa, żeby zająć pozycję przy Hierze, bazie dla wypadu na port w Lilybeum. Attyk natychmiast wysłał swoje siły na Eguzę, wiedząc, że Punijczycy będą musieli ją minąć, ale Fortuna ponownie zakręciła swoim kołem i wzbudziła silny wiatr z zachodu, od którego na morzu zerwały się spore fale.

W zimie Attyk nie przerwał szkolenia floty i podczas podróży na południe z Rzymu nabrał większej pewności; okręty utrzymywały zdyscyplinowaną formację nawet w ciemnościach. Pojedynczy Rzymianie nigdy nie byliby w stanie dorównać talentem żeglarskim Kartagińczykom, którzy wypracowywali umiejętności w ciągu całego życia, ale w tłumnej bitwie subtelności tego rzemiosła miały niewielkie znaczenie, a Attyk był pewien, że jego ludzie będą w stanie zmierzyć się z wrogiem.

Teraz jednak bogowie spiskowali, aby odebrać im wszelkie szanse: dali Kartagińczykom przewagę w postaci wiatru od rufy, a Rzymian skazali na potencjalnie

katastrofalne płynięcie pod fale. Rzymscy wioślarze będą musieli pracować dwukrotnie ciężiej, żeby zająć pozycję naprzeciwko Kartagińczyków, a jeśli którakolwiek z załóg źle ustawi swój kadłub, siła morza sprowadzi statek z pozycji, co groziło kolizjami i wystawieniem jednostek burtą w stronę taranów wroga.

Attyk zerknął na nowego sternika. Był mistrzem w swoim rzemiośle, świetnym nawigatorem, ale choć dzielili pokład rufowy od Drepanum, wciąż jeszcze nie łączyło Attyka z nim takie zaufanie, jak z Gajuszem. Marynarze nie byli zaprawieni w bojach, i – biorąc pod uwagę to, że żywioły były przeciwko nim – każda bitwa stoczona tego dnia z pewnością będzie wyzwaniem przekraczającym wszelkie wyobrażenia. Attyk żałował, że nie ma u boku Lucjusza i Gajusza, dwóch zaufanych doradców. Po raz kolejny obejrzał się na horyzont od zachodu, a wiatr zaparł mu dech w piersiach w chwili, gdy dostrzegł w oddali ciąg ciemnych kadłubów.

– Nadciągają galery wroga, na kursie! – krzyknął obserwator.

Załoga *Orcusa*, nie czekając na rozkaz, zajęła stanowiska bojowe.

Attyk milczał. Skończył się czas na rozmyślanie. Teraz musiał zdecydować: wycofać się do bezpiecznego Drepanum i czekać na lepszą okazję, czy przejąć inicjatywę w walce i zaufać ludziom, którymi dowodził. Nagle uświadomił sobie, że Septymus przyszedł na pokład dziobowy i stał obok niego, wlepiając ciężkie jak ołów

spojrzenie w zastępy wroga.

– Ostatnia bitwa – powiedział, gdy Attyk dalej spoglądał na nieprzyjaciela. Jeśli się odważymy, pomyślał.

Ludzie Septymusa stali na głównym pokładzie z Druzusem na czele. Nie wiedział on dość o abordażu, żeby dostać stanowisko dowódcy we flocie, więc przyjął degradację do stanowiska *optio*, aby zostać na pokładzie, chętnie zajmując miejsce u boku swojego byłego zwierzchnika.

– Są gotowi – powiedział Septymus o legionistach. Ludzie stali w zwartych szeregach, mocno trzymając zaokrąglone tarcze.

– To prawda. – Attyk kiwnął głową, myśląc o własnych podwładnych, żeglarzach, i to proste stwierdzenie położyło kres jego wątpliwościom. Byli gotowi, a wróg był blisko. Przywołał do siebie gońca. – Sygnał do floty. Przygotować się do bitwy.

– Przed nami galery wroga!

– Prędkość bojowa. Uwiązać grotzagiel! – krzyknął Hamilkar. Działania załogi *Alissar* powtórzyły się na galerach płynących na jej flankach, a potem przygotowania do bitwy poniosły się falą po reszcie floty. Hamilkar patrzył przed siebie, na to, jak rzymski front się powiększał; galery wroga parły prosto pod wiatr, a fontanny wody morskiej, które ich dzioby wzbijały, rozcinając kolejne wielkie fale, widać było nawet z tej



odległości. Kierowani być może uporczywą arogancją, a może bezmyślną odwagą Rzymianie najwyraźniej byli zdecydowani doprowadzić do bitwy. Hamilkar uśmiechnął się szyderczo na myśl o tym szaleństwie.

Z płynącej pośrodku szyku *Alissar* Hamilkar rozejrzał się po szyku własnej floty, która ze względu na pchane wiatrem fale zajmowała pozycje szybciej niż zwykle. Obudził się w nim cień irytacji, kiedy zauważył, że wiele galer nie nadąża – mniej doświadczone załogi z galer przybrzeżnych nie były przyzwyczajone do zakrojonych na wielką skalę manewrów – ale zignorował to uczucie. Obiecał sobie tylko, że po bitwie dopilnuje, aby wszystkie załogi dorównały umiejętnościom flocie z Gadiru, świecącej przykładem całemu imperium.

Szyk bojowy scalił się w zwarty szereg drewna, stali i ludzi. Zerkając na całą jego długość, Hamilkar przeszedł na dziób i przyjął sygnały przekazywane z prawej flanki, od Himilkona, mówiące, że kartagiński szyk rozciąga się dalej niż rzymski. Tym samym doświadczony kapitan zapewniał go, że nie pozwoli żadnemu statkowi wroga uciec na południe.

Hamilkar ponownie zaczął się przyglądać jak urzeczony dziobom galer prującym przed siebie przy każdym ruchu wiosła. Tarany wyprzedzały fale, aby rozplatać grzbiet każdej z nich, a kadłuby pokonywały doliny między grzywaczami, nacierając nieustępliwie. Pozwolił temu widokowi wypełnić jego serce i sięgnął pamięcią do bitew, które stoczył na świętej ziemi

Kartaginy i przeklętej Sycylii, na wszechogarniającym morzu, dominium jego przodków. Pomyślał o swoich nieprzyjaciołach, nienawistnych Rzymianach i greckim sukinsynu, który wzniósł się na stanowisko ich dowódcy, a także o błędzących wodzach jego własnego ukochanego miasta, którzy próbowali pokrzyżować wszystkie jego plany. Wszystko to zakończy się na wodach ciągnących się przed nim, wszystko to rozstrzygnie tępa końcówka zrobionego z brązu tarana albo stalowy czubek miecza. Hamilkar przesunął wzrokiem po swoim szyku bojowym, a potem skupił wzrok dokładnie przed sobą, na środku formacji wroga, na jej sercu.

Odstęp między siłami spadł do mili; była to ostatnia szansa na wycofanie się, ale floty wciąż zbliżały się do siebie, nie hamując ani nie zmieniając kursu. Hamilkar wysunął nieco rękojeść miecza z pochwy i spojrzał na odsłonięty fragment stali. Była ona wypolerowana i zaostrzona, a Hamilkar przechylił klingę, aby odbiło się w niej światło słońca, i wyrył sobie ten obraz w myślach, wiedząc, że pod koniec dnia ostrze to będzie zaplamione rzymską krwią.

– Sześćset kroków! – krzyknął obserwator z masztu.

Hamilkar zszedł z dziobu, kiwając głową swoim ludziom, gdy minął ich na głównym pokładzie. Wlepiali pełne determinacji i wrogości spojrzenia w nadciągającego wroga, popędzając go bez słowa i czekając na rozkaz do ataku. Drepanum dodało determinacji wszystkim, nawet tym, którzy tamtego dnia

nie walczyli, a straszliwa porażka, jaką poniosła wtedy flota wroga, uwidoczniła im to, że Rzymianie są zwykłymi śmiertelnikami, podatnymi na ciosy mieczy oraz ataki taranów. Żołnierze odwzajemnili skinienie dowódcy, gotowi podążyć za nim do boju, i zajmując pozycję przy sterze, Hamilkar poczuł, że na jego barkach spoczywa monumentalny ciężar zaufania Kartaginy.

– Czteryście kroków! – krzyknął obserwator.

– Prędkość ofensywna – rozkazał bez wahania Hamilkar, a cała flota zareagowała na odcinku równym jednej długości statku. Barkas zamknął oczy i wyszeptał ostatnią modlitwę do Anat, aby prowadziła go i czuwała nad jego ludźmi, a kiedy znów uniósł powieki, podniósł głos i zaczął okrzyk bojowy, którzy podjęli jego ludzie. Ściągali nim śmierć na wrogów Kartaginy.

Do Attyka dotarł na wietrze okrzyk bojowy, narastający dźwięk, który ogarnął nadciągającą rzymską flotę. Legioniści przywitali go milczeniem, ponieważ obowiązywała ich dyscyplina. Dopiero na rozkaz do ataku rozpętają swą furję; do tej pory każdy z nich zatrzyma ten żar w sobie. Septymus chodził wśród swoich ludzi, mówiąc powoli o zbliżającej się bitwie, o tym, że każdy ma atakować bez wahania ani litości, przypominając żołnierzom o Drepanum i o zemście, której ich zgładzeni towarzysze domagali się zza Styksu.

Legioniści stali w milczących szeregach, kołysząc się miarowo wraz z przechyłami pokładu, i wlepiali oczy w

nieprzyjaciela. Pozornie nie zwracali uwagi na słowa Septymusa, ale każde z nich wyraźnie do nich docierało, i gdy z rufy dał się słyszeć rozkaz do nabrania prędkości ofensywnej, ludzie czwartego manipułu wydali głęboki pomruk, krótki odgłos świadczący o ich gotowości do starcia.

Attyk spojrział na schludny szyk, w jakim płynęły jego siły. Po miesiącach szkolenia okręty floty przyspieszyły do prędkości bojowej niemal jednocześnie. Była to świetna demonstracja umiejętności żeglarskich, ale dokonywana na otwartym morzu w towarzystwie wyłącznie rzymskich galer. Wróg znajdował się teraz zaledwie dwieście kroków od nich. Kiedy już zwiążą go walką i zaczną się potyczka, dwa szyki splecą się w jeden i dopiero wtedy ujawniona zostanie prawdziwa potęga rzymskiej floty.

Zerknął na Katulusa, młodszego konsula, który stał po drugiej stronie rumpla. Nie można było już wydać żadnego rozkazu, zarządzić żadnych dalszych przygotowań. Kiedy odstęp między flotami spadnie do stu kroków, wszystkie jednostki nabiorą prędkości do taranowania i każda z nich stanie się samotnym wojownikiem. Attyk, jako dowódca floty, straci kontrolę podczas tych pierwszych chaotycznych chwil, i dopiero gdy upłyną, będzie w stanie ocenić rozkład sił między załogami. Jeśli będzie on zrównoważony, potyczka zmieni się w pełną determinacji walkę; jeśli jedna ze stron okaże się znacznie silniejsza, wywiąże się rzeź. Attyk zostawił

wynik pierwszego starcia w rękach Marsa z ufnością w wyroki losu właściwą życiu spędzonemu na wojnie.

Sto kroków.

– Prędkość do taranowania! – krzyknął i wskazał sternikowi statek, w który miał wycelować, a *Orcus* przechylił się nieco, gdy ustalił się kurs ataku.

Wzrok Attyka zatrzymał się na poszczególnych statkach w środku kartagińskiego szyku, na których pokładach dziobowych tłoczyli się ludzie o twarzach groteskowo wykrzywionych w okrzykach wyzwania i nienawiści. Odstęp zmniejszył się do pięćdziesięciu kroków, a sternik dokonał korekty kursu *Orcusa*: skontrolował ruchy galery zmierzającej w ich stronę, zyskał przewagę i nakierował taran na cel.

Rozglądając się po kartagińskiej formacji, Attyk zamarł nagle, gdy mignęło mu coś znajomego. Skupił wzrok na banderach galery znajdującej się o sto kroków dalej. Odruchowo podszedł do przodu, wracając myślami do Drepanum sprzed roku. Pamięć podsunęła mu obraz zalanego krwią pokładu rufowego, Gajusza, którego trzymał w ramionach, Korina zmiażdżonego pod kadłubem galery. Był to okręt flagowy Barkasa.

Attyk spojrział przed siebie i na anonimową kartagińską galere nacierającą na *Orcusa*. Szyki były teraz oddalone od siebie o trzydzieści kroków. Było zbyt późno na zmianę kursu i wycelowanie w inny statek. *Orcus* nie mógł się wyplątać z tej potyczki, ale Attyk wiedział już, gdzie znajduje się serce sił wroga.

– Sternik, nie taranujemy. Przygotować się do schowania wiosel od sterburty! – krzyknął, a rozkaz zanesiono na pokład dla wioślarzy, podczas gdy odległość się zmniejszyła do dwudziestu kroków. *Orcus* zyskał ką, z którego mógł zaatakować, ale Attyk miał zamiar poświęcić tę pozycję, aby uniknąć potyczki. Musiał dostać się poza szyk bojowy, aby odszukać galerę Barkasa. Katulus przyglądał się bez słowa – nie pojmował przyczyny nagłej zmiany, ale ufał greckiemu dowódcy.

– Centurion Kapito na pokład rufowy! – zawołał Attyk, a Septymus natychmiast zareagował.

Dziesięć kroków.

– Wycofać wiosła! – ryknął Attyk. Sternik zaparł się o rumpel, zmniejszając ką natarcia, aby taran nie przebił kadłuba statku wroga.

*Orcus* uderzył o dziób jednostki, gdy Septymus dotarł na rufę, i stracił równowagę od siły uderzenia. Attyk błyskawicznie wyciągnął ramię, żeby go podtrzymać. Taran odbił się z łatwością od belek poszycia, co sprawiło, że rufą *Orcusa* zarzuciło w przeciwnym kierunku. Rozpęd natarcia poniósł go wzdłuż całej długości statku nieprzyjaciela, a nadwodna część jego dziobnicy roztrzaskała kartagińskie wiosła od sterburty; niespodziewana zmiana kąta ataku zbiła punicką załogę z tropu.

– Wysunąć wiosła! – krzyknął Attyk, gdy rufa *Orcusa* wypłynęła na otwarte wody. Galera sunęła dalej, morzem pustym aż po zachodni horyzont.

Katulus obejrzał się przez ramię na okaleczoną kartagińską galere, której załoganci wykrzykiwali wyzwania, aby Rzymianie wrócili, choć ich głosy ginęły w ogłuszającym hałasie bitewnym – dźwiękach galer zadających sobie nawzajem śmiertelne ciosy, pękającego drewna i wyciu ludzi. Odwrócił się w stronę Attyka, zdumiony tym, że w ostatniej chwili postanowił on zmienić ich podejście.

– Dlaczego ich nie staranowaliśmy? – zapytał. – Żołnierze byli gotowi do abordażu. Teraz ten statek ucieknie pod żaglami.

– Niech ucieknie – odparł Attyk. – To mała płotka, a ja wiem, gdzie jest serce sił wroga. Jest tu galera Barkasa – wyjaśnił Septymusowi, wskazując niedaleką potyczkę toczącą się między kilkoma statkami – a my ją zniszczymy.

Septymus zgodził się bez wahania, choć wiedział, że okręt flagowy będzie obsadzony najliczniejszą załogą, pamiętając statek dowódcy wroga pod Myle.

Attyk wydał sternikowi komendę do zwrotu, a *Orcus* odwrócił się burtą do fal, po czym zwinnie wykonał zwrot, dając kapitanowi niezakłócony niczym widok na potyczkę. Zgodnie z jego przewidywaniami była chaotyczna, ale przez moment odniósł wrażenie, że rzymska flota ma przewagę; wiedział, że ocena ta jest spowodowana nadzieją. Skoncentrował się na bezładnej grupie galer przed dziobem, od bakburty, szukając swojej ofiary. Znow pomyślał o Korinie, którego bystre oczy już

wypatrzyłyby galerę Barkasa, oraz o Gajuszu, który dotykem zręcznej dłoni na rumplu posłałby *Orcusa* w sam środek szyku wroga, niczym strzałę, która by go zabiła.

Po krótkiej chwili znów dostrzegł statek Barkasa, który właśnie wysuwał swój taran z unieruchomionej rzymskiej galery. Wykrzyczał pod adresem sternika rozkaz o zmianie kursu i ponownie zarządził prędkość do taranowania. *Orcus* ruszył do ataku, przebijając się przez kolejne pędzące w jego stronę fale.

– Oddaję ci dowodzenie na rufie – powiedział Attyk sternikowi, po czym chwycił rękojeść miecza i poszedł na główny pokład. Wziął do ręki tarczę *hoplon* i stanął u boku Septymusa.

Centurion zerknął na przyjaciela i kiwnął głową, rozumiejąc, że Attyk ma potrzebę doprowadzenia tej bitwy do końca.

Wróg nie był jeszcze świadom, że *Orcus* się zbliża, ponieważ przypuszczał on natarcie z przeciwnej strony szyku bojowego. Septymus dobył miecza – Druzus zrobił to samo – po czym krótkim rozkazem doprowadził żołnierzy do pełnej gotowości bojowej; ich klingi świsnęły melodyjnie, gdy wysunęły je z pochew.

Septymus odwrócił się do swoich ludzi, unosząc oręż wysoko.

– Za Rzym! – krzyknął, a ludzie wznieśli jednoczesny wiwat, uderzając o tarcze mieczami. W tym ogłuszającym ryku serca ludzi zahartowały się niczym stal na czas



czekającej ich brutalnej potyczki.

– I za jego poległych – dodał pod nosem Attyk, dobywając własnego miecza wśród wiwatujących legionistów.

*Alissar* ponownie uruchomiła wiosła przy prędkości ofensywnej. Sternik odsunął dziób od pierwszej ofiary okrętu flagowego, a Hamilkar wzniósł wraz ze swoją załogą triumfalny okrzyk. Jego myśli zalały wspomnienia spod Drepanum; znów mieli szansę zdobyć niewiarygodny łup, całą rzymską flotę. Przeniósł wzrok na potyczkę toczącą się za *Alissar*, już formułując w głowie sygnał, który miał nadać swoim statkom, aby oszczędziły zatonięcia jak największej liczbie rzymskich galer. Kiedy jednak spojrzął ponad relingiem od bakburty, uśmiech zamarł mu na twarzy.

Nie dalej jak trzydzieści kroków od *Alissar* jeden z jego statków właśnie atakowała rzymska drużyna abordażowa. Takie natarcia odbywały się też na tuzinie innych galer w jego polu widzenia, podczas gdy inne padły ofiarą taranów wroga. Jego okrętom udało się pozbyć tylko garści jednostek wroga. Nawet na tych, na których udało im się dokonać abordażu, legionieści odpierali atak kartagińskich wojowników.

Hamilkar wsparł się o reling i poczuł, że ogarnia go straszliwa obawa. Wnioskując z miażdżącego zwycięstwa, które odniósł pod Drepanum, wierzył, że jego niepełnym liczbowo załogom i tak uda się wymanewrować

nieszczęsnych Rzymian, ale wróg świetnie sobie radził, jakimś sposobem nadrobiwszy wcześniejsze niedostatki pod względem umiejętności żeglarskich i walki na morzu. Powróciły wątpliwości, które szarpały nim po Eknomos, kpiąc z jego ślepej wiary w wyższość Kartagińczyków na morzach. Czuł się bezradny. Jak mógł pokonać takich nieprzyjaciół? Rozgromił ich armię pod Tunesem, a flotę pod Drepanum. Bogowie ściągnęli na nich burzę, która zniszczyła ich galery, a jednak Rzymianie za każdym razem wracali, za każdym razem rwali się do walki, odrzucając wszelkie propozycje rozejmu, a ich flota wciąż się odradzała i nie traciła odwagi, nieustępliwie ruszając do boju z każdą flotą, którą był w stanie zebrać Hamilkar. Ich siła woli dawała im niepowstrzymaną, bezgraniczną potęgę.

W przeszłości Rzymianie zwyciężali za pomocą swoich przeklętych ramp do abordażu albo – pod Przylądkiem Hermajskim – dzięki zwykłej przewadze liczebnej, ale pod Drepanum Kartaginie w końcu udało się zrobić użytek z jednego atutu, który zawsze posiadała: rzemiosła żeglarskiego, a rezultatem był absolutny triumf. Teraz wyglądało na to, że wróg posiadał ten jeden atut. Jak udało się Rzymianom zaprzęgnąć swoje zasoby i siłę woli do stworzenia floty, która była w stanie pokonać okręty z wód Kartaginy, i kto spośród nich mógłby dowodzić taką siłą?

– Galera na kursie taranującym od sterburty! – wrzasnął gorączkowo obserwator, a Hamilkar okręcił się

na pięcie.

Na tle pustego krajobrazu morskiego rysowała się wyraźnie samotna jednostka, zbliżająca się niespodziewanym kursem, który zauważył tylko czujny obserwator, cała flota bowiem podzielała zainteresowanie dowódcy tym, co działo się od bakburty. Hamilkar oniemiał, tracąc cenne sekundy, podczas gdy rzymska galera zbliżyła się do *Alissar* na odległość stu kroków.

– Ster prawo na burtę, w jej stronę! – ryknął Barkas, przytomniejąc, i podbiegł do rumpla, aby ułatwić sternikowi zakręt. – Prędkość do taranowania!

*Alissar* skręciła zwinnie, a szyk bojowy przesunął się przed jej dziobem. Hamilkar nie spuszczał wzroku z tarana samotnej galery, który ściał zakręt, aby wciąż celować w środek burty jego własnego okrętu. Podniósł wzrok i jego dłoń opadła nagle z rumpla: na widok bander odruchowo chwycił rękojeść miecza.

Statek Greka. Perennis.

Greki żył, co w mgnieniu oka odpowiedziało na wszelkie pytania Hamilkara, a jego wątpliwości zniknęły, zastąpione zimną determinacją. Oto był prawdziwy wróg: nie zastępy Rzymu, ale demon, który dodał im potęgę.

Dystans spadł do pięćdziesięciu kroków, a Hamilkar pobiegł na główny pokład, po drodze wysuwając miecz z pochwy.

– Załoga, przygotować się do zderzenia i odparcia abordażu! – krzyknął.

Zbliżył się do relingu na sterburcie, a jego ludzie

stłoczyli się za nim, gotowi na natarcie. Nadciągająca galera wypełniła całe jego pole ‘widzenia, a Hamilkar podniósł błyskawicznie tarczę, gdy czarny deszcz włóczni wystrzelił z dziobu jednostki Greka, po czym opadł ciężko na kartagińską załogę. Zadziory trafiły w cele wśród zwartych szeregów. Wojownicy Hamilkara zaczęli krzyczeć z bólu oraz gniewu i przywoływać wroga do nieuniknionej potyczki. Chcieli odpłacić się za każdą ranę, każdą kroplę krwi.

Hamilkar pozwolił im ryczeć, choć sam zaciskał usta z nienawiści. Może i nie miał kontroli nad losem swojej floty. *Alissar* znajdowała się na skraju zagłady, a on nie mógł jej uratować. Poprzysiągł jednak, że jeśli tego dnia dosięgnie go ręka Mota, boga śmierci, nie pójdzie do niego sam. Podąży za Grekiem.

Attyk napinał wszystkie mięśnie – odgłos zderzenia miał się rozlegnąć w każdej chwili. Jego miecz zdawał się nic nie ważyć, tarcza była przyciśnięta do ramienia, a on oddychał głęboko, kiedy *Orcus* pokonywał ostatnie kroki. Jego myśli były pełne wrzawy bitewnej oraz całkowitej pewności, która pojawia się na granicy śmiertelnego niebezpieczeństwa, kiedy to duch wygrał z instynktem i zaangażował wojownika w walkę, kiedy liczebność wroga i jego potęga przestają mieć znaczenie. Liczy się tylko człowiek, z którym mierzy się wojownik; w sercu bitwy na wielką skalę walczy się nie o zwycięstwo, lecz o przeżycie.

Attyk poleciał do przodu, kiedy *Orcus* uderzył w cel, a po pokładzie przebiegł potężny wstrząs. Dwumetrowy brązowy taran kwinkweremy wbił się głęboko w kadłub kartagińskiej jednostki, a powietrze rozdarł dźwięk belek pękających od tak ogromnego ciosu oraz przerażone krzyki ludzi, którzy już przewidywali własną śmierć w zimnej wodzie wpływającej przez dziurę na niższe pokłady.

Robiąc użytek z siły zderzenia, Attyk ruszył do natarcia. Septymus biegł u jego boku, a legioniści pędzili za nimi jak pomioty Nemezis, niosąc zemstę za straty pod Drepanum. Attyk wskoczył na reling i nie wahając się ani przez moment, wykonał ponadmetrowy sus na główny pokład galery wroga, z mieczem i tarczą gotowymi do starcia z Kartagińczykami, którzy na powrót tworzyli szyk po zderzeniu. Zaatakował jednego z żołnierzy wroga z takim rozpędem, że mężczyzna wpadł na tłum stojący za jego plecami. Kartagińskie szeregi usiłowały odeprzeć inwazję, zanim jeszcze Rzymianom uda się zaczepić na pokładzie.

Attyk rozpętał całą swoją furię, wiedząc, że pierwsze chwile mają kluczowe znaczenie, że defensywę wroga trzeba stłumić, aż legionistom uda się liczniej dostać na statek. Napastników było niewiele – obrońcy mieli sporą przewagę liczebną – i mieli do dyspozycji jedynie wąski fragment pokładu. Dzięki krukowi czterdziestu ludzi wpadało na jednostkę wroga w dwadzieścia sekund, lecz teraz legioniści wdzierali się nań dwójkami i trójkami, a

ich atak tracił impet, gdy liczni zajmowali miejsce zabitych legionistów w pierwszym szeregu.

Attyk walczył dalej, bezustannie świadom zdradliwej pustki za plecami: tylko cienki reling dzielił go od bezlitosnego morza uwięzionego między dwoma wrogimi kadłubami. Ciął nisko mieczem, koncentrując się na przeciwniku przed sobą, cały czas walcząc z pokusą obejrzenia się na flankę. Wiedział, że musi ufać legioniście u swojego boku, zawierzyć jego umiejętnościom.

Kartagiński szyk zwarł się, gdy powstrzymano pierwszy impet rzymskiej szarży, a Attyk naparł ramieniem na swoją tarczę, czując, że z głębi zastępów wroga zaczyna wzbierać kontratak. Wahadło wychyliło się z powrotem na stronę Kartagińczyków: ich liczebność i szerszy front, jakim dysponowali, pozwalały im pchać pierwszy szereg od tyłu, co nie dawało mu innego wyboru, jak tylko wdzierać się głębiej między Rzymian.

Z boku Attyka dał się słyszeć ryk komendy i Grek kątem oka zauważył, że stoi przy nim Septymus, którego głos niósł się wyraźnie ponad brzękiem stali i wrzaskami agonii oraz furii. Za sobą Attyk słyszał głębszy głos Druzusa, który popędzał ludzi do przodu, zaprzęgając do walki wytrwałość wykształconą u żołnierzy podczas marszów, ich siłę, którą mieli powstrzymać kartagińskie natarcie.

Szyk bojowy zbił się ciasniej, co zmusiło Attyka do skrócenia pchnięć mieczem; każde cięcie klingą i

cofnięcie jej było próbą dla siły jego prawego ramienia, gdy ponownie zaangażował się w potyczkę z obrońcą, który stał niemal pierś w pierś z nim i wlepił w niego wzrok. Buntowniczy ryk Kartagińczyka niknął w hałasie bitewnym, a jego ślina mieszała się na twarzy Attyka z jego własnym potem, gdy walczył wciąż i wciąż.

W pierwszym szeregu toczyła się rzeź, w której ludzie oddawali życie za skrawki miejsca na pokładzie, a zabici padali tylko tam, gdzie pozwalał na to ścisk. Pokład był pokryty krwią ludzi z obu stron, a linia boju stała się bardziej stabilna, gdy napór wywierany przez Kartagińczyków i Rzymian się wyrównał. Języczek u wagi na powrót oddalił się od Punijczyków, ale tylko do połowy swojego łuku – kołysał się teraz kapryśnie nad frontem bitwy, czekając na to, która strona złamie się pierwsza.

Hamilkar stał wśród swoich ludzi, nawołując, aby nie przestawali przeć przed siebie, żeby zmiotli wroga z pokładu *Alissar*, żeby walczyli tak, jakby Rzymianie grozili samym murom świętej Kartaginy. Wyczuł, że pokład przechyla się nieco – jego galera już umierała, a jej odejście opóźniał wyłącznie rzymski taran, który tkwił głęboko w jej trzewiach i podtrzymywał ją na powierzchni wody. Gdy sobie to uświadomił, jego determinacja umocniła się jeszcze bardziej, i pchnął dalej razem ze swymi wojownikami, odbierając ludziom walczącym z przodu miejsce do posługiwania się mieczami,

poświęcając ich, aby odeprzeć rzymski atak.

Napór zwiększył się i Hamilkar ponownie wezwał swój szyk do przesunięcia się w przód; w ścisłości brakowało mu tchu, a stęknienia i sapanie wysiłającej się tłuszczy zagłuszały brzęk stali. Hamilkar spojrzał na szereg rzymskich hełmów, widoczny nie dalej jak dwa kroki od niego, a jego uwagę przyciągnął najwyższy człowiek, stojący pośrodku. Był to centurion, który walczył u boku Greka przed bitwą pod Przylądkiem Hermajskim.

Na ten widok Hamilkar zdwoił wysiłki i jego determinacja dodała otuchy otaczającym go ludziom, a ich okrzyki bojowe nabrały zajadłości, która ośmieliła kartagińskie szeregi. Szyk bojowy drżał niczym cięciwa naciągnięta do granic wytrzymałości, z napięciem, które groziło, że pęknie, i Hamilkar poczuł, że jego żądza krwi się nasila, gdy nagle zrobił pełny krok w przód. Napór przed nim zmniejszył się, a jego ludzie zareagowali dzikim wiwatem, gdy kartagiński szyk ruszył przed siebie.

Septymus patrzył zimno ponad skrajem tarczy na kartagińskiego żołnierza stojącego tuż przed nim. Mężczyzna wykrzykiwał przekleństwa w gardłowym języku Punijczyków i wykrzywił twarz z wysiłku, usiłując odepchnąć rzymski szyk w tył. Septymus ciał na oślep i okrzyk Kartagińczyka zmienił się w ryk cierpienia, a krew trysnęła z jego ust, gdy Septymus przekręcił klingę, aby zmasakrować ciało i uwolnić miecz. Ciało



wojownika zgarbiło się bezwładnie, ponieważ nie mógł on swobodnie upaść na pokład, a Septymus obrócił lekko ramię, żeby mieć miejsce na poruszanie mieczem, gotów na kolejny atak.

Walka robiła wrażenie niesłabnącej, ale choć nogi bolały go z wysiłku koniecznego do powstrzymywania fali kartagińskich wojowników, czuł, że jego prawe ramię jest niestrudzone: walka twarzą w twarz była naturalnym otoczeniem dla miecza w jego dłoni, a prosty rytm ciosu i wycofania klingi był niemal odruchowy.

Otoczający go żołnierze walczyli bezlitośnie, ciała zgładzonych ścieliły się gęsto przed nimi, a Septymus oceniał, że Kartagińczycy tracą dwóch lub trzech ludzi na każdego zabitego Rzymianina. Napór wroga znów wzrósł, a Septymus napiął mięśnie nóg, wbijając ćwieki na podszwach sandałów w pokład, żeby nie ślizgać się na kleistej powierzchni pokrytej krwią i wnętrznościami. Zajadłość kartagińskiej obrony wprowadziła go w osłupienie: ślepa furia wroga była tak silna, że był on gotów użyć pierwszego szeregu swoich zastępów jako tarana, aby przebić się przez formację Rzymian.

Kartagiński żołnierz wstał nad swoim martwym towarzyszem i Septymus znów zaatakował, wymierzając niskie cięcie, a ścisk zepchnął jego klingę z drogi. Rozpłatał wewnętrzną część uda przeciwnika – była to straszliwa rana, wyrok śmierci w walce, w której wymiana żołnierzy w szyku bojowym była niemożliwa – i wlepił wzrok w przerażoną, wykrzywioną bólem twarz

Kartagińczyka, po czym bezkarnie zadał jeszcze jeden cios, przed którym cierpiący mężczyzna nie był w stanie się bronić.

Septymus wycofał miecz, gotów zadać kolejny cios, kiedy zamarł na mrożące krew w żyłach wrażenie po lewej stronie ciała. Po ręce, w której trzymał tarczę, i lewej nodze przebiegł niewiarygodnie mocny impuls, siła potężniejsza od wszystkiego, co czuł wcześniej, i poczuł, że jego ciało ustępuje pod tym naporem, a jednocześnie zorientował się, że Kartagińczycy wznoszą wiwat, gdy cały rzymski szyk musiał cofnąć się o krok.

Nagle ogarnęła go panika i krzyknął do swoich ludzi, żeby wytrzymali, a jego okrzyk podjął Attyk stojący z boku i Druzus na tyłach. Mimo tej rozpaczliwej komendy po chwili stracili kolejny skrawek pokładu. Septymus rzucił się do ataku, a jego klinga odnalazła odsłonięte fragmenty ciał przeciwników, ale napór nie ustępował. Zza jego pleców rozległy się pełne niepokoju krzyki i Septymus obejrzał się przez ramię między legionistami, którzy tłoczyli się na dwumetrowym skrawku pokładu kontrolowanym przez Rzymian. Reling puścił, a Septymus patrzył z niedowierzaniem, jak trzech ludzi znikają za burtą; to, że wpadli do morza, pozostało niezauważone w narastającym chaosie, a ciężkie uzbrojenie przypieczętowało ich los.

Obrócił się, myśli przysłoniła mu straszliwa furia, a stawy jego zakrwawionej prawej dłoni zbieleły, tak mocno ścisnął rękojeść miecza. Jeśli jego ludzie mieli

zginać, zginą, walcząc z wrogiem, a nie jak wyrzucane za burtę robactwo. Zebrał całą swoją wolę, wiedząc, że musi odeprzeć impet szarży wroga.

– Ludzie Dziewiątego! – krzyknął, a otaczający go legioniści spojrzeli na swojego centuriona. – Przygotować się do przegrupowania!

Ryknęli w odpowiedzi, zajadle potwierdzając rozkaz dowódcy, za którym podążyli na śmierć.

– Formacja klina! – wrzasnął Septymus, po czym natychmiast okręcił się w bok i pchnął z całej siły, wciskając trzymaną pod kątem tarczę między dwóch Kartagińczyków w desperackiej próbie osłabienia potężnej siły szyku wroga. Próbował wymusić rozłam w szyku i dać swoim ludziom szansę.

Attyk bez wahania poszedł w ślad za Septymusem, napierając na przeciwnika po lewej i nachylając ciało tak, aby chronić flankę centuriona. Potęga kartagińskiego szyku była skoncentrowana na posuwaniu się do przodu, podczas gdy na linii na ukos był on mniej zwarty, i nagła szarża formacji klina wbiła jej skraj głęboko w szeregi Punijczyków. Legioniści walczyli z dziką agresją, wbijając miecze w zastępy Kartagińczyków, i przesuwali się tak, aby wzmocnić tylną część klina, w mgnieniu oka całkowicie zmieniając formę ataku.

Kartagińczycy zareagowali, neutralizując pierwszą falę rzymskiego kontrataku, ale Rzymianie zdobyli chwilę oddechu: nie groziło im już zepchnięcie do morza. Teraz walczyli na dwóch frontach ustawionych do siebie

plecami, ale unikając losu, który chcieli im narzucić Kartagińczycy, Septymus zaryzykował wszystko. Jeśli nie uda im się przełamać kartagińskiego frontu, zostaną otoczeni i wymordowani jak ludzie, którzy nie ustąpili pod Tunesem.

Attyk stęknął, wyrywając klingę z ciała kartagińskiego żołnierza. Gardło miał wysuszone, oddychał z trudem, w ustach czuł ohydny smak potu i krwi. Jego lewa ręka była odrętwiała – *hoplon* podtrzymywały na przedramieniu tylko pasy z tyłu tarczy – i poczuł w barku jeszcze jeden cios miecza, a jego ciało niczego nie potrzebowało bardziej niż odpoczynku. Gdy szal bojowy pchnął go do jeszcze większego wysiłku, poczuł z tyłu gardła żółć.

Czuł obok siebie obecność Septymusa, który wycinał sobie ścieżkę w szeregach wroga, i z całej siły próbował dotrzymać mu kroku, ponieważ wiedział, że jeśli ktokolwiek zostanie odizolowany z szyku, wróg w mgnieniu oka go zgładzi. Czubek klina pokonał już połowę szerokości pokładu, a bezkształtna kartagińska formacja dostosowywała się bezustannie do jego ruchów, koncentrując swe siły przed nim i próbując stępić ostrze natarcia. Nadzieja ta jednak spełzła na niczym: Rzymian nie dało się powstrzymać i parli przed siebie, a wahadło rezultatu walki podążyło ich śladem.

Hamilkar wezwał swoich ludzi do utrzymania pozycji, ale wrzawa bitewna zagłuszyła jego okrzyk i

usłyszeli go tylko ludzie stojący najbliżej; ich niewielka garstka nie była w stanie zrobić zbyt wiele, aby powstrzymać impet rzymskiego natarcia. Był już o włos od zwycięstwa, ale zdyscyplinowani rzymscy żołnierze wyłamali się z potrzasku i Hamilkar pojął, że jego załoga wkrótce podzieli los, jaki spotkał flotę. Barkas wiedział, że jego rozdzielony na połowy oddział nie przetrwa, nie potrafi zatrzymać formacji rzymskich żołnierzy, którzy nie bali się już ataku wroga z tyłów. Porażka mogła nastąpić w każdej chwili i Hamilkar pogodził się z nieuniknionym, skierowując swoją furię na walkę na mniejszą skalę, której odbycie nakazywał mu honor.

Między tłoczącymi się ludźmi ponownie dostrzegł na czele rzymskiej formacji potężną sylwetkę centuriona, a u jego boku – naznaczoną blizną twarz Greka. Już miał zacząć nacierać przed siebie, kiedy wśród żołnierzy dookoła siebie wyczuł pierwsze oznaki odwrotu: ton ich okrzyków bojowych się zmienił, a wielu z nich zerkało przez ramię, nie patrząc już na wroga. Krzyknął do wojowników po raz ostatni, nawołując, żeby wytrwali dla Kartaginy i *Alissar*, ale oni już nie słyszeli, przez mgłę szaleńczego przebił się bowiem instynkt przetrwania.

Rzymianie dotarli do przeciwległego relingu i Kartagińczycy cofnęli się niemal jednocześnie, jakby na rozkaz; doświadczeni wojownicy wiedzieli, że Rzymian nie da się już pokonać starciem w formacjach. Od tej chwili każdy będzie walczył za siebie, a Mot chodził już między nimi, oddzielając tych, których oszczędzi, od tych,

którzy mieli przejść wraz z nim przez bramy krainy cieni.

Tylko Hamilkar stał spokojnie, nie odrywając oczu od Greka: rozdzielające się zastępy jego ludzi dawały mu niezakłóconą linię wzroku. Perennis stał nie dalej jak dziesięć kroków od niego, wyciągając miecz, a Rzymianie już tworzyli szyk, który zajmował całą szerokość pokładu. Jeden z ludzi Hamilkara potrącił go, cofając się, ale Barkas go zignorował. Dowodzenie nad oddziałem nie miało już dla niego znaczenia. Był wojownikiem Kartaginy, a jego wróg stał przed nim – nie liczyło się nic innego. Nabrał tchu, zbierając się w sobie przed pojedynkiem, a potem ryknął jedno słowo wyzwania:

– Perennis!

Attyk usłyszał swoje nazwisko wyraźnie, a kiedy błyskawicznie się odwrócił, dostrzegł, że Hamilkar stoi wyprostowany, a otaczający go ludzie cofają się. Zareagował bez namysłu, wybiegając z rzymskiego szyku z podniesionym wysoko mieczem i też wykrzykując imię Hamilkara. Usłyszał za sobą wydany szeregom rozkaz do natarcia – jedna grupa ludzi miała iść na dziób, druga na rufę – ale Attyk nie zwrócił na niego uwagi. Był wolny, a nieprzyjaciel, który odebrał mu tak wiele, stał przed nim.

Kartagińczycy dokonywali odwrotu, ale jeden z wojowników stanął, aby zmierzyć się z Attykiem. Nie zatrzymując się i nie spuszczać wzroku z Hamilkara, Grek odepchnął go tarczą. Opuścił miecz i zbliżając się do Barkasa, dostrzegł, że ten ugina nogi, przyjmując pozycję

obronną, jego twarz wykrzywia agresywny grymas nienawiści, a usta ma rozdziawione w okrzyku bojowym.

Attyk zamachnął się mieczem, z całym impetem uderzając Hamilkara w bok. Barkas przyjął cios na tarczę, ale od jego siły stracił równowagę. Zrobił unik, po czym sam wymierzył pchnięcie, celując w bok Greka i odwracając się w stronę pojedynku. Attyk odparował cios i obrócił klingę szerokim łukiem, aby zmusić Hamilkara do odsłonięcia brzucha, ale ten wyczuł zagrożenie i zerwał kontakt.

Walczący zbliżyli się do siebie – żaden z nich nie próbował okrążyć swojego przeciwnika czy zdobyć więcej miejsca. Ślepa nienawiść pchała ich coraz głębiej w potyczkę i nie odrywali od siebie oczu, bezgłośnie powtarzając przekleństwa i przysięgi zemsty za straty poniesione w ciągu lat wojny. Hamilkar uderzył Attyka skrajem tarczy w bark i dźgnął mieczem w jego stronę. Grek odruchowo machnął własną klingą w dół i choć odparował cięcie, czubek miecza Hamilkara przesunął się po jego udzie, upuszczając mu pierwszej krwi.

Attyk cofnął się, ale Hamilkar podążył za nim, nie pozwalając mu się przegrupować, i zrobił użytek ze swojego rozpędu, aby rozpocząć sekwencję ciosów. Jego klinga migiała błyskawicznie, a Attyk mógł jej uniknąć, wyłącznie dając się ponieść instynktowi; jego ramię reagowało szybciej niż świadoma myśl. Grek ponownie odczuł zmęczenie, ale nie pozwolił sobie ustąpić, ponieważ wiedział, że moment oddechu będzie go

kosztował życie i nikt nie pomści śmierci Gajusza i Korina.

Na tę myśl wziął się w garść i mocno stanął na pozycji, przeciągając atak Hamilkara. Nie miał zamiaru ustąpić przeciwnikowi już ani na krok. Walczył równie zajadle jak Kartagińczyk, znajdując zapasy siły w swoim postanowieniu, aby ostatecznie zakończyć starcie. Szukał szansy na kontratak, ale Hamilkar nie ustępował ani na moment, a ciosy jego miecza bezustannie zmuszały Attyka do coraz bardziej rozpaczliwej obrony. W jego myśli wdarła się zimna panika, przerażające uczucie, że Hamilkar już za moment przebije się przez jego defensywę. Attyk wściekle stłumił tę obawę, szukając rozwiązania, i nagle dostrzegł słaby punkt natarcia Kartagińczyka.

Klinga Hamilkara gruchnęła o jego *hoplon*, a Attyk odepchnął ją, odsłaniając korpus przeciwnika. Barkas zareagował na to zagrożenie, przyciągając własną tarczę w oczekiwaniu na cios mieczem, ale zamiast tego Attyk niespodziewanie znów zamachnął się tarczą. Ciężka żelazna krawędź trafiła skroń Kartagińczyka, który zatoczył się, ogłuszony. Attyk wykorzystał szansę i dźgnął mieczem tak, że jego czubek wbił się głęboko w odsłonięty prawy bark Hamilkara. Attyk wyrwał miecz, przekręcając go, a Hamilkar krzyknął z bólu i padł na pokład u stóp rzymskiego szyku, który już zdążył pokonać połowę pokładu głównego.

Jeden z legionistów ruszył dobić kartagińskiego



wroga, ale Attyk rzucił się przed siebie, a jego miecz powstrzymał śmiertelny cios, podczas gdy formacja wyminęła już rannego dowódcę.

– Skończ to – syknął Hamilkar, podnosząc wzrok na Attyka i przyciskając rękę do rany.

Attyk wlepił w niego wzrok, wciąż otumaniony po pojedynku, i zastanawiał się, dlaczego ocalił Hamilkara przed mieczem legionisty. Kartagińczyk dostrzegł jego wahanie i spróbował podnieść własny oręż, ale Attyk odepchnął go z taką siłą, że wypadł mu on z dłoni i odtoczył się po pokładzie z brzękiem. Grek wycelował czubek swojej klingi w pierś Hamilkara, ale znów zamarł bez ruchu. Dokoła rozległy się wiwaty i rzymskie trąby sygnalizujące zwycięstwo.

– Na co czekasz? – dopytywał się gniewnie Hamilkar.

Attyk poszukał odpowiedzi w duszy. Hamilkar był pokonany, walka wygrana, a choć jego żądza walki domagała się ostatniego ciosu, nie potrafił go zadać. Pomyślał o Gajuszu i Korinie, o Lucjuszu, i o tym, że zawsze walczyli honorowo. Przeciwnik leżał u jego stóp, nieuzbrojony, a choć jego miecz żądał zemsty, Attyk wiedział, że jeśli teraz zabije Hamilkara, dyshonor zamordowania bezbronного wroga splami pamięć właśnie tych ludzi, w których imieniu walczył. Opuścił miecz.

– Już po wszystkim – powiedział i zrobił krok w tył.

Hamilkar usiłował się podnieść, a na jego twarzy malował się ból i gniew.

– Chcesz darować mi życie? – zapytał. Hańba

całkowitej porażki, jaką poniósł, odebrała mu chęć przeżycia tej potyczki.

Attyk kiwnął głową, znów myśląc o swoich zabitych załogantach.

– Nie zabiję nieuzbrojonego człowieka – odparł.

– Czy to grecki honor? – zapytał pogardliwie Hamilkar.

– Nie – rzucił Attyk – rzymski.

Odwrócił się, chowając miecz. Rękojeść uderzyła mocno o pochwę, a ten gest symbolicznie zakończył walkę. Attyk podszedł do relingu, przekraczając ciała poległych Rzymian i Kartagińczyków, którzy oddali życie w ostatnim akcie krwawej wojny. Dalej było niespokojne morze o powierzchni szarpanej przez wiatr oczyszczający powietrze ze smrodu bitwy, a jego mroczne głębiny nie zważały na los ludzi, którzy walczyli o tytuł jego władców.

## EPILOG

Przez usłane płatkami kwiatów ulice sunęły powoli rydwany, a ciągnące je konie szarpały nerwowo łbami, gdy ogłuszający ryk tłumu przywitał triumfalny pochód. Wąskie ulice były przyozdobione nisko zawieszonymi girlandami, które trącały czubki włóczni legionistów ściśniętych w zbite szeregi przez wiwatującą tłuszcę zebraną wzdłuż trasy na Forum Magnum.

Młodszy konsul Gajusz Lutacjusz Katulus jechał na czele, a za jego rydwanem podążała setka niewolników, którzy nieśli na ramionach kartagiński taran z brązu jako symbol jego zwycięstwa. Lup ten miał zająć honorowe miejsce u stóp kolumny wzniesionej przez Duiliusza po jego triumfie pod Myle. Odziany w purpurową togę zwycięzcy konsul podniósł dłoń, kiedy przy akompaniamencie dźwięku trąb wjechał na Forum.

W rydwanie za świtą konsula jechał wyprostowany Attyk z Septymusem u boku, a czwarty manipuł Dziewiątego legionu maszerował ich śladem w roli gwardii honorowej. Na czele manipułu szedł Druzus o surowym wyrazie twarzy, kontrastującym z ekstatycznymi minami zgromadzonych. Obaj dowódcy milczeli – w tym hałasie rozmowa byłaby niemożliwa – z podziwem obserwując niewiarygodny wybuch radości obywateli Rzymu.

Kartagina została pokonana i zmuszona do zawarcia

nierównego rozejmu: Rzym zyskał Sycylię, a wroga skazano na płacenie przez dwadzieścia lat corocznej daniny w wysokości dwóch tysięcy dwustu eubejskich talentów. Ta niebotyczna suma miała wypełnić skarbcę miasta i zakończyć ściąganie podatków na rzecz wojny.

Rzymscy jeńcy pojmieni pod Tunesem i Drepanum wrócili do miasta, do rodzin, które uważały ich za martwych, podczas gdy Kartagińczycy uiścili ogromne okupy za możliwość odzyskania swoich. Choć wielu z nich już odprawiono do Afryki, na żądanie Katulusa opóźniono wyjazd garstki z nich, żeby pokazać ich obywatelom podczas triumfu.

Hamilkar maszerował na czele swojej grupy, a za nim podążali wysocy rangą dowódcy i szlachetnie urodzeni kapitanowie z jego floty. Głowę miał podniesioną wysoko, pozorując dumę, której nie był w stanie w sobie wzbudzić, i wwiercał się spojrzeniem w tył głowy Greka Perennisa i rzymskiego centuriona stojącego przy nim. Jego ojciec zrujnował się, aby go wypuszczono, ale hańba ta nie zadała bólu jego sercu, znieczulonemu porażką i upokorzeniem. Pozostała w nim tylko bezgraniczna nienawiść i Hamilkar czuł, że przy każdym nabieranym hańście przeklętego powietrza Rzymu pieką go płuca.

Udręka była straszliwa: tłumy dookoła niego szydziły i wykrzykiwały przekleństwa w języku, który zdążył zniechęcić. Wrócił myślami do domu i synów, i tego, że będzie musiał stanąć z nimi twarzą w twarz. Hazdrubal i Mago byli zbyt mali, aby cokolwiek zrozumieć, ale

Hannibal był bystry ponad swoje lata i na pewno pojmie upokorzenie ojca. Ta świadomość podsycała nienawiść Hamilkara; postanowił już, że nie będzie chronił chłopców przed prawdą. Z czasem wszyscy oni dowiedzą się o jego nienawiści wobec Rzymu i stanie się ona pożywką ich ambicji oraz lojalności. Kartagina zawsze będzie miała wrogów, w Afryce, Iberii lub jeszcze dalej, ale jeśli chodziło o Hamilkara, ród Barkidów będzie się domagał krwi tylko jednego ludu, Rzymian. Hołubił w sercu nadzieję, że pewnego dnia synowie Hamilkara Barkasa zemszczą się straszliwie w imieniu Kartaginy.

Attyk zszedł z rydwanu u stóp schodów prowadzących do kurii. Zaczął się po nich wspinać w towarzystwie Septymusa, a tłum wzniósł jeszcze głośniejsze wiwaty, rozpoznając dowódcę floty i jego centuriona. Ich imiona znano w całym Rzymie – retorzy wynajęci przez Duiliusza powtarzali je bez końca z rogów każdego forum – i teraz tłum ruszył przed siebie, napierając na kordon legionistów.

Attyk szedł, wznosząc oczy na szczyt schodów i zebranych tam przywódców Rzymu: Aulusa Postumiusza Albina, stojącego pośrodku starszego senatora, Katulusa u jego boku i Duiliusza, który zajmował miejsce za nimi dwoma i kiwnął mu głową z uśmiechem, gdy dostrzegł jego spojrzenie. Attyk szedł tą trasą już wcześniej, po bitwie pod Myle, ale od tamtej pory tyle się zmieniło. Tamtego dnia Duiliusz zaproponował mu miejsce u swojego boku w sercu miasta, ale Attyk odmówił, sądząc,

że Rzym nigdy nie będzie dla niego domem, że jego przeznaczenie leży gdzie indziej. Teraz miał zaprzeczyć tej wierze i na zawsze związać swój los z Rzymem. U szczytu schodów odwrócił się i przesunął wzrokiem po tłumie, a to, że wśród wykrzykiwanych radośnie imion słyszał własne, napawało go dumą.

Starszy konsul wyciągnął ramiona, a hałas ucichł do donośnego pomruku. Albin zaczął mowę, lecz jego słowa słyszeli tylko ludzie stojący z przodu. Mówił o Katulusie i porażce kartagińskiej floty, o potędze Rzymu i tym, że nikt nie może go pokonać, że Sycylia jest ledwie początkiem nowej, niewiarygodnej okazji, aby republika rozszerzyła swoje granice na morze, które niegdyś wyznaczało kres jej ambicji.

Tłum ryknął z aprobatą, a jego wiwaty poniosły się falą po całym Forum, a ta zaraźliwa radość poruszyła nawet tych, którzy nie słyszeli słów konsula. Albin ponownie zażądał ciszy i rozkazał Attykowi stanąć przed sobą.

– Obywatele Rzymu, ludu republiki – ogłosił – dziś oddajemy cześć człowiekowi, który stoi ramię w ramię z konsulem Katulusem, człowiekiem, który dowodził flotą podczas jej zwycięstwa i zapewnił temu miastu bezpieczną przyszłość. W uznaniu za ten czyn i wszystkie inne niniejszym nadaję Attykowi Miloniuszowi Perennisowi obywatelstwo Rzymu i godność ekwity.

Wiwaty osiągnęły kulminację, gdy starszy konsul uścisnął Attykowi dłoń. Wśród wrzawy stojący najbliżej

Greka senatorowie też zaczęli mu gratulować. Attyk uśmiechnął się, kiedy podszedł do niego Duiliusz – wiedział, że senator zaaranżował nadanie obywatelstwa – i podali sobie ręce jak wielokrotnie przedtem, jako życzliwi sobie sojusznicy. Attyk odwrócił się i odszukał Septymusa, który przepychał się przez grupkę senatorów w stronę przyjaciela. Stanęli naprzeciw siebie.

– Witaj w Rzymie, obywatelu – powiedział z uśmiechem centurion.

Attyk roześmiał się i uścisnął mu rękę.

Septymus wyciągnął drugą dłoń i odwrócił Attyka w stronę tłumy.

– Tam, na dole – wskazał pierwszy szereg ludzi stojących u stóp schodów.

Attyk natychmiast dostrzegł patrzącą na niego Hadrię. Wyglądała tak, jak w dniu, kiedy ją poznał, a jego serce w mgnieniu oka przypomniało mu, co czuł podczas tego pierwszego spotkania. Uśmiechała się, a jej twarz była rozświetlona radosnym blaskiem, wyrażającym wszystkie uczucia, które kiedykolwiek dzielili. Przy niej stał jej ojciec, Antoninus. On też się uśmiechał, a kiedy Attyk spojrzał mu w oczy, były centurion kiwnął lekko głową. Attyk ponownie popatrzył na Hadrię i uświadomił sobie, że najcenniejsza więź, która niegdyś łączyła go z Rzymem, ponownie tworzy się w jego duszy. Bariery społeczne, które wcześniej przecięły tę więź, runęły. Attyk odwzajemnił uśmiech dziewczyny.

Sięgnął wzrokiem poza tłum, na świątynie oraz

budynki dookoła Forum, i dalej, na mury Serwiusza otaczające miasto. Widząc zieloną mgiełkę na południowym horyzoncie, przebył w myślach ponad dwieście lig dzielących go od Lokr. Tam, w suchej ziemi, leżały kości wielu pokoleń jego przodków. Byli to dumni ludzie, tak samo jak ich potomek, i Attyk ponownie pomyślał o mieście, które teraz było jego domem, i innych Rzymianach stojących dookoła niego. Zawsze będzie z Lokr i Wielkiej Grecji – jego przodkowie na to zasługiwali – ale od tego dnia będzie też pochodził z Rzymu, i w głębi serca był dumny, że jego syn będzie tym, kim on właśnie się stał: Rzymianinem.



## NOTA HISTORYCZNA

*Władca Rzymu* zaczyna się krótkim opisem bitwy pod Tunesem, która rozegrała się w 255 r. p. n. e. Kartagińczycy zaatakowali szereg rzymskiej piechoty na słońcach, a rzymską jazdę – nad którą wróg miał czterokrotną przewagę liczebną – szybko rozgromiono. Potem kartagińska konnica zaatakowała flanki zapędzonych w kozi róg legionistów i udało się uciec tylko dwóm tysiącom Rzymian z lewego skrzydła, podczas gdy Marek Acyliusz Regulus poprowadził krótką i ostatecznie nieudaną próbę wyłamania się na czele pięciuset ludzi. Punicką armią dowodził Spartanin Ksantypus, który według greckiego historyka Polibiusza po zwycięstwie opuścił Kartaginę.

Dowiedziawszy się o porażce, dwaj urzędujący wtedy konsulowie, Marek Emiliusz Paulus oraz Serwiusz Fulwiusz Petinus Nobilior, popłynęli wraz z trzystoma pięćdziesięcioma okrętami do Aspis, aby ewakuować tych, którzy przeżyli. Dwieście kartagińskich okrętów zaangażowało ich w walkę i wywiązała się krótka bitwa u wybrzeży Przylądka Hermajskiego, która zakończyła się porażką Kartagińczyków i przejściem przez Rzym stu czternastu ich okrętów. Czytamy u Polibiusza, że konsulowie chcieli pójść za ciosem i zaatakować miasta na południowo-zachodnim wybrzeżu Sycylii. Ze względu na możliwość niekorzystnej pogody odradzali im to

doświadczeni żeglarze, oni jednak zignorowali to ostrzeżenie i rzymska flota – powiększona o przechwycone kartagińskie okręty – napotkała sztorm u wybrzeży Kamariny. Zniszczenia uniknęło tylko osiemdziesiąt jednostek. Szacunkowe liczby ofiar są rozmaite, ale na pewno sięgały dziesiątek tysięcy.

Gnejusz Korneliusz Scypion Azyna został wybrany na stanowisko konsula w 254 r. p. n. e. , co było znaczącym politycznym osiągnięciem, biorąc pod uwagę porażkę, którą poniósł pod Liparą sześć lat wcześniej. Wraz z Aulusem Acyliuszem Kajatynusem po udanym oblężeniu przejął kontrolę nad Panormos.

Los Marka Acyliusza Regulusa po bitwie pod Tunesem obrósł legendą. Polibiusz nie wspomina, co się z nim stało, ale inni historycy, piszący o tych wydarzeniach setki lat później, twierdzą, że przybył do Rzymu jako kartagiński poseł tylko po to, żeby odradzić Rzymianom przyjęcie warunków rozejmu. Następnie związany słowem honoru wrócił do Kartaginy, gdzie poddano go torturom, a potem zabito.

Oblężenie Lilybeum zaczęło się w 250 r. p. n. e. Rzymianie od początku mieli trudności z narzuceniem blokady, a znajomość okolicznych płycizn pozwoliła Kartagińczykom kilkakrotnie się przez nią przebić. Najbardziej godnym uwagi z tych, którym się to udało, był człowiek znany jako „Rodyjczyk”. Był Kartagińczykiem, choć we *Władcy Rzymu* zmieniłem jego pochodzenie dla celów narracyjnych, i wielokrotnie

przechytrzył rzymską flotę, zanim go w końcu złapano.

W 249 r. p. n. e. , podczas oblężenia Lilybeum, ówczesny konsul – Publiusz Klaudiusz Pulcher – postanowił zorganizować atak z zaskoczenia na kartagińską flotę stacjonującą w pobliskim Drepanum. Przed bitwą odprawił odpowiedni rytuał, aby zyskać przychylność bogów, jednak kiedy kury nie chciały jeść, podobno wyrzucił je ze złości za burtę, żądając, żeby w takim razie się napiły.

Walka potoczyła się tak, jak opisano w książce. Rzymska flota przybyła do Drepanum w bezładzie po nocnej przeprawie, a kartagińskie zastępy umknęły z wewnętrznego portu, po czym się odwróciły i zaatakowały nieprzygotowany rzymski szyk, osaczając go przy wybrzeżu. Rzymianie ponieśli ogromne straty – przechwycono dziewięćdziesiąt trzy ich statki – choć Pulcher uciekł na czele grupy około trzydziestu jednostek. W następstwie porażki sądzono go potem za popełnienie *perduellio*. Drepanum zasługuje na uwagę jako jedyna znacząca bitwa morska, którą Kartagińczycy wygrali podczas całej wojny.

Ze względu na klęskę pod Drepanum (oraz to, że sztorm zniszczył potem jeszcze jedną rzymską flotę u wybrzeży przylądka Pachynus w okolicach Syrakuz, o czym nie wspominam we *Władcy Rzymu*), możliwe, że Kartagińczycy mogliby na tym etapie doprowadzić wojnę do zakończenia. Nie wykorzystali jednak tej szansy i podczas gdy Rzymianie wciąż toczyli walkę na lądzie,

Kartagińczycy uciekli się do nieprzynoszących rozstrzygnięć wypadów na południowe wybrzeże Italii.

W 243 r. p. n. e. Rzymianie postanowili stworzyć nową flotę. Biorąc pod uwagę ich wcześniejsze straty, decyzja ta wyrażała ich pragnienie zwycięstwa za wszelką cenę. Dzięki funduszom zebranych wśród obywateli zbudowano dwieście kwinkwerem. Tak jak wcześniej zagrożone były Lilybeum i Drepanum, a Polibiusz twierdzi, że celem Rzymu było wciągnięcie Kartagińczyków do decydującego starcia.

Rzymskie załogi intensywnie przygotowywały się do bitwy i w 241 r. p. n. e. były dobrze wyszkolone, wykarmione i wyposażone. Kartagińczycy natomiast po Drepanum zdemobilizowali wiele statków i zebranie floty około dwustu pięćdziesięciu galer do odparcia tego nowego zagrożenia ze strony Rzymu zajęło im nieco czasu.

10 marca 241 r. p. n. e. dwie floty starły się w bitwie, która miała się okazać ostatnim etapem wojny. Rzymską flotą dowodził konsul Gajusz Lutacjusz Katulus wraz ze starszym pretorem, Kwintusem Waleriuszem Faltonem, Kartagińczykami zaś człowiek o imieniu Hannon, podczas gdy Hamilkar Barkas stał na czele armii lądowej (tak jak wcześniej, obdarzyłem Barkasa dowodzeniem w bitwie morskiej dla celów narracyjnych). Pogoda zdecydowanie bardziej sprzyjała Kartagińczykom: na fordewindzie popłynęli w stronę Lilybeum z jednej z Wysp Egadzkich, Hiera Nesos (dzisiejsze Marettimo). W obliczu silnego

wiatru Katulus postawił wszystko na umiejętności swoich załóg i nie chcąc pozwolić, by kartagińska flota dotarła do armii oblezionej w Lilybeum, wypłynął z innej wyspy, aby przechwycić Punijczyków. Walka była ciężka, ale Rzymianie odnieśli zwycięstwo, a Polibiusz podaje, że zatopili Kartagińczykom pięćdziesiąt statków i odebrali siedemdziesiąt, a pozostałe uciekły, gdy po bitwie zmienił się kierunek wiatru.

Zwycięstwo odniesione przy Egadach było tym decydującym wynikiem, na jaki liczyli Rzymianie, i zakończyło ono pierwszą wojnę punicką. Hamilkar Barkas i Gajusz Lutacjusz Katulus ustalili warunki rozejmu. Najważniejszymi z nich były: całkowita ewakuacja kartagińskich sił z Sycylii, powrót wszystkich jeńców do Rzymu bez żadnych opłat, okup za kartagińskich więźniów oraz danina w wysokości dwóch tysięcy dwustu eubejskich talentów, którą przez dwadzieścia lat miał otrzymywać rzymski rząd. Traktat podpisano zgodnie z planem, kończąc trwającą dwadzieścia trzy lata wojnę.

Zwycięstwo Rzymian położyło kres punickiej dominacji na zachodniej części Morza Śródziemnego, jednak w odróżnieniu od pozostałych kampanii przeciwko wrogom z półwyspu Rzym nie próbował wcielić Kartaginy do republiki, czy to jako sprzymierzeńca, czy zasiedlonej kolonii. Stało się tak głównie dlatego, że wyczerpany po dwudziestotrzyletnim konflikcie zbrojnym Rzym nie miał zasobów koniecznych do pełnego

podporządkowania sobie Kartaginy.

Kartagińskie bazy w Afryce i Hiszpanii pozostały nienaruszone i w ciągu jednego pokolenia dwa miasta znowu toczyły ze sobą wojnę. Walczyli w niej potomkowie pierwszego konfliktu: syn Hamilkara Barkasa, Hannibal, poprowadził swoją armię przez Alpy, do serca republiki rzymskiej, lecz lata później pokonał go najślawniejszy dziedzic rodu Scypiona, Publiusz Korneliusz Scypion zwany Afrykańskim.